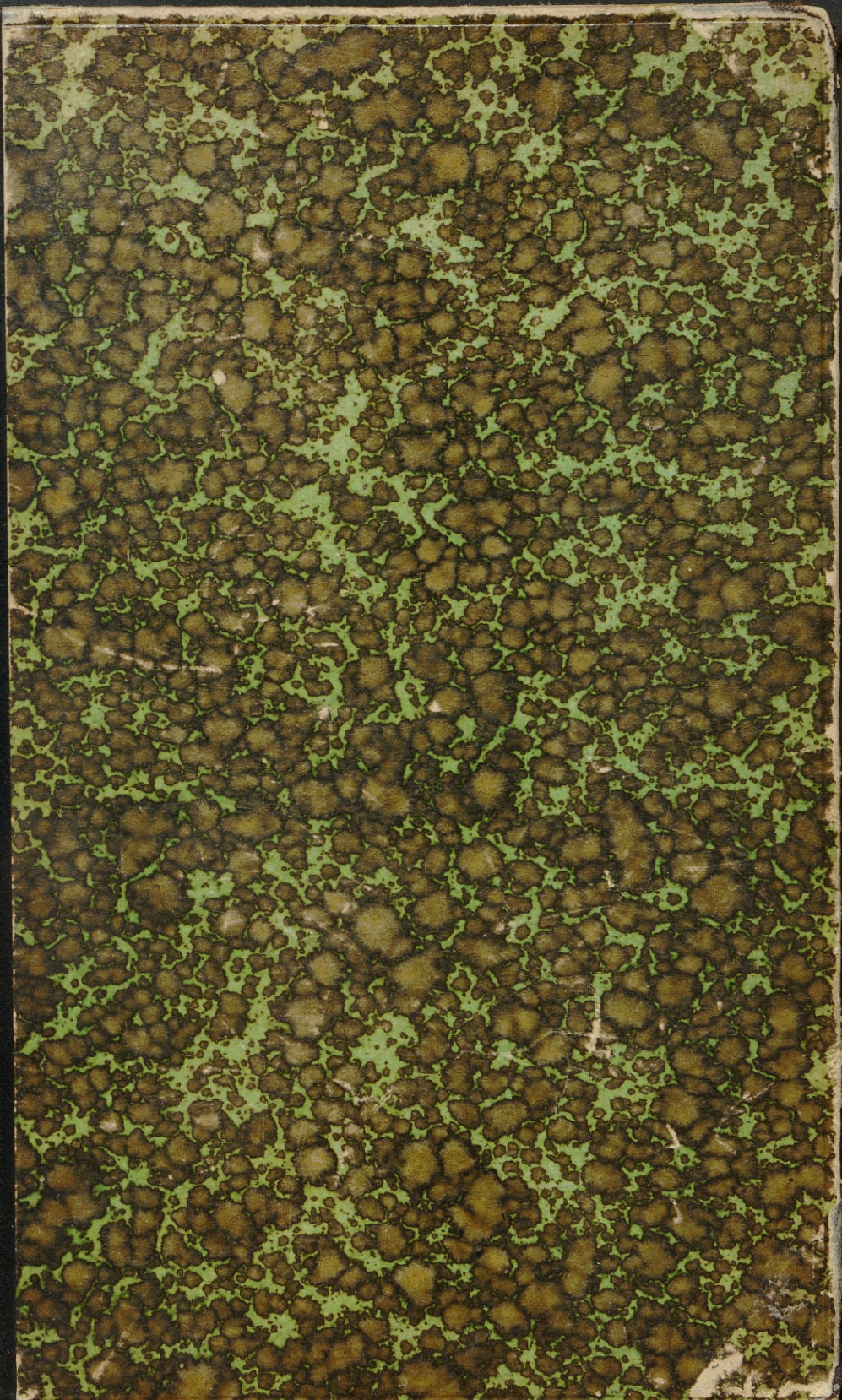


Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13



Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black

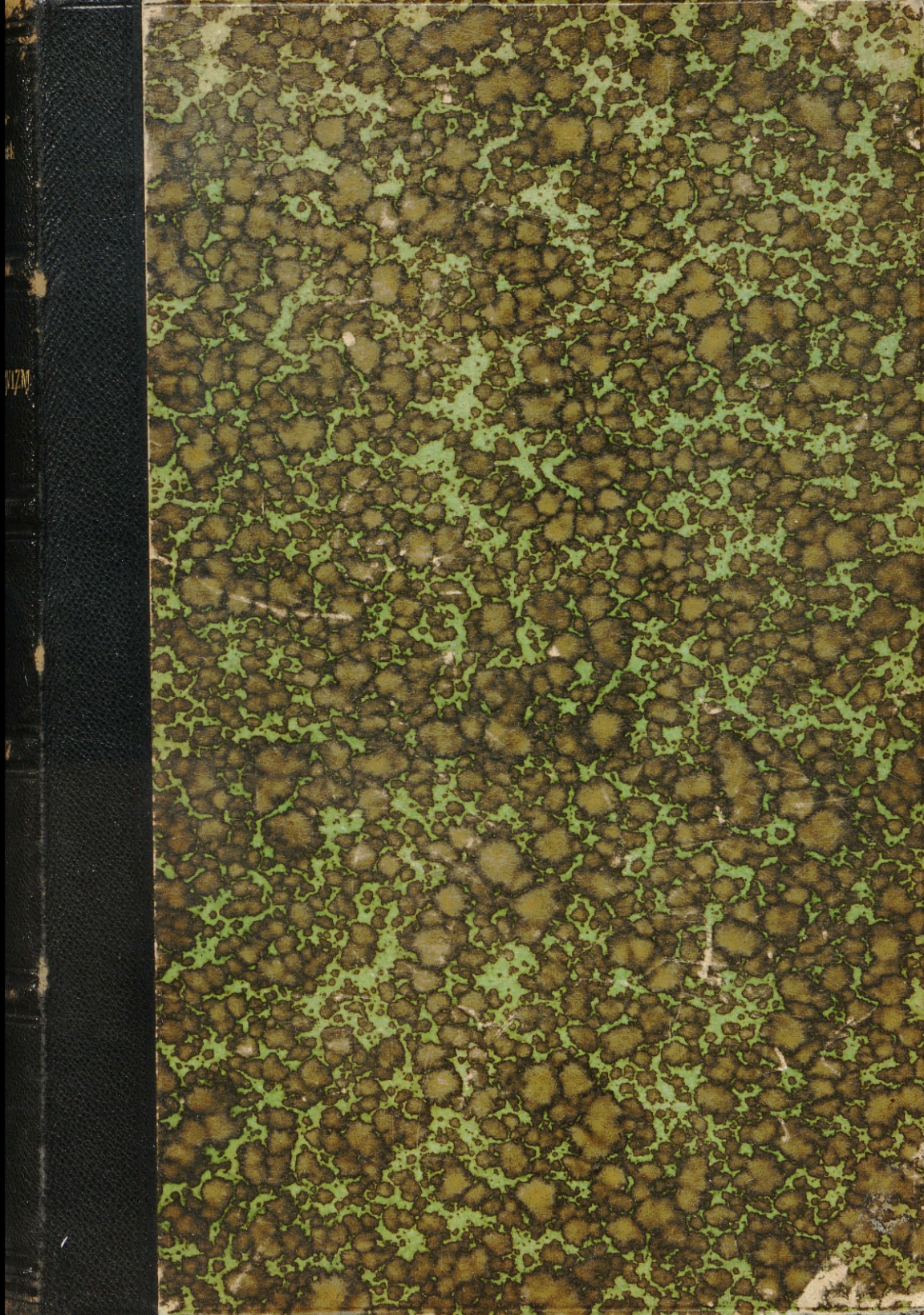


A 1 2 3 4 5 6 **M** 8 9 10 11 12 13 14 15 **B** 17 18 19

R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K



POZYTYWIZM.

Pris Stanisław Rakowski

POZYTYWNA

BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZESCIJANSKICH.

Teodor Jeskie-Choiński.

POZYTYWIZM

w nauce i literaturze.

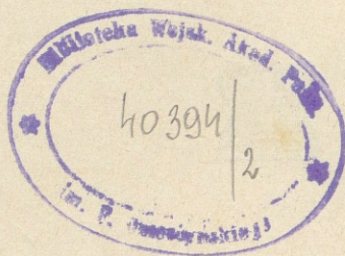


Mads Bronistaw Labkowski

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I S-KA

—
1908





I.

Królestwo wiedzy.—Lekceważenie sztuki.—Pozytywizm francuski.—August Comte.—Emil Littré.—Ewolucjonizm angielski.—Karol Darwin. — Materyalizm niemiecki.—Moleschott.—Vogt.—Büchner.—Haeckel. — Wspólne zasady pozytywizmu, ewolucjonizmu i materyalizmu.

Swiat cywilizowany zbliżył się znów do dróg rozstajnych, które straszą zagadką nieznanymi kierunków. Wszystko co było, co przyświecało dojrzałemu dziś pokoleniu, zaczyna gasnąć, rozplywa się w błękitnej mgłę przeszłości, co zaś będzie, tego jeszcze nikt wyraźnie nie widzi, określić nie może.

Co było?

Oto panowała w drugiej połowie XIX stulecia wiedza ścisła bezpodzielnie. Przed nią bito pokłony, jej wyrokom ulegało na wszystkich polach pracy ludzkiej. Ona zepchnęła filozofię ze stolicy nauki nauk; historii, prawu karnemu, ekonomii politycznej i krytyce literackiej narzuciła swoje metody i cele, sztukę nawet opętała.

Któż nie pamięta owych radosnych okrzyków, podnoszonych na cześć wiedzy między rokiem 1850 a 1880 naprzód we Francyi, w Anglii, w Niemczech, a następnie w reszcie krajów europejskich? Wiedza, to potęga, jedyna, najwyższa—głoszono bez końca w dziełach i dziełkach, w broszurach i broszurkach, w artykułach dziennikarskich i we wzmiankach reporterskich; wiedza oświeca, uszlachetnia, zbogaca — powtarzali za mistrza-

mi prostaczkowie, nie pozostający w żadnym stosunku z nauką. Wiedza była przez długi czas, jako owa pokorna Cendrillon,—mówi Herbert Spencer — usuwająca się zawsze na stronę, ilekroć jej pyszne siostry chciały się pochwalić przed gośćmi fałszywymi błyskotkami. Ale przyszedł czas i na kopciuszka. Wiedza, ogłoszona za najlepszą i najpiękniejszą, zapanuje niebawem wszechwładnie.

Głównie sztuka wpadła w niełaskę mściwej panny Cendrillon. Bo cóż to takiego ta strojna jejmość, ołsniewająca ludzi bez prawa i potrzeby? Płótna malarzów płowieją, rysują się, niszczeją; dzieła rzeźbiarzy rozsypują się w proch pod działaniem powietrza i słońca; utwory w końcu poetów przebrzmiewają razem z językami, którymi się posługiwały. Trwa tylko fakt naukowy, ten zaś wytwarza jedynie wiedza.

Tak wierzyli prawie wszyscy uczeni drugiej połowy XIX stulecia.

Przyjdzie czas — twierdził Renan — kiedy „wielki artysta stanie się niepotrzebnym rupieciem (*une chose viellie*), ale uczyony będzie rósł z każdym dniem“. A na innym miejscu dodaje, że piękno zniknie z postępem wiedzy. Panowanie rzeźby skończyło się, według autora „Życia Jezusa“, z chwilą, w której człowiek przestał chodzić bez ubrania; epopee zabiła artylerya, znosząca znaczenie odwagi osobistej. Nie inaczej sądzili: Spencer, Strauss, a nawet Taine, chociaż jako estetyk z zawodu, powinien był odezuwać i rozumieć istotę sztuki, której doniosłość znał lepiej od przyrodników i filozofów pozytywnych.

Bo i na cóż teologia, filozofia metafizyczna i sztuka, kiedy wiedza ścisła zaspokaja najzupełniej potrzeby ludzkości? Wszakżeż przekonywał jeszcze niedawno temu Berthelot (w „Revue des deux mondes“¹⁾), że wystareza być dobrym matematykiem, fizykiem albo mechanikiem, aby zajaśnieć blaskami człowieka doskonałego. „Kto się nie uczył geometrii—prawidł głośny chemik — ten nie może posiadać dokładnego poczucia pewności“ (*sentiment rigoureux de la certitude*). Nauka ta daje człowiekowi „absolutną i fanatyczną cześć prawdy“.

A chemia, fizyka?

¹⁾ Zeszyt z dnia 15 marca 1891 r. „La crise de l'enseignement secondaire. La science éducatrice“.

Wykład chemii i fizyki przyczynia się, zdaniem Berthelet'a, w najwyższym stopniu do podniesienia w młodzieży inteligencji i wyrobienia w niej uczuć moralnych; dostarcza bowiem równocześnie „znajomości prawdy pozytywnej, polegającej na faktach, stwierdzonym przez obserwację i ogólnych poglądów na przyrodę; nie zaś nie wszczepia w człowieka silniej od prawdy naukowej: skromności, powagi, niezłomnych i jasnych przekonań, zwalczających skutecznie próżność i egoizm na korzyść obowiązku“.

Cóż więc po teologii, filozofii i sztuce, kiedy geometrya, chemia i fizyka uczą człowieka cywilizowanego wszystkiego, co mu w życiu potrzebne?..

A nietylko kapłanów, filozofów i artystów zastąpi wiedza, lecz zagarnie nawet najwyższą władzę doczesną. Ernest Renan zachwycony szybkim rozwojem chemii i fizyki, wołał (*Dialogues philosophiques*): „Siły ludzkości skupią się kiedyś w ręku szczuplej liczby osób, staną się własnością ligi, która zawładnie tajemnicami istnienia naszej planety i steroryzuje wszechświat. Z chwilą, gdy kilku uprzywilejowanych rozumu (*quelques privilégiés de la raison*) posiędzie środki do zniszczenia planety, rozpoczną się ich rządy. Owi uprzywilejowani będą królowali przez absolutny postrach (*les terreurs absolue*), od ich bowiem łaski lub niełaski zależeć będzie los ludzkości. Można nawet powiedzieć, że uczeni staną się bogami“.

Więc wiedza czasów nowszych jest nietylko mistrzynią w krainie „faktów“, ale wprost mocarką, jakiej dotąd świat nie widział. Z niej tylko tryskają źródła ożywcze świadomości i moralności, do niej należy daleka przyszłość, jasna dla „uprzywilejowanych rozumu“, a straszna dla ich poddanych, dla nieuczonych. Owym *primus in orbe, qui fecit timor* będzie odtąd nie Bóg teologów i metafizyków, lecz chemik albo fizyk..

Warto się przypatrzeć czarodziejce, która miała dokonać tylu cudów, spojrzeć w jej oblicze ponure, grożące ludzkości, w razie nieposłuszeństwa, katastrofą.

Uczeni drugiej połowy XIX wieku podjęli „piękne marzenia“ ubiegłego stulecia. O czym śnili encyklopedyści francuscy a dawno przed nimi Bakon z Werulam, to pragnęli wcielić pozytywiści, ewolucyoniści i materyaliści naszych czasów.

Wyprzedził ich wszystkich myśliciel, którego wiedza nie wynagrodziła natychmiast sławą, a dóbr doczesnych poskąpiła

mu aż do samej śmierci. Nazwisko Augusta Comte'a nie za-
 błysnęło odrazu, jak Darwina, Spencera, a nawet Büchnera
 i wielu innych reformatorów niższego rzędu. Ubogi, utrzymu-
 jący się przy końcu życia ze składek uczniów i przyjaciół, bar-
 dzo długo nieznan, zajaśniał twórca filozofii pozytywnej dopie-
 ro przed samym prawie grobem. Pierwsza jego praca, zawiera-
 jąca już główne zarysy tej całej teorii, „System polityki po-
 zytywnej“ (*Système de politique positive*) ukazała się w r. 1823;
 główne dzieło, „Kurs filozofii pozytywnej“ (*Cours des philosophie
 positive*), zaczęło wychodzić w r. 1830, a właściwe panowanie je-
 go doktryn przypada zaledwo na r. 1850.

Uczniowie Comte'a nazywali go twórcą filozofii pozyty-
 wnej. Początkodawcą teorii w ścisłym rozumieniu nie był; roz-
 szerzył tylko, pogłębił i uporządkował, co inni przed nim ob-
 myślili.

Na wartość wiedzy w znaczeniu dzisiejszem zwrócił uwagę
 już Bacon (*De augmentis et dignitate scientiarum*); ideę jednolito-
 ści nauk popierali d'Alambert i Condorcet, a od nich przejął tę
 samą zasadę bałamutny zkadinał Henryk de Saint-Simon, któ-
 rego wpływ osobisty oddziałał bardzo silnie na Comte'a, jak wy-
 kazali Emil Littré ¹⁾ i Paweł Janet ²⁾. Wszyscy wogóle ency-
 kłopedycy francuscy i filozofowie indukcyjni Anglii należą mniej
 lub więcej do przodków duchowych znakomitego pozytywisty.

Wiadomo, że August Comte podzielił dotychczasową hi-
 storyę człowieka na trzy okresy, mianowicie na: teologiczny,
 metafizyczny i pozytywny. W pierwszym tłumaczyła sobie
 ludzkość prawa dostępnego dla niej świata za pomocą cudu i is-
 tot nadprzyrodzonych, w drugim wzięła do pomocy spekulację
 filozoficzną, w trzecim dopiero spostrzega się, że ani teologia,
 ani rwąca się ciągle przedza idei oderwanych nie doprowadzą
 jej do pożądanego celu, do upragnionej świadomości, więc, ogra-
 niczywszy badanie do objaśniania wszechświata z przyczyn we-
 wnętrz niego spoczywających, dała za wygrane intuicji i powie-
 rzyła się jedynie obserwacji i doświadczeniu.

W tym okresie trzecim, który się właśnie, podług Comte'a,
 rozpoczął, szukać będziemy faktów, odrzucimy zaś wszystko, co
 się nie da potwierdzić przez bezpośrednie postrzeganie, przez ana-

¹⁾ Emil Littré. „Auguste Comte et la philosophie positive“, 1863 r.

²⁾ Paul Janet „Les Origines de la philosophie d'Auguste Comte“.

lizę, a w dalszym ciągu przez eksperyment. Ponieważ tak początek, jak koniec wszechrzeczy toną dla nas w nieprzybytej mgłę tajemniczości, zakryte stanowezo dla oka śmiertelnika, przeto nie będziemy się męczyli daremnymi domysłami, lecz skupimy całą siłę mózgu na rzeczach, nieuchylających się z pod kontroli zmysłów i rozumu.

Nie wynika z tego wcale, abyśmy mieli zaprzeczać istnienia jakiegoś początku i końca, choć się o te zagadki troszczyć nie będziemy.

— Nie znając ani początku, ani końca — mówił Littré ¹⁾ — nie mamy prawa twierdzić, jakoby ich nie było, ale równocześnie nie wolno nam głosić, że istnieją. Doktryna nie wie nic o inteligencji boskiej i dlatego zachowuje się wobec niej obojętnie, nie przemawiając ani za, ani przeciw jej istnieniu.

Na tę właściwość doktryny Comte'a kładli jego uczniowie przy każdej sposobności nacisk, usiłując się w ten sposób odciąć od materyalistów i ateuszów, którzy nie uznają przyczyn, leżących po za materyą, i rozstrzygają sprawy, nie wchodzące w zakres obserwacyi i doświadczenia.

Nie trudno się domyśleć, iż Comte, wyłączywszy z teorii swojej z jednej strony teologię i filozofię metafizyczną, z drugiej zaś materyalizm, mógł się tylko oprzeć na wiedzy, pojętej w rozumieniu nauk ścisłych, posługujących się metodą indukcyjną, te bowiem umiejętności odpowiadają najwięcej jego poglądom na zadanie i wartość filozofii.

Naukoin matematycznym i przyrodzonym wskazuje sama ich natura obserwacyę i doświadczenie, jako najlepszych pomocników. Astronom, matematyk, chemik, fizyk i botanik nie zaszliby daleko, gdyby chcieli wysnuwać wnioski z wniosku, zamiast patrzeć, ważyć, liczyć, porównywać, zapisywać i t. d.

I rzeczywiście pamiętał Comte w znanej klasyfikacyi nauk głównie o umiejętnościach ścisłych. Na czele postawił matematykę, dalej idą: astronomia, fizyka, chemia, biologia i socyologia.

Pozytywizm więc Comte'a, jako metoda naukowa, jest dalszym ciągiem, rozwinięciem zasad angielskich filozofów indukcyjnych i pewnej grupy encyklopedystów francuskich, nawiązaniem przerwanej przez wojny napoleońskie, przez Resta-

¹⁾ Emil Littré, „Transrationalisme“ w „Revue de philosophie positive“ Styczeń 1880 r.

uracę i romantyzm nici, którą wiek XVIII prząść zaczął. Jak jego przodkowie po duchu, wykluczył Comte z badań naukowych intuicję, stawiając na jej miejscu bezpośrednią obserwację i doświadczenie.

Jako światopogląd sąsiaduje pozytywizm Comte'a bardzo blisko z materjalizmem, choć się tego towarzystwa wypiera. Nie zaprzecza on wprawdzie istnienia Boga i początku rzeczy, zwanego nadprzyrodzonym, nie jest ateuszem i jawnym zwolennikiem mechanizmu, ale wyraża się o teologii i spirytualizmie wszędzie z taką pogardą, że robi wrażenie, jakby sprzyjał po cichu starszemu bratu. O sprawach, przekraczających możność metody indukcyjnej, mówi rzadko i ostrożnie, ilekroć się jednak odezwie, zdradza zawsze pokrewieństwo z materjalizmem, co przytrafia się najczęściej Littré'mu, który uchodzi słusznie za najwierniejszą kopię mistrza.

Dla pozytywisty powinna być dusza nieznaną przyczyną myśli, obok której przechodzi się obojętnie, jak słusznie E. Caro zauważył ¹⁾, nie można bowiem do niej zastosować probierów, któremi nauka ścisła rozporządza. Tymczasem, chociaż pozytywizm nakazuje „neutralność“ wobec wszelkich zjawisk, podlegających obserwacji, przychyła się mimo to Littré do poglądu materjalistów. W przedmowie do dzieła Leblais'a p. t. „*Matérialisme et Spiritualisme*“ nazywa duszę wyraźnie „funkcją systemu nerwowego“. Nie dusza myśli, podług niego, lecz substancja nerwowa (*la substance nerveuse pense*), na co zgodziliby się chętnie niemieccy materjaliści w rodzaju Moleschotta, Vogta i Büchnera. Na innym miejscu ²⁾ przyznaje się Littré, że stoi w rzeczach psychicznych zawsze po stronie nie psychologów, lecz fizyologów i wyraża się stanowczo o istocie duszy, chociaż nie ma do tego prawa jako pozytywista prawowierny.

Zdawałoby się, iż Comte, stanowczy przeciwnik wszelkiej spekulacji filozoficznej, a prorok faktu, usunie filozofię w ogóle. Takby się należało spodziewać, filozofia bowiem przestaje istnieć z chwilą, gdy każą jej porzucić metodę metafizyki. Nie filozofia tedy będzie, lecz wiedzą ścisłą.

Tymczasem zbudował Comte właśnie system filozoficzny,

¹⁾ E. Caro, „Emil Littré“ w części drugiej p. t. „*La philosophie positive, ses transformations, son avenir*“.

²⁾ „*Revue de philosophie positive*“ Styczeń 1880 r.

był w istocie głównie filozofem, z tą tylko różnicą, że uczynił swoją „naukę nauk“ zależną od wiedzy, żądając, aby się filozofia posługiwała nie tylko rezultatami, ale i metodami nauk ścisłych. Wnikanie w rzeczy, uchylające się z pod nadzoru obserwacji i doświadczenia, nie jest, podług niego, zadaniem filozofii. Powinna się ona tak samo, jak wiedza, ograniczać na zjawiskach, dostępnych dla człowieka, powinna być „koordynacją wiedzy pozytywnej“ (*la coordination du savoir positif*), przedmiotowym zestawieniem i uporządkowaniem wyników pojedynczych nauk.

Więc nie filozofię wogóle zwalczał Comte, lecz tylko metafizykę, zajmującą się, podług niego, zagadnieniami, które należy raz na zawsze wykluczyć z badań naukowych. W ten sposób uczynił on filozofię służebnicą wiedzy, chociaż wierzył i uczył, że wyniósł ją do godności rzeczywistej „nauki nauk.“

W chwili kiedy August Comte składał w „Kursie filozofii pozytywnej“ główne wytyczne wiary naukowej drugiej połowy bieżącego stulecia, panował we Francji nad duchami filozof wręcz przeciwnego kierunku. Eklektyka, Wiktora Cousina, wówczas w Paryżu słuchano.

Nieznanego reformatora nikt zrazu nie zauważył; dzieł jego, napisanych językiem ciężkim, trudnym do strawienia, nikt nie czytał. Kiedy się Comte dowiedział, że się Littré pragnie zapoznać z jego teoryjami, był tą nowiną tak ucieszony, że posłał przysłemu wyznawcy swojemu egzemplarz „Kursu filozofii pozytywnej.“

Ale głos nowicyusza, w kraju rodzinnym prawie niedostrzeżony, popłynął przez morze do Anglii i potracił tam o mnóstwo dźwięków pokrewnych. W ojczyźnie indukcji odczuto w Comt'em natychmiast współnika i przykłaśnięto mu gorąco. Pozytywizm francuski oddziałal stanowczo na naukę i filozofię angielską czasów ostatnich. Wpływowi jego ulegli w mniejszej lub większej części: Bain, Bailley, Buckle, Darwin, Grotte, Lewes, Miss Harriet Martineau, John Stuart Mill, Herbert Spencer i w. in.

Stanowisko swoje we Francji zawdzięcza Comte głównie usilności, z jaką Littré jego doktryny rozkrzewiał.

Poznawszy się z teoryjami mistrza około r. 1840, przyswoił je sobie Emil Littré natychmiast i był przez całe życie najgorliwszym ich popularyzatorem, nie sprzeniewierzając się im na-

wet wtedy, kiedy działalność ostatnich lat Comte'a nie pozyskała jego uznania. Littré nie tylko wydał cały szereg komentarzy do „Kursu filozofii pozytywnej“ („L'Analyse raisonnée du cours de philosophie positive“ 1845 r. „L'Application de la philosophie positive au gouvernement des sociétés“ 1849 r. „Conservation, Révolution et Positivism“ 1852 r. „Auguste Comte et la philosophie positive“ 1863 r. i t. d.), ale, co ważniejsza, bo skuteczniejsza, wyzyskał dla nowej doktryny stosunki, jakie go łączyły z dziennikami. Za pośrednictwem „National'u“, którego był stałym współpracownikiem, wprowadził pozytywizm na porządek dzienny rozpraw bieżących, pchnął go między masy przeciętnej inteligencji, wydeptując dla niego szerszą ścieżkę. On też wydawał i redagował urzędowy organ pozytywizmu: „Revue de philosophie scientifique“ (od r. 1857). Nie tyle utalentowany, oryginalny, ile pracowity, o czem zresztą sam wiedział i na co się skarżył¹⁾, Littré spełnił obok Comte'a posłannictwo ucznia, oddającego się na łaskę i niełaskę mistrza. Chociaż nie pochwalał ostatniej przemiany pozytywizmu w rodzaju religii świeckiej, którą Huxley nazwał trafnie „kato-licyzmem bez chrześcijaństwa“, nie sprzeniewierzył się mimo to jego głównym zasadom aż do śmierci. Jego spuściznę umysłową i stanowisko naczelnika szkoły odziedziczył Piotr Lafitte, obecny naczelnik pozytywizmu francuskiego.

I naszego kraju nie ominął pozytywizm, ale dotarł do nas dopiero wówczas, kiedy we Francji i Anglii jego panowanie zaczęło się chylić ku upadkowi. Począwszy od roku 1870 mniej więcej, odgrywał u nas pozytywizm rolę hasła, pod które grono publicystów i dziennikarzy, znanych pod nazwą „młodych“ albo „pozytywistów“, podciągało wszystko, co miało do powiedzenia społeczeństwu. Dopłynąwszy do Warszawy, stracił pozytywizm po drodze swój charakter filozoficzny i naukowy, a zamienił się na reakcję społeczno-literacką, zwróconą przeciw ideałom pokolenia, wychowanego w tradycjach romantyzmu. I u nas mówiono wprawdzie dużo o naukowości pozytywizmu, o wszechmocy wiedzy, o znaczeniu metody indukcyjnej, obserwacji i eksperymentu, dysputy te jednak nie przekroczyły granic rozpraw polemicznych, przygotowawczych. Filozofa

¹⁾ „Etudes et Glanures“, str. 425.

pozytywnego lub chociażby populazytora w rodzaju Littr'égo, nasz ruch pozytywny nie wydał. Tu i owdzie odnaleźliśmy wpływ pozytywizmu w naukach ścisłych, głównie jednak przeszły jego zasady do literatury i prasy, wsiąkły w życie, wytwarzając pokolenie nowe, zupełnie różne od „zapaleńców“ z epoki romantycznej. Kilka studyów sprawozdawczych (Fr. Krupiński 1868, Ziemia 1873), wyjaśniających znaczenie pozytywizmu i mnóstwa artykułów dziennikarskich nie można oczywiście zaliczyć do wiedzy.

Szerzej i silniej oddziałał na świat cywilizowany drugi mocarz naukowy bieżącego stulecia. Był czas, kiedy nazwisko Karola Darwina nie schodziło z ust ludzi wykształconych. Powtarzali je filozofowie i uczeni, teologowie i artyści, starzy i młodzi, pierwsi z oburzeniem, drudzy z zachwytem. I Darwin stanowiął rodzaj sztandaru dla takich nawet kierunków, które nie pozostawały w żadnym związku z biologią.

Teorya Darwina, znana dziś powszechnie, odznacza się prostotą, w czem przewyższa zawiłą nieco, więcej złożoną doktrynę Comte'a,

Wiadomo, że przez długie wieki wierzono w stałość tak nieorganicznej, jak organicznej przyrody. Kiedy później badania geologiczne i paleontologiczne wykazały, że ziemia nie posiadała odrazu takiej postaci, w jakiej się nam obecnie przedstawia, lecz odbyła liczne przemiany, zanim doszła do stanu dzisiejszego, wówczas przyjęto hipotezę kataklizmów. Gwałtowne wstrząśnienia miały tłumaczyć fakty, przeczące stałości natury, potwierdzone przez geologię i palenteologię.

I w królestwie fauny i flory przyjmowano stałość gatunków, nie podlegających od początku istnienia stanowczej przemianie. Jeszcze Linneusz i Cuvier uznawali tę zasadę.

Ową niezmiennosc gatunków zastąpił Darwin zmiennością, czyli rozwojem (ewolucya, transformizm). Wszelkie organizmy ulegają, podług niego, ciągłym przemianom, większym lub mniejszym, co zależy od warunków, w jakich się dany organizm znajduje. Na przemianę organizmu wpływają: 1) środowisko (atawizm, klimat, pożywienie, otoczenie i t. d.); 2) dobór płciowy i 3) walka o byt, nieuchronna dla każdego stworzenia, które pragnie żyć na ziemi.

Rozszerzając swoją teoryę, mniemał Darwin, że, cofnąwszy się w tył aż do początku organizmów, zastalibyśmy tam niez-

wodnie nie tysiące gatunków, jak dotąd mniemano, lecz kilka, a może nawet jeden tylko, z którego się wszystkie inne przez stopniową ewolucję rozwinęły.

Jak Comte nie był bezpodzielnym wynalazcą doktryny pozytywnej, tak pracowali i na sławę Darwina liczni poprzednicy. Idea zmienności gatunków świeciła już w potężnej głowie Arystotelesa, ale tylko świata. Później niepokoiła ta sama myśl Kanta, Schellinga, Okena, Hegla, Goetego, Buffona, Lamarck'a i Godeffroy Saint-Hilaire'a. W czasach nowszych wracali do niej Schleiden (1850 r.), Unger (1852 r.), Schaafhausen (1853 r.) i in. Że w chwili, kiedy Darwin ogłaszał swoje rozgłosne dzieło „O powstawaniu gatunku“ (w r. 1859)¹⁾, teoria jego „wisiała w powietrzu“, dowodem tego równoczesne, zupełnie z jego „odkryciami“ zgodne publikacje Wallace'a i Hooker'a. Pierwszeństwo należy się właściwie nawet Wallace'owi, gdyż praca jego była wcześniej do druku gotowa i przyspieszyła wydanie „Powstania gatunków“.

Teoria Darwina, uzasadniona w jego dziele lepiej, świadomiej i uczeniej, niż u innych, poparta niepospolitem bogactwem obserwacji, przyszła w samą porę i oto główny powód jej szybkiego rozgłosu. Zastosowana do człowieka, dopełniła ona w pewnej mierze doktryny francuskiego pozytywizmu i materializmu niemieckiego.

Sam Darwin, ostrożniejszy od swoich popularyzatorów, nie wciągnął zrazu człowieka do teorii rozwojowej. Dopiero, zmuszony dziwacznymi wnioskami materialistów niemieckich, a może i olśniony powodzeniem, jakiego się prawdopodobnie nie spodziewał, napisał i wydał drugie dzieło p. t. „O pochodzeniu człowieka“ („The descent of man and selection in relation to sex“; 1871 r.), które ściągnęło na niego gromy idealistów, wygłosił bowiem hipotezę, druzgocącą wszystko, co dotąd człowiek o sobie myślał. Wprawdzie nie wywiódł Darwin, jak się powszechnie mniema, rodu ludzkiego z małpiego protoplasty, nie powiedział nigdzie wyraźnie, aby człowiek pochodził bezpośrednio, w prostej linii od jakiegoś szympansa lub orangutana, przyjmując jednak, że wszelkie organizmy, a więc i człowiek, mogły się roz-

¹⁾ Pełny tytuł: „O powstawaniu gatunków drogą wyboru naturalnego czyli o zachowaniu ras uprzywilejowanych w walce o byt“. Przekładu polskiego dokonał dr. W. Mayzel, Warszawa.

winać z jednego, wspólnego prototypu i wskazując na blizkie pokrewieństwo morfologiczne, anatomiczne i fizyologiczne człowieka z małpą, nie był dalekim od domysłu, który mu *vox populi* podsunął.

To głównie dzieło („Pochodzenie człowieka“) przeszło na własność szerszych kół i zapłodniło mnóstwo głów współczesnych różnorodnymi doktrynami. Ewolucya „gatunku“ ludzkiego, wzmocniona przez filozofię pozytywną, przekonała nie samych tylko uczonych drugiej połowy bieżącego stulecia, lecz także estetyków i artystów.

Przyczepiono do nazwiska Darwina etykietę materyalisty i ateusza, jego syn, Franciszek, dowiódł ¹⁾, że twórca ewolucjonistów angielskich był w istocie deistą. „Niemożliwość pojęcia, — pisał Darwin do jakiegoś młodego holendra — aby ten wielki i zdumiewający wszechświat miał powstać z przypadku, zdaje mi się być głównym dowodem istnienia Boga“. A w innym liście twierdzi, że „teorya ewolucyi zgadza się najzupełniej z wiarą w Boga“.

Darwin nie był więc ani materyalistą, ani ateuszem, jak nie wywiódł człowieka od małpy, ale zachowując się zupełnie obojętnie wobec pierwszych przyczyn wszechrzeczy w rozumieniu teologii i metafizyki i ograniczając badania swoje tylko do zjawisk, dostępnych dla obserwacyi i doświadczenia, a wysnuwając z nich mimo to wnioski, których teorya rozwojowa dotąd nie potwierdziła — podał materyalistom nową broń do ręki, tem niebezpieczniejszą, że posiadającą pozory prawdopodobieństwa.

Tylko pozory, w rzeczywistości bowiem należy się darwinizmowi nazwa hipotezy, chociażby dlatego, że człowiek nie posiada środków do ograniczenia całego drzewa genealogicznego organizmów. To, czego nas uczy znana dotąd historia fauny, wogóle, nie przemawia wcale za zmiennością gatunków, lecz potwierdza raczej ich stałość. Jak daleko pamięć człowieka sięga, wszędzie spotyka on zwierzęta w tej samej postaci, w jakiej je dziś widzimy. Odmiany gatunków, wywołane przez sztuczną hodowlę, bywają tak nieznaczne, iż nie mogą służyć za podstawę nauce pozytywnej. Nie udało się jeszcze nikomu przemienić jaskółki w orła, a chociażby na wrone, od komórki zaś, rzucanej na piaski brzegów morskich, aż do człowieka wiedzie dro-

1) „Życie i listy Karola Darwina“ przez Franciszka Darwina, 1887 r..



ga tak nieprzejrzana, iż jej chyba oko ludzkie nigdy nie ogarnie i nie zmierzy. Wiadomo, że ewolucyoniści operują nie tysiącami, lecz milionami, a śmielsi nawet miliardami lat, zapominając, że wszystko, co leży poza granicami obserwacji i doświadczenia, nie powinno obchodzić nauki pozytywnej, czyli, co ma to samo oznaczać, niezawodnej. Gdzie się kończy istotne postrzeganie, tam zaczyna się królestwo metafizyki, wyklętej zarówno przez pozytywizm, jak przez ewolucjonizm. Zasadę tę, która obowiązuje wiedzę, pominął ostatecznie i Darwin.

Darwinizm obiegił z szybkością, właściwą naszym czasom, cały świat cywilizowany. Uznała go bez protestu większość uczonych drugiej połowy stulecia. Głosy nielicznych przeciwników utonęły w morzu radosnych okrzyków bezwzględnych wielbicieli. Wiadomo, że teoria Darwina należała i u nas, po r. 1870, do „kwestyj palących“, że, połączywszy się z doktryną Comte'a i marzeniami materyalistów niemieckich, wypełniła jedną część programu warszawskich postępowców.

Najgłośniejsze echo towarzyszyło początkom darwinizmu w Niemczech, gdzie odżył właśnie stary materyalizm grecki. Potomkowie Leucyppa i Demokryta, bezpośredni następcy francuskich encyklopedystów (Lamettrie, Hollbach) powitali „odkrycia“ angielskiego przyrodnika burzą oklasków. Dawały im przecieź, jak wierzyli, to, czego dotąd daremnie szukali, mianowicie podstawę naukową. Przeto nie dziwnego, że Moleschott, Vogt, Büchner i Haeckel pochwycili skwapliwie hipotezę darwinizmu, zastosowując ją do swoich celów.

Zarówno ewolucjonizm, jak pozytywizm nie byli zadowoleni z pokrewieństwa, jakie im materyalizm narzucił, Comte określił ściśle granice wiedzy ludzkiej, a Darwin przyznawał się do wiary w Boga. Zdaje się jednak, że się materyaliści nie mylili, przyznając się do kuzynostwa z doktrynami filozofów francuskich i uczonych angielskich.

Materyaliści, wręcz przeciwni teologii i metafizyce, odrzucają nie tylko nadprzyrodzony, ale w ogóle wszelki nieznanany początek świata, wszelką „niepoznawalną“. Zdaniem ich, nie ma nic po za materią i poza siłami, w niej drzemiącymi. Tylko materia istnieje, tylko w niej należy szukać odpowiedzi na pytania, niepokojące człowieka.

Materyaliści twierdzą stanowczo, że prawdy teologii i metafizyki należą do krainy złudzeń i w tem różnią się od pozyty-

wizmu i ewolucjonizmu, z których pierwszy udaje wobec pierwotnych i ostatecznych przyczyn obojętność, drugi zaś nie zaprzecza istnienia „niepoznawalnej“. Jest to jednak różnica tak subtelna, tak sztuczna, że była długo tajemnicą dla przeciętnych zwolenników doktryn nowoczesnych.

Odmienni w zasadzie, schodzą się pozytywiści i ewolucyoniści z materyalistami w wykonaniu swoich teorii.

Wiadomo, że materyalizm usiłuje nietylko powstanie organizmów, ale i rozwój ludzkości i zjawiska życia duchowego wytłumaczyć na podstawie samych tylko praw fizycznych, tkwiących w materji. Materya i prawa jej są, według niego, jedyną istotą wszechrzeczy.

Pozytywizm i ewolucjonizm, szukając tylko faktów, z których wydobywają za pomocą analizy i eksperymentu wspólną im zasadę i wywołujące je prawa, czynią właściwie to samo, co materyalizm, z tą, co najwyżej, poprawką, że postępują prawidłowiej, więcej naukowo. Dzieci wiedzy znają się lepiej na metodach badania od wychowawców filozofii.

Zresztą i owa obojętność pozytywizmu wobec pierwszych i ostatnich przyczyn i owe korzenie się ewolucjonizmu przed „niepoznawalną“, są w rzeczywistości jedynie maską. W praktycznem zastosowaniu nie omijają ani pozytywiści, ani ewolucyoniści zjawisk duchowych, lecz tłumaczą je w ten sam sposób, co materyaliści. Że nie wymieniają terminów „Bóg“, „ducha nieśmiertelna“ i t. d., nie dowodzi wcale, aby się liczyli z prawdami, które te określenia wyrażają.

Przypatrzwszy się bliżej pozytywizmowi francuskiemu i ewolucjonizmowi angielskiemu, dostrzegamy w nich rasy familijne materyalizmu w ogóle. Wszystkie te trzy teorie należą do jednej rodziny. Łączy je wspólna niechęć do teologii i metafizyki, do wiary i filozofii spirytualistycznej, a rozdziela tylko metoda badania.

II.

Moralność niezawisła.—Litré.—Spencer. — Ewolucjonizm w prawie karnem. — Ferri.—Lombroso. — Pozytywizm w historii. — Tomasz Buckle. — Pozytywizm w krytyce literackiej.—Taine.—Ernest Renan.—Pozytywizm w literaturze pięknej.—Teorye statystyczne Flauberta.—Zola.—Ogólny pogląd.

Wszelka teorya jest jako kula, która, rzucona raz na pochyłość, nie zatrzymuje się aż u jej stóp, a tam jeszcze rusza się przez pewien czas, wiruje, zanim ostatecznie stanie. Uczniowie mistrzów nie mają spokoju, dopóki nie doprowadzą nowej doktryny *ad absurdum*.

Zdawalioby się, że pozytywści francuscy zadowolą się dziedziną nauk ścisłych, że wystarczy im zgromadzenie i uporządkowanie faktów. Tymczasem stało się inaczej.

Savoir c'est pouvoir, powiedzieli sobie, a panuje tylko ten, kto ogarnia całokształt dążności ludzkich. Ponieważ zaś w tartaku życia odgrywają zasady moralne rolę pierwszorzędną, przeto należy wymyślić dla człowieka etykę pozytywną, nie zawisłą od jakichś tam uczuć wrodzonych, lecz opartą na stałych podwalinach naukowych.

Pierwszy Littré zabrał się do tej roboty syzyfowej i powracał do niej po kilka razy, czuł bowiem sam, że pojedyncze części jego etyki nie wynikają tak dokładnie jedne z drugich, jak powinny wynikać wnioski, wysnuwane przez myśliciela pozytywnego.

Źródłem wszelkiej moralności są, podług Littr'égo¹⁾, dwa uczucia, dopełniające się nawzajem, konieczne do istnienia każ-

¹⁾ „Revue de philosophie positive“, styczeń 1870 r.

dej „substancyi żyjącej“ (*substance vivante*), mianowicie: egoizm i altruizm. Pierwszy służy do utrzymania jednostki—drugi zachowuje „gatunek“. Egoizm, czyli instykt samozachowawczy uczy człowieka, że, aby żyć, trzeba jeść i pić, altruizm wszczępia w niego miłość do drugiej płci. Egoizm, rozwijając się i różniczkując, rozpada się z czasem na szereg podegoizmów, jak: miłość zdrowia, dobrobytu, władzy, sławy i t. d., altruizm, przechodząc także przez czyszczący ogień ewolucyi, szlachetniejsze, rozszerza się, przenosi się z żony na dziecko i rodzinę, w dalszym ciągu ogarnia okolicę, prowincję, kraj, w końcu ludzkość całą.

Mimo tak logicznie na pozór rozsnutego pochodzenia uczuć moralnych, począwszy od pierwotnego egoizmu zwierzęcia żerującego, aż do poświęcenia bohatera i męczennika, nie zdawała się Littré'mu budowa jego etyki dosyć spójną. Chociaż wmaśniał w siebie i w innych, że altruizm jest tak samo właściwością wszelkiej „substancyi żyjącej“, jak egoizm, nie bardzo chyba sam w swoją hipotezę wierzył, dodał bowiem do owych dwóch podwalin jeszcze trzecią ¹⁾.

Ponieważ mu filozoficzne wyjaśnienie uczuć altruistycznych nie wystarczało, a nie chciał i nie mógł, jako pozytywista, wrócić do idei wrodzonych metafizyki, przeto skomponował sobie jakieś uczucia wyższego rzędu, które nazwał *des sentiments désinteressés*, a doszedł do nich za pomocą najczystszej spekulacyi (filozoficznej), aczkolwiek pozytywizm ową „igraszkę słów“ raz na zawsze z królestwa wiedzy wykluczył. Te uczucia „beziinteresowne“ mają człowieka uczyć miłości prawdy, dobra i sprawiedliwości, a rodzą się z intuicyi (*intuition irréductible, fait intuitif*), doprowadzone do świadomości przez logikę.

Ani się Littré spostrzegł, jak dopełniając części fizjologicznej swojej etyki, znalazł się w samym środku metafizyki. Pomarkowawszy się, że zboczył z gościńca pozytywnego, starał się dociągnąć „uczucia beziinteresowne“ do fizjologii, ale brnął już tylko coraz dalej między chwasty czczej kazuistyki, nie przekonującej nikogo.

Co się pozytywizmowi francuskiemu nie udało, to postanowił wykonać ewolucjonizm angielski. Już przed Herbertem Spencerem, „naszym wielkim filozofem“, jak go Darwin nazy-

¹⁾ „La science au point de vue philosophique“, str. 331, 339, 346.

wał, marzył H. Sidgwick o moralności naukowej („Metody moralności“).

Herbertowi Spencerowi, filozofowi ewolucjonizmu angielskiego, śpieszyło się tak bardzo z uszczęśliwieniem ludzkości przez moralność niezawisłą, że obawiając się, aby jego śmierć przedczesna nie pozbawiła świata nowej ewangelii, przerwał nakreślony oddawna plan swoich robót i wydał czempredziej „Zasady etyki“ (The data of ethics 1879 r.).

Rozebrawszy moralność Spencera z bardzo ciężkiego przyodziewku, zeszytego z kilku mil erudycyi, znajdziemy na jej dnie główne zarysy etyki pozytywnej. Szczęśliwym był tylko Anglik i konsekwentniejszym od Francuza, bo miał u siebie wyborne oparcie w istniejącym już utylitaryzmie.

Jak Littré, wywodzi i Spencer uczucia moralne z egoizmu i jak on, przyjmuje, oprócz pierwotnego samolubstwa, drugą podstawę szlachetniejszą, którą nazywamy raz sympatyą, to znów altruizmem. Ale podczas kiedy Littré potyka się już przy przejściu z egoizmu do altruizmu, przywołując do pomocy miłość płciową, niby pomost złoty, łączący nieszczęśliwość z dobrocią, Spencer rusza dalej prostą drogą. Jego altruizm jest także egoizmem, bo „człowiek, skazany na obcowanie z bliźnimi, skutki z nimi wspólnymi interesami, musi ich sprawy uwzględniać. Zginąłby sam, gdyby się z sąsiadem nie liczył.“

Zachodzi pytanie, w jaki sposób rozwija się z takiego altruizmu, który jest wistocie tylko rozumnym z konieczności, raczej chytrym, przyuczajonym egoizmem, cały szereg szczytnych uczuć wlotów duszy, stanowiących chlubę ludzkości? Za pomocą jakich środków dochodzi człowiek do przyjaźni, chonoru, uczciwości, obowiązkowości, do miłości kraju i poświęcenia, do wyrzeczenia się osobistego szczęścia dla dobra narodu?

Littré, nie umiając sobie inaczej poradzić, sięgnął w tym wypadku do argumentacji nienawistnej metafizyki, ale Spencer nie potrzebował się posługiwać staroświecczyną spirytualistyczną, bo znalazł gotową odpowiedź w darwinizmie.

W jaki sposób? W bardzo prosty. Oto wykluje się na mocy prawa ewolucyi, bez jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz z brzydkiej poczwarki przepiękny motyl. Człowiek zmuszony przez swoje położenie do moralnego postępowania, przywyknie z czasem tak do wszelkich cnót, że choćby chciał, nie może być szkodliwym. Wszakże tracą zwierzęta przyswojone dzikość swo-

body. Tak samo ujarzmi kiedyś prawo ewolucyi, konieczność nieuchronna, każdego robotnika, robiąc z niego pokorne, cierpliwe, dobre bydłę, rodzaj maszyny, ruszającej się tak, jak jej nakazują: egoizm i altruizm w połączeniu z atawizmem i ze środowiskiem społecznem.

A co nakazują te wszystkie prawa? Rzecz wyborna, bo rozkosz, przyjemność, szczęście.

Dobrym nazywa Spencer każdy czyn, przyczyniający się do spełnienia celu jednostki i gatunku, ponieważ zaś ostatecznym celem ludzkości ma być powszechne zadowolenie, ogólne szczęście, przeto będzie dobrem wszystko, co wywołuje przyjemność. Rozkosz jest treścią dobra.

W jaki jednak sposób rozróżni człowiek, z istoty swojej więcej egoistyczny niż altruistyczny, prawa dobra osobistego od praw dobra szerszego? Wcale tej sztuki znać nie potrzebuje, myśli bowiem za niego ewolucya, stokroć rozumniejsza od niego. Ona wie najlepiej, co potrzebne do podtrzymania gatunku, co należy wyłączyć z egoizmu, aby nie szkodził altruizmowi; ona wytwarza stopniowo, w miarę rozwijania się społeczeństw, coraz to lepsze, szersze, skuteczniejsze zasady moralne i wszczepia je w człowieka za pomocą atawizmu. Metafizycy, mówiąc o zasadach wrodzonych mają nieco racyi z tą tylko poprawką, że owe zasady wrodzone nie są dziełem kogoś, stojącego z zewnątrz stworzenia (siły nadprzyrodzone), lecz tkwią w istocie ewolucyi.

W ten mniej więcej sposób wygląda etyka niezawisła, świecka, naukowa, która miała zastąpić moralność religii i filozofii metafizycznej. Pozytywiści francuscy i ewolucyoniści angielscy zbudowali ją na egoizmie człowieka i na prawie ogólnego rozwoju, odrzuciwszy podwaliny dawniejszej moralności, mianowicie: początek nadprzyrodzony, czyli boskość idei wrodzonych, nieśmiertelność duszy i wolną wolę. Człowiek nie potrzebuje niczyjej pomocy do zrozumienia tego, co mu służy, a co szkodzi, gdyż właściwego postępowania uczy go, podług pozytywizmu, inteligencya, zdolność wnioskowania, poczucie prawdy, a podług ewolucjonizmu, naturalna siła rozwoju, nieuchronna konieczność istnienia.

Istota etyki niezawisłej wyklucza z góry wszelką powagę, jakakolwiekby ona była, i wszelkie świadome współdziałanie człowieka, rzucając go na pastwę atawizmu rozwojowego.

Ma się rozumieć, że naukowość etyki niezawisłej kończy się z chwilą, gdy nowocześni moralisci przechodzą od egoizmu do altruizmu. Wszystko, co Spencer mówi o przyszłej szczęśliwości ludzkiej, o dalszych losach altruizmu, przekracza granice obserwacji i doświadczenia, więc należy nie do wiedzy pozytywnej, lecz do metafizyki. Jest to poemat, miejscami bardzo dobrze obmyślany, ale zawsze tylko poemat. Charakteru utopistycznego nie pozbawia go niezwykła erudycja encyklopedyczna, mająca pokryć sztuczność argumentacji.

Wczytując się w dzieła pozytywistów i ewolucjonistów, podziwia się bardzo często giętkość myśli ludzkiej, zdolnej do wszelkich łamańców i skoków logicznych. Taine np., dla którego sumienie jest także tylko „produktem przyczyn naturalnych, jak cukier i kwas siarczany“, tłumaczy postępek szlachetny następnie: ponieważ wiesz, że śmierć jest nieszczęściem, przeto, widząc człowieka tonącego, rzucasz się do wody.

Czy tak? Egoizm pospolity, nie rozumiejący się na dyalektyce pozytywnej, wnioskuje inaczej. Ponieważ wiem, — filozofuje — że śmierć jest nieszczęściem, a broniąc tonącego, mogę sam utonąć, przeto byłbym niemądrym, gdybym wszedł do wody.

Logiczniejsza to chyba argumentacja.

Najwięcej kłopotu sprawia pozytywistom i ewolucjonistom obowiązek, powinność. Bo jakże pomieścić to szczególnie uczucie w ramach etyki, wysnutej z egoizmu?

Gdy ktoś powie: Bóg wszczepił w ciebie możność i świadomość dobrego postępowania i dał ci wolną wolę, abyś mógł panować nad złemi pokusami, wówczas pojmie go nawet prostaczek. Kiedy jednak ktoś twierdzi, że właściwą i jedynie uprawnioną przyczyną wszystkich czynów ludzkich jest samolubstwo, a mimo to żąda nietylko uczuć altruistycznych niższego rzędu, lecz nawet: poświęcenia, ofiary, obowiązku, wtedy musi się oczywiście odwołać do sztuczek sofistycznych, aby takie dwa końce powiązać.

Bo byłby niesprawiedliwym, ktoby zarzucał pozytywistom i ewolucjonistom rozmyślną chęć gorszenia „maluczkich“. Nie pragnęli tego ani Comte, ani Littré, ani Spencer. Wszyscy oni rozumieją bardzo dobrze doniosłość moralności i zgadzają się w ostatecznych rezultatach z etyką metafizyczną. Głównie pozytywiści francuscy usiłowali dorównać spirytualistom. Littré, który był osobiście człowiekiem znanej uczciwości, bolał nad

tem, że nie może pogodzić egoizmu z altruizmem, Comte zaś mówił wyraźnie w swoim „Kursie filozofii pozytywnej“: „gdyby ziemia miała być skazana na blizki zgon przez jakieś gwałtowne wstrząśnienie, nawet wówczas, aż do ostatniej chwili jej istnienia, nie przestawałoby oddanie się na usługi bliźniego, podporządkowanie jednostki pod społeczeństwo być najwyższym dobrem i obowiązkiem“. Tylko Spencerowi i jego uczniom można by zarzucić tu i owdzie obłudne wykręcanie się, fałszywą grę kazuistyczną, ale i oni nie poważyli się na stanowczą negację zdobyczy „lepszego części człowieka“.

Ten fanatyzm altruistyczny zastanawia u ludzi, których punkt wyjścia powinien był zaprowadzić tam, dokąd zawiódl utylitarystów angielskich. Gdy Bentham mówi: „Nie spodziewajcie się, by ktokolwiek podniósł nawet mały palec w sprawie bliźniego, jeżeli nie widzi w tem własnego interesu“, wówczas rozumiemy go dobrze. Jest szczerym. Ale kiedy pozytywiści i ewolucyoniści, nie uznający wrodzonych praw moralnych, korzący się przed egoizmem, żądają mimo to najwyższych przejawów altruizmu, wtedy nie wiemy, co z tym fantem począć.

Ernest Renan, który miewał czasami błyski jasnowidzenia, wygłosił podczas przyjęcia Cherbuliez'a do Akademii francuskiej (d. 25 maja 1882 r.), zdanie następujące: „Został nam jeszcze tuk moralny (*la sève morale*) dawnej wiary, choć porzuciliśmy jej kajdany. Bez naszej wiedzy zawdzięczamy bardzo często tym odepchniętym zasadom resztki naszej cnoty. Żyjemy cieniem wonia pustego naczynia. Po nas będą ludzie żyli cieniem cienia, co mi się zbyt lekką wydaje potrawą“.

Stary grzesznik wytlumaczył bardzo dobrze, choć może sam o tem nie wiedział, ostrożność pozytywistów i ewolucjonistów wobec etyki. Tak Comte, jak Littré i Spencer, aczkolwiek mówią tyle o dziedziczności, zapomnieli, że byli sami wychowawcami moralności chrześcijańskiej i metafizycznej, że wyrosli w zasadach „zwietrzałych“, że ciążyła na nich spuścizna wieków, zbyt wielka, aby ją jedno pokolenie mogło usunąć. Żyli oni w młodości swojej owym „cieniem“ Renan'a, ową „wonią“ pustego, ale zawsze jeszcze woniejącego naczynia, byli po prostu chrześcijanami z urodzenia, zanim zaczęli burzyć gmach tradycy, wziętych po szeregu przodków i dlatego zawahali się przed ostatecznymi rezultatami swoich przesłanek. Stąd praw-

dopodobnie owa kazuistyka pozytywistów i zamaskowana zręcz-
nie obłuda ewolucjonistów.

Ale ci, co po nich przyjdą, co karmić się będą już tylko „cieniem cienia“, czy zatrzymają się w połowie drogi? Ocalaż epigoni z ogólnego bankructwa dawnych skarbów religijnych i filozoficznych obowiązków, szlachetność, bezinteresowność?

Właśnie w połowiczności, w nieszczerości, etyki pozytywnej i ewolucjonistycznej tkwi jej trucizna. Z teorią doprowadzoną *ad absurdum*, można się szybko załatwić, lecz, doktryna podstępna, zwłaszcza poparta przez rzeczywistą erudycję, może nieświadomych, nie przywykłych do krytycznego myślenia, olśnić, przekonać i zgorszyć¹⁾.

Gdyby złodzieje, podpalacze, rabusie i wszelacy wogóle zbrodniarze znali filozofię pozytywną i ewolucjonistyczną, mieliby prawo przemówić do sędziów: na jakiej zasadzie odbieracie nam wolność, a nawet życie, skoro wrodzone idee moralne i wolna wola nigdy nie istniały? Jeżeli kradniemy, podpalamy, zabijamy, to czynimy tylko to, co nam nasze instynkty, odziedziczone po przodkach, nakazują. Nie naszą winą, że o nas ewolucya uczuć altruistycznych zapomniała. Postępujemy źle, bo nie możemy inaczej.

Podobne wnioski wysnuto już z ewolucyi, chociaż z innym rozwiązaniem. Wprawdzie nie dysputował jeszcze w ten sposób cech zbrodniarski z cechem sędziowskim, ale wyręczyli go „antropologowie kryminalni“.

W ojezyźnie muzyki i malarstwa powstała szkoła prawników która postanowiła wywrócić na nice dotychczasowe prawo karne. Myliła się cała przeszłość—oświadczył pierwszy Ferri, profesor uniwersytetu rzymskiego – potępiając w zbrodniarzu wolną, rozmyślnie grzeszącą wolę. Nie ma żadnej wolnej woli, więc nie może być i występnych ze świadomością. Całą część pierwszą dzieła p. t. „La teorica dell'Imputabilità“ poświęcił Ferri zaprzeczeniu wolnej woli.

¹⁾ Ciekawych fachowej krytyki etyki niezawisłej odsyłam do dzieł Alfreda Fouillée, „Critique des systèmes de morale contemporaine“; M. Guyau, „La morale anglaise contemporaine“; E. Caro, „Problèmes de morale sociale“, z których w studyum niniejszem korzystałem. U nas znalazła moralność świecka utalentowanego komentatora w osobie Aleksandra Świętochowskiego („O powstawaniu praw moralnych“). (Przyp. aut.).

Co Ferri rozpoczął, to dopełnił i uzasadnił znany i u nas bardzo dobrze Cezary Lombroso, profesor uniwersytetu turyńskiego. Jego rozgłosne dzieło p. t. „Człowiek - zbrodniarz“ (L'uomo delinquente) przyswojono literaturze polskiej.

Jak pozytywiści francuscy i ewolucyoniści angielscy, odzucają i włoscy antropologowie kryminalni „majaki teologii i metafizyki“ (Ferri): Boga, duszę, wolną wolę, a uznają tylko zdobyte wiedzy pozytywnej. Antropologia ma, podług nich, tylko o tyle znaczenie i wartość, o ile się badania jej odnoszą do ciała ludzkiego, czyli do przedmiotu, podlegającego bezpośredniej obserwacji. Psychologia metafizyków należy do złudzeń przeszłości, psychologia bowiem naukowa jest częścią fizjologii.

Tłumacząc istotę zbrodni, wychodzą antropologowie włoscy z jednej z podstaw ewolucjonizmu, mianowicie z atawizmu. Wiadomo, że dziecko dziedziczy po rodzicach ułomności fizyczne i skłonności moralne. Ponieważ jednak nauka nie ustaliła dotąd reguł atawizmu, który odbywa czasami dziwne skoki, ponieważ wykazano, że wady i przymioty ojca i matki przechodzą niezawsze i nie w równej mierze na synów i córki, ponieważ, słowem, nie wykryto jeszcze, w jaki sposób dziedziczność działa, przeto dopełnili kryminaliści włoscy pomysł Darwina, dodając do atawizmu w ogóle atawizm „przeplatany, przerywany“, co znaczy, że na potomków mogą spadać instynkty najdalszych nawet przodków.

Jak ewolucyoniści angielscy, lubią i antropologowie włoscy długie przestrzenie czasu. Za małe są dla nich ramy historii cywilizowanej ludzkości. Szukając źródeł atawizmu, dopuszczają się herezyi przeciw głównej zasadzie wiedzy pozytywnej, bo powołują się nie tylko na anatomię i psychologię dzikich, ale nawet na świadectwa paleontologii, która przekracza dziedzinę obserwacji w sferze zjawisk psychologicznych. Postać człowieka przeddziejowego można odbudować ze szczątków, wydobytych z głębszych pokładów ziemi, ale jego skłonności, upodobania, jego etykę i psychologię? Należy wątpić, czy się ta sztuka uda kiedykolwiek nauce.

Jak ewolucyoniści angielscy, nie robią w końcu i kryminaliści włoscy różnicy między człowiekiem, zwierzęciem i rośliną. I oni obejmują całe stworzenie jedną wspólną wstęgą.

Cezary Lombroso, szukając istoty występku, zaczął od ro-

ślin i zwierząt. Cały rozdział pierwszy swojego najprzedniejszego dzieła ¹⁾ poświęcił temu przedmiotowi, przechodząc dopiero następnie do plemion dzikich, u których znalazł rysy znamienne zbrodniarza.

Bo bezpośrednim potomkiem człowieka dzikiego jest zbrodniarz współczesny, twierdzą antropologowie włoscy. Jak dziki, odznacza się i zbrodniarz: nieczułością fizyczną i moralną; jak on, kocha się, i jego kopia w różnych żargonach, w tatuowaniu skóry i t. d. Instynkty i skłonności jakiegoś dzikiego protoplasty odziedziczył zbrodniarz. Stało się to oczywiście bez jego winy. Jest nikiemnikiem, bo nie może inaczej.

Doszedłszy do takiego odkrycia, poszli antropologowie włoscy dalej. Skoro znamy już protoplastów zbrodniarzy, przeto możemy ustalić ogólny typ człowieka występnego — wnioskują. Dość przypatrzeć się budowie mieszkańców ziem, nie uszlachetnionych dotąd przez cywilizację i porównać ją z anatomią: złodziejów, morderców, podpalaczy i t. d., aby pochwycić cechy charakterystycznej jednostki zwyrodniałej.

I rzeczywiście, zdjąwszy mnóstwo fotografii ze zbrodniarzy i porównawszy owe „dokumenty“ z podobiznami dzikich, znaleźli antropologowie zupełne podobieństwo między anatomią i fizyognomią jednych i drugich. Z pozyskanych w taki sposób danych, z cech zewnętrznych, wspólnych zarówno dzikim, jak ich bezpośrednim następcom, ulepili „typ“ zbrodniarza urodzonego.

Zbrodniarzem jest, będzie, lub mógłby być, gdyby go do tego okoliczności zmusiły — podług antropologów włoskich — każdy człowiek, który posiada: uszy silnie odstające, włosy obfite, zarost rzadki, wystające zatoki czołowe, wielkie żuchwy, podbródek kwadratowy i sterczący, obłąki jarzmowe rozszerzone, gestykulację żywą ²⁾, czoło w tył podane, górną wargę cienką nos — skrzywiony w jedną albo drugą stronę, garbaty, spłaszczony, zanadto długi, czaszkę i twarz nieprawidłowo rozwinięte, i t. p. I tam dalej, liczba bowiem cech znamiennych zbrodniarza, dołączanych kolejno przez uczniów Lombrosa, wzrosła do

¹⁾ Cezary Lombroso (w przekładzie polskim) „Człowiek-Zbrodniarz“, 3 tomy, Warszawa, 1891 r. Tom I, rozdział I, pod tyt. „Zbrodnia i organizmy niższe“.

²⁾ Cezary Lombroso, jak wyżej: tom II, str. 40.

takiej wysokości, iż nie wiadomo już obecnie, jak wygląda człowiek występny, a jak uczciwy. Nazwiska zwolenników antropologii kryminalnej tworzą bardzo długi łańcuch. Wierzą w zasady „nowej nauki“, oprócz Ferri'ego i Lombrosa: baron Garofalo, Sergi, Colojani Marro, Mingazzini, Varaglia, Ottolenghi, Frigerio, Gradenigo, Verga, Pinero, Brunati, Tomino, Gonzales, Lucas, Anfosso, Romiti, Pugliese i w. in. Każdy z tych uczonych dodał do ogólnego zbiornika garść własnych spostrzeżeń. Ten badał czoła zbrodniarzy, ów ich włosy, oczy, nosy, trzeci usta, ręce i t. d.; znaleźli się nawet tacy, którzy spotykali inny typ zbrodniarza w jednej, a inny w drugiej prowincyi.

Zdziwili się mędrcy włoscy, gdy im ziomek ich, Arystyd Gabeli, przypomniał, że odgrzewają stare „marzenia“ Gall'a i Lavater'a a przecież jest antropologia kryminalna wistocie tylko dalszym ciągiem frenologii, rozpoznaje bowiem, jak ona, właściwości psychologiczne człowieka po znakach zewnętrznych.

Dzieło towarzyszków uwięczył Lombroso, dodając w drugim wydaniu „Człowieka zbrodniarza“ (w r. 1889) do atawizmu i frenologii jeszcze epilepsyę. Epileptykiem ma być, podług niego, każdy zbrodniarz, czyli chorym, pozbawionym możności panowania nad sobą.

Prawo karne, oparte na zasadach antropologii kryminalnej, nie ma żadnej racyi bytu. Bo jakże karać biedaka, który nie posiadając wolnej woli, czyli broni przeciw złym pokusom, nie odpowiada za swoje czyny, jakże pastwić się nad nędzarzem, dotkniętym podwójną niemocą, bo zbrodniczością dziedziczną i epilepsyą. Znaleźli się też rzeczywiście uczeni (Frigerio), domagający się zmiany więzień na szpitale dla występnych, na tak zwane „kliniki kryminalne“. Ale nie wielu takich filantropów między antropologami włoskimi i ich wyznawcami francuskimi i niemieckimi. Znakomita większość dochodzi do wniosków wręcz przeciwnych. Ponieważ zbrodniarz dziedziczny, z urodzenia — twierdzą — może wydać na świat także tylko zbrodniarza, wszelki zaś „dziki“ jest szkodliwy w społeczeństwie cywilizowanym, przeto należy go usunąć w taki lub inny sposób.

Alfred Fouillée, broniąc antropologów przeciw prof. Caro, który odmówił szkole Ferri'ego i Lombrosa prawa karania ¹⁾

¹⁾ Caro, „Problemes des morale sociale“, str. 235.

obmyślił bardzo dowcipny dyalog między sędzią a zbrodniarzem, świadomym zasad „nowej nauki“¹⁾.

Oto staje przed sprawiedliwością doczesną morderca i zaczyna dyskurs następujący: Zabójstwo, które popełniłem, wynikało nie z wolnej woli, lecz z mojego temperamentu.

Na to sędzia: Dowodzi to tylko, że społeczeństwo powinno się zabezpieczyć przeciwko twojemu temperamentowi, jak się zastawia przeciw materji wybuchowej.

Morderca: Nie dałem sobie sam tego temperamentu.

Sędzia: Nie mówię też wcale o twojej winie absolutnej nie sądzę cię pod względem moralnym, nie oskarżam cię, zapatruję się tylko na ciebie ze stanowiska społeczeństwa, którego częstkę stanowisz i dla którego masz obowiązki. Chociaż nie odpowiadasz za ułomność i brzydotę, oddalającą cię od typu idealnego naszego gatunku, a zbliżającą cię do dzikiego, mimo to nie przestajesz być ułomnym i brzydkim, przedewszystkiem zaś niebezpiecznym.

Morderca: W takim razie jestem tylko pozałowania godnym.

Sędzia: Żałuje cię też, ale jeszcze więcej żal mi twojej ofiary, która, będąc istotą wyższą od ciebie, zginęła, podczas kiedy ty żyjesz.

Morderca: Nieuchronna konieczność pcha mnie do moich upodobań osobistych.

Sędzia: Ta sama konieczność nieuchronna, na którą się powołujesz, nakłada na mnie obowiązek bronięcia interesów społeczeństwa.

Morderca: Natura moja podlega namiętnościom nie zwalczonym; mózg mój jest nad miarę podrażniony; silniejsza odemnie reakcyja instynktu pcha ramię moje do zbrodni.

Sędzia: Jeżeli twój mózg i twoje ramię są obezwładnione przez tak brzydkie choroby, więc należy się spodziewać, że do zbrodni dawniejszych dodasz jeszcze inne, co będzie nowym powodem do zabezpieczenia ciebie samego i społeczeństwa przeciw twojemu temperamentowi. Dładtego osadzę cię w więzieniu i będę się starał wyleczyć cię z twojej niemocy, z niewolnikiem bowiem należy się obchodzić jak z niewolnikiem. Gdybyś posiadał wolną wolę, któraby mnie zapewniła, że się zbrodnia, do-

¹⁾ Alfred Fouillée, „La pénalité et les collisions de droits d'après la science sociale contemporaine“.

konana wypadkiem, więcej nie powtórzy, mógłbym cię zostawić na swobodzie, ponieważ się jednak rzecz ma przeciwnie, przeto muszę bronić społeczeństwa przeciw fatalności twojego temperamentu.

Morderca: Gdybyś był na mojem miejscu, postąpiłbyś tak samo.

Sędzia: Gdybym był tobą, uczyniłbym to samo, co ty, ale i ty, zajmując moje stanowisko, nie sądziłbyś inaczej. Więc nie gniewaj się na mnie, nie miej do mnie za to żalu, że wyłączam cię ze społeczeństwa, w którym nie ma miejsca dla twoich ułomności. Czyniąc, jak czynię, postępuję tylko w myśl twoich zasad. W twojem własnem imieniu ukrócam twoje zuchwałstwo.

Pominąwszy końcowy argument, przypomina dialog Fouillé'ego ową bajkę o wilku i jagnięciu, której treść znaczy tyle, co: Nie broń się i nie rezonuj podaremnie, bo zjem cię i tak, nie dlatego, żeś zawinił lub nie zawinił, co mnie bardzo mało obchodzi, lecz dlatego, że trzymam cię w garści i że jestem mocniejszy od ciebie.

Ostateczna konkluzya sędziego nie przekonały żadnego zbrodniarza z urodzenia. Na mocy moich własnych zasad mnie karzesz?—mówisz. A któż ci powiedział, że moje rozumowanie doprowadza do twoich wniosków? Jeżeli jedynym władcą i prawodawcą człowieka jest ewolucya, to dlaczego nie wytepiła owa można pani mojego typu? Skoro tego nie uczyniła, to muszę być potrzebny, ewolucya bowiem wie lepiej od ciebie, do mnie podobny niewolniku jej celów, co służy gatunkowi, a co mu szkodzi. Tak przecież uczy darwinizm, zarówno twoja, jak moja religia. Jakiem prawem śmiesz poprawiać dzieło ewolucyi? Któż ci zresztą powiedział, że twój t. zw. typ idealny jest lepszy od mojego dzikiego, jak go nazywasz? Wszystko, co istnieje, istnieje z łaski wszechmądrej i wszechmocnej ewolucyi—jest dobre, rozumne, dostosowane do potrzeb gatunku. I mój typ zasługuje na szecunek i z mojemi zasadami należy się liczyć. Na wytłumaczenie swojego wyroku masz tylko egoizm i siłę. Wsadzisz mnie do kozy, utniesz mi głowę, bo obawiasz się, ażebym się kiedyś i do ciebie nie zabrał. Ale i mój egoizm coś znaczy. I on ma te same przywileje, co twój, jak uczy moralność niezawisła. A mój egoizm drwi sobie z twojego „idealnego typu gatunku“.

Że powyższe rezonowanie nie jest czezą igraszką słów, lecz może się stać kiedyś podstawą jakiej nowej teorii kryminalnej, dowodem tego wypadek, jaki się zdarzył na pierwszym kongresie antropologów w Rzymie (w r. 1885, w listopadzie).

Między gośćmi zamiejscowymi znajdował się także — opowiada Artur Desjardins ¹⁾—profesor Albrecht z Hamburga. Podwójny doktor, bo medycyny i filozofii, gdy rozprawiano o pochodzeniu człowieka, odezwał się w sposób następujący: Nazywacie panowie zbrodniarza istotą anormalną? Dlaczego? Czy dlatego, że zakłóca porządek publiczny, że kradnie, rabuje, zabija? Ale cóż innego robią wszystkie niższe od niego „organizmy“, które obywają się wybornie bez waszych uczuć altruistycznych? To nie zbrodniarz jest stworzeniem nieprawidłowym, lecz właśnie tak zwany człowiek uczciwy. Pewna grupa ludzi sprzykrzywszy sobie samotność, utworzyła społeczeństwo, zgodziwszy się zaś na życie gromadne, musiała się wyprzeć na korzyść współtowarzyszów znacznej ilości instynktów wrodzonych, czyli normalnych. Wszakże nie wszyscy znoszą ograniczenia prawodawstw, nie wszyscy chcą się poddać cudzemu egoizmowi, czy altruizmowi, co na jedno wychodzi. Ci buntownicy, właściwi ludzie normalni, poniewierani przez anormalnych — to zbrodniarze.

Zdziwili się bardzo antropologowie, zebrani w Rzymie, wnioskom prof. Albrechta. To dyletantyzm!—zawołał prof. Lacassagne, a prof. Lomborso nazwał wywody niemieckiego kolegi „paradoksalnymi aż do nieprawdopodobieństwa“, chociaż bronił na tym samym kongresie „blizkiego braterstwa“ człowieka z małpą.

Albrecht doprowadził rzeczywiście zasady antropologii kryminalnej do *absurdum*, ale nie jestże sama „nowa nauka“ karykaturą atawizmu teorii ewolucjonistycznej?

Ktoby chciał być logicznym, przyznałby dziwacznym twierdzeniom Albrechta daleko więcej słuszności, niż łamańcom kazuistycznym moralistów pozytywnych, którzy uznawszy egoizm za absolutnego prawodawcę wszelkiego „organizmu“, żądają od jednego z „gatunków“, czyli od człowieka, uczuć altruistycznych najwyższego rzędu. Moralność bez idei wrodzonych i bez

1) Artur Desjardins: „Crimes et Peines“.

wolnej woli musi doprowadzić do takich śmieszności, jakie profesor hamburski wygłosił.

Przyjmując „nową naukę“ za prawdę, byłoby między ludźmi bardzo mało osobników, nie należących do wyrzutków społecznych, u każdego bowiem człowieka możnaby odkryć jakieś „piętno moralne“ skłonności występnych (wąskie, szpiczaste, lub odsunięte w tył czoło, wystające kości policzkowe, grube wargi i t. d.). Pominąwszy już autochtonów Afryki, Azji, Australii, całą rasę mongolską i murzyńską, należałoby w Europie pozamykać w więzieniach, w „klinikach kryminalnych“, przedewszystkiem $\frac{9}{10}$ żydów, gdyż rasa ta zbliża się budową czaszki, czoła, kości policzkowych, odstającymi uszami, grubością warg, długością rąk i t. d. najwięcej do typu „urodzonego zbrodniarza“ antropologów włoskich. Po żydach poszłaby do kozy znakomita większość ludzi z gminu, czyli „organizmów nierasowych“, a i między „rasowymi“ znalazłoby się bardzo dużo dziedzicznych wyrzutków. Typ człowieka szlachetnego, wymarzony przez antropologów kryminalnych, równa się poprostu typowi piękna cielesnego, o harmonijność zaś budowy i rysów wszędzie bardzo trudno. Cztery piąte przynajmniej europejczyków nie powinno podług Ferri'ego, Lombrosa i towarzyszy ich, oglądać świata Bożego. Jeżeli portrety nie mylą, to należeli John Stuart Mill i Darwin także do „anormalnych“ (czaszka ścięta), a i głowa Emila Zoli nie budziłaby zaufania, gdyby się ją nagle nocą w lesie ujrzało. I między samymi antropologami znalazłoby się niezawodnie mnóstwo kandydatów do „klinik kryminalnych“. Niechby się sobie tylko dobrze na kongresach następnych przypatrzyli...

I powyższe rozumowanie nie zyska sobie prawdopodobnie uznania „antropologów“, cóż jednak innego twierdzą wistocie Ferri i Lombroso, gdy mówią o zbrodniarzach, trzymanyh na uwięzi przez różne okoliczności? Wychowanie, stanowisko towarzyskie, majątek, obawa przed opinią publiczną, brak konieczności kradzenia, rabowania, mordowania i t. d. — twierdzą — powstrzymuje wielu „zbrodniarzy urodzonych“ od występku. Ale niech tylko te hamulce zewnętrzne ustąpią, a przekonacie się, że człowiek, uchodzący za uczciwego, był tylko zamaskowanym łotrem.

Bardzo to niebezpieczna teoria, zwłaszcza, gdyby ją pra-

ktyczenie zastosowano, czego się antropologowie domagają; równie groźna w skutkach, jak jej matka, moralność niezawisła.

Mniej spustoszenia, niż w etyce i kryminalistyce, wyrządził pozytywizm pospołu z ewolucjonizmem w historii, chociaż znalazł i na tem polu świetnego przedstawiciela w osobie Tomasa Buckle.

Głośny i u nas autor „Historji cywilizacji Anglii“ (*History of civilization in England* 1857 — 1862 r.)¹⁾ usiłował zastosować metodę Comte'a do badań historycznych. Według niego, jest historia wzajemnem oddziaływaniem przyrody na człowieka i człowieka na przyrodę. Jak pozytywści, zaprzeczył i Buckle wolnej woli i oparł się głównie na czterech czynnikach fizycznych, które mają działać na umysł człowieka i na organizację społeczeństw, na klimacie, żywności, glebie i ogólnych zjawiskach przyrody.

Buckle nie znalazł uznania u fachowych historyków.

Szerzej i dłużej oddziaływał Hipolit Taine, pozytywista w krytyce literackiej.

Bo formuła Taine'a odznacza się rzeczywiście prostotą i przemawia na pierwsze spojrzenie do przekonania. Jeżeli chcesz zrozumieć danego autora — uczył znakomity krytyk francuski — to zapytaj nasamprzód, do jakiej rasy twój przedmiot należy, i zbadaj właściwości tej rasy. One wykryją ci usposobienie, skłonności i upodobania dziedziczne pisarza lub artysty, czyli odtworzą połowę człowieka. Następnie przypatrz się środowisku (*milieu*), jakie go otacza, naturze, krewnym, nauczycielom, przyjaciółom, stosunkom społecznym i politycznym. W końcu zastanów się nad chwilą dziejową, która twórcę wydała. Czego ci nie powiedziała rasa, to dopełni niezawodnie środowisko i chwila dziejowa. Trzy te momenty wystarczą najzupełniej do wniknięcia w istotę badanego typu literackiego.

Nic więc nowego nie wniósł Taine do krytyki, lecz wyżył dla niej tylko zasady pozytywizmu i ewolucjonizmu. Słowa: atawizm, środowisko — powtarzają się ciągle u Darwina, Spencera, Comte'a, Littré'go, Ferri'ego, Lombrosa i t. d., a na chwilę dziejową położył nacisk Buckle. Zresztą nie sami nowocześni uczeni radzili zwracać boczną uwagę na okoliczności

¹⁾ Przekładu polskiego dokonał Wład. Zawadzki, Lwów, 1865.

zewewnętrzne. Rozumieli ich znaczenie także przeciwnicy „niezawisłości“, jak Wiktor Cousin i Sainte-Beuve.

Ale nie o to idzie. Oryginalnych wynalazców, w ścisłym określeniu tego wyrazu, nie zna historia cywilizacji. Następca posługuje się zawsze zdobyczami poprzednika, posuwając się dalej w kierunku przez niego wytkniętym. I Darwin nie jest bezpodzielnym właścicielem teorii, związanej z jego nazwiskiem; tak samo nie odkrył pierwszy Spencer podstaw etyki naukowej. Najczęściej porządkują tylko znakomici uczeni, układając w jednolity system owoce trudów przeszłości. Takiego dzieła dokonał i Taine w dziedzinie krytyki literackiej.

Ma się rozumieć, że estetyk pozytywny nie uznaje prawd teologii i metafizyki, jak wogóle wszelkich „złudzeń“ zgasłych pokoleń. O tak stęchłej staroświecczynie, jak Bóg, wolna wola i t. d., nie mówi się dziś wcale. Pomija ją też Taine, jako coś, o czym nawet wspominać nie warto.

Zdaniem jego, jest człowiek dalszym ciągiem świata organicznego i z tego jedynie stanowiska może i powinien być badany. Do ujęcia zaś organizmu, bez względu na to, czy to będzie ślimak, czy też natchniony prorok lub poeta, dość wskazówek ewolucjonizmu. Obserwacja i doświadczenie dadzą nie tylko chemikowi, botanikowi, przyrodnikom wogóle, ale także historykowi literatury i sztuki wszystko, co mu potrzebne, bo świat zjawisk psychicznych podlega jedynie prawom mechanicznym.

Na takich oparłszy się podstawach, wierzył Taine, że zamienił dawniejszą krytykę podmiotową na naukę ścisłą, przedmiotową, czyli wprost niezawodną, jak chemia, fizyka, botanika, matematyka.

Rzecz szczególna, że umysł tak bystry, jak Taine'a, nie mógł lub raczej nie chciał dostrzedz stanowiącej różnicy między danymi nauk przyrodniczych a humanistycznych. Roślina, minerał, płyn i t. d., rozpatrywane z tych samych punktów, za pomocą tych samych narzędzi, doprowadzają rzeczywiście zawsze i wszędzie do tych samych wyników. Zarówno głupi, jak mądry uczony (bywają i głupi uczeni), musi policzyć musze tyle nóg i skrzydełek, kwiatkowi tyle słupków i listków, jakiejś bryle kruszcu tyle ciężkości gatunkowej, ile ich wistocie posiadają. Czy to będzie chemik utalentowany, albo też zwykły osieł uczony, który sobie przyswoił pewną sumę fachowych wiadomości—

ani pierwszy, ani drugi nie mogą dojść do przeciwnych rezultatów, gdy się tą samą posługują metodą. Ale usposobienia, cele, ideały człowieka, narodów, ludzkości? Możnaż i te zjawiska poddać niezmiennej metodzie badania?

Można by, gdyby wszyscy krytycy literatury i sztuki byli do siebie bezwzględnie, w najdrobniejszych nawet szczegółach podobni, gdyby ich wydała: ta sama rasa i epoka, ta sama szkoła i doktryna; gdyby posiadali ten sam stopień i rodzaj talentu, wykształcenia, charakteru i upodobań osobistych. Ponieważ taka zgodność jest utopią, przeto zostanie formuła Taine'a hipotezą, dopóki ewolucya nie zrówna wszystkich ludzi, zamieniwszy ich na maszyny bezmyślne, jak obiecują Darwini, Spencerzy i in.

A przecież nie hipotezę chciał Taine zbudować, lecz naukę ścisłą i on bowiem powtarzał za Newtonem, jak wszyscy pozytywiści, *hypotheses non fingo*, i on marzył, wierzył i do wierzenia uczniom swoim podawał, że można metodę nauk przyrodniczych zastosować ze skutkiem nieomylnym i do nauk humanistycznych.

Nauki przedmiotowej, ścisłej, jak pragnął, nie stworzył, krytyki literackiej i artystycznej nie poddał prawidłom niezmiennym; wskazywał tylko trzy wyborne środki, ułatwiające sam trud badania, i zostawił po sobie kilka dzieł wysokiej wartości, które dowodzą właśnie połowiczności jego doktryny. Bo, co sobie warto spamiętać ze studyum o Lafontaine'ie (*Essai sur les fables de la Fontaine*, 1853 r.) i z „Historii literatury angielskiej“ (*Histoire de la littérature anglaise*, 1863 r.), to zawdzięczał Taine nie swojej metodzie, lecz talentowi i jego intuicji, więc siłom, któremi pogardzał, które wykluczał z badania naukowego. Był on artystą z urodzenia, tak samo, jak Buckle, i tym artyzmem, jego ogniem i plastyką, „wziął“ współczesne mu pokolenie, przekonał całą armię wyznawców do swojej teorii. Samo zastosowanie doktryny odpycha raczej niż przyciąga, gdyż odsłania na każdej stronnicy nie przedmiotowość, lecz właśnie tendencyjność¹⁾.

Mówiąc o myślicielach, którzy wpływali na publiczność oświeconą drugiej połowy bieżącego stulecia, nie wolno pominąć i Ernesta Renana, chociaż autor „Życia Jezusa“ nie był właści-

¹⁾ U nas znalazł Taine szczerego wielbiciela w Piotrze Chmielowskim.

wie filozofem z talentu i zawodu. Archeolog i znakomity znawca języków semickich byłby się przysłużył ludzkości więcej, gdyby nie był zabierał głosu w sprawach, niedostępnych dla rodzaju jego zdolności.

Renan należy do tych postaci literackich, które bardzo trudno pochwyć. Wymyka się on z rąk krytyka, jak węgór, bezwładny dopiero wtedy, gdy padnie na piasek. Niewyraźny, nieszczerzy, poświęcający zawsze dla dowcipu lub oryginalnego zwrotu prawdę i powagę szanującego się pisarza, raz entuzjasta, to znów szyderca, drwiący ze wszystkiego dla samego drwienia, nie wyznający żadnych stałych zasad, robi Renan wrażenie kupy śmieci, porwanej i zwirowanej przez wiatr. Wszystko fruwa, kłębi się w powietrzu: żdźbła słomy, resztki pierza, wiory, odłamki stłuczonego szkła i porcelany; czasem błysnie i zgubiony sprzęt kosztowniejszy.

Renan mienił się tak zdradliwie, że znaleźli się autorowie broniący jego „religijności“¹⁾. Inni znów, chociaż nie łudzą się wcale co do jego szkodliwości, wyrażają się o nim oględniej, aniżeli na to zasługiwał²⁾.

Renan wyrzucał z siebie w istocie bardzo często wyklęte przez pozytywistów określenia: Bóg, dusza, religia, wzniosłość, zapal, szlachetność i t. d. Pełno ich w „Avenir de la science“, w „Dialogues philosophiques“ i w „Examen de conscience philosophique“. Czy potrzeba, czy nie potrzeba, rozsiewał „wielkie słowa“ na wszystkie strony, zasłaniając nimi prawdziwe oblicze swoje.

Ale kto się dobrze jego fizyognomii przypatrzy, nie może się co do jej charakteru omylić.

— Kocham ludzkość — spowiadał się Renan w „Examen de conscience philosophique“, w „Rachunku sumienia“, napisanym na kilka lat przed śmiercią — bo wytwarza wiedzę; obstaję przy moralności, bo tylko rasy naukowe mogą być uczciwe. Gdyby ktoś chciał człowiekowi narzucić kajdany nieuctwa, nie widziałbym już dla niego racyi dalszego istnienia,

¹⁾ Paweł Bourget, „Essais de Psychologie Contemporaine“; cały rozdział trzeci w studjum o Renanie: -- Jan Honcey: „Souffles nouveaux“, strona 32 i następane.

²⁾ Edward Rod, Melchior de Vogüé.

ludzkość bowiem, wymarzona przez reakcyonistów, byłaby tak marna, że wolałbym, aby zginęła.

W tym samym „Rachunku“ wyznaje jeszcze Renan:

— Nie mamy prawa posiadać jakichkolwiek pragnień, gdy rozum przemawia. Słuchać nam tedy trzeba, nic więcej. Należy się rozumowi pozwoić skrępować i wlec, gdzie się jego argumentom spodoba.

— Najpowaźniejszą rzeczą na świecie jest wiedza — mówi Renan na innem miejscu.

To płaszczenie się przed wiedzą powtarza się ciągle w jego dziełach. Wiedza jest dla niego najwyższą potęgą. Ona daje prawdę, pojęcie dobra, piękna, cel życia, słowem, wszystko, z czego się ludzie chlubią.

A jakaż to ta prawda Renana? W tym samym „Rachunku“ rozwija uczony orientalista następującą teorię: Nie ulega żadnej wątpliwości, że w świecie, dostępnym dla doświadczenia, nie ma i nie było nigdy żadnego faktu, któryby wskazywał na jakąś wolę, wyższą od woli człowieka. Co różne czasy przysądzały aniołom, demonom, bogom, bożkom, Bogu w końcu, było zawsze tylko złudzeniem. Nikt nie widział, aby jakaś siła wyższa poprawiała prawa natury, kierowała niemi, aby oświecała człowieka, powstrzymała jakieś nieszczęście, niesprawiedliwość, przygotowywała jakieś drogi i środki do wykonania obmyślanego z góry planu. Nie dostrzegamy nigdzie śladu inteligencji, działającej celowo. Wszechświatem nie rządzi żaden rozum, świadomy siebie. Boga w rozumieniu pospolitem, żywego, działającego, nie chwytamy ani razu na gorącym uczynku. Ten Bóg jest formułką bardzo grubą (*une formule bien grossière*).

Wobec takich dokumentów trudno się domyślić, co Bourget chciał powiedzieć, gdy twierdził: Chociaż zerwał stosunki z religią, Renan za hował wobec niej stanowisko człowieka, który nie wierzy, ale także nie nienawidzi, lecz szanuje i poważa ¹⁾.

Należy się dziwić krytykom francuskim, iż nie wiedzą, do jakiej grupy przydzielić autora „Dyalogów filozoficznych“ i „Rachunku sumienia“.

Wszakżeż wiedza jest bożyszczem pozytywistów, a nega-

¹⁾ Bourget, jak wyżej, str. 79.

cyta prawd teologicznych i metafizycznych stanowi główną treść ich wiary.

Pozytywistą czystym Renan nie był, nieporządna bowiem jego, dyletancka głowa nie znosiła ustalonego kierunku myślenia. Nie umiał on do tego stopnia panować nad swoim temperamentem, że przeczył sobie w jednym i tem samym zdaniu. Wszystko, co mu w danej chwili „ślina do ust przynosiła“, wypowiadał, bez względu na to, czy następnik dopełniał poprzednik. Błyskotliwego, dowcipnego zwrotu nie ominął nigdy, chociażby kosztem wartości całego zdania.

Oto np. próbka takiej sztuki kuglarskiej. „Czujemy w sobie i słyszymy jakiś głos z jakiegoś nieznanego nam świata — mówi Renan w „Rachunku“. — Głos ten odbija się echem z naszych szczytnych głupstwach (*sublimes absurdités*), którym człowiek ulega, chociaż wie bardzo dobrze, że robi złą spekulację (*mauvais calcul*); odbija się on w czterech wielkich szaleństwach (*quatre grandes folies de l'homme*) ludzkości: w miłości, religii, w poezji i cnocie. Głupstw tych i szaleństw nie uznaje egoista, a one, na złość jemu, rządzą światem. Najzjadliwsza krytyka nie pokona tych świętych złudzeń (*saintes illusions*). Głównie kobiety nie posłuchają nigdy rozumu“.

Powyższe zdanie jest arcydziełem obłudy, nie mającej odwagi wygłosić jawnie swojego sceptycyzmu. Miłość, religia, poezya, cnota są szczytnymi, ale... głupstwami, szaleństwami. Najzjadliwsza krytyka traci moc wobec tych rzeczy świętych, które nie przestają być mimo to... złudzeniami. Głównie kobiety nie dadzą się nigdy przekonać, bo... bywają zawsze głuche na głos rozumu.

I tak wszędzie u Renana. Nieśmiertelność duszy jest, podług niego, *a priori* najpotrzebniejszym z dogmatów, *a posteriori* zaś najslabszym. W „Questions contemporaines“ mniema, że wszelka forma religijna nie wytrzymuje krytyki, a przecież nie może religia istnieć bez formy. Raz Boga nie ma, to znów może być, ukazać się, gdy Mu się tak spodoba. Cnota oszukuje, kłamie, ale nie zaszkodzi być enotliwym, chociażby dla wyróżnienia od szubrawców. Można się upajać poezją, ale należy wiedzieć, że sztuka nic nie warta.

Samej nawet wiedzy, pani swojej, Renan nie oszczędzał. Prawda naukowa jest kokietką,—zartował — gdyż obiecuje się ciągle, a nie oddaje się nigdy.

Gdy Renan mówi: Boga niema, ale trzeba tak postępować, jak gdyby rzeczywiście istniał; dusza, jako substancja samodzielna, jest złudzeniem, ale mniej więcej tak się wszystko odbywa, jak gdyby była prawdą—wówczas drwi sobie z czytelnika.

Gruby tom nie objąłby nielogiczności, dziwactw i niesmacznych dowcipków pisarza, który uchodził przez długi czas za gwiazdę pierwszorzędną na niebie myślicieli.

A właśnie temu błaznowaniu, pominąwszy „Życie Jezusa“, zawdzięczał profesor Collège de France swoją popularność. Bo jego studyów filologicznych i religijno - historycznych nie znał chyba nikt oprócz kolegów fachowych. Ale drwinki i błazeńskie uwagi rozchwytywano w lot, cytowano w dziennikach, powtarzano w salonach i kawiarniach. Francuz lubi wszelaki flirt, przepada za dwuznacznikami, czego dowodem jego literatura dramatyczna niższego rzędu. Nie ma takiego idyotyzmu, którego by w Paryżu nie oklaskiwano.

Renan był flirterem filozoficznym, dyletantem, jak jego ziomkowie nazywają, przystępniejszym dla przeciętnej inteligencji od Comte'ów, Littré'ych i in., zwłaszcza, że pisał wytwornym, artystycznym językiem. Przesuwając się lekko, z wdziękiem, po wierzchu spraw najważniejszych, uśmiechnięty zawsze uśmiechem wypasłego, dobrze najedzonego mieszczucha, zgorszył większą ilość nieświadomych, aniżeli ściśli pozytywiści, których się przeciwnik uczy szanować, gdy ich porówna z autorem „Dyalogów filozoficznych“.

Zrozumiał to we Francyi może jedyny Juliusz Lemaître który rzucił się z namiętnością lat dwudziestu kilku na rozgłosnego już wówczas pisarza.

Przybywszy do Paryża, chciał Lemaître oczy swoje uraczyć widokiem słynnego na prowincyi autora „Życia Jezusa“. Więc udał się do Collège de France i co ujrzał? Wesołego, dowcipkującego jegomościa tam poznał, zabawiającego audytorium dwuznacznymi uwagami. Wówczas załamał ręce i zawołał głosem rozżalonym: ¹⁾.

— „Pan Renan się śmieje, pan Renan jest wesoły? Nie, pan Renan nie ma prawa do wesołości. Jak Makbet zamordował sen, tak zabił on dwadzieścia, sto razy, w każdej ze swoich

¹⁾ Juliusz Lemaître, „Les contemporains, études et portraits littéraires“ Paryż 1888 r., t. I, str. 204 i następne.

książek, radość, czyn, spokój duszy i bezpieczeństwo życia moralnego. Wykonywać cnotę z tem przekonaniem, że człowiek cnotliwy jest głupcem i przyrzadzić sobie mądrość o dwóch ostrzach; powiedzieć, że zawdzięczamy cnotę Odwiecznemu, ale że możemy z tego dawcy drwić, ile się nam tylko podoba, gdyż oddajemy wtedy tylko, komu należy, żart za żart—są to ładne, bardzo ładne zwroty myśli. A i ów „dobry Pan Bóg,“ pojęty jako grecki emeryt, szachrujący w grze w kości, należy do świętych pomysłów. Twierdzić, że Boga nie ma, ale może zjawi się kiedyś w postaci sumienia wszechświata; że nieśmiertelność nie jest przymiotem duszy ludzkiej, ale może się stać czemś podobnem w czasie nieograniczonym, w co zresztą tak samo, jak w owego Boga, wierzyć nie potrzeba, bo równa ilość szans przemawia za i przeciw, dodać w końcu, że zupełne ciemności zakrywają przed nami ostateczny cel wszechświata — nie sąż to w istocie negacye? Wątpić i drwić w ten sposób, znaczy chyba to samo, co przeczyć. Wytworny nihilizm Renana jest przejawem czarnej melancholii i rozpacz. Nie wchodzę w to, czy jego filozofia jest prawdziwą lub fałszywą, bo jej krytyka nie do mnie należy; stwierdzam tylko, że jest na wskroś smutną. Więc nie ma nic, nic oprócz zjawisk? I z tem wszystkim może pan Renan być wesołym? To zaprawdę szczególne, po dziwu godne...“

Młody Lemaître był niezawodnie tłumaczem rozczarowań i zwątpień swoich rówieśników, zgorzonych przez okrutnego bawiciela. Później powiał i na niego zatruty oddech Paryża, starło i z niego życie stolicy dziewiczość prowincyi, ale żal lat wiosennych nie przestaje być mimo to wymownym dokumentem. Co Lemaître wówczas czuł, to przepeśniało prawdopodobnie pierś całego pokolenia, rwącego się do życia, a niezdolnego już do szerszego polotu. Byli to biedacy, którym Renan w chwili natchnienia „cienie cieniów“ przepowiadał.

Bo ten sceptyk, ten cynik, ten pospolity, zdawkowy niedowiarek, miewał czasem błyski jaśniejsze. Zbuntowany kleryk przesiąkł atmosferą seminaryum duchownego, w którym odebrał pierwsze, zwykle najsilniejsze wrażenia. Przez całe życie, aż do grobu szły za nim odgłosy dzwonów i śpiewów kościelnych i, oszukując sumienie, albo rzucał mu na pastwę kilka frazesów o prawdzie, dobru, obowiązku, poświęceniu i t. d., albo medytował nad nową religią, nad „romansem nieskończoności“ (*le roman de*

l'infini), którego środkiem miał być jakiś Bóg, znajdujący się poza naszym, ludzkim wszechświatem. Te właśnie naiwne majaczenia Renana nazywają krytycy francuscy jego „religijnością“.

Wistocie był Renan, jako myśliciel, tylko nieudolną kopią racjonalistów i pozytywistów, lichem odbiciem prądów, które przebiegały Europę w drugiej połowie bieżącego stulecia, przedstawicielem typu przeciętnego niedowiarka, połowicznego sceptyka, i temu swojemu dyletantyzmowi zawdzięczał szeroki rozgłos, na jaki jako filozof wcale nie zasługiwał.

Bardzo szerokie koło zatoczyły te prądy, tryskające z łona nauk przyrodniczych. Nietylko objęły one cały obszar wiedzy wogóle, ale uniosły z sobą także, ujarzmiły sztukę. I literatura piękna drugiej połowy bieżącego stulecia, przybrawszy nazwę naturalizmu, uległa zasadom pozytywizmu i ewolucjonizmu.

Zwykle łączy się z naturalizmem imię Zoli, chociaż się zaszczyt pierwszeństwa nie jemu należy, twórcą bowiem kierunku był nie Stendhal, albo Balzac, jak chcą jedni, i nie autor „Nany“, jak sądzą inni, lecz Gustaw Flaubert.

Streszczenie formułek estetycznych Flauberta nie zajmie wiele miejsca. Wypowiedział je znakomity artysta najwyraźniej w listach do pani George Sand (*Lettres de Flaubert à George Sand*), wydanych wkrótce po jego śmierci, a wcielił w „Pani Bowary“ (*Madame Bovary*, w r. 1857).

Szczególnie to listy. Słyszymy w nich głosy dwóch talentów literackich, tak odmiennych od siebie, iż nie mogą się porozumieć. George Sand, poetka „z łaski Bożej“, podmiotowa, rozporządzająca, jak prawie wszyscy romantycy, nadzwyczajną łatwością słowa, rozmawia z Flaubertem, uczonym, przedmiotowym, ociężałym robotnikiem, występującym z siebie każde zdanie z niesłychanym wysiłkiem.

— Ty nie wiesz o tem — skarżył się Flaubert przed Sand'em—co to znaczy przesiedzieć cały dzień z głową w dłoniach i męczyć się nad wynalezieniem jednego słowa. Myśl płynie u ciebie szeroko, bezustannie, jak rzeka, podczas kiedy u mnie to tylko drobny strumyczek. Pracować muszę straszliwie, aby ze mnie kaskada trysnęła. Wiem ja doskonale, co to śmiertelna trwoga stylu (*les affres du style*).

A przecież ten pisarz, którego forma trud taki sprawiała, że ją aż do przedśmiertnej przyrównywał trwogi, ten męczennik

bezplodności autorskiej, był przede wszystkim znakomitym stylistą. On to starał się nadać językowi francuskiemu, zaniedbanemu właśnie wówczas, nie tylko czystość, ale i harmonijność i koloryt. Dni całe mógł poświęcić jednemu zwrotowi; kilkadziesiąt razy odczytywał to samo zdanie, aby wytrzebić z niego wszelką jednostajność słów, głosek nawet. Nad jednym tomem pracował, jak wiadomo, po kilka lat. Rytmiczność wiersza i melodyjność muzyki zastosowywał do prozy, którą kochał z namiętnością maniaka.

Przesadna dbałość o czystość stylu jest pierwszym rysem znamienym talentu Flauberta. Różni się on pod tym względem stanowczo od Balzac'a, który, jak się Ferdynand Brunnetière słusznie wyraża, „maltretował biedny język francuski.“

— Czuję wstręt nieprzezwyciężony — pisał innym razem Flaubert do Jerzego Sand'a — do rzucania na papier czegośkolwiek, co pochodzi z serca. Zdaniem mojem, nie ma powieściopisarz prawa do wygłaszania sądów osobistych, do czegokolwiekby się one odniosły. Alboż to Pan Bóg wypowiedział kiedykolwiek zdanie swoje?

A kiedy go Sand nie zrozumiał, bo autor podmiotowy nie mógł wnikać od razu w myśl twórcy przedmiotowego, wyrażającego się nadto w rzeczach teoretycznych zwykle niezręcznie wówczas dodał Flaubert:

— Wierzę, że prawdziwa sztuka powinna być naukowa i nieosobista (*scientifique et impersonnel*).

I to drugi rys charakterystyczny Flauberta.

Autor „Pani Bowary“, rozkochany w poprawności i dźwięczności języka, był zwolennikiem „sztuki dla sztuki“, popierał absolutny obiektywizm przeciw subiektywizmowi. Autor powinien stać po za swoim dziełem, jako obcy widz, przypatrujący się obojętnie ludziom i wypadkom, które zestawia, zaokrąglając tylko całość artystycznie. Autor nie tworzy, lecz odtwarza, nie wciela w postaci powieści czy dramatu własnych poglądów, przekonań, ideałów, lecz fotografuje tylko to, co widzi. Wyobraźnia, intuicyja nie są mu zupełnie potrzebne.

Ani jednej, ani drugiej formułki nie odkrył dopiero Flaubert, formie bowiem wyznaczył w poezji miejsce naczelne przed nim Teofil Gautier, a „literatów - artystów“ znają wszystkie epoki piśmiennictwa świata cywilizowanego. Teorya „sztuki dla sztuki“

ki“ jest tak stara, jak belletrystyka wogóle; szła ona równoległe obok teorii drugiej, obok „sztuki dla ludzi“.

Ale teorie, w treści, w istocie swej zawsze te same, zmieniają się w wykonaniu technicznym, co odgranicza właśnie jedną epokę literacką od drugiej. Inaczej wygląda „sztuka dla sztuki“ romantyków np., a inaczej „sztuka dla sztuki“ realistów. Kiedy „artyści“ romantyków nie wykluczali wyobraźni, intuicji, natchnienia, twórczości wogóle, realisci poddali się bez oporu metodzie wiedzy pozytywnej. Sztuka powinna być „naukową“ — twierdził Flaubert — co znaczy, że ma się posługiwać jedynie obserwacją. Tylko to, co autor widzi, słyszy, czego się może dotknąć, tylko to jest materiałem artystycznym.

A Flaubert widzi i słyszy, tak samo jak uczeni pozytywiści, jedynie zewnętrzne przejawy człowieka. Do głębi charakteru, do istotnej jego psychologii nie zstępuje nigdy, zadowolając się zmysłową stroną odtwarzanego typu. Jego „Pani Bowary“, niezawodnie arcydzieło w swoim rodzaju, jest od początku do końca samicą. Nie ma w niej ani śladu kobiety w rozumieniu szlachetniejszym. Dla takiej „Pani Bowary“ wystarcza metoda pozytywna najzupełniej, z chwilą jednak, gdy artysta wybierze przedmiot inny, więcej złożony, niemożliwy bez wyobraźni i intuicji, wówczas wypowiada recepta realistów: posłuszeństwo, jak zawiodła ich mistrzów uczonych w etyce, w psychologii, w krytyce i t. d. Flaubert został też rzeczywiście do śmierci tylko autorem „Pani Bowary“, chociaż wydał jeszcze kilka powieści i wiązanek nowel. Żadne z dzieł późniejszych nie znosi porównania z pierwszakiem jego talentu.

Na rachunku „naukowości“ Flauberta należy także postawić przedładowanie treści zbyt wielką ilością szczegółów, opisów, malowideł niepotrzebnych, zachodzących już u niego.

Co Flaubert jako teoretyk zaledwo zaznaczył, to rozwinął i uzasadnił Emil Zola, właściwy doktryner szkoły.

Nie odrazu wiedział Zola, dokąd zmierza, chociaż robił od samego początku swojej kariery literackiej tyle wrzawy, jak gdyby odkrył kwadraturę koła lub *perpetuum mobile*. W pierwszym tomie „Dzieł krytycznych“ (Oeuvres critiques) p. t. „Moje nienawiści“ (Mes haines, causeries littéraires et artistiques) pomieścił kilka zdań, do których się chyba później nie przyznawał.

Oceniając pośmiertne dzieło Prudhon'a p. t. „Du principe

de l'art et de sa destination sociale" oświadczył między innymi: My, artyści, ubiegamy się o doskonałość; z własnych snów splatamy ideały, troszcząc się bardzo mało o ziemię. Żyjemy w pełnym niebie, z którego nie zstępujemy. Oto powód, dlaczego wszyscy nieszczęśliwi rzucają się w nasze objęcia, pomijając moralistów.

Zdanie to podpisałby każdy idealista.

Mówiąc o „Germinie Lacerteux“ Juliusza i Edmunda de Goncourt, wyraził się Zola: Literatura współczesna jest wytworem nerwowości naszych czasów. Postęp, przemysł, wiedza odebrały nam siły. Żyjemy w gorączce, przeto badamy z upodobaniem wrzody i rany, schodząc niżej, co raz niżej. Wszystko skarży się, cierpi w dziełach chwili obecnej.

I temu wyrokowi na naturalizm przyklasnałby jego najzaciętszy przeciwnik.

Do owej choroby wieku wracał Zola w pierwszym tomie „Dzieł krytycznych“ po kilka razy, powtarzając ciągle te same zwroty: „*nous sommes malades d'industrie et de science; malades de progrès; nous vivons dans la fièvre* i t. d. *La sensibilité maladive*“ przypominał co kilkanaście stronic.

Ale już w drugim tomie „Dzieł krytycz.“, w „Romansie doświadczalnym“ (Le roman expérimental), występuje pełny naturalista, świadomy celów i środków kierunku. W książce tej, składającej się z siedmiu oddzielnych studyów: (1. „Le roman expérimental“; 2. „Lettre à la jeunesse“; 3. „Le naturalisme au théâtre“; 4. „L'argent dans la littérature“; 5. „Du roman“ 6. „De la critique“; 7. „La république et la littérature“) złożył Zola wszystko, co myślał o literaturze, sztuce, nauce, krytyce, filozofii, o polityce nawet. Złożył nieporządnie, bez ładu, bez ciągłości w dowodzeniu, ale dość wyraźnie do odbudowania programu naturalizmu artystycznego.

Oto jest, zdaniem Zoli, kołyską nowszych prądów literackich wiek XVIII, który obmyślił właściwą metodę naukową. Aż do materyalistów ubiegłego stulecia uczeni nie różnili się od poetów. Jak ludzie fantazyi, wpadali i oni przypadkiem na pewne prawdy, nie docierając do nich na drodze ścisłej obserwacji i wnioskowania. Stąd w wiedzy dawniejszej owa szczególna mieszanina znakomitych zdobyczy i naiwnych złudzeń.

Inaczej pracowali pisarze XVIII wieku. Wyszędłszy z faktu stwierdzonego, wysnuwali spostrzeżenie ze spostrzeżenia, nie

bawiąc się w uogólnianie przed zupełnem wyczerpaniem przedmiotu. Na miejscu syntezy postawili analizę, intuicyę zastąpili długiem, cierpliwem badaniem, posuwając się wolno od pojęć prostych do złożonych. W ten sposób pozyskała nauka wyborne narzędzie — metodę.

Odkrycie to przysłużyło się wiedzy więcej — twierdzi Zola — niż wszystkie objawienia intuicyi. Dzięki dokładności obserwacyi, wzmogły się nagle nauki, rozszerzając się i pogłębiając z każdym prawie dniem. Anatomia i chemia otworzyły nowe światy, kosmografia zaś i geologia „zadały baśniom religii ciosy straszliwe“.

Nowy ruch nie ograniczył się na samych umiejętnościach ścisłych. W historyi i krytyce usunęło badanie faktów i otoczenia przestarzałe reguły scholastyczne, w literaturze pięknej wróciła, za przyczyną Jana Jakóba Rousseau, natura do swoich praw. Człowiek przestał być abstrakcją...

Reforma, rozpoczęta przez „olbrzymów“ ubiegłego stulecia, zatrzymała się na lat kilkadziesiąt. Wybryki motłochu, gospodarującego podczas wielkiej rewolucyi, zniechęciły umysły lotniejsze do postępu. Po gwałtownym wybuchu nastąpiła chwila rozpamiętywania i melancholii. Pisarze odepchnięci dzikością tłumów, stracili wiarę w świętość haseł nowoczesnych. Zrażeni do życia, do jego krwawych przejawów, ukryli się w barwnych krainach wyobraźni. Ale wstecznicy byli sami, chociaż o tem nie wiedzieli, po części rewolucjonistami. Wszakżeż oni to, romantycy, wnieśli do poezyi jaskrawy koloryt i namiętność; oni, nie kto inny, zburzyli do reszty walący się gmach reguł klasycznych, usunęli gruzy estetyczne wieków ubiegłych.

Z chwilą, gdy ludzie ochłonęli po wojnach rewolucyi i pierwszego cesarstwa, gdy dorosło nowe pokolenie, które nie patrzyło już własnymi oczami na grozę anarchii i jej skutków, ideał XVIII wieku — naturalizm — wrócił do rządów na wszystkich polach.

W literaturze pięknej podnieśli sztandar: Stendhal i Balzac. Obadwaj wprowadzili do powieści metodę naukową. Nie, wyobrażali sobie nic, lecz badali. Upatrzywszy sobie człowieka, typ, kładli go, jak lekarz na stole anatomicznym, i krajali, analizując ciało i mózg. Balzac'a zajmowały tylko: temperamenty, okoliczności, otoczenie, słowem, „dokumenty ludzkie“. Bardzo

Bardzo słusznie nazwał się autor „Ojca Goriot“ *docteur ès sciences sociales*, był bowiem więcej uczonym niż artystą.

Uczonym więc powinien być artysta, podług Zoli, który powtarza z upodobaniem: *nous autres naturalistes, hommes de science...* Wrócić powinien do natury, do bezpośredniej obserwacji i analizy. Rzeczą jego nie stwarzać sytuacji i charakterów, lecz odtwarzać rzeczywistość w tej formie, w jakiej się ona zmysłom ludzkim przedstawia. Nie ma w sztuce, tak samo jak w nauce, miejsca dla wyobraźni i intuycji, bo jednej one matki dzieci. Rodzi je obiedwie namiętność prawdy. *Il ne faut admettre rien d'occulte; il n'y a que des phénomènes et des conditions des phénomènes* — powtarzał Zola za Klaudyuszem Bernardem.

Jak uczony, powinien i artysta wyrzec się raz na zawsze fantazyi i intuycji, i pracować systematycznie i metodycznie, co znaczy: upatrzeć sobie jaki temat, pozbierać starannie odpowiednie obserwacje, zapisywać szczegóły, a załatwiwszy się z materiałem, poddać go analizie i eksperymentowi. Prawo dziełczości i środowiska (*milieu*) społecznego ułatwią mu robotę. Robotę, z naturalizmem bowiem kończy się dawna twórczość artystów, a zaczyna się praca uczonych.

Po tem, co Zola mówi sam o naturalizmie artystycznym, nie można się omylić co do jego istoty. Jest on poprostu zastosowaniem filozofii pozytywnej do sztuki. Nietylko wyznaje te same zasady, ale posługuje się nawet dosłownie jej frazeologią.

Prawdopodobnie nie znał Zola w chwili, kiedy dźwigał gmach naturalizmu, ani Comte'a, ani Littré'go, ani ewolucjonistów angielskich, bo potrafił mimochodem, po dyletancku o jednego zaledwo Darwina, ale czerpał swoją mądrość teoretyczną z Klaudyusza Bernarda, z jego słynnej „przedmowy“ (*Introduction à l'étude de la médecine expérimentale*), znakomity zaś fizyolog francuski należy do tych, co doprowadzili pozytywizm „*ad absurdum*“. Do niego przecież należy ów znany powszechnie paradoks: Te same prawa rządzą kamieniem przydrożnym i mózgiem człowieka...

Streszczając pokrótce, co się w dwóch pierwszych rozdziałach niniejszego studium powiedziało, ostaną się następujące wypadkowe:

Tak pozytywizm filozoficzny, krytycyzm estetyczny i naturalizm Francuzów, jak ewolucjonizm Anglików, materjalizm Niemców i antropologia kryminalna Włochów, pochodzą z jednego i tego samego źródła. Wszystkie te kierunki, różniące się tu i owdzie w szczegółach, schodzą się we wspólnej negacji teologii i metafizyki i w ubóstwianiu wiedzy, której podporządkowują filozofię. Wszystkie nie uznają: Boga, duszy, wolnej woli, wrodzonych idei, wyobraźni, intuicji, a uznają: rozum, obserwację, analizę i eksperyment. Wszystkie przyswoiły sobie metodę nauk przyrodniczych, którą zastosowują do umiejętności humanistycznych. Wszystkie w końcu powtarzają dosłownie te same formułki: dziedziczność, środowisko, chwila dziejowa, prawa ewolucji, postrzeganie zmysłowe, egoizm, altruizm i t. d.

Co Comte i Littré zrobili z filozofią, to uczynił Darwin z zoologią i botaniką, Spencer z etyką i socyologią, Taine z krytyką literacką, Ferri i Lombroso z prawem karnem, Flaubert i Zola z literaturą piękną. Usiłowali oni za pomocą środków zewnętrznych odtworzyć dzieje wszechświata i pełnego człowieka. Stąd w epoce ostatniej z jednej strony tak wielkie znaczenie nauk ścisłych, skazanych z natury swojej głównie na obserwację i doświadczenie, z drugiej zaś takie lekceważenie filozofii, sztuki i nauk humanistycznych.

Wyjąwszy materjalistów, którzy przecząc wprost, bez żadnych omówień, mieli prawo do wszelkich dowolnych hipotez, popełnili wszyscy wybitniejsi uczeni i artyści pozytywni jeden i ten sam błąd: oto przekroczyli oni granice wykreślonego przez samą doktrynę planu.

Pozytywiście i ewolucyoniście nie wolno wychodzić z koła obserwacji i doświadczenia. Rzeczą ich opowiedzieć, co dostrzegli i sprawdzili za pomocą zmysłów. Królestwem ich jest świat zjawisk połączonych z sobą niezmiennymi prawami natury. Tylko metafizycy bujają w obłokach domysłów, unoszeni na skrzydłach intuicji.

Gdyby się pozytywiści i ewolucyoniści byli trzymali własnego programu, nie byłiby wtargnęli do dziedziny nauk moralnych, społecznych i do państw sztuki. Zamknąwszy się w ramach nauk ścisłych, jakby stworzonych dla ich metody, byłiby

zasłużyli na wdzięczną jedynie pamięć ludzkości, przyczynili się bowiem rzeczywiście do rozkwitu wiedzy.

Ale żaden z nich nie wytrzymał długo na stanowisku obojętnego obserwatora, skrzętnego zbieracza i fachowo wykształconego klasyfikatora zebranych postrzeżeń, co zresztą naturalne, bo któryż umysł zdolniejszy zadowoli się biernem badaniem tego, co się naokoło niego dzieje... prawdziwą czy sztuczną apatyą wobec przyczyn wszechrzeczy? Kiedy Comte budował formułkę pozytywną, nie zastanowił się dobrze nad istotą natury ludzkiej. Trzeba być zwierzęciem, aby nie pomyśleć też czasem, co spowodowało wszechświat, skąd ta cudowna maszyna idzie i dokąd zmierza?

Pierwszy Comte sprzeniewierzył się swojej doktrynie, bo stał się przy końcu życia dogmatykiem, rodzajem apostoła jakiejś nowej wiary. I Littré, przezorniejszy od mistrza, wygłaszał sądy stanowcze o rzeczach, które nie podlegają obserwacji i doświadczeniu. Darwin, gdy z kilku przykładów, których ciągłości nie mógł przeprowadzić, bo nietylko obserwacya, ale nawet eksperyment nie sięgają do początku organizmu jednokomórkowego—wyrokował o pochodzeniu gatunków wogóle, opuścił pewny grunt nauki doświadczalnej. Tego samego grzechu dopuścił się: Spencer, Taine, Lombroso, Flaubert, Zola, wszyscy, słowem pozytywiści i ewolucyoniści, wszyscy bowiem nie stosowali się ściśle do przepisów, uznanych przez nich za jedynie rozumne.

Znaleźli się przecież nawet pozytywiści, którzy pozazdrościli prorokom daru jasnowidzenia. Słynny chemik francuski, Berthelot, dotarłszy do istoty jakichś tłuszczów, tak się sobą sam zachwycił, że zawołał, jak żaczek szkolny: Nie ma już tajemnic na świecie¹⁾. Ale i Zola zapewniał w swoim „Le roman expérimental“ niejednokrotnie, że czego wiedza dotąd nie odkryła, to wydobędzie kiedyś z pewnością na światło dzienne.

Wzgardzona metafizyka zemściła się na mędrcach, którym się zdawało, że wystarczy: patrzeć, opukiwać, obwąchiwać i zapisywać rezultaty tych oględzin zewnętrznych, aby wnikać w samą istotę rzeczy. Ilekroć sobie pozytywiści i ewolucyoniści nie umieli poradzić, ilekroć stanęli wobec zjawisk, niedostęp-

1) W przedmowie do „Origines de l'alchimie“, Paryż 1885 r.

nych dla obserwacyi i doświadczenia, tylekroć uciekali się do niej, do owej sponiewieranej marzycielki.

Dziś należy pozytywizm, jako system filozoficzny do nieboszczyków. Została po nim tylko metoda naukowa, niewątpliwie pożyteczna w zastosowaniu do nauk ścisłych.

I ewolucjonizm przestał być prawdą z chwilą, gdy prof. Pasteur, dowiódłszy jednostronności darwinizmu, zburzył główną podwalinę jego dumnego gmachu.

III.

Skutki pozytywizmu w nauce.—Pozorna prostota doktryny pozytywnej. — Zbyt wielka obfitość szczegółów.—Skutki w literaturze pięknej.—Naturalizm francuski.—Jego materializm.—Jego pesymizm.—Wrzekomy obiektywizm. — Zewnętrzność jego obserwacji.—Fizjologia zamiast psychologii. — Naturalizm polski. — Gabriela Zapolska.—Naturalizm niemiecki.—Karol Bleibtreu.—Naturalizm włoski i skandynawski.—Naturalizm w teatrze francuskim.—Henryk Ibsen.—Likwidacja naturalizmu.

Metoda pozytywna i ewolucjonistyczna zawdzięcza znaczną część powodzenia pozornej prostocie swojej. Operuje ona rzeczywiście kilku zaledwie formułkami, które zapowiadały uproszczenie wiedzy i sztuki ludzkiej. Obojętność wobec pierwszych i ostatnich przyczyn świata, badanie tego, co ogarnia rozum przy pomocy: obserwacji i doświadczenia, wyzyskanie praw: dziedziczności, środowiska i chwili dziejowej — oto mniej więcej cały aparat naukowy filozofów, uczonych i artystów drugiej połowy bieżącego stulecia. Głównie wykluczenie z poszukiwań źródła wszechrzeczy ułatwiło wiedzy trudne dawniej zadanie.

Tak się zdawało...

Kreśląc plan powyższy, nie obliczali się pozytywiści i ewolucyoniści z rozciągniętością obserwacji i z ciekawością umysłu ludzkiego. Gdy kilkuset uczonych różnych stopni i rodzajów zaczęło znosić do wspólnego zbiornika szczegóły i szczegółiki coraz to drobniejsze, blahsze, urosła niebawem taka olbrzymia góra „obserwacyj“, że jej już żadna głowa pomieścić nie mogła. Każdy chciał coś na własną rękę „zaobserwować“, więc chwycił, co spotkał na drodze, nie troszcząc się o to, czy złowił fakt typowy, czy też tylko wyjątkowy, patologiczny.

Już dzieła mistrzów tonęły w morzu obserwacyj, z których połowa mogłaby odpaść bez szkody dla całości. Spencer przykrył zupełnie w „Zasadach etyki“ zarys swojej moralności materiałem dowodowym. Lombroso zappełnił „Człowieka-Zbrodniarza“ od góry do dołu sieczką statystyczną. Nikt przed nim nie zestawił obok siebie tyłu cyfr i dat. Samej antropologii kryminalnej widać zaledwo koniec nosa z poza muru „faktów“.

W czem mistrzowie zblądzili, w tem przesadzali oczywiście jeszcze uczniowie, jak zwykle bywa. Wiedza posiada obecnie takie bogactwo „obserwacyj“, że starczą one na długi przeciąg czasu dla całego legionu klasyfikatorów. A każde z tych postrzeżeń chce być prawdziwe, zaczerpnięte z rzeczywistości, więc niezbędne dla danej nauki; każde domaga się, aby je koniecznie uwzględniono.

Nadszedł obecnie czas dla uczonego z głową krytyczną, któryby poddał zebrany materiał surowemu śledztwu i wyrzucił z niego plewy i śmiecie, pozostawiając tylko istotne fakty typowe, nadające się do uogólnień. Dopiero wtedy stanie się możliwą filozofia pozytywna, „koordynacya wiedzy“, o jakiej Comte marzył.

Jak dotąd zalewa nas potop obserwacyi. Zalewa nam uszy, oczy, mózg, iż nic nie słyszymy, nie widzimy, nie rozróżniamy, oprócz szumu. Zewsząd szturmowali i szturmują na nas ćwierć, pół i pełni uczeni i wołają: Oto fakt! Trzymaj go mocno w garści, bez niego bowiem nie zrozumiesz danej nauki! A jutro, pojutrze, i t. d. powtarza się to samo.

Do zamętu obserwacyi należy dołączyć bezład w samych teoriach.

Pierwszym pozytywistom zdawało się, że głowa ludzka jest maszyną, którą można nakręcić jak zegarek. Gdy się wszyscy będą stosowali do tych samych przepisów, musi się wytwarzać wiedza jednolita — wnioskowali. Ale nie ma podobno na kuli ziemskiej dwóch zegarków, zgadzających się z sobą dokładnie, nie ma i dwóch głów, myślących jednostajnie bez żadnych odmian. Każda dodaje do nagromadzonych już skarbów duchowych coś nowego.

Wszyscy np. antropologowie kryminalni wychodzą z tych samych zasad, a mimo to doszli jedni do okrucieństwa względem zbrodniarzy, inni znów żądają dla wyrzutków społecznych pobłażliwości, miłosierdzia.

Którzy mają słuszność?...

Wszyscy moralisci pozytywni oparli się na egoizmie, ale mniej skrajni starali się pogodzić „przesady“ zgasłych pokoleń z „niezawisłością“, podczas kiedy śmielsi odrzucili bez ogródki maskę sztucznego altruizmu.

Po czyjej stronie racya?

Darwin mniemał, że teoria ewolucyi nie wyklucza Boga; Renan majaczył o jakimś Panu wszechświata, bujającym w nieskończoności; Comte, Littré i in. milczeli znacząco, gdy zbliżali się do tajemnicy tajemnic; Spencer bąkał niewyraźnie o „niepoznawalnej“, Klaudyusz Bernard gniewał się na nieprzyjemne „*le pourquoi des choses*“; materyaliści niemieccy przeczą wprost.

Któryż z tych mędrców powiedział prawdę?

Dodawszy do pozytywistów i ewolucjonistów jeszcze spirytualistów francuskich (Ravaisson, Franck, Janet, Caro, Jules Simon i in.) i pesymistów niemieckich (Schopenhauer, Hartmann), posiadamy obecnie dwadzieścia kilka różnych moralności.

Kogóż należy słuchać, aby być — wyrażając się po staroświecku — człowiekiem dobrym i uczciwym, albo, posługując się modnym żargonem — dostosować się do potrzeb rozwoju?

Ernest Renan, znów w chwili jasnowiedzenia, zawołał: ¹⁾

— Mówicie o źródle cnoty? Ależ panowie, nikt z nas o niem nic nie wie, albo raczej wiemy wszyscy tylko to, że każdy z nas odnajduje je we własnym sercu. Pomiedzy dwudziestoma teoryami o obowiązku, nie wytrzymuje ani jedna krytyki. Istota cnoty polega na tem, że człowiek cnotliwy nie zdaje sobie sprawy, dlaczego dobrze postępuje. Bohater, zastanowiwszy się po dokonanych czynie, przyszedłby bezwątpienia do przekonania, że działał jak nierozważny głupiec. A właśnie dlatego, że w danej chwili nie medytował, jest bohaterem. Uległ wyższemu rozkazowi, nieomyślnej wyroczni, słowem, głosowi, który nakazuje, nie tłumacząc się przed nikim z tego co postanawia.

Stary cynik, zapomniawszy na chwilę o gustach przeciętnej inteligencji swojego czasu, odezwał się rozumnie.

Zamiast jednego kodeksu moralnego, wrytego w sercu człowieka od pierwszej chwili jego istnienia, a rozwiniętego przez wysiłki i tęsknoty całej ludzkości cywilizowanej, obmyślili ucze-

¹⁾ W mowie wygłoszonej w Akademii francuskiej dnia 4-go sierpnia 1881 r.

ni naszych czasów aż dwadzieścia etyk, z których żadna nie przekonywa.

I oto wykwitło z metody pozytywnej coś wręcz przeciwnego, jak się jej twórcy spodziewali. Formułka wistocie prosta wydała chaos obserwacji, pojęć, wskazówek i poglądów. Bezład zapanował, gdzie miał rządzić jeden pasterz... rozum chłodny a jasny.

Wyraźniej, plastyczniej odbił się ten chaos w literaturze pięknej.

Wyrażenia: *la science, méthode scientifique, le sens du réel, la vérité, nous autres naturalistes, hommes de science* i t. d. powtarzają się w głównem dziele teoretycznem Zoli, w „Romansie eksperymentalnym“, kilkaset razy. Mają one oznaczać: wszystko, co sztuka przed nami, naturalistami, wydała, nie zasługuje na trwałszą pamięć, bo dawniejsi autorowie nie liczyli się z prawdą życia.

Czy tak? Więc tragiccy i komedyopisarze greccy i rzymscy nie odtwarzali rzeczywistości? Postacie Sofoklesa, Arystofanesa i Terencyusza nie chodziły po ziemi? Więc Szekspir, gdy mówi: Każ się przejrzeć w zwierciadło naturze, cnocie, nیکzemności i epoce swojej — nie był realistą? Jest że wogóle jaki pisarz-artysta, z wyjątkiem niewielu fantastów, coby nie chciał, nie pragnął gorącą, aby dzieło jego żyło? Są, którzy tę sztukę potrafią i którzy jej nie potrafią, co zależy jedynie od stopnia talentu, ale rozmyślnych fałszerzów prawdy życiowej było nie wielu. Nawet najromantyczniejszym z romantyków zdawało się, że kreacye ich wyobraźni istnieją lub mogą istnieć.

Nasi poprzednicy idealizowali człowieka — odpowiedzią w tem miejscu naturalisci.

Czy tak? Arystofanes otaczał filozofów, hetery greckie i demagogów aureolą świętości, Szekspir wybielił i uróżował lady Makbet i króla Ryszarda, Szyller przyozdobił Franciszka Moora zaletami serca i duszy?...

Sztuka dobra była zawsze realistyczną i wiedziała po wszystkie czasy, że nیکzemność odgrywa na ziemi znaczną rolę. Przeto nie w jego domniemanej prawdziwości należy szukać duszy naturalizmu francuskiego.

Czemże jest „Pani Bowary“ Flauberta, pierwowzór kobiet naturalistycznych? Żonąż ona, matką, siostrą, choćby kochanką w rozumieniu szlachetniejszym? Kiedy oprzytomniała po upo-

jeniu zakazanej miłości, wówczas zawołała z radością: Mam kochanka, mam kochanka!

Niewierne małżonki nie są jedynie wytworem fantazyi artystycznej, o czem wiedzą wszyscy, którzy przypatrywali się trochę dłużej życiu, ale najgorsza niewiasta zastanowi się chyba po dokonaniu pierwszej zdrady nad znaczeniem tego, co uczyniła. Człowiek nie godzi się odrazu z grzechem.

Pani Bowary nie czuje się ani przez chwilę winną wiarołomstwa. Sumienie nie mówi jej nic, serce jej nie drży na widok domu i męża. Weseli się ona tylko, że „posiadła nareszcie kochanka.“

Ta sama obojętność wobec występku cechuje także typy niewieście Gwida de Maupassant'a. Jego kochanki filozofują nawet na temat znieczulenia moralnego. Pani de Guilleroy (w „Fort comme la mort“), upadłszy, rozkoszuje się „nieprawdopodobną szczęśliwością“, co ją samą zadziwia. „To szczególne—mówi do siebie—nie doznaję prawie żadnego zmartwienia. Wiem, że popełniłam zbrodnię, a przecież nie rozpaczam. Gdyby mi to był ktoś wczoraj przepowiedział, nie byłabym uwierzyła. Zdawało mi się, że po spełnionym czynie zburzą zgryzoty sumienia mój spokój; tymczasem nic z tego.“

Inna dama Maupussant'a, pani Roland (w „Pierre et Jean“) nie czuje do tego stopnia nieuczciwości pokątnego romansu, że tłumaczy się przed własnym synem: „Upadłam—przyznaję się—ale dlatego, bo mi występki dał szczęście“.

„Germinie Lacerteux“ braci de Goncourt nie różni się brakiem wrażliwości od typów Flaubert'a i Maupassant'a.

A postacie Zoli?

Istnieje we Francyi znana rodzina zbrodniarzy, nazwiskiem Kerangal, która zatrudnia od lat kilkudziesięciu sądy i psychiatrów drugiego cesarstwa i trzeciej rzeczypospolitej. Z tego nieszczęśliwego gniazda wyszło dotąd siedmiu morderców i dziesięciu występnych różnego rodzaju płci obojga, pominawszy innych, o których się sprawiedliwość doczesna nie dowiedziała.

Zdaje się, że Zola wziął sobie Kerangalów za wzór, gdy postanowił w szeregu powieści odtworzyć „historję naturalną i społeczną jednej rodziny z czasów drugiego cesarstwa“. Wszystko, co człowiek-zwierzę wymyślił, aby własne zadowolić chucie, wszystkie podłości i szalbierstwa, od wyuzdania zmysłowe-

go Nany (Nana) począwszy, aż do straszliwego obłędu Lantier'a (La bête humaine) wszystkie, słowem, przewrotności, brudy i choroby ciała pomieścił „Mistrz z Medanu“ w dziejach „Rougon-Macquardtów“.

Byłby niezawodnie jednostronnym, ktoby żądał od beletrysty samych tylko obrazów świetlanych, malowanych barwami bezkrytycznego optymizmu. Pynieważ egoizm i występki istnieją, przeto niewolno ich obserwatorowi pominąć. Tak Emma Bowary Flaubert'a, jak panie: de Guilleroy, Roland i in. Maupassant'a, Germinia Lacerteux Goncourt'ów, Nany i całe niechlujne towarzystwo Zoli plugawią rzeczywiście ród ludzki, czego dowodem: domy publiczne i karne, zdrowia i obłąkanych, ale oprócz wyrzutków lub chorych, pracują, kochają, dążą do czegoś, cierpią, zawodzą się, ludzie uczciwi, szlachetni, bohaterscy nawet. A tej drugiej strony człowieka nie znał, raczej znać nie chciał, naturalizm francuski. Wszystkie kobiety są u niego tylko samicami, ulegającymi bez oporu, bez śladu obrony zachciankom zmysłów; żadna z jego postaci wogóle bez różnicy płci, wieku, pochodzenia, zajęcia, nie usiłuje nawet podjąć walki z podszeptami instynktów zwierzęcych. A jeżeli znajduje się między niemi jaka natura czysta, jak Zoli Deniza (Au bonheur des dames), albo Paulina (La Joie de vivre), to nie grzeszy ona jedynie dla tego, bo „nie może“. Nie pozwala jej na brud „pięknego zdrowia fizyczne“, co autor wyraźnie zaznacza.

Nie może, nie pozwala?! Słowa te odsłaniają tajemnicę naturalizmu. Nie może, gdyż według zasad pozytywizmu i ewolucjonizmu, człowiek nie nie może... jest niewolnikiem odziedziczonych pociągów, bezwładną maszyną, pozbawioną zupełnie wolnej woli.

Oto dusza naturalizmu artystycznego! Jest on pozytywistą, materyalistą i jako taki nie uznaje nietylko niezawisłości człowieka, ale także jego cnoty. Wierząc jak moralisci niezależni, że z egoizmu płynie wszelkie postępowanie ludzkie i jak przyrodnicy, że nie ma żadnej różnicy między „kamieniem przydrożnym“ a „mózgiem“, widzi on wszędzie jedynie „człowieka-zwierzę“, pomijając rozmyślnie „człowieka-duszę“ i „człowieka-serce“. Stąd jego zamiłowanie w brudzie i podłości.

Co miało doprowadzić sztukę do źródła prawdy, zawiodło ją na manowce, stokroć gorsze od fantastycznych widziadeł romantyków. Bo fałszuje rzeczywistość, kto postrzega w czło-

wieku tylko jego słabości i wykoszlawienia, kto szuka typów w szpitalach, więzieniach, w szynkach i domach publicznych, na śmietniku i w rynsztoku. Naturalizm jest kłamstwem psychologicznem i zarazem występkiem, gdyż oczernia ludzkość wogóle, a Francję po szczególe. Gdyby potomkowie Gallów tak wyglądali, jak w nas belletrysty wmawiają, powinnaby Europa obwołać przeciw nim krucyatę, aby zburzyć raz na zawsze gniazdo zepsucia, zanieczyszczające atmosferę świata cywilizowanego. Ale tak nie jest, o czem wiedzą z osobistego doświadczenia wszyscy, którzy mieszkali nad Sekwaną. Zohydzone przez Flauberta, Zolę i in. „zwierzę“ umie i w Paryżu czuć głęboko, poświęcać się, zapalać do „przesądów“ przeszłości, myśleć szlachetnie i kochać sercem.

Nie tak wierzą naturaliści, gdyż z materyalizmu ich wyłączył się pesymizm, dokładający jeszcze barw czarnych tam, gdzie ich już sama rzeczywistość nie poskapiła. Naturaliści nie tylko nie uznają jasnych stron natury ludzkiej, nie chcą ich dostrzedz, ale potęgują nadmiar rozmyślnie bydlęcość „zwierzęcia“. Z rozkoszą grzebią się w błocie, z świadomością podkreślają każdą podłość lub chorobę. Między nimi a dziełami ich nie ma owej nici sympatycznej, łączącej zwykle autora z jego utworami. Naturalista nie uśmiecha się nigdy serdecznie, lecz szydzi, urąga, drwi okrutnie. Bez miłosierdzia zrywa on zasłonę z nagości dzieci adamowych, nie znajdując dla nich ani słowa pociechy. Naturalista pogardza kreacjami swojemi, czuje do nich nienawiść. Odnosi się to nie tylko do Zoli i jego uczniów. Jak Flaubert nie ukrywał się mimo swojej przedmiotowości ze wstrętem artysty do filistra, do gatunku, który nazywał *bourgeois*, tak samo obchodzą Goncourt'ów i Maupassanta bardzo mało nieszczęśliwi ich powieści. Nie znaleźli oni ani jednej łzy dla rędy ludzkiej.

Ten tendencyjny pesymizm naturalizmu zadaje kłam i jego drugiej zasadniczej formułce, mianowicie absolutnemu obiektywizmowi. Jak nie jest prawdziwym, kto okazy patologiczne wynosi do godności uogólnień, typów, tak i przedmiotowym być nie może, kto pełnego nie odtwarza życia.

Sztuczność obiektywizmu artystycznego, ukryta zřęcznie w dziełach Flauberta i Maupassanta, wystąpiła jawnie u Zoli i jego bezpośrednich uczniów. Sam już pomysł „Rougon - Maquart'ów“ nie ma nic wspólnego z istotą przedmiotowości. Bo

czemże innym jest owa „historja naturalna i społeczna jednej rodziny“, jeżeli nie rozmyślnem dociąganiem faktów do teoryi o atawizmie? Wszystko, co się w powieściach „mistrza z Medanu“ dzieje, dzieje się w celu wykazania niezwalczonej niczem siły dziedziczności. Jest to więc tendencyjność w najczystszej formie, podmiotowość równie wadliwa, jak optymizm w malowidłach bezwzględnych idealistów.

Przedmiotowość w rozumieniu pozytywistów należy poza naukami ścisłemi, do złudzeń ostatniej epoki. Byłaby ona w umiejętnościach humanistycznych i w sztuce tylko wtedy możliwa, gdyby człowiek przestał być człowiekiem, istotą myślącą, czującą, a stał się automatem bez mózgu i nerwów.

Paweł Bourget, szukając rysów znamiennych w obliczu autorskiem Gustawa Flaubert'a, mówi bardzo dobrze: Każdy z nas widzi nie świat wogóle, lecz swój własny, nie rzeczywistość naga, ale tę, którą mu jego temperament dostrzedz pozwala. Odtwarzamy zawsze nasze osobiste marzenie o życiu ludzkim i dlatego można powiedzieć, że każde dzieło wyobraźni jest rodzajem autobiografii, jeżeli nie pod względem zewnętrznym, to przynajmniej wewnątrznie¹⁾.

Światem naturalistów był świat pozytywistów i materialistów, świat egoista, świat zwierzę, przeczący czynami istnieniu Boga, duszy i wolnej woli. Przez pryzmat pewnych doktryn patrzeli nowocześni realiści na życie i człowieka i dlatego nie dziwnego, że zauważyli tylko to, co kąt ich teoryi obejmował.

Że absolutna przedmiotowość nie wytrzymuje krytyki, wiedział zresztą i sam Zola, gdy (w „Mes haines“ i „Roman experimental“) powtarzał bezustannie: żądam, aby sztuka była wytworem indywidualności²⁾. Ta indywidualność, to właśnie subiektywizm.

Co się w dziełach artystycznych nazywa przedmiotowością i podmiotowością, jest poprostu tylko skutkiem talentu i wyrobienia technicznego. Autor więcej uzdolniony i doświadczony będzie prawdziwszym od mniej utalentowanego i rutynowanego, prawdziwość zaś równa się t. zw. przedmiotowości. Cała wartość twórcy, historyka, krytyka literackiego i filozofa polega

1) Paweł Bourget: „Essais de psychologie contemporaine“, str. 115

2) J'exige que l'art soit le produit de l'individu, la personnalité de l'écrivain i t. d.

często na indywidualności, czyli oryginalności. Przedmiotowym albo bezbarwnym bywa zwykle tylko ten, co niema ludziom nic do powiedzenia.

I trzecia zasadnicza formułka naturalizmu, jego „naukowa technika“, nie wydała takich owoców, jakich się po niej mistrzowie szkoły spodziewali.

Technika pozytywistów artystycznych była naturalną oprawą ich filozofii. Ponieważ materyalizm nie uznaje wolnej, od ciała niezależnej duszy i wszystkiego, co się z nią łączy, przeto musi lekceważyć psychologię, na której miejscu stawia fizyologię. To samo czynili, jak wiadomo, uczeni szkoły.

Autorowie dawniejsi, malując występek, kładli główny nacisk na walkę psychologiczną, odbywającą się w człowieku przed, podczas i po wykonaniu zbrodni. Zajmowała ich nie forma nikczemności, lecz jej istota, nie jej brzydota fizyczna, ale moralna. Rysami zewnętrznymi posługiwali się tylko o tyle, o ile one ilustrowały bój zbrodniarza z sumieniem.

Nie tak naturaliści. Oni nie potrzebowali sumienia, które jest tak samo „produktem przyczyn materyalnych, jak cukier i kwas siarczany“; ich nieobchodziła nie walka wewnętrzna, „bo człowiek robi jedynie to, co musi“. Na cóż więc psychologia?

Zamiast wnikać w charakter i szukać w jego tajnikach pobudek i objaśnień czynu, zadowalali się naturaliści zbieraniem i zestawianiem t. zw. dokumentów ludzkich, faktów pozytywnych. Wszystko, co człowieka otacza (mieszkanie, krajobraz, sprzęty, ubranie), w czem się na zewnątrz przejawia (ruchy, sposób wyrażania się), co się rzuca w oczy, jest łatwo pochwytnie (rysy dziedziczne, nałogi), gromadzili „uczeni artyści“ skwapliwie, o ile można najdokładniej. Szczegóły zewnętrzne — mniemali — odbudują same, bez pomocy intuicji i wyobraźni, pełnego człowieka.

I tu zbłądził naturalizm, człowiek bowiem zewnętrzny ludzi bardzo często, bywa nie zawsze prawdziwym. Pozory mylą...

Co miało być środkiem, stało się niebawem celem. Jak uogólnienia wiedzy pozytywnej znikły pod górą obserwacji, tak przygniotły niepotrzebne drobiazgi i w powieści naturalistycznej: bajkę, charakterystykę i kompozycję. „Fakt pozytywny“, „dokument“, zadusił ciężarem swoim w powieści powieść.

Naturalizm, który miał, według zapowiedzi Zoli, tryumfo-

wać na całym świecie cywilizowanym jako jedyna uprawniona forma twórczości artystycznej, nie przekroczył prawie granic Francji. U nas znalazł autor „Nany“ tylko jednego naśladowcę i to — rzecz szczególna — w spódnicy. „Małaszka“, „Kaśka-Karyatyda“ i inne utwory pani Gabryeli Zapolskiej, mogą stanąć śmiało do konkursu z „Naną“, *La bête humaine* i t. p. „dokumentami ludzkiemi“.

Ale i pani Zapolska nie utrzymała się długo na stanowisku naturalistki w ścisłym rozumieniu. Nie znalazłszy w naszym kraju spodziewanych oklasków, nie wytworzywszy szkoły, porzuciła rodzaj niewdzięczny.

Niemcy czekały bardzo długo na proroków naturalistycznych. Zdawało się, że im szczęśliwa wróżka oszczędzi tej plagi literackiej, gdy podniosła się nagle i nad Spreą i Elsterą wrzała, przypominająca pierwsze występy Zoli. Karol Bleibtreu napisał i puścił w świat broszurkę p. t. „Rewolucya w literaturze“ (*Revolution in der Litteratur*), w której wykazał, że nie ma oprócz niego i jego towarzyszków autorów utalentowanych. Gustaw Freytag, Fryderyk Spielhagen, Paweł Heyse i jak się tam owe upiory pogrzebanej przeszłości nazywają, skończyli już dawno dzieło swoje. Ani chwili obecnej i współczesnego pokolenia nie rozumieją, ani nowej estetyki nie znają. Przeto powinni ustąpić miejsca t. zw. „najmłodszym Niemcom“, których Bleibtreu do boju prowadzi.

W ojczyźnie Goethego i Szyllera zmieniło się rzeczywiście bardzo dużo po r. 1870. Niesłychane zwycięstwo, odniesione nad „wrogiem dziedzicznym“ (*Erbfeind*), podziałało jak bardzo mocny narkotyk na usposobienie „niemieckiego Michałka“ (*der deutsche Michel*). Upoiło go, odurzyło, postawiło na szczytach nieprzygotowanej systematycznie wielkości, zrobiło go dumnym i hardym. Berlin pozazdrościł Paryżowi stanowiska „Miasta-świata“. I on zapragnął być *Weltstadt*'em, stolicą świata. Stać go przecież na to. Za pięć miliardów francuskich można sobie pohulać i błysnąć cywilizacją.

Jeżeli wolno wierzyć autorom niemieckim, to „cywilizuje“ się Germania naprawdę. Nawet skromne dawniej, gospodarne niemki dobre matki, uczciwe żony, wierne bez końca narzeczone, zaczynają rzucać kądziel, przenosząc nieopatrnie wesele nad niewdzięczny trud ogniska domowego. Zbytek szerzy się podobno w Berlinie, a z chwilą kiedy ten najsroższy wróg szczęścia ludzkiego

odbył jedną bramą wjazd do „kraju bojaźni Bożej“, wyjeżdżają drugą stare cuoty rasy germańskiej. Co kilka dni donoszą gazety niemieckie o jakimś dyrektorze banku, prokurencie, kasyerze, przemysłowcu, kupcu i t. d., który roztrwoniwszy cudze dobro, albo odebrał sobie życie, albo uciekł do Ameryki, jeżeli go żandarm nie nawrócił z pospiesznego wojażu i nie postawił przed sędzią, przed towarzyszem wczorajszej biesiady. Nawet urzędnicy pruscy, przez kilka pokoleń nietykalni, mrący z głodu, wędnący przedwcześnie z wysiłków, opłacanych nędznie, ale mimo to nieskazitelni, biorą już łapóweczki, o życiu marząc i użyciu.

Jeżeli telegramy i wiadomości reporterskie, roznoszące hańbę niemiecką po całym świecie, nie kłamią, to zemściła się Francya straszliwie za Metz i Sedan. Jej miliardy zaniósły nad Szpreę zarodki zgnilizny moralnej.

I odwagi cywilnej, fantazyi nabrał dawniej tak pokorny, cierpliwy „Michałek“. Trzydziestu kilku socyalistów wybrano tego roku do parlamentu. Rzecz to wprost nie zrozumiała dla kogoś, co znał Niemcy z przed roku 1870.

Fermentuje więc istotnie w łonie Germanii, burzy się, kipi; przygotowuje się nowe społeczeństwo, nieuchwytne dla starych autorów. Inne zwyczaje i obyczaje domagają się innych obserwatorów i malarzów. Pod tym względem nie mylą się „najmłodszy“ z Karolem Bleibtrenem na czele. Dawna powieść niemiecka, albo *par excellence* moralna, albo tendencyjno-polityczna, przestała mieć rację bytu.

Było od pierwszej chwili ambycją naturalizmu, aby przełamać wstręt teatru do jego teorii. Już Zola próbował przemówić żywym słowem do publiczności. Uczynił to samo Goncourt z „*Germinia Lacerteux*“, dobijają się o sławę doraźną po mistrzach przeróżni bożkowie drugiego rzędu, korzystając z uprzejmości p. Antoine'a, dyrektora paryzkiego „teatru wolnego“ (Théâtre libre). Wszystkie jednak usiłowania nie odniosły pożądanego gorąco skutku. Dlaczego?

Zachodzi stanowcza różnica między psychologią jednostki a gromady, o czem naturaliści powinni wiedzieć, jako „uczeni obserwatorowie“. Człowiek stawi bez świadków łatwiej rzecz obrzydliwą, niż w towarzystwie. U siebie, w gabinecie, przeczyta każdy powieść naturalistyczną choćby przez ciekawość Brutalność sytuacji będzie go raziła, ordynaryjna gwara szynku

i domu publicznego nie zyska sobie jego uznania, okrutny, materialistyczny pesymizm nie przekona go, ale mimo to nie rzuci książki, jak nie powstrzyma się od spełnienia czynności, wspólnych potomkom prometeuszowym ze zwierzęciem.

Psychologia zmienia się, gdy ten sam człowiek staje przed cudzym sądem. Wówczas obraża go wszystko, co go w samotności nie gorszyło. Nawet małżonkowie lepiej wychowani, nawet rodzice starają się przed własnymi dziećmi ukryć nieestetyczną część życia ludzkiego. Wstydlivość rośnie w miarę przybywania oczu i uszu. W liczniejszym zebraniu, w teatrze, w salonie, w kościele, jednostka nietylko dostosowuje się zewnątrznie do całości, ale przeobraża się, szlachetnieje. Chociażby o sobie, na swój własny użytek, grzeszyła bez skrupułu przeciwko zasadom etyki i honoru, w towarzystwie czuje zwykle bardzo dobrze, co godziwe, a co nie godziwe. Skończony egoista i szubrawiec będzie udawał filantropa i uczciwego, gdy na niego inni patrzą. Co rzymianie włożyli w maksymę swoją: *vox populi, vox Dei*, nie jest pustym frazesem. Gromada posiada rzeczywście poczucie: prawdy, piękna i dobra.

Teatr nie jest gabinetem. To salon publiczny, przystępny. W przybytku Talii i Melpomeny spływa na cząstkę sumienie całości, czyniąc ją drażliwą na każdy złodźwięk. Nędzny karierowicz polityczny, ubiegający się przez całe życie za godnościami i orderami, przykłaśnie z zadowoleniem bohaterowi, który się dla idei poświęcił; nikičemny spekulant, finansista, bankier, którego biografię streszcza jedno słowo „oszukiwałem,” oburzy się na wyzysk; ordynaryjny mieszcuch, bez odrobiny poezyi, zachwyci się gorącym słowem natchnienia; marny tchórz uśmiechnie się z rozkoszą do cudzej odwagi.

Dziwne to zjawisko, ale prawdziwe. Człowiek zbiorowy nie znosi widoku człowieka-zwierzęcia. Wstydzi się on za jego brutalność i egoizm.

Zdaje się, że to pierwszy powód niemożliwości naturalizmu w teatrze. Kto był choć raz na przedstawieniu jakiej sztuki „wolnej“ i słyszał naokoło siebie głucho wykrzykniki tłumionej niechęci, przestachu prawie, kto widział, jak się w krzesłach sąsiad odwracał od sąsiada, aby uniknąć jego spojrzenia, ten przestał wierzyć w przyszłość materializmu artystycznego w teatrze.

I technika naturalizmu nie nadaje się wcale do dzieła dra-

matycznego. Luźna kompozycja, rozwlekłość charakterystyk, i opisowości, zbyt wielka obfitość szczegółów zaszkodziłaby tylko rozwojowi, który polega na zwięzłości budowy, na skupieniu myśli i słowa. Naturaliści „gadają“ bardzo dużo, w teatrze zaś trzeba jak najmniej mówić. Na co naturaliści francuscy z dumą wskazują, jako ich wyłączną własność... na wierne odtworzenie tła, to spełniły już przed nimi daleko lepiej teatry niemieckie (Meiningen, Schwerin).

Wysiłki naturalizmu, podjęte w Paryżu w celu zdobycia teatru, spełzły na niczem, ale mimo to nie dali najzacieklejsi zwolennicy „dokumentów ludzkich“ za wygrane. Nie doczekawszy się u siebie talentu, któryby pełnił scenę na nowe tory, zaczęli się rozglądać wokół. A może błysnął w innym kraju geniusz przyszłości! I znaleziono, czego szukano. Henrykowi Ibsenowi nie śniło się prawdopodobnie, że stanie się na stare lata sztandarem naturalistów artystycznych drugiej połowy bieżącego stulecia. Wychowaniec surowego klimatu i surowych obyczajów Skandynawii, kaznodzieja powinności i dość często tak mistyczny, zagmatwany, że trudno go zrozumieć, ma on należeć do związku lubieżnych pesymistów. Dlaczego? Czy dlatego, że wziął z rąk losu rzeczywisty talent dramatyczny, że umie naszkicować człowieka kilku rysami i rozwinąć czynność z szybkością greckich klasyków, że wydobywa z charakterów i wypadków tylko momenty najpotrzebniejsze?

Tę zdolność posiadają wszyscy autorowie teatralni z urodzenia, bez względu na kierunek, do którego należą.

Ibsen kładzie tak samo, jak naturalizm, wielki nacisk na prawa dziedziczności — twierdzą realiści francuscy i niemieccy.

Autor „Upiorów“ mówi rzeczywiście bardzo dużo o atawizmie, wspomina nawet gdzieś Darwina. Dr Rank („Nora“) i Oswald Alving („Upiory“) pokutują za wesołą młodość ojca. „Rebeka“ (Rosmersholm) wzięła nadmierną zmysłowość po matce! Grzegorz Werle („Dzika kaczka“) przyniósł z sobą na świat szkodliwe plotkarstwo i t. p. Wszędzie tłumaczy Ibsen cechy znamienne swoich postaci dziedzicznością, sięgając zawsze bardzo blisko, bo do rodziców, co się, jak wiadomo, z prawdą nie zgadza. I jak naturaliści, każe potęgom przeszłości działać tylko ujemnie, pomijając dodatni wpływ krwi. Pod tym względem nie różni się on w istocie od Zoli i jego uczniów.

Tu i owdzie potraça także Ibsen o bakteryę („Wróg lu-

du“), o medycynę, o koleje żelazne i banki („Podpory społeczeństwa“) i o wolną miłość („Upiory“), co ma być świadectwem jego „nowoczesności“. Głównie ostatni dokument zachwyca Jerzego Brandesa i Francuzów.

Gdyby wartość dramatów Ibsena polegała jedynie na ich „naukowości“, nie zasługiwałyby one wcale na uwagę, naukowość bowiem, zastosowana fałszywie, nie wytrzymuje nigdzie krytyki, a wolnomyślność, czyli właściwie rozwiązłość, nie przynosi nikomu zaszczytu.

Jeden przykład wystarczy do obalenia „wiedzy“ Ibsena. W „Norze“, mówi dr Rank: „W tych dniach odbyłem przegląd mojego zdrowia. Jestem bankrutem. Nie miną cztery tygodnie, a będę smacznym kąskiem dla robaków“. Koniec tak wczesny wróży sobie Rank dlatego, bo przekonał się, iż cierpi na kość pacierzową. Otóż niepotrzeba być wcale lekarzem, aby wiedzieć, że tabes działa rozmaicie, że oznaczenie terminu przekracza możliwość najbiegłego znawcy. Okrutną tą niemocą dotknięci biedacy, wloką nieraz nędzny żywot przez długie lata, nie przeczując, kiedy dla nich ostatnia wybije godzina.

Wiśniewie rzekoma naukowość Ibsena jest najsłabszą stroną jego dramatów. Zalety ich (siła, doraźna charakterystyka, znakomita miejscami psychologia, doskonała budowa) nie mają nic wspólnego z doktryną naturalistyczną.

Pozytywizm artystyczny zbankrutował we Francji około r. 1890, na co zgadzają się wszyscy, nie wyłączając samych naturalistów.

Juliusz Huret, bardzo pomysłowy reporter paryski, wyświadał temu dwa lata wszystkie znakomitości francuskie. Nie tylko dekadenci, symboliści, psychologowie, ale i mistrzowie i podmistrzowie szkoły, która miała wiecznie królować, podpisali jej wyrok śmierci¹⁾.

Edmund de Goncourt, zapytany przez Huret'a o zdanie, odpowiedział:

— Wierzę, że ruch naturalistyczny, powiedzmy naturystyczny (*naturiste*), jak mówią japończykowie, dobiega do końca, że ustąpi w r. 1900 kierunkowi innemu. Umrze on na śmierć naturalną, nie zaś przez truciznę, zawartą w jego dziełach, jak chcą nasi przeciwnicy! — umrze, przeżywszy pół wieku.

¹⁾ Jules Huret, „Enquêtes sur l'évolution littéraire“. Paryż 1891, str. 165 i n.

— A co nastąpi po nim?—zapytał jeszcze Huret.

— To jasne, jak dzień. W nowym ruchu, który się obecnie przygotowuje, zapanuje znów psychologia nad fizyologią.

I Huysmanns, bardzo gorliwy zrazu naśladowca Zoli, wyrzekł się naturalizmu. Nie inaczej: Rosny, Bonnetain, Guiches, Margueritte, Desnaves, mniej po za granicami Francyi znani „uczni artyści“ którzy wyparli się po wyjściu „Ziemi“ (La Terre) wszelkich stosunków z autorem tej plugawej elukubracyi. Jedyne Paweł Alexis odtelegrafował Huret'owi: Naturalizm nie umarł!

IV.

Odpowiedzialność nauki, literatury i prasy.—Moralność i niemoralność nauki.—Dobroczynność w oświeceniu ewolucjonistów.—Burżoazya.—Żydzi.—Jerzy Brandes.—Karyerowicze.—Młodzież.—Marzyciele pozytywni.—Rozczarowanie.—Granice rozumu ludzkiego.—Położenie polityczne.—Społeczne.—Pozytywizm w życiu.—Nadmiar analizy.—Osłabienie woli.—Osłabienie fizyczne.—Pesymizm filozoficzny.—Schopenhauer.

Jeden rys wspólny łączy prawie wszystkich uczonych i artystów drugiej połowy XIX stulecia, jakikolwiekby wyznawali odcień pozytywizmu, czy materjalizmu. Wszyscy utrzymują, że nie pracują dla człowieka przeciętnego.

Arystokratyczność talentu i wiedzy zarysowała się u pozytywistów jeszcze wyraźniej, aniżeli u romantyków. Bo kiedy marzyciele zgasłego pokolenia żałowali tylko z Mussetem, że „przyszli zapóźno“¹⁾, trzeźwi myśliciele drugiej połowy bieżącego stulecia nie ukrywają się wcale z głęboką pogardą dla „tłumu“.

Renan podzielił ludzi na: *les sages et les autres*, na mądrych i głupich — i pierwszymi jedynie raczył się zajmować; Spencer nie ma litości nad niemocnymi, których należy nsunąć, jako zawadzających w procesie ewolucyi, Flaubert twierdził, że pisze dla dwunastu, dwudziestu najwyżej znawców; Zola, Maupassant i in. pastwili się nad nieszczęściem i słabością, nie zdobywszy się ani na jedno słowo pociechy dla nędzy ludzkiej. Okrutnym był pozytywizm dla człowieka, choć żądał od niego uznania i zapłaty.

¹⁾ Je suis venu trop tard dans un monde trop vieux („Rolla“).

Żądał, słusznie bowiem odpisała Jerzy Sand Flaubertowi, gdy autor „Pani Bowary“ rozwijał przed nią w jednym z listów swoje teorie: „Mówisz, że nie dbasz o sąd mas, że wystarcza ci pochwała kilku, kilkunastu znawców. Dlaczegoż więc gniewasz się, gdy cię czytelnicy i krytyka pomijają, dlaczego drażni cię brak powodzenia?“

Każdego z owych arystokratów ducha drażniła obojętność „motłochu“, a cieszyły jego oklaski, co zresztą bardzo naturalne, bo człowiek pracuje zawsze dla jakiejś nagrody moralnej, czy materyjalnej. Z zadowoleniem świeżego dorobkiewicza, niegodnem artysty, chełpił się Zola bezustannie niezwykłą cyfrą swoich wydawnictw, z natręctwem handlarza, który wchodził dugimi drzwiami, gdy go jednemi wyrzuca, tłoczył się do Akademii Francuskiej. „Nieśmiertelni“ zamknęli mu kilka razy bramę przed nosem, a on stukał ciągle.

Uczeni i artyści drugiej połowy bieżącego stulecia wymyślili sobie jakiś kult prawdy, wyższy od obowiązku. Nie ich nie obchodziło życie, nie praktyczne zastosowanie wiedzy.

Wiadomo, że Taine rozróżniał w sobie dwóch ludzi: zwyczajnego i filozofa. Pierwszego, czyli tego, który je, pije, śpi, ubiera się, dostosowuje się do reszty otoczenia, zostawiał, jak się wyraził, za drzwiami, gdy się drugi zabierał do roboty. Pracując, zapominał ów drugi, że istnieje jakaś publiczność, żona, dzieci, przyjaciele, Francya. Zajmowała go tylko prawda.

Wiedza nie jest ani moralną, ani niemoralną, — twierdzili pozytywiści i ewolucyoniści — gdyż zadaniem jej poszukiwanie i formułowanie prawdy, lub tego, co za prawdę uważa. Nie wie, czy grzeszy, lecz człowiek, tem zaś „zwierzęciem“ rządzą nie formułki naukowe, jeno namiętności.

Gdyby się świat uczony składał tylko z przyrodników i matematyków, możnaby się zgodzić na zasadę powyższą. Teorya o cieple, badania nad tłuszczami, obliczenia arytmetyczne i astronomiczne, odkrycia w królestwie roślin, minerałów i t. d., nie oddziałują rzeczywiście bezpośrednio na postępowanie ludzkie. Położenie jednak zmienia się z chwilą, gdy się nauka zbliża do człowieka. Trzeba być naiwnym, aby wierzyć, że: filozof, socyolog, prawodawca, ekonomista, historyk, krytyk, powieściopisarz, dramaturg i in., nie wpływają na urabianie się pojęć, a w dalszym ciągu samego czynu, który stoi do pierwszych

w stosunku skutku do przyczyny. Słowo jest jako błyskawica, poprzedzająca piorun. Bez encyklopedystów francuskich nie byłoby t. zw. wielkiej rewolucyi, niemieccy zaś „piewcy wolności“ przygotowali pogrom Francyi w roku 1870.

Ale uczeni bywają w wielu razach bardo naiwni. Siedzi sobie taki mądry pan w gabinecie lub laboratorium, otoczony książkami i narzędziami, i medytuje o wszystkim, co mu przez mózgownicę przebiegnie. Pochwyciwszy jakąś myśl, która mu się prawdziwą wydaje, wysnuwa z niej drugą, trzecią, setną tyśiączną, aż splecie sieć przesłanek i wniosków. Z drobnej, dość często niejasnej idei wyrósł gmach twierdzeń, zbudowany prawie zawsze na hipotezie. Zaplątawszy się w przedzy teoretycznej, odciąwszy się od życia, stracił uczony, mimo swoich obserwacyj i doświadczeń, czucie ze światem zewnętrznym, przestał rozumieć ludzi i potrzeby ich. Bo czemu dla niego szczęście człowieka obok prawdy? Całe potomstwo Adama i Ewy poświęciłby dla swojej mrzonki.

Mrzonką bowiem jest dotąd prawda absolutna po za zjawiskami, dostępnymi dla zmysłów, domniemaniem wszystko, co nauka rozpowiada o początku i końcu wszechrzeczy, o duszy i celach człowieka. Ludzi się lub kłamie wiedza, która zapewnia z Berthelot'em, że nie ma już tajemnic pod słońcem. Tylko szalony zaślepieniec albo głupiec może mówić o prawdzie, o owym ptaku rajskim, wiszącym ciągle między niebem a ziemią.

Niechby sobie taki mądry pan siedział w gabinecie, w laboratorium i szukał prawdy, jak tysiące przed nim i po nim czyniły i czynić będą, niechby się pomysłami swojemi dzielił z braćmi po rzemiośle. Z jego trudów wyniknie zawsze jakas korzyść dla ludzkości, czego świadectwem doświadczenie wieków ubiegłych. Z litra hipotez wycisnie ostateczna krytyka kroplę prawdy istotnej.

Zdolność zresztą i niepowstrzymana niczem chęć poszukiwania prawdy należy do owych właściwości, które stawiają człowieka po nad zwierzę. Są one „panu ziemi“ do spełnienia jego posłannictwa tak samo potrzebne, jak wrodzone idee moralne i wolna wola. Bez tej upartej, żadną klęską niezrażonej siły, byłoby prawo ewolucyi martwą formułą.

Ale panowie uczeni nie zadowolają się poszukiwaniem prawdy dla prawdy, nie lubią swoich „odkryć“ chować pod korcem, chociaż niby gardzą „tłumem“. Cała ludzkość powinna je

znać, zachwycać się niemi, wierzyć w nie, stosować się do nich. Spencer, nie ufając zdrowiu, zmienił, jak wiadomo, plan prac, aby tylko nie zubożyć świata cywilizowanego o „Zasady Etyki“; Darwin witał z radością tłumaczy obcych narodowości; Littré, Taine i materyaliści niemieccy posługiwali się prasą, dziennikami. Szerokiego rozgłosu, praktycznego zastosowania pragnęli wszyscy uczeni drugiej połowy bieżącego stulecia, i — tu rozpoczyna się ich odpowiedzialność.

Niesumienną jest nauka, gdy podaje do wiadomości, rozszerza hipotezy, wylęglę z mózgow p. x., y. lub z., nie potwierdzone przez wszechstronną obserwację i długie doświadczenie. Że komuś pewne zjawisko wydało się takim a takim, nie dowodzi jeszcze prawdziwości spostrzeżenia. Ktoś inny, zajmwszy inne stanowisko, dojdzie do wniosków wręcz przeciwnych. Uczy nas historia wiedzy, że wczorajsze prawdy przestały dziś obowiązywać, a jutro znów usuwa teorye chwili obecnej.

Odpowiedzialność nauki rośnie w miarę wciągania do zakresu jej badań zjawisk, opierających się stanowczo metodzie pozytywnej, a odgrywających w zastosowaniu praktycznym rolę poważniejszą od faktów ścisłych. Niepowodzenia chemika, botanika i matematyka mogą spowodować straty materyalne, ale nie gorszą nikogo, nie zakłócają szczęścia ludzkiego.

Już nie niesumiennie, lecz wprost nieuczciwie postępuje nauka, gdy burzy bezpieczne schronisko moralne człowieka, nie mogąc postawić na jego miejscu lepszej, trwalszej budowy. Odpowiedź, że szuka prawdy, nie zasługuje na uwzględnienie, wie ona bowiem sama, iż prawda absolutna nie istnieje.

Ciężkiego grzechu przeciw idei postępu dopuszcza się nauka, oddając człowieka na łaskę i niełaskę praw natury, niwecząc w nim wiarę w możliwość oporu, w zdolność zapanowania nad siłami, które spychają go ze zdobytych przez cywilizację wyżyn między tłum reszty świata organicznego.

Wszystkie powyższe zarzuty obciążają naukę pozytywną i ewolucjonistyczną. Była niesumienna, bo podawała hipotezy za fakty (pochodzenie człowieka, atawizm bezpośredni, samorodztwo); była nieuczciwą, gdyż wzięła człowiekowi podpory i pociechy jego niemocy (Boga, duszę, religię); okrutną w końcu i nieszlachetną, bo oświadczyła synowi prometeuszowemu, że trzodzi się daremnie, pnąc się do jakichś ideałów, niedostęp-

nych dla niewolnika instynktów (egoizm, walka o byt, dobór naturalny).

I uczeni innych czasów stawiali kruche domki z hipotez, bez których się żadna wiedza obyć nie może. Ale braminowie Indyj i kapłani Egiptu, rozumniejsi od mędrców współczesnych, nie przypuszczali do swoich doktryn niewtajemniczonych, czyli nieświadomych, a filozofowie wieków średnich i późniejsi posługiwali się językiem łacińskim, niezrozumiałym dla mas szerokich.

Bo „starzy wstecznicy“ wiedzieli bardzo dobrze, że nauka może być moralna i niemoralna, pożyteczna i szkodliwa, co zależy jedynie od tego, na jaki padnie grunt. Umysłu wytrawnego, krytycznego nie zgorszy żadna teoria, podczas kiedy głowę słabą, wierzącą w słowo drukowane bez protestu, zwicnie na zawsze.

To samo odnosi się i do sztuki i to w stopniu daleko wyższym.

Zola, kiedy nie był jeszcze zdeklarowanym naturalistą, powiedział bardzo dobrze, że: wszyscy nieszczęśliwi rzucają się w objęcia artysty.

Nietylko nieszczęśliwi, ale i nieświadomi.

Kto nie posiada odpowiedniego przygotowania do zrozumienia filozofa, socjologa, moralisty, kogo usilniejsza praca umysłowa męczy, ten śpieszy do pisarza - artysty, który pracuje zarówno dla mocarzów, jak dla maluczkich. Wiadomo, że czytanie powieści było najmiłą rozrywką Darwina... jego *dulce lenimen laborum*¹⁾.

Królem w rozległym państwie duchów nie jest uczony, je-no artysta. Powieściopisarz i dramaturg przemawiają do kroci, gdy należą do mniej cywilizowanych narodów, a do milionów, gdy życzliwa wróżka postawiła kołyskę ich nad Sekwaną lub Tamizą. Cała połowa rodu ludzkiego — kobieta — czerpie pokarm dla głowy i serca z dzieł artystów.

Plastyczniejszy, barwniejszy i wrażliwszy od uczonego, oddziaływa artysta silniej od książąt wiedzy. Łatwiej wraza się w pamięć obraz, sytuacja, wypadek, pełny charakter, niż ode-rwana formułka. Belletrysta gra na nerwach czytelnika, przy-kuwa go do siebie, uczy go, bawiąc.

¹⁾ „Życie i listy Karola Darwina“ i t. d. jak wyżej.

O wysokiem znaczeniu swoim, o potędze sztuki zapomnieli artyści pozytywni, ich bowiem także zahipnotyzowała „prawda“. Szukając tej zwodnicy w szpitalach, w domach publicznych i na śmietnikach, brodzili po same uszy w błocie i we wrzodach. Nie zgorszymy nikogo, zapewniali, bo prawda nie gorszy nigdy.

Nie gorszy?! Któż nie przypomina sobie wrażenia, jakie sprawiły na nim w pierwszej młodości „Pamiętniki Kazanowy“ lub nowelle Boccacio'a, czytane ukradkiem? A sięgając jeszcze dalej, aż do lat chłopięcych, któż nie pamięta, że naśladował Robinsona Kruzoe, Różę z Tannenbergu, Św. Genowefę i innych?

Artysta sugestyjonuje czytelnika, pobudza lub łagodzi jego namiętności, przypina mu do ramion skrzydła, albo strąca go na sam dół brudów zwierzęcych. Trzy czwarte grzechów współczesnej kobiety paryskiej obciążają romansopisarzów francuskich.

Najwięcej jednak grzeszy prasa, gdy oddaje na usługi hipotez i niesprawdzonych faktów swoją trąbę stugębną. Bo nauka i sztuka, chociaż błędzą, szukają rzeczywiście owej prawdy mają jakiś cel idealny. A prasa informacyjna? Tej jejomości, która przeszedłszy w czasach ostatnich w znacznej części w ręce reporterów, stała się ordynaryjną przekupką, paplącą dla samego paplania, tej handlarce, goniącej za prenumeratą, nie idzie wcale o jakies prawdy, lecz poprostu o szybką obsługę abonentów, płacących za wiadomości brzęczącą moneta. Byle „wiadomość“ była nową, nieznaną, a jeszcze lepiej „sensacyjną,“ pochwyci ją każda gazeta niższego rzędu i wydrukujie skwapliwie, nie troszcząc się wcale o jej doniosłość ujemną lub dodatnią.

Cóż wydawcę, najczęściej pospolitego kupca, obchodzi dobro kraju, spokój lub niepokój bliźnich? Jego ewangelią jest księga buchalteryjna, Bogiem--pieniądz, celem—używanie. Gdy „wiadomością“ zdobędzie jednego prenumeratora więcej, dokonał, co zamierzał.

Ogłupienie i demoralizację „tłumu“ zapisze kiedyś historyk na rachunku prasy brukowej, poczytniejszej, niestety, od poważnego i uczciwego czasopiśmiennictwa. Tysiące błędów, głupstw i przewrotności przeszły tą drogą do nieświadomych, przeciętni bowiem dziennikarze, nie mając sami dokładnego wyobrażenia o tem, co publiczności podają, nie mogą oczywiście,

dobrze objaśniać. Wiadomo każdemu rzetelnemu pracownikowi, ile lat trzeba poświęcić, ile trudów ponieść, aby dojść choć w jednym kierunku do pewności ręki i oka.

Do sumiennego opracowania tematu naukowego nie ma prasa informacyjna ani czasu, ani miejsca, ani sił odpowiednich. Wybiera ona więc, wrywa z całości zwykle te części danej teorii, które, wyróżniając się dostępnością lub jaskrawością, mogą liczyć na powodzenie. Darwin wydał kilka bardzo cennych studyów botanicznych, a szersza publiczność знаła właściwie jedynie „Pochodzenie człowieka“, i to z komentarzów powierzchownych. Domorośli uczeni wojowali i bawili się odkryciem, że „człowiek pochodzi od małpy“, chociaż mistrz angielski nigdzie o tem wyraźnie nie mówi. Niejedna z obserwacyi Spencera zasługuje na uwagę, ale przeciętny inteligentnik spamiętał sobie głównie formułkę o egoizmie i altruizmie. Studya nad językami semickimi Renana zbogaciły wiedzę orientalistów, profani zaś wiedzieli najwięcej o „Życiu Jezusa“ i o jego dyletanckich traktatach filozoficznych.

I tak wszędzie. Nawet gorliwi wyznawcy pewnych teoryj nie zagląдают do źródeł, zadowolając się sprawozdaniem, streszczeniem. Nie wielu z naszych pozytywistów czytało dzieła Comte'a.

Prasa nie powinna zapominać, że jest pośrednikiem między myślicielami i twórcami a publicznością, że odpowiada za rozsiewanie fałszywych lub szkodliwych wiadomości lub doktryn.

Pisarz, obniżający znaczenie słowa drukowanego, albo okłamuje się rozmyślnie, albo nie ma pojęcia o sile sugesty i psychologii przeciętnej inteligencyi, która bierze swoją mądrość teoretyczną z drugiej, z trzeciej, z czwartej nawet ręki. Kupiec, adwokat, rolnik, lekarz i t. d., zajęci przez cały dzień sprawami zawodowymi, miewają zwykle bardzo mało czasu do zastanawiania się nad zagadnieniami filozofii, nauki i sztuki. Myślą za nich autorowie, a tych znów uprzystępniają sprawozdawcy dziennikarscy. Wybiegłszy z ram książki i prasy, okrąża wszelka teoria powoli organizm społeczny, ogarnia stopniowo jego części pojedyncze, płynące z góry na dół, aż przejdzie w krew całości, staje się ciałem. Przeto należy się dziwić, że taki np. Taine, umysł skądinąd jasny, mógł majaczyć o jakiejś „prawdzie dla prawdy“, nie oddziaływającej praktycznie.

Twierdzili uczeni ostatniej epoki, że nauka nie może być ani moralną, ani niemoralną. Jeden przykład wystarczy do obalenia tego frazesu.

Wiadomo, że pewna część darwinizmu pozostaje w ścisłym związku z doktryną Malthus'a, który aczkolwiek był pastorem anglikańskim, więc chrześcijańskim, przewyższył brakiem miłosierdzia autorów świata pogańskiego. Ponieważ natura ludzka rządzi i sądzi, uczył „boski protestant“, jak go wielbiciele nazywają—byłoby szaleństwem i śmieszną ambycją z naszej strony stawiać się na jej miejscu i brać na siebie niewygody egzekucji. Oddajemy winnego sprawiedliwości natury. Pomoc publiczna niech będzie dla niego zamknięta, a gdyby się dobroczynność prywatna nim zajęła, wówczas ma interes ludzkości prawo żądać, aby jałmużna nie była zbyt obfita. Ubogi powinien wiedzieć, że go prawa natury, czyli Boga, skazały na nędzne życie, karząc go za to, że przeciw nim zgrzeszył.

Cóż takiego zawinił biedak, z którym się Malthus obszedł, jak z ostatnim łotrem? Oto nie posiadał dostatecznych środków do utrzymania rodziny, a ożenił się i został ojcem kilkorga dzieci. Za to, że się nie obliczył z dochodami, albo może przeliczył się w nadziejach... obowiązkiem jego umrzeć z głodu. Tak chce natura, Bóg...

Zachodzi pytanie, jakiego Boga miał Malthus na myśli? Bo jeżeli tego, którego słowo głosił w świątyni, to powinien był przed napisaniem swojego głównego dzieła złożyć urząd kapłana chrześcijańskiego.

Zasada Malthusa, która podawała Darwinowi myśl o walce o byt, wsiąkła w ewolucjonizm. Jak „boski protestant“ nie byli i pozytywiści zwolennikami miłosierdzia, różniąc się tylko w tem od niego, że uzasadnili jego doktrynę „naukowo“.

Naukowo -- nie inaczej... Wszystko stroiło się przecież w togę naukową w drugiej połowie XIX stulecia.

Herbert Spencer uczy¹⁾: „Jakość społeczeństwa obniża się pod względem fizycznym przez sztuczne podtrzymanie jednostek najsłabszych — jakość społeczeństwa obniża się pod względem moralnym, przez sztuczne zachowanie indywiduów, zdolnych najmniej do wystarczania swoim potrzebom“.

1) H. Spencer, „Wstęp do socjologii“.

Znaczy to, przetłumaczone na język ludzki: ponieważ wszechpotężna, wszechwładna ewolucya dąży do wytworzenia organizmów doskonałych, zdrowych na ciele i usposobionych altruistycznie, przeto postępuje nierozumnie, kto, ratując chorych, ubogich, wydziedziczonych, niedołęgów wszelakich, powstrzymuje jej bieg, krzyżuje jej plany. Rodzice nie powinni się upierać przy życiu dzieci słabych, dobroczynność nie ma prawa do wspomagania nędzarzów, państwo błądzi, gdy stawia szpitale, popiera ochronki i t. d.

Ocalając słabowitych — dowodzi Spencer — przyczyniamy się do wytworzenia nowych, nieznanych dawnym pokoleniom chorób.

Darwin rozciągnął doktrynę Malthusa i na małżeństwa. „Tak pary cielesnie uposledzone, jak pozbawione środków materialnych, grzeszą, gdy zakładają ogniska domowe, ubóstwo bowiem jest nietylko złem samem w sobie, ale rośnie jeszcze w kierunku ujemnym w miarę przybywania dzieci, czyli wydatków“.

Uczeni ewolucyoniści nie uwzględniają oczywiście ani praw serca, ani nadziei, uwierzytelnionych przez pracę. Znamy wszyscy mnóstwo stadeł ubogich w dzień ślubu, a zamożnych w połowie życia, znamy i słabowitych, którzy „skrzypią“ ciągle, ale żyją dłużej od potentatów zdrowia. Choroby zresztą nie zmniejszają się razem z postępem ewolucyi, lecz przeciwnie. Mniej ich u dzikich, aniżeli w narodach cywilizowanych. Mylą się także mędrcy nowocześni, obwiniając ubóstwo o zmniejszanie liczby ludności. Nie trud i głód tępią rody, lecz właśnie dostatek, obfitość wszystkiego, co człowiek potrzebuje. Wiedzieli już o tem rzymianie, gdy skarżyli się na zanik domów historycznych, patrzą na to samo obecnie i Anglicy, nie mogący się doliczyć swoich lordów. Było ich w wieku XV 372, a chwila bieżąca wykazuje tylko 80 parów dziedzicznych.

Pominąwszy jednak niedokładności faktyczne mądrości socjologicznej i etycznej ewolucjonistów — jakąż będzie treść ich doktryny? Dawne pogańskie: *Vae victis!* zamienili na: biada ubogim, chorym i wydziedziczonym! Czy zechcą jeszcze wobec takiego rezultatu twierdzić, że nauka nie jest ani moralną, ani niemoralną. Nietylko niemoralną być może ta pani bezwzględna, ale nawet... nieszlachetną.

Wszelkie teorye miewają tylko wtedy powodzenie, gdy przyjdą w porze właściwej. Trudno sobie wystawić królowanie

pozytywizmu i ewolucjonizmu w jasnych chwilach ludzkości, w epokach wiary i zapałów.

Druga połowa dziewiętnastego wieku nie należy do momentów świetlanych w historii człowieka. Po krótkim błysku romantyzmu wróciły do rządów wszystkie negacye, nagromadzone od czasów reformacji, a wcielone w wielkiej rewolucyi francuskiej. Jakaś nowa forma społeczeństw zaczyna się wytwarzać. Świat szlachecki padł na Zachodzie razem z głową Ludwika Burbońskiego, kto jednak obejmie na czas dłuższy jego dzieństwo, nie można dotąd odgadnąć.

W tem bezkrólewiu narodów zachodnich wydobyła się na sam wierzch i gospodaruje jak szara gęś kasta, nie posiadająca żadnych praw do hegemonii. Burżoazya rządzi dziś nietylko we Francji.

Cóż to takiego ta burżoazya? Potomkiem starego rycerstwa nie jest, mieszczaninem w zwykłym rozumieniu także nie, chłopem tem mniej. I do inteligencji, do robotników, pracujących na chleb powszedni głową, zaliczyć jej nie można.

Burżoazją nazywa się popolicie pewną grupę ludzi, którzy, dorobiwszy się znaczniejszej fortuny, wtargnęli bez przejścia do pierwszych szeregów społecznych. Wchodzą do niej przeważnie: bankierzy, przemysłowcy, fabrykanci, kupcy więksi, słowem, kapitaliści i bezpośredni ich potomkowie.

Więc majątek jest bramą, przez którą dostaje się do świątyni burżoazji. Ale jaki majątek? Czy ten, który, zdobyty przez odwagę wojskową lub przez zasługę inną (naukową, literacką, artystyczną, obywatelską), jakiegoś przodka, rósł z ojca na syna, czy też ten, którego źródłem bywa praca i oszczędność całych pokoleń?

Ani pierwszy, ani drugi, bo rycerstwo, uczeni, literaci, artyści, urzędnicy i następcy całego szeregu pracowników nie zaliczają się do burżoazji.

Majątek dzisiejszej burżoazji płynie z innego źródła. Są to pieniądze, zebrane szybko i łatwo w handlu, w przemyśle, w spekulacjach giełdowych, w pokątnych procesach i w przeróżnych zajęciach, nie wytrzymujących krytyki „zwietrzałej“ uczciwości. Wczorajszy kantorzysta, dorwawszy się do monety drogami krętymi, kupuje sobie dziś pałac, powóz, konie i oto — nowy burżoa. Fabrykant wyzyskiwał przez lat kilka pracę setek, tysięcy robotników — i powstaje znów burżoa. Wydawca utu-

czył się na mózgach całego legionu autorów — bankier krzywdził krocie ludzi, podwyższając i obniżając wartość papierów — przedsiębiorca wykonywał powierzone mu roboty niesumienne — adwokat napełniał kieszeń, prowadząc sprawy nieczyste — kupiec oszukiwał na towarach — restaurator, hotelarz i sprzedawca wina, truli ludzi fryturami i fałszowanymi trunkami — a wszyscy ci jegomoście, doszedłszy do pewnej cyfry, w z mocnili szeregi burżoazji.

W krótkim czasie powstające fortuny, z wyjątkiem, gdy źródłem ich bywają szczęśliwe wypadki (wygrana na loteryi, spadek, darowizna i t. d.), nie zasługują nigdy na szacunek. Powoływanie się na pracowitość i zabieglivość nie wytrzymuje krytyki, wiadomo bowiem, że ucziwa, chociażby najusilniejsza praca, nie daje ubogiemu krocii, tem zaś mniej milionów. Dużo zdziałała, gdy utrzymała robotnika z żoną i z dziećmi i odłożyła dla niego niewielki fundusz na „czarną godzinę“ lub na starość. Ręce można sobie urobić po łokcie, oczy stracić i mózg wysuszyć z nadmiernego wysiłku, a nie dojdzie się do bogactwa. Na znacznej ilości złota, nagromadzonego szybko, spoczywa zawsze klątwa wyzysku, lśnią łyzy cudzej krzywdy.

Rozumie się, że wyrok potępienia nie odnosi się do całej grupy ludzi, objętych nazwą burżoazji, wszelkie bowiem uogólnienia, zastosowane do kast społecznych, do stanów, korporacji i t. d., nie wytrzymują nigdy krytyki. I „burżoa“ może być człowiekiem ucziwym, dobrym, szlachetnym. Nie ma reguły bez wyjątków.

Wobec takiego początku i składu dzisiejszej burżoazji europejskiej trudno się dziwić różnym krachom giełdowym i owemu bezprzykładnemu skandalowi polityczno-społecznemu, którego wybuch przyspieszyła sprawa kanału panamskiego.

Szumowiny wszystkich stanów spłynęły do kasty, zwanej burżoazją, nie uzacnionej ani przez rozlaną krew żołnierza, ani przez pot robotnika. Wyszędłszy z błota, jak się niegdyś Danton o towarzyszach swoich wyraził, zawdzięcza ona wybitne stanowisko jedynie Złotemu Cielcowi, a ten mocarz nie miewał nigdy „przesądów“.

Z niekłamaną radością przyklasnęła burżoazya pozytywizmowi i ewolucjonizmowi. Wszakżeż doktryna, mianująca egoizm i walkę o byt głównymi sprężynami postępowania ludzkiego, uświęcająca prawo siły, sprytu, podstępny i t. d., uwalnia-

jąca niktzemnika od odpowiedzialności przed Bogiem i sumieniem, druzgocąca, słowem, wszelkie pęta człowieka - zwierzęcia, wynosiła jej małoduszność do godności i zasady naukowej, legalizowała jej grzeszne fortuny i niczem nieuzasadnione ambi-cye. Jej wyzysk tłumaczyła szkoła manczesterska, jej skąpstwo teorya Malthusa.

Tylko w tem oświeceniu można zrozumieć nienawiść liberalnych prawodawców francuskich i niemieckich do Chrześcijaństwa i do Kościoła — nienawiść niemądrą, brzemienneą w skutki złowrogie, czego burżoazya w zaślepieniu swoim nie widzi. „Motłoch“, wychowany w zasadach moralności świeckiej, byłby bardzo naiwny, gdyby nie zastosował wszczepionych w niego zad swoich do mistrzów. Burżoazya gotuje sobie sama grób wczesny a sromotny, bo szlachta, chociaż zwyrodniała, umiała mimo to pójść pod nóż gilotyny bez lamentów. Wolno zaś wątpić, czy bankier, przemysłowiec, giełdziarz i t. p. bohaterowie znajdują w obliczu śmierci odwagę do pogardy dla swoich przedświadców.

I sztuka pozytywna wprawiła burżoazyę w zachwyty. Tak drażniąco, podbudzająco malowała rozkosze ciała, tyle talentu zużyła, aby łaskotać grubego mieszcza, spragnionego po dobrym obiedzie wrażeń zmysłowych.

Jak tu się dziwić, że liberalni mówcy parlamentarni powoływali się na doktryny pozytywno-ewolucjonistyczne, że nazwali moralność niezawisłą etyką przyszłości, zaczawszy od Leona Gambetty ¹⁾, a skończywszy na ostatnim sługusie politycznym, chcącym się panom chwili przypodobać. Comte, Darwin, Spencer, o ile wygłaszali teorye, odnoszące się do człowieka, pracowali głównie dla burżoazyi. To jej filozofowie i moralisci.

Nie mogąc się oprzeć na żadnej ucziwej tradycyi, powitała burżoazya z prawdziwą radością doktrynę, która zmasała całą przeszłość, zburzyła wszystkie pojęcia i obyczaje dawniejszej cywilizacyi. Nowi ludzie potrzebowali nowych bogów i hasał.

Daremnie gniewali się uczeni na mężów stanu, stosowując ich teorye w praktyce; daremnie przypominał Littré, że nauka jest celem samym w sobie, a Haeckel, odpowiadający Virchowowi, zabraniał politykom wcielania doktryn filozoficznych.

¹⁾ Mowa Leona Gambetty na ostatnim posiedzeniu kongresu ligi wychowania publicznego (La ligue de l'enseignement) z dnia 21 kwietnia 1881 r.

Burżoazya nie słuchała, bo mogłaż nie wyzyskać wody, jakby rozmyślnie na jej młyn puszczonej?

I rezultaty umiejętności ścisłych jej głównie służyły i służą. Miliony ubogich nie odnieszają zbyt wielkiej korzyści z węgla, pary i elektryczności, które wywróciły na nice dawny porządek. Z telegrafu, telefonu, z licznych maszyn korzystają głównie handel i przemysł. Szalony zresztą pośpiech, stanowiący rys znamieny naszego stulecia, nie należy do pomysłów szczęśliwych. Żyjemy krócej, śpiesząc się ciągle i tracimy zdrowie przedwcześnie. Żal tylko mieć może wydziedziczony do maszyn, gdyż, bogacąc szybko kapitalistę, odbierają jemu chleb, usuwając coraz więcej niezbedność jego ramion. Z jednej strony wołają na niego para i elektryczność: nie dróż się, niewolniku, bo obejdziemy się bez ciebie, z drugiej zaś krzyczy ewolucya: umrzyj, niedołęgo, skoro nie możesz się ostać w walce o byt. W takich postawiony warunkach, może się chyba ów „niewolnik“ i „niedołęga“ zniecierpliwic, zwłaszcza, że dochodzą go wiadomości o „prawach silniejszego nad słabszym“, o „świętości egoizmu“, o celach człowieka, zamkniętych zupełnie w granicach kołyski i trumny i t. d. Postarały się przecież dzienniczki, aby mądrość nowoczesna dotarła i pod niskie strzechy maluczkich.

Istnieje w Europie jeszcze inna grupa ludzi, która powitała pozytywizm, ewolucjonizm i materyalizm z taką samą radością, jak burżoazya. Naród to Judy wyciągnął obiedwie ręce do nowych proroków, bijąc przed ich geniuszem pokłony.

Wyparty od kilkunastu wieków z kraju, złączonego ściśle z jego dziejami, skazany na włóczęgę między ludami nieprzyznanymi, odepchnięty od stołu biesiadnego cywilizacji chrześcijańskiej, wszędzie wzgardzony i poniewierany, żyd zasklepił się na wewnątrz w skorupie spleśniałej dawno wiary talmudycznej, a na zewnątrz starał się zebrać jak największą ilość grosza, pieniądzeni bowiem tylko zawdzięczał różne ulgi. Religia uczyła go nienawiści do innowierców, handel zaś zgasił w nim wszelkie szlachetniejsze pojęcia o życiu. Plemię, które już na puszczy, pod okiem swego największego prawodawcy, tańczyło naokoło Złotego Cielca, a później gorszyło chciwością autorów rzymskich, stało się z czasem typem przekupnia, szachraja.

Nic dziwnego, że ten urodzony materyalista, gdy mu rewolucya francuska rozwiązała spętane ręce i pozwoliła przema-

wiać jawnie, publicznie, dołożył wszystkich starań, aby nadać zaprzeczeniom dawnego porządku rozgłos jak najszerszy. Afirmacye przeszłości wydziedziczyły go, negacye zaś XIX stulecia otworzyły przed nim na rozcierz bramy cywilizacji.

Żyd stał się najgorliwszym pacholkiem nowej nauki. Wtargnąwszy gromadnie do prasy europejskiej, opanowawszy główne redakcyje: Warszawy, Berlina, Wiednia, Paryża i miast innych, siał na wszystkie strony zatrute ziarno negacji, podszuwając się pod hasła wolnomysłne. On to urządził chytrze powszechną wyprawę przeciw Chrześcijaństwu, swemu wrogowi dziedzicznemu, walcząc z niem piórem i żywym słowem; on przekupywał ministrów, posłów i urzędników („Panama“); on wcielał w handlu i przemyśle zasady moralności niezawisłej, których się uczyć nie potrzebował, bo miał je we krwi (giełda, banki, przedsiębiorstwa akcyjne, wszelakie grynderki i krachy); on podkopywał systematycznie pojęcia o honorze i uczciwości, niepotrzebne, niewygodne dla spekulanta widma lepszego wczoraj. Gdziekolwiek stała się w Europie od lat pięćdziesięciu jaka podłość kupiecka, jakie oszustwo na mniejszą lub większą skalę, wszędzie tkwił handlarz żydowski. Łzy kroci płynęły śladami jego pomysłów finansowych — waliły się rody, fortuny — bladły świetne, przez wieki nieskażone nazwiska. Czego się handlarz żydowski dotknął — brukało się w jego palcach nieumyślnych. On tylko jeden tryumfował, uśmiechał się, zadowolony — szczęśliwy mściciel przecierpianych krzywd swojego ludu. On też przebrawszy się we frak, zasilił wielką ilością burżoazyę.

Typowym przedstawicielem „cywilizowanego“ żyda nowych czasów jest, między innymi, znany estetyk duński, Jerzy Brandes (właściwe nazwisko: Izydor Cohn), którego przednie dzieło („Główne prądy literatury XIX stulecia“) przyswojono i naszej literaturze.

Działalność publiczną rozpoczął Brandes od niesłychanie namiętnej polemiki z Nilsenem, zbyt dla niego zacofanym, mimo względnego liberalizmu. Przedstawiwszy się Danii jako nieprzejednany wróg nietylko wyznań chrześcijańskich, ale wszelkich uczuć religijnych wogóle, Brandes pozostawał aż do chwili obecnej wiernym tendencyom młodości. Inni, zawiódłszy się na metodzie pozytywnej, porównawszy złudzenia swoje z rzeczywistością, ostygli w zapale dla rozumu. Brandes trwa dotąd na raz zajętem stanowisku, nie chcąc się niczego od życia nauczyć.

Nienawiść do religii, zmysłowość i niechęć do obecnego porządku społecznego, wiją się barwną nicią poprzez dzieła autora „Prądów“. Zburzyć chciałby on całą przeszłość, zniszczyć do ostatniego kamienia podwaliny, na których się świat chrześcijański opiera. Idealem jego — zdawkowy, ordynaryjny materializm, Bogiem nieomylnym — rozum.

Brandes uchodził przez czas dłuższy za krytyka przedmiotowego, za „uczonego“ w estetyce. Wszakżeż mienił się zwolennikiem Taine'a, na którego doktrynę się powoływał.

Wistocie jednak jest autor „Prądów“ wszędzie i zawsze polemicznym publicystą, broniącym pod płaszczykiem naukowości swoich tendencji. W „Głównych prądach“ zestawił i oświetlił zjawiska literackie bieżącego stulecia rozmyślnie w taki sposób, że uwydatnił tylko „idee liberalne“. Chwilą, od której się dla niego świat zaczyna, jest rok 1848. Wiadomo, że się z tą datą rozpoczyna panowanie najświeższej odmiany starego materializmu pod nazwami: pozytywizmu, ewolucjonizmu i naturalizmu.

Ilekoroć się Brandes odzywa o kierunkach i szkołach, wcielających reakcję uczucia przeciw rozumowi, tylekroć pieni się z gniewu. Nie skąpi wówczas słów „silnych“, jak: głupota, ciemnota, obskurantyzm, barbarzyństwo, stęchłe przesady, naszczekiwania szalonych i t. p. Z naciskiem zbyt widocznym, aby nie zwracać na siebie uwagi, rozwodzi się obszernie nad wszelkimi negacjami.

Błyskotliwy stylistą, utalentowany bezsprzecznie polemista, Brandes przykuł do siebie, przekonał, olśnił młodzież nietylko swojego kraju rodzinnego. Zachwycano się nim w Niemczech, a i u nas, podczas pobytu w Warszawie, nie szczędzono mu oklasków i „szeptów podziwu“. Do jego rozgłosu przyczynili się oczywiście w znacznej części żydzi, znani z solidarności i z umiejętności popierania „swoich“. Był on krytykiem literackim Judy i burżoazji, przeto runął razem z programatem, którego bronił.

Jak Brandes siał przez całe życie nienawiść, tak zbiera obecnie własnej roboty owoce. Oto, co pisze o nim Maks Nordau: ¹⁾

— Etykietę współczesności (*modern*) przyczepił do niego

¹⁾ Maks Nordau: „Entartung“; II, str. 181 i 182.

do Ibsena) Jerzy Brandes, należący do najwstrętniejszych zjawisk literackich (*einer der widerwärtigsten schriftstellerischen Erscheinungen*) naszego stulecia. Brandes, pasorzyt cudzej sławy, czy rozgłosu, uprawiał przez całe życie rzemiosło muzykanta-szarlatana, który gra równocześnie na dziesięciu hałaśliwych instrumentach, pomagając sobie głową, ustami, rękami, łokciami, kolanami i nogami. Jak ten komedyant, tańczył i Brandes przed poetami i autorami, a potem obchodził publiczność, odurzoną łoskotem, i zbierał zapłatę. Skwapliwie tłoczył się do każdego, kto zyskał sobie w ostatniem ćwierćleciu z jakichkolwiek powodów rozgłos, i zasypywał go dopóty frazesami, dopóki go słuchać chciano. Przystroiwszy się w kilka piór, wyrwanych z dumnych skrzydeł geniusza taineowskiego, i powołując się na Johna Stuarta Milla, którego studjum „O wolności“ z wierzchu obejrzał, bo go chyba nie czytał, a stanowczo nie rozumiał — przedstawił się młodzieży skandynawskiej, zdobywszy zaś sobie za pomocą tych środków zaufanie, nadużył wpływu do systematycznego zatruwania słuchaczy. Był kaznodzieją namiętności i zmaćił z szatańską iście gorliwością i wytrwałością wszystkie pojęcia i wyobrażenia młodzieży, której zachwalał rzeczy przewrotne i nikezemne pod najpowabniejszymi i najczciwodzijszymi nazwami. Wierzano zawsze, że tylko słabi i tchórze ulegają bez protestu potępionym przez zdrowy rozsądek chuciom. Gdyby Brandes był mówił do młodzieży wprost: drwij sobie z rozsądku, poświęć obowiązek namiętności, nie opieraj się zmysłom i t. d. — znalazłby się może ktoś lepszy, coby przed nim splunął. Ale gdy uczył: być posłusznym zmysłom znaczy to samo, co posiadać charakter — kto się poddaje namiętności, ten jest indywidualnością — człowiek silny gardzi karnością i obowiązkiem, a robi zawsze tylko to, co się jego brzuchowi lub innym organom podoba... — wówczas wydzielił zręcznie z podłości części odrażające, budzące podejrzenie. Rozwiążność i próżniactwo, polecane jako „wolność“ i „prawo rozporządzania sobą“, wtargnęły bez trudu do wszystkich kół. Nikezemność, okryta płaszczykiem „współczesności“, stała się powabną i pożądaną. Nie trudno się domyślić, że wychowawca, który zamienia salę szkolną na knajpę i dom publiczny, musi mieć u młodzieży powodzenie, niezrozumiałe wobec pustych i gadatliwych bez końca (*gedankenleere, endlos schwatzhafte Schriften*) pism Brandesa.

Sądu surowszego doczekało się chyba nie wielu ze znako-

mitości literackich. Wyrok to tem dotkliwszy, że pochodzi nie od „zacofańca“, „wstecznika“, lecz od autora, który jest tak samo, jak Brandes, zwolennikiem wiedzy niezawisłej. I Nordau korzy się tylko przed rozumem.

Krytyce spokojniejszej poddał działalność Brandesa pisarz francuski, Jan Thorel, który wykazał *sine ira et studio* brak naukowości i metody w „Głównych prądach“. Chaotyczną tylko komplikacją jest, podług Thorel'a, rozgłosne dzieło estetyka duńskiego. ¹⁾

Oprócz burżoazyi i żydów, dostarczyła nowoczesnemu materializmowi gorących wielbicieli czerń karyerowiczów różnych kierunków, rekrutująca się ze wszystkich stanów i warstw. Posagołowców, oszczerców, pochlebców, kopiących dołki pod bliżnim, nieszczerych przyjaciół i kolegów, hałastrę, słowem, wszelką znały: Grecya i Rzym, wieki średnie i ostatnie. Ale nikiemość przeszłości wiedziała, że postępuje źle; ukrywała się wstydliwie, udawała uczciwą, prawą.

Dziś ten parawan zbyteczny. Każdy szubrawiec może się powołać na etykę niezawisłą, może podłość swoją „naukowo“ uzasadnić. Że moralisci pozytywni zeszli się w rezultatach z metafizykami i teologami — współczesnego karyerowicza nie wielu obchodzi. Dzieł Spencera i jego naśladowców nie czytał, a choćby i zajrzał do źródła, albowy jego kazuistyki wcale nie rozumiał, albo też, wniknąwszy w nią, odpowiedział bardzo słusznie: być może, że ewolucya zrobi kiedyś ze mnie wzór cnoty, maszynę altruistyczną, dotąd jednakże rozwiązała bardzo małą część całego zadania, *ergo* dobrze postępuję, gdy czynię to, co sprawia mnie przyjemność, nie zważając na potrzeby mniej odemnie chytrego sąsiada.

Ma się rozumieć, że nie same tylko odpadki ludzkości zaciągnęły się do szeregów pozytywnych. Nowa nauka ołśniła i obałamuciła krocie głów i serc szlachetnych, spragnionych świadomości, wiedzy. Cała prawie młodzież uniwersytecka, upajająca się na czas pewien każdą nowością i znakomita większość świata naukowego, służyły pod sztandarami: Comte'ów, Darwin'ów, Spencer'ów, Taine'ów, Haeckl'ów i t. d.

Na uboczu, nie wciągnięta w wir powszechny, stała w ka-

¹⁾ Jan Thorel, „La critique internationale“, w „Revue des deux Mondes“ zeszyt z 15 września 1893 r.

żdym kraju mała tylko garstka nieprzekonanych. Nikt tych „wsteczników“, „zacofańców“, „obskurantów“ nie słuchał, powtarzali bowiem „stare“, „oklepane“ rzeczy. Dorastające pokolenie śpieszyło do „światła“, jak ćma nocna i jak ona opaliło sobie skrzydła.

Cały ten olbrzymi zastęp pełnych, pól i ćwierć-uczonych, wzmacniony przez armię świadomych i bezmyślnych naśladowców, pracował z pośpiechem pary i elektryczności nad sprowadzaniem nowej klęski rozumu ludzkiego. Dawniej łudził się człowiek przez długie wieki, dziś przechodzi jedno pokolenie kilka wręcz przeciwnych odmian. Jeszcze się wyznawcy pozytywizmu nie mieli czasu zestarzeć, a już trąbią znów inni procy po świecie do odwrotu.

Bo zawiodło wszystko...

Nasamprzód wracali sami mistrzowie cichaczem, wstydliwie, zaułkami do jakichś „przyczyn wszechrzeczy“, o których zrazu nie wiedzieć nie chcieli. Już Comte, zżymający się w pierwszej połowie swojej działalności przeciw wszelkiej „woli“ poza prawami natury, uznawał ją pod koniec życia, twierdził nawet, że: *pour compléter les lois, il faut des volontés*. I Littré, wytrwalszy w doktrynie od samego mistrza, potraçał na stare lata kilka razy o „nieskończoność“, o „ów ocean, który graniczy z naszymi brzegami, a John Stuart Mill dostrzegł w „otaczającym nas murze szpary, przepuszczające promień światła z krain nieznanych“ i skarżył się w „Autobiografii“ na analizę, na jej „siłę rozczyńną, która zabija uczucie“. Herbert Spencer podisał w „Pierwszych zasadach“ (w części o „Niepoznawalnych“) wyrok na rozum ludzki, gdy orzekł: „W jakimkolwiek kierunku zwracamy nasze badania, dochodzimy wszędzie do jakiejś nierozwiązalnej zagadki. Prawdziwy mędrzec uczy się poznawać zupełną niemoc umysłowości człowieka we wszystkim, co przechodzi zakres doświadczenia. Wytwarza on sobie bardzo wyraźne pojęcie o ostatecznej niezrozumiałości najprostszego faktu, rozważanego w samym sobie. Lepiej, niż ktokolwiek inny, wie on i wątpi, że żadna rzecz nie może być poznana w swej istocie“.

Więc owe światy nieznane, które miały nie zamącać spokoju ludzkości, obchodzą ją jednak, zaciekawiają, pociągają, a rozum nie posiada do nich klucza!? Więc potrzeba oprócz wiedzy, jeszcze czegoś innego?

Do takiego wniosku nie doszli pozytywiści, ale wysnuli go niezawodnie ich nieświadomi wyznawcy, z których wielu uwierzyło naiwnej przechwałce Berthelot'a, że nie ma już tajemnic pod słońcem.

Wiedza miała człowieka nie tylko oświecić, ale i uszlachetnić. Do tego stopnia ufali pierwsi pozytywiści jej potędze, że Littré zapowiadał w r. 1850 niedaleki pokój powszechny, „przewidziany przez socyologię“. Za lat dziesięć, piętnaście nie będzie wojen—marzył. — Narody europejskie zbliżą się do siebie, porozumieją się. Ustaną zupełnie walki ludów, a ostaną się tylko potyczki stronnictw politycznych.

Ten sam Littré, najuczciwszy z pozytywistów, posiadający odwagę do przyznania się, że zblądził, odwołał później sny swoje. Przeglądając w r. 1878 do drugiego wydania jedno z najdawniejszych dzieł („Conservation, Révolution, Positivisme“), zdziwił się poglądom swoim i proroctwom z przed laty trzydziestu. Więc dołożył do pierwotnego tekstu komentarz, składający się z licznych uwag i poprawek. Oto, co pisze między innymi: „Te nieszczęśliwe stronnice kłócą się ciągle z wypadkami, na jakie patrzyliśmy. Wije z nich ufność, sprawiająca im przykrość nawet po tylu latach. Sprawia one przykrość i czytelnikowi, który albo poskarży się na moje zaślepienie, albo też wzruszy ramionami, stosownie do tego, jak będzie dla mnie usposobiony. Za ledwo oświadczyłem, dziecinnemu ulegając entuzjazmowi, że walki narodów ustąpią w Europie walkom politycznym, kiedy wybuchła wojna krymska, po niej zaś nastąpiły: włoska, austriacko-pruska, francusko-niemiecka i wschodnia. Czy to już koniec?!... Któż to odgadnie? Z zarozumiałością, która mi się obecnie śmieszną wydaje, przeciwstawiłem tak zw. polityce realnej (*réelle*), czyli tej, która przewiduje pokój powszechny, mimo pozorów, politykę pospolitą (*vulgaire*), czyli tę, która rozstrzyga podług pozorów o pokoju i wojnie. Polityka realna łudziła się. Słuszność jest znów po stronie polityki pospolitej¹⁾.

Słuszność bywa zawsze po stronie życia, a ona troszczy się bardzo mało o formułki socyologiczne.

W krajach konstytucyjnych żrą się stronnictwa polityczne, jak dzikie bestye lasów dziewiczych Ameryki i Afryki. Nie ma

¹⁾ Emil Littré, „Conservation, Révolution, Positivisme“; wydanie drugie, str. 480 i następn.

tej nikczemności, którejby przy wyborach do parlamentu jeden kandydat nie zarzucił drugiemu. Od złodziejów sobie wymyślają, od oszustów, przed sądy się wloką, oszczercze plakaty i artykuły na siebie drukują. Za dziesiątą część tych obelg, które minister połyka bez niestrawności dla miłej pozycyi, dla władzy i dochodów, dorożkarz połamałby napastnikowi kości, a potem cisnął do „wszystkich dyabłów“ bat i jął się innego rzemiosła.

Burżoazya, dorwawszy się do stanowiska, wyzyskuje położenie tylko dla siebie i dla swoich, odsuwając od steru wszystkie inne warstwy społeczne. Żadna monarchia nie była tak wyłączna i ciasna, jak rzeczpospolita mieszczańska, cesarze bowiem i królowie umieli ocenić i przygarnąć zasługę, talent i odwagę, bez względu na ich przynależność stanową.

U stóp burżoazji huczy spienione morze podrażnionych ambicij, zawiedzionych nadziei, niezadowolonych apetytów; toczy się groźna fala tłumionej zawiści. Skrajni, skrajniejsi i najskrajniejsi radykaliści i anarchiści różnych odcieni szturmują wytrwale do fortecy obecnego porządku. Już mają i cierpliwe dawniej Niemcy sporą liczbę posłów socjalistycznych.

Tak wygląda ów pokój zewnętrznej i wewnętrznej polityki, „przewidziany przez socyologię“. Obrazem on ordynaryjnej walki o byt, pozbawionej wszelkich celów humanitarnych w szerszym stylu. Mniej dziś uczuć ogólnoludzkich, aniżeli w epokach „ciemnoty“.

Byłby niemądrym, ktoby pozytywistów posądzał o rozmyślną chęć demoralizowania narodów. Pokoju przecież pragnęli powszechnego. Prawdą wszakże mimo to zostanie, że przyczynili się pośrednio do stanu obecnego. Teorye ich uświęciły brutalność polityki współczesnej. Hrabia de Mornx i księżę von Bismark, typowi przedstawiciele i mistrzowie dyplomacyi drugiej połowy bieżącego stulecia, posługiwali się prawie zawsze argumentami ewolucjonizmu.

I na życie prywatne oddziaływały doktryny pozytywne. Pominawszy nowe gatunki łotrów, nieznanie zgasłym pokoleniom, wyzyskiwaczy, oszustów, rycerzów używania, rozkoszników, małoletnich morderców, rezonujących uczenie — całą tę brudną zgraję „wytwornych potworów“ (*monstre délicat*), podszywających się pod teorye naukowe — nie trudno odnaleźć w stosunkach obecnych wogóle skutki wskazówek pozytywizmu i ewolu-

cyonizmu. Nawet ludzie skądinąd szlachetni pytają dziś troskliwie o posagi przyszłych żon, korzą się przed Złotym Cielcem, marzą o majątkach, czują wstręt do miernego bytu. Nawet odważni lękają się ubóstwa, jak czegoś bardzo strasznego. Miejsce serca zajął wszędzie chłodny rachunek, trzymający na wodzy „nierozważne porywy“; siły cielesne przekraczająca żądza używania i rozwielmożnienie się samolubstwa w stosunkach codziennych są dziś faktami powszechnie stwierdzonymi.

Człowiekowi nie potrzeba przypominać, że ma prawo do bezwzględego egoizmu, sztukę tę bowiem potrafi on i bez rozgrzeszenia filozofów pozytywnych bardzo dobrze, gdy jego zachcianek nie powstrzymuje „bojaźń Boża“.

Nigdy nie był pieniądz, środek do używania dóbr doczesnych, tak możliwym panem, jak w chwili obecnej, i nie pchał się tak zuchwale do zaszczytów i do stanowiska towarzyskiego. Nigdy też nie usuwali się wydziedziczeni przed jego arogancją z taką uniżonością i zazdrością.

Pokoleniu, wychowanemu w wierze, że ubóstwo jest „złem samem w sobie“ i że życie człowieka, dokonane stanowczo w ramach doczesnych, nie różni się niczem od doli i niedoli zwierzęcia, nie można się dziwić, iż pragnie wysączyć do ostatniej kropli kielich rozkoszy zmysłowych.

Pije też rzeczywiście, komu środki na to pozwalają, z owej czary zawodnej, kogo zaś los wydziedziczył, ten przeklina nędzę swoją, zazdroszcząc posiadającym.

„Spryt“, przymiot szachrajów, doradca egoistów, wyrugował wszędzie „staroświecką“ uczciwość, którą nawet wyrostki pomiatają... Głupcem nazywa się człowiek dobry i prawy, nie o swoich tylko pamiętający interesach. Im kto moralnie więcej wart, im kto szlachetniejszy, pracowitszy, sumienniejszy, tem mu dziś gorzej na świecie. Słowny, rzetelny, płaci za lekkomyślnika i wyzyskiwacza; honorowy zbiera guzy za szubrawca. Pospolite oszustwo, jeżeli je zręcznie wykonano, wywołuje uśmiech, zamiast oburzenia. A to „sprytny“ — mówią przeciwni — nic więcej. Słuchając gawędy osób wykształconych, doznaje się wrażenia, jak gdyby się było w towarzystwie plugawej chałastry. Przewrotność bawi, podłość zadziwia, zuchwaństwo zachwyca. W salonie, w buduarze króluje flirt — lubieżny cynik, drażniący dwuznacznikami zmysły. Wytworne damy i „niewinne“ panienki, przywykłe od lat najwcześniejszych do

zawołowanej rozpusty słowa, do niktzemnych myśli, zakrytych niedostatecznie przejrzystą gazą błyskotliwych zwrotów — mięnią się być dowcipnemi i „interesującemi“, gdy rozmawiają, jak ładacznice. „Idyotą“, śmiesznym, źle wychowanym zowie się w świecie młodzieniec, na którego czoło wywołuje „łustosć“, wygłoszona wobec kobiet, rumieniec wstydu.

Moralność i skromność naszych dziadów i babek poszły na emeryturę — oświadczają „oświeceni“ nowszych czasów. Inne pojęcia wytworzyły inne zwyczaje i obyczaje.

Do powyższych rysów należy dodać jeszcze jeden, najwyraźniejszy. Oto zburzyła wiedza pozytywna w człowieku wolę, zatrula ją, złamała przez analizę. Rozkładała ona: ciało, duszę, życie, jego cele, nędze i przyjemności, miłość, cnotę, etykę, dobroć, zbrodnię i t. d. dopótąd na cząstki i cząsteczki, dopóki nie starła podwalin, zbudowanych przez wysiłki wieków, na miał, na piasek latający. Dość było pesymizmowi dmuchnąć w ten proch, aby się jego atomy rozwiały na wszystkie strony. Człowiek, przypatrzwszy się życiu przez lupę pozytywizmu, stracił ochotę do podaremnej walki z wiatrakami, zniechędził nie tylko bliźnich, ale i siebie. Krytycyzm strawił wolę, jak rdza żelazo hartowne.

Dopełniając charakterystyki drugiej połowy XIX stulecia, nie wolno w końcu pominąć zwyrodnienia fizycznego, które przyspieszyło nową porażkę człowieka. Współczesna inteligencja wszystkich krajów europejskich, chowana od lat najwcześniejszych w klatce, pozbawionej słońca i powietrza, zamknięta w dusznej sali szkolnej, torturowana przez wiedzę, straciła zdrowie przed dojściem do wieku męskiego. Dogorywająca już na szczęście epoka poświęciła wszystkie części ciała dla głowy, którą usiłowała zamienić na magazyn, służący do przechowywania wszystkiego, co się panom uczonym podobało wymedytować. Najwyższą ambicyą drugiej połowy bieżącego stulecia było: wiedzieć dużo, jaknajwięcej! choćby to bezskuteczne gromadzenie w trzech częściach niepotrzebnych wiadomości miało stargać siły ludzkie.

I niemądre, jednostronne wychowanie porwało rzeczywiście te siły fizyczne, bez których życie doczesne bywa często nieznośne. Ludzie siwi przed czterdziestym rokiem życia nie należą dziś do wyjątków, przedwczesna łysina nie zadziwia już nikogo, a szczęśliwiec, obdarzony nerwami zdrowymi, mógłby,

obwożony po świecie jako okaz szczególny, z bogactw jakiego zręcznego impresarya.

Oto mniej więcej obraz „szczęśliwości“, „przewidzianej“ przez socyologię pozytywną.

Filozofia, nauka, sztuka, polityka, życie prywatne, jego pośpiech i walka o byt, zaniedbanie przez szkołę strony fizycznej i moralnej ucznia, kult Złotego Cielca, nadmierna praca, manja analizy, nikotyna w końcu i alkohole, wszystko, słowem, złożyło się na to, aby zburzyć nerwy współczesnego człowieka. Niewroza pod różną postacią zatoczyła w naszych czasach koła tak szerokie, iż stała się epidemią chwili obecnej. Żadna epoka nie wydała tylu samobójców, obłąkanych, histeryków i nie-dołęgów cielesnych.

Gdy ten człowiek współczesny, wytrzeźwiwszy się z odurzenia naukowego, zestawił rzeczywistość, prawdę istotną, z obietnicami i marzeniami mędrców drugiej połowy bieżącego stulecia, i znalazł wszędzie rażące przeciwieństwo, wówczas stracił zaufanie do Mentorów swojej młodości. Doszedłszy do kulminacyjnego punktu rozstroju, powinien był nawrócić z drogi, wskazującej mu zły kierunek. Komu jednak od kołyski kładziono w uszy: ufaj tylko rozumowi, ten nie upokarza się odrazu, chętnie. Zakłąć woli, złorzeczyć, niż przyznać się do błędu. Od czego pesymizm? W jego skargach i szyderstwach znajdzie strzaskana wola pociechę, wyczerpany mózg strawę, oschłe serce zadowolenie.

I kierunki idealne rozplywały się ostatecznie zawsze w chwilowem zniechęceniu, ale w lamentach metafizyków nie przestało łkać serce, kochając ludzkość. Smuciły się one tylko, że królowa ziemi taka zależna od ciała. Płakały nad jej przeznaczeniem połowicznem, bo marzyły dla niej o skrzydłach anielskich.

Nie takiego pesymizmu potrzebowali wychowańcy materialistów XIX stulecia. Karmieni z jednej strony pychą i bezwzględnością rozumu, z drugiej zaś pobudzani zmysłowo, umieli tylko nienawidzić, gdy ich nadzieje młodości zawiodły. Oglądali się więc w Europie za najodpowiedniejszym tłumaczeniem swoich gniewów, a nie znalazłszy go między współczesnymi, cofnęli się wstecz o całe pokolenie.

Żył w Niemczech w pierwszej połowie bieżącego stulecia myśliciel, który wyprzedził rozwój filozofii o lat kilkadziesiąt. W chwili, kiedy się świat cywilizowany upajał głościami, wiel-

kiemi słowami i marzył o prawdzie, Artur Schopenhauer, samotnik, odludek, zgorzkniały stary kawaler, zrządził we Frankfurcie na temat „nicość nicości“ i drwił niemiłosiernie z człowieka.

„Przyznaję się otwarcie,—prawił do pustych ścian, bo go zrazu nikt nie słuchał,—że mnie widok zwierząt więcej bawi i cieszy od widoku ludzi, którzy we mnie wstręt budzą. Gdy patrzę na brzydotę fizyczną i moralną człowieka, na jego niskie namiętności i pogardy godne ambicje, na symptomy obłędu i przewrotności wszelkiego rodzaju, na jego zepsucie, owoc rozpręgających się obyczajów, wówczas odwracam się od niego i uciekam do natury, szczęśliwy wśród zwierząt“.

Francuzów nazwał Schopenhauer „małpami Europy“—Niemców, ziomek swoich, „nałogowymi pijakami“—Włochów „bezczelnymi“—Amerkanów „ordynaryjnymi dorobkiewiczami“ i t. d. Człowiek wogóle jest, podług niego, zły i głupi z natury, a psuje się jeszcze więcej w życiu. Szczerym, sobą bywa tylko wtedy, gdy dopuszcza się zbrodni.

Takiego filozofa upodobali sobie rozczarowani ostatniej odmiany materjalizmu europejskiego. Nie tyle sama teoria Schopenhauera, którą nie wielu zbadało, ile jego gniewliwe fukania i wymyślania zachwyciły dekadentów wszystkich narodowości.

Przez trzy części długiego życia nawet we własnym pomijanym kraju, wyrósł ponury myśliciel frankfurcki krótko przed śmiercią w Niemczech na proroka, po śmierci zaś stał się mistrzem zropaczonych Europy cywilizowanej.

We Francyi komentowali Schopenhauera: Challemel-Lacour, Ribot i in., a tłumaczyli go: I. A. Cantacuzène i M. A. Burdeau.

Dzieci nienawiści umiłowały nienawiść...

Moralność niezawisła.

Dziś, gdy nakazy moralne—pisze Herbert Spencer w przedmowie do swych „Zasad etyki“—zaczynają tracić powagę, którą posiadały na mocy mniemanej świętości pochodzenia, stało się uczynienie moralności świecką niezbędnem. Nie ma bowiem nic zgubniejszego nad upadek i zamieranie systemu regulującego, który okazał się nadal nieprzydatnym, przed ukazaniem się innego“.

Tak śpieszno było Spencerowi zastąpić dotychczasową etykę ową „moralnością naukową, niezależną, świecką, pozytywną“ lub, jak ją tam inaczej zowią, że przerwał plan swych prac, zabierając się do wykreślenia zasad etycznych daleko wcześniej, aniżeli pierwotnie zamierzał. Zwrócono bowiem jego uwagę na okoliczność, że „jeżeli nie życie, to zdrowie opuścić go może, zanimby zdołał wykonać ostatnią część zadania, jakie sobie postawił“.

Jakaż różnica zachodzi między etyką „dawniejszą“ a t. zw. naukową, świecką? Pierwsza wierzy w niezmiennie, powszechne, odwieczne prawa moralne, wszczepione w ludzkość przez potęgę wyższą, druga zaś opiera swą budowę na t. zw. „pewnych zjawiskach naturalnego poznania, na rozumie i doświadczeniu“, a wyklucza wszelki początek nadprzyrodzony.

Etyka należy do tych nauk, których się krytycyzm najpóźniej dotknął. Pierwsi filozofowie greccy, należący do szkoły

jońskiej, nie zajmowali się prawie wcale moralnością, a i eleaci przeszli obok niej, nie zastanawiając się nad nią dłużej. Tales, Anaksimander, Anaksimenes, Diogenes apoloński, Pytagoras, Ksenofanes, Parmenides, Zenon, nawet Heraklit, Demokryt i Anaksagoras nie zrobili nic dla etyki.

Słabe ślady usiłowań w tym kierunku spostrzegamy dopiero u sofistów, lecz początki to grube, pierwotne, bo mianujące siłę fizyczną źródłem praw moralnych. Nieco szlachetniej w tym względzie zapatrywali się Platon i Arystoteles, z których drugi uznawał niezmiennie prawa moralne natury, lecz o rozwoju zasad etycznych w rozumieniu dzisiejszem nie mieli i oni żadnego wyobrażenia.

Cynicy, stoicy, cyrenaicy i epikurejczycy starali się utworzyć jakiś rodzaj higieny moralnej, snując dalej nic, nawiązaną przez ich poprzedników. Luźne ich uwagi i spostrzeżenia mają w historii etyki o tyle wartość, o ile w nich można odnaleźć źródło współczesnego utylitaryzmu.

Filozofowie rzymscy żywili się, jak wiadomo, spuścizną mistrzów greckich, przezuwając cierpliwie ich teorie. I tak, był Seneka głównie uczniem stoików, a Lukrecyusz wielbicielem Epikura. I Cyceron, choć napisał kilka rozpraw treści moralnej, nie wymyślił nic nowego.

Kilkanaście wieków powstającego, rozwijającego się i krójącego w końcu wszechwładnie Chrześcijaństwa, ginie oczywiście zupełnie dla t. zw. nauki „niezawisłej“. Podnosi ona buntowniczą głowę dopiero z początkiem XVI a właściwie XVII stulecia. Już w dziełach Macchiavella i Montagne'a spotyka się pojęcia, przypominające poglądy etyczne materialistów i pozytywistów XIX w. I statysta włoski i sceptyk francuski biją czołem przed samolubstwem, jako przed jedyną pobudką czynności ludzkich. Są to jednak dopiero „wrażenia“, nieujęte jeszcze w ramy systematu.

Jak w wielu innych razach, należy się i w historii etyki naukowej zaszczyt początkodawcy Locke'mu. Wystąpiwszy przeciwko ideom wrodzonym, zrobił myśliciel angielski przełom w filozofii w ogóle i stworzył nowy kierunek, który znalazł licznych zwolenników i pogłębiaczy. Śladami jego poszli wszyscy „realiści“, materialiści i pozytywiści. Rozrywali oni dawny porządek z wielką skwapliwością i nie oprzytomnieli nawet po pierwszej rewolucyi francuskiej. Encyklopedyści zburzyli do re-

szy moralność Chrześcijaństwa, lecz nowej nie umieli postawić. Pracy tej podjęli się pozytywiści XIX wieku, głównie zaś Herbert Spencer, któremu August Comte wskazał drogę, zastosowawszy w swej „Socyalnej dynamice“ teorię ewolucyjną. Idea rozwoju, wynalazek bieżącego stulecia, jest cementem, który spoił różne, dawniejsze poglądy „wrzekomo etyczne“. Jej to zawdzięczamy „moralność niezawisłą“, mającą zastąpić dotychczasowe zasady prawego postępowania.

Za podstawę krytycznego rozbioru etyki „świeckiej“ należy przyjąć „Dane moralne“ Herberta Spencera, dzieło to bowiem jest ostatnim wyrazem wszystkiego, co dotąd w tym kierunku wypowiedziała „nauka niezawisła“ XIX stulecia. Naczelnik pozytywistów angielskich uczy rozumu nietylko t. zw. czystych intuicyonistów, którzy utrzymują, że człowiek rodzi się z poczuciem moralnym i ze zdolnością wykonywania uczynków etycznych, lecz poprawia nawet swych kolegów z obozu utilitarnego (Jeremiasz Bentham, John Stuart Mill i t. d.), gdyż i oni „uwzględniają za mało ostateczne związki przyczynowe“

Poglądy etyczne Spencera znalazły bardzo szybko wielu gorliwych zwolenników i krzewicieli. We Francyi walczył pod ich sztandarem Alfred Fouillée i sławę ich głosił w parlamencie Juliusz Ferry; we Włoszech popularyzował mistrza angielskiego głównie Ardigo, w Niemczech B. Carner i inni, porównywający Spencera z Arystotelesem; w Polsce stroi się w błyskotliwe strzępy „moralności niezależnej“ mnóstwo postępowców wychowanych na pozytywizmie nadsekwańskim.

Spencer rozpoczął swe obszerne studjum od postępowania w ogóle ¹⁾.

Jest pewnikiem, — mówi on — iż rzeczy współrzędne warunkują się wzajemnie, iż żadne pojęcie o całości nie może się utworzyć bez budzącego się wyobrażenia o częściach ją składających i odwrotnie. Niedokładna znajomość jednej pociąga za sobą z rozmaitych względów niedostateczne poznanie drugiej. O zasadzie tej trzeba pamiętać głównie wtedy, kiedy całość jest

¹⁾ W pracy niniejszej posługiwałem się przekładem „Etyki“ Spencera, dokonany przez Jana Karłowicza, Warszawa 1884; nakładem Spółki nakładowej. Oprócz tego korzystałem z bardzo dobrych wskazówek ks. Wiktora Cathrein'a, zawartych w jego krytyce etyki spencerowskiej. (Przekład polski, wydany staraniem „Przeglądu katolickiego“). (Przyp. aut.).

organiczną, gdy należyte zrozumienie części wymaga zupełnego ogarnięcia całości. Pewnik ten stosuje się nie tylko do agregatów cielesnych, ale i do niecielesnych, do złożonych ruchów i czynności, do słów i myśli.

Postępowanie jest całością, zlepioną z czynności, zależnych od siebie wzajemnie, a dokonywanych przez pewien organizm. Ta zaś strona postępowania, którą się etyka zajmuje, jest częścią owej całości organicznej. Ma się rozumieć, że moralisty nie obchodzi szczegółowo postępowanie wogóle, lecz tylko to, które obejmuje wszelkie celowanie, czyli stosowanie czynów do celów, od najprostszego do najbardziej złożonego, jakiegokolwiekby ono było natury. Ponieważ jednak i tej części wielkiej całości nie pojmiemy dostatecznie, dopóki będziemy się zastanawiali jedynie nad postępowaniem obecnem, przeto należy posłużyć się i w badaniach etycznych wynikami teorii ewolucyjnej. Rozważanie rozwoju postępowania powinno być pierwszą działalnością każdego umiejętnie pracującego moralisty.

Jeżeliby bowiem cały świat widomy powstał z rozwoju, jeżeli system słoneczny, jako całość, ziemia, jako część jego, życie wogóle, jakie tylko jest na ziemi, oraz życie każdej istoty, — jeżeli zjawiska duchowe, dostrzegane u wszystkich jestestw, oraz takież objawy u skupień tych jestestw, — jeżeli jednostka i całość ulega prawom rozwoju, — to wynika stąd koniecznie, że i zjawiska postępowania jestestw najwyższych, stanowiące przedmiot etyki, muszą podlegać ogólnym prawom.

Rozwój organizmów w szeregu doskonalących się istot zwierzęcych stoi oczywiście poza obrębem etyki. W zakres jej wchodzi wszelkie czynności łączne, zewnętrzne, wykonywane przez ludzi i przez jestestwa niższe, mniej lub więcej rozwinięte.

Rzuciwszy kilka uwag wstępnych, przechodzi Spencer do określenia i ustalenia pojęć o dobrem i złem postępowaniu.

Pospolicie nazywamy pewne przedmioty dobrami lub złami o tyle, o ile mniej lub więcej odpowiadają swemu przeznaczeniu. Dobrem jest pióro, które pisze łatwo, zadzierające zaś papier zowie się złem i t. d. To samo odnosi się i do czynności nieżywotnych, w końcu do żyjących. I pod względem etycznym nazywamy coś dobrem i złem, odpowiednio do skuteczności lub nieskuteczności celowania.

Trzy rodzaje celowania rozpatruje Spencer, aby udowo-

dnie prawdy powyższego twierdzenia: pierwszy, dążący ku samozachowaniu, drugi, mający na względzie hodowanie potomstwa, trzeci, obejmujący takie czyny, za których pomocą człowiek styka się z bliźnimi. Najglówniejszą kategorią jest ostatnia, bo ona dopiero określa wszechstronnie znaczenie dobrego i złego postępowania w rozumowaniu etycznym. Na drodze bowiem do utrzymania własnego życia i wyhodowania potomstwa, celowanie jednostki tak łatwo staje w sprzeczności z potrzebami bliźnich, że wytwarza się konieczność ciągłych ograniczeń popędów samolubnych. W skutek tego łączą się wyrazy dobry i zły, szczególnie z takimi czynami, które służą, lub szkodzą pełni życia całego społeczeństwa. I w tym więc razie nazywa filozof angielski postępkami złymi lub dobrymi, stosownie do dobrego lub złego ich celowania, a jeżeli zachodzą jakie sprzeczności w użyciu tych wyrazów, to źródłem ich bywa sprzeczność w celach.

Zastanawiając się w dalszym ciągu nad różnemi definicyami dobrego i złego, dochodzi Spencer do tego przekonania, że dobro w ogóle jest tem, co sprawia przyjemność, choć „prawdę“ tę skrzywiły rozmaite wpływy moralne, teologiczne i polityczne, działające, jak wiadomo, bardzo silnie na umysły ludzkie.

Że dawniejsi moralisci błędzili po manowcach różnych dowolnych przypuszczeń, nie wytrzymujących krytyki, pochodzi z zaniedbania ostatecznych związków przyczynowych. Dotychczasowi etycy uznawali wprawdzie przyrodzone skutki postępów, lecz czynili to tylko przygodnie, nie wiążąc ich w system poznawania koniecznych stosunków między przyczynami i następstwami i nie wywodząc praw postępowania ze sformułowanego ich ustalenia. Tymczasem powinna każda umiejętność rozpocząć swoją czynność od gromadzenia spostrzeżeń i od natychmiastowego ich uogólniania na drodze empirycznej. Naprzód trzeba zbierać fakty, potem wnioski z nich płynące, a dopiero na samym końcu tłumaczyć je dedukcyjnie. Tak postąpiła sobie astronomia i dlatego stała się rzeczywiście nauką, tak samo pracują obecnie geologowie, psychologowie, socyologowie i t. d. Jedyni moralisci upierali się do czasów najnowszych przy zużyciu już metodzie.

Z czterech stron trzeba się zabrać do etyki. Ma ona nasamprzód część fizyczną, bo zajmuje się działalnością człowieka,

która ulega, jak wszelki objaw siły, prawu stateczności energii, powtórę część biologiczna, gdyż rozważa pewne wewnętrzne i zewnętrzne, jednostkowe i społeczne skutki zmian życiowych, zachodzących w najwyższym okazie jestestw żywych, po trzecie część psychologiczną, która rozbiera postęпки, spowodowane uczuciami, a kierowane umysłem, nareszcie część socyologiczną, o ile te uczynki dotyczą istot uspołecznionych. Z powyższego powodu znajduje etyka ostateczne wyjaśnienie tylko w prawdach zasadniczych, wspólnych: w fizyce, biologii, w psychologii i socyologii.

Konieczność posłużenia się fizyką opiera Spencer na tej zasadzie, że postępowanie, o ile się je poznaje przez doświadczenie, składa się ze zmian, podpadających pod [dotykane, widzenie i słyszenie. Pomijanie tej strony przez dawniejszych moralistów spowodował nałóg przebiegania myślą od spostrzeganych uczynków ludzkich do przyczyn, z czego wynikło, że przywykliśmy określać te uczynki orzeczeniami duchowemi, zamiast cielesnami. Mówimy prawie zawsze o myślach i uczuciach, zapominając o objawach zewnętrznych, ujawniających te myśli i uczucia.

Wiadomo, że gdy pewien agregat zjawisk się rozwija, to nie tylko materya, z której się składa, ale i ruch jej przechodzi z bezspójnej nieokreślonej jednorodności w spójną, określoną różnorodność. Zachodzi pytanie, czy postępowanie okazuje te znamiona w coraz doskonalszym stopniu, wznosząc się na wyższe szczeble i dosięgając najwyższego, który nazywamy etycznym. Spencer odpowiada na to twierdząco.

I rzeczywiście prawdą jest, że postępowanie istot niższej organizacyi nie odznacza się wcale łącznością pojedynczych działalności. Ruchy bezcelowe, wykonywane przez żyjątko, stoją rzadko w związku z poruszeniami, odbytemi przed chwilą, ani też wpływają na następne. Ale już ptak np. posługuje się całym szeregiem ruchów łącznych, odbywających się w ciągu dość znacznego czasu, człowiek zaś choćby na najniższym znajdujący się stopniu, okazuje daleko spójniejsze kombinacje. Lecz największą łączność części składowych widzimy w takim postępowaniu, które zwiemy moralnem, w porównaniu z niemoralnem. Bo czyny gorszego rzędu zawierają w sobie działania luźne, podczas kiedy postępowanie lepsze, ulegające zwykle surowemu porządkowi, odznacza się jednością i spójnością. Im się ono bardziej umoralnia, tem ściślejszy dostrzegamy w niem związek czynności poprzednich z następnymi.

To samo odnosi się do określoności ruchów, składających się na postępowanie i do różnorodności, gdyż obiedwie te właściwości doskonala się na tych samych warunkach, co poprzednia. W miarę bowiem doskonalenia się postaci życia, jako też równocześnie z pomnażaniem się różnorodności w budowie i funkcjach, powstaje coraz dokładniejsza określoność i coraz znaczniejsza różnorodność w szeregach ruchów zewnętrznych i w ustosunkowaniu tych szeregów.

Zdawałoby się może, iż życie moralne przejawia się właśnie w formach jednostajnych. Tymczasem ma się rzecz zupełnie przeciwnie. Im bowiem kto lepiej spełnia obowiązki tak względem siebie, jak i bliźnich, tem bardziej urozmaiconą staje się jego działalność.

Rozwój postępowania, rozważanego ze stanowiska moralnego, dąży, jak każdy inny, ku równowadze. Wynika stąd, że życie moralne równa się doskonałemu utrzymaniu ruchomej równowagi. Prawda ta wyda się najjaśniejszą wtedy, gdy przypatrzemy się, jak owe rytmy fizyologiczne, słabo zarysowane w ustroju niższego rzędu, stają się coraz regularniejszymi i różnorodniejszymi w swych przejawach przy wydoskonaleniu się ustrojów.

Sam Spencer domyślił się, że to „przedstawienie postępowania moralnego w terminach fizycznych“ wygląda trochę dziwnie... grzecznie mówiąc. Przeto uważa za potrzebne zapewnić czytelnika przy końcu rozdziału V-go, zajmującego się ową „stroną fizyczną“ etyki, że istnieje zupełna odpowiedniość między rozwojem moralnym, a określonym w sposób powyższy. Bo,—twierdzi,—jeżeli owo ustosunkowanie materji i ruchu, które stanowi rozwój, odbywa się we wszystkich jestestwach, to prawa jego muszą się ujawniać zarówno w najdoskonalszych, jak i we wszystkich innych istotach, a działalność ich rozłożona na ruchy, musi prawa te udowodnić.

I w dalszym ciągu swych twierdzeń posługuje się Spencer z szczególnem zamiłowaniem „terminami fizycznymi“. Przecho-
dząc do strony biologicznej etyki, mniema, że: idealnie moralnym człowiekiem jest taki, u którego wszystkie funkcje działają należycie. Ponieważ każda funkcja pozostaje w prostym lub ubocznym związku z potrzebami życia, sam bowiem fakt istnienia, jako wynikły z rozwoju, jest dowodem, że się wytworzyła, bezpośrednio lub pośrednio, ze stosowania się działania wewnątrz-

nego do zewnętrznego, przeto powoduje nieprawidłowość w sprawności jakiegokolwiek funkcyi niewypełnienie jednego z warunków zupełnego życia! Wszelka zaś niemoralność zakłóca pożądaną równowagę i oddziaływa szkodliwie na ustroj, z czego wynika, że... moralną można nazwać tylko taką jednostkę, której liczne a rozmaite funkcyje działają w stopniu, odpowiadającym należycie warunkom istnienia, czyli, że odbywanie wszystkich funkcyj jest pod pewnym względem powinnością moralną.

Wyniósłszy w ten sposób proste ruchy zwierzęce do znaczenia działalności etycznej, przyznał jednak Spencer, że wobec niej dobre przejściowej, odznaczającej się bardzo niedokładnem przysposobieniem naszego ustroju do warunków otaczających, zmusza nieraz najświętszy obowiązek moralny do postępowania, szkodliwego ze stanowiska fizycznego i biologicznego. Wszakże przemijające to tylko wyjątki, które nie usuwają prawdy naukowej, że niemoralnym jest, kto nie dba o zdrowie i dzielność swego ciała.

Tak więc i fizyka i biologia zgadzają się w swych zapytaniach na postępowanie w ogólności ze stanowiska rozwojowego. Co z punktu fizycznego nazwał Spencer równowagą ruchomą, to z biologicznego ochrzcił mianem równowagi funkcyj. Wynikiem tej harmonii jest zastosowanie pewnych funkcyj do pewnych czynności, które utrzymują i stanowią pełnię żywota, do czego znów rozwój postępowania nieustannie dąży. Przechodząc zaś do uczuć, towarzyszących działaniu funkcyj, przekonywa się pozytywizm, że przyjemność jest w rozwoju życia organicznego główną podporą ich normalnej sprawności.

I znów wrócił Spencer do owej przyjemności, którą uważa za podwalinę wszelkich sądów o dobrem i złem, za podstawę moralności naukowej, gdyż, jak niepodobieństwem byłoby utworzyć sobie pojęcie o przedmiocie bez świadomości przestrzeni, tak też niemożliwym jest (według niego) istnienie pojęć etycznych bez znajomości jakiegokolwiek, kiedykolwiek i przez kogośkolwiek doświadczanej przyjemności.

Ma się rozumieć, że „termina fizyczne“ nie dopisały Spencerowi w tym rozdziale, w którym zastanawia się nad stroną psychologiczną etyki. Jeżeli w poprzednich częściach swego studyum nagromadził mnóstwo twierdzeń i wniosków, które nazywa sam „dziwnymi“, to stracił w tak „niezmiernie zawilym

przedmiocie“, jakim jest psychologia, pewność swą zupełnie, choć starał się być jasnym i głębokim.

Przechodząc do socyologicznej strony etyki, musiał pozytywista angielski przekroczyć ciasne granice swego stanowiska. Ponieważ bowiem człowiek jest istotą, żyjącą przeważnie w towarzystwie, przeto nie może oczywiście myśleć tylko o fizycznej równowadze ruchomej i biologicznej, równowadze funkcyj, ani nawet o przyjemnościach i przykrościach, wytwarzanych przez uczucia moralne, gdyż równowaga jednostki wywołuje rzadko taki sam stan społeczeństwa. Dlatego, postępując od człowieka przedspołecznego ku uspołecznionemu, musi etyka dodać nowy czynnik do formuły powyższej. A czynnik ten dodatkowy, w zagadnieniu pełnego żywota gra tak ważną rolę, że z konieczności wynikające zmiany w postępowaniu zajęły główną część w kodeksie życia. Wiadomo, że popędy odziedziczone, mające bezpośredni związek z zachowaniem żywota jednostki, pozostają często w niezgodzie z działalnością innych ludzi, tem więcej, że uczucia, uwzględniające prawa bliźnich, są stosunkowo słabe, przeto kodeksy moralne obostrzają powściągliwości w postępowaniu. Z socyologicznego więc stanowiska jest etyka właściwie tylko wyraźnem określeniem sposobu postępowania, zastosowanego do stanu uspołecznionego, tak, iżby życie każdej jednostki i wszystkich wogóle mogło być najpełniejszym, czyli najdłuższem i najszerszem.

Lecz to podporządkowanie pomyślności osobistej pod społeczną jest, według Spencera, tylko przygodnem, gdy zawisło od obecności społeczeństw nieprzyjaznych. Dopóki istnienie pewnego ogółu zależy od niebezpiecznego sąsiedztwa drugiego, dopóty musi jednostka poświęcać swe widoki pożytkowi wszystkich. Ograniczenie to jednak przestanie być obowiązkiem moralnym z chwilą ustąpienia niebezpieczeństw. Wspieranie żywota jednostek było i jest ostatecznym celem wszelkiego postępowania, a jeżeli cel ten poddaje się czasem pilniejszemu, to tylko dlatego, że był środkiem do najwyższego.

Po długich więc dowodzeniach, krętymi, choć pozornie prostymi ścieżkami doszedł Spencer nareszcie tam, skąd powinien był od razu wyjść, mianowicie: do uznania samolubstwa, jako głównego twórcy „niezawisłych“ zasad etycznych. Ograniczył on, jak wszyscy pozytywiści, egoizm prawami altruizmu, lecz to „współczucie“ rozplywa się ostatecznie zupełnie w pragnieniu zaspokajania osobistych zachcianek jednostki.

Do zręcznego podobny adwokata, dysputuje nasamprzód krzewiciel „moralności naukowej“, jako egoista przeciw altruizmowi, następnie przemawia w imieniu altruisty przeciw egoizmowi, w końcu przeprowadza kompromis między obydwojema szermierzami i godzi ich.

Egoista twierdzi, że każda istota musi wprzód żyć, zanim zdoła być czynną, z czego wynika, że czynności, służące do podtrzymania życia, muszą przodować ważnością swą przed innymi, do których istota owa jest uzdolnioną. Bo jeżeliby utrzymywano, że inne czynności muszą mieć pierwszeństwo przed życiozachowawczymi i jeżeliby wszyscy stosowali się do tej zasady, przyjąwszy ją za powszechne prawo postępowania, w takim razie ustałoby życie, gdyż stawianoby podtrzymujące je czynności niżej od tych, które je dopiero umożliwiają.

Z punktu widzenia biologicznego nie ulega wątpliwości, że egoizm idzie przed altruizmem. Samolubstwo nie zadowala się jednak tem ustępstwem, bo mniema, że to samo założenie należy przyjąć także i ze stanowiska etycznego.

Nieudolność, jakiegokolwiek będzie rodzaju i stopnia, — odzywa się egoista — pociąga za sobą wprost lub ubocznie niepomysłność; wprost przez cierpienie, wynikające z nadużywania niedostatecznej zdolności a ubocznie, przez zupełne lub częściowe niespełnianie pewnych warunków pomysłności. Odnosi się to nie tylko do większej lub mniejszej tępości, albo bystrości zmysłów, lecz także do wyższego lub niższego stopnia roztropności. Nieuniknione to prawo, wedle którego każdy osobnik gatunku nosi na sobie skutki swej własnej natury, przelewając je równocześnie na potomstwo, dąży nieustannie ku zwiększaniu zbiorowej pomysłności gatunku, dopomagając rozmnożeniu się szczęśliwszych, a przeszkadzając wzrostowi mniej szczęśliwych. Dlatego trzeba uznać wniosek, że dążenie do pomysłności osobistej, w granicach wymagań społecznych, jest naczelnym warunkiem do osiągnięcia największej szczęśliwości ogółu. Aby się o tem przekonać, dość porównać człowieka, którego własne szanowanie się utrzymało w dobrym stanie cielesnym, z innym zniszczonym przez lekkomyślne pomijanie potrzeb fizycznych, a potem spytać, jaki to być musi kontrast pomiędzy dwoma społeczeństwami, złożonymi z samych dwojakiego tego rodzaju osobników.

Człowiek powinien być samolubnym w takiej mierze, iżby wszystkie jego wymagania, łączące się z należytem działaniem funkcyi, były zaspokajane. Winien oprócz tego szukać wszelkich przyjemności, których życie dostarcza, okrom bowiem skutków, które one wywierają, podnosząc falę żywota i utrzymując dzielność organizmu, sprawiają i ten jeszcze, że podtrzymują i zwiększają zdolność doznawania przyjemności. Czynić to powinien każdy osobnik „moralny“ ze względu na potomstwo, w którym bezbarwne i niedołęzne życie rodziców, zmniejsza na mocy praw o dziedziczności władzę najlepszego wyzyskiwania przypadających mu przyjemności.

Pamiętać w końcu należy, że przesadne pomijanie osobistych potrzeb wiedzie wprost lub ubocznie do skrajnego samolubstwa. Gdy bowiem źle zrozumiany altruizm wytwarza szkody fizyczne, wówczas objawia się dążność ku liczebnemu zmniejszaniu się altruistów, a przez to ku wzrostowi przewagi egoistów. Posunięte do ostateczności zaparcie się siebie, dla dobra innych, prowadzi nieraz do śmierci małżeństwa przed zwykłym czasem, albo do wyrzeczenia się zamążpójścia, jak to bywa u sióstr miłosierdzia, lub też do niemożności zgromadzenia koniecznych do założenia rodziny środków majątkowych. We wszystkich tych wypadkach przesady, altruista nie pozostawia potomstwa, czyli nie spełnia swego przeznaczenia. Zaniedbanie przeto samego siebie, obniżając prawidłowy poziom sił cielesnych, prowadzi ostatecznie do znacznego nadmiaru samolubstwa.

W ten mniej więcej sposób dowodzi egoizm, że przoduje pod względem ważności przed altruizmem, drugi jednak zapasnik nie uważa się za pobitego, bo dysputuje ze swej strony równie wymownie.

Altruizm, nazwany także „współczuciem“, obejmuje według Spencera, wszystkie czynności, które w normalnym biegu rzeczy przynoszą korzyść innym, zamiast osobie działającej. Pod altruizm w tem obszernem znaczeniu, podciąga pozytywista angielski czynności, które ochraniają potomstwo i podtrzymują gatunek. Wyłączyć tu należy nietylko czynności, dokonywane ze świadomością, lecz i t. zw. automatyczne, a nawet czysto fizyczne. W tem rozumieniu będzie już samorodne (spontaniczne) rozszczepianie się, czyli dzielenie najprostszych jestestw pewnym rodzajem altruizmu.

Dotąd mniemano, że altruizm jest świadomem poświęceniem się dla dobra bliźnich. Moralista jednek „niezawisły“, który w swej etyce mówi tylko o samozachowaniu, o utrzymaniu potomstwa i gatunku i o przyjemnościach, uważał za właściwe... rozszerzyć to ciasne pojęcie.

Ponieważ jakaś ofiara jest w swej prostej postaci fizycznej niezbędnie potrzebną do utrzymania życia od samego początku, a w dalszym ciągu gatunku w ustrojach wyższego rzędu; ponieważ, rozwijając się w na wpół świadomą i świadomą postać, łączy się z nieustanną i złożoną troskliwością, przez którą potomstwo doskonalszych jestestw dochodzi dojrzałości, — przeto widoczna jest, że altruizm rozwijał się jednocześnie z egoizmem. Ważność tak pojmowanego altruizmu nie jest zaprawdę mniejszą od wykazanej poprzednio siły egoizmu, gdy bowiem z jednej strony wypełnianie normalnych czynności egoistycznych pociąga za sobą osłabienie lub stratę życia, wytwarzając niemożność wykonywania czynności altruistycznych, to, z drugiej, brak czynności altruistycznych, przyczyniający się do śmierci lub do niedostatecznego rozwinięcia się potomstwa, warunkuje znikanie u przyszłych pokoleń skłonności niedość altruistycznych i zmniejsza tym sposobem egoizm przeciętny.

Jak część biologiczna etyki popiera samodzierce uroszczenia egoizmu, tak staje socyologia po stronie altruizmu. Ochrona bowiem interesu osobistego każdego człowieka tem jest przeciętnie skuteczniejszą, nietylko im więcej się sama powściąga od bezpośredniego krzywdzenia innych, lecz także, im się jej więcej udaje uszczuplić wzajemne krzywdzenie się bliźnich. Prowadzenie niezgód pomiędzy otaczającymi przeszkadza czynnościom każdego osobnika w dążeniu do przyjemności. Stąd to korzysta egoistycznie ze wzrostu altruizmu nawet samolub, gdy skłania wszystkich do pomagania w zapobieganiu lub zmniejszaniu uczynków niemoralnych innych ludzi. Tak samo zyskuje i altruista z powściągnięcia zbytniego egoisty. Powszechnie bowiem uznanie zasady, że uczciwość jest najlepszą polityką, wynika z doświadczenia, które uczy, że zadowolenie uczuć samolubnych potęguje się w miarę rozumnego ich hamowania. Każdy jest osobiście interesowanym w zapewnieniu uczciwości w stosunkach z bliźnimi, gdyż z nierzetelności wynikają złe następstwa dla niego samego. Wiadomo np., że im bardziej kupcy przekraczają swe zasoby i rzucają cudzą własność w obroty spekulacyjne,

tem groźniejszymi bywają owe przewroty handlowe, które sprowadzają klęski na miliony ludzi.

Przesadny zresztą egoista, poświęcający całą energię sprawom prywatnym, usuwający się zupełnie od działalności publicznej, pyszniący się mądrością swoją w załatwianiu interesów osobistych, zapomina, że jego własny dobrobyt o tyle tylko może się prawidłowo rozwijać, o ile utrzymuje się zdrowy stan społeczny.

Czynności w końcu altruistyczne, oprócz popierania ogólnej pomyślności, prowadzą do przyjemności egoistycznych, wytwarzając... wesołe otoczenie. Każdy bowiem przestaje chętniej z ludźmi szczęśliwymi, aniżeli z upośledzonymi w jakikolwiek sposób.

Na tem „wesołem“ spostrzeżeniu kończy altruizm obronę swych praw. Twierdzi on, że jego rodowód jest równie starodawny, jak genealogia egoizmu. Idzie teraz o to, który z dwóch zapaśników ma rację, gdyż spór ich zakrawa na walkę wieczną. Spencer omija zręcznie tę słabą stronę etyki „niezawisłej“, godząc po przeprowadzonym kompromisie altruizm z egoizmem, a czyni to w sposób następujący:

Najpierwotniejszy nawet egoizm nie jest pozbawionym pierwiastków altruistycznych i odwrotnie. Ofiarę rodziców, ponoszoną na korzyść dzieci, równoważy przyjemność, wynikająca z zaspokojenia instynktów rodzicielskich. Ponieważ miłość, która jest sama przez się rozkoszą, pobudza więcej do troskliwości o potomstwo, aniżeli obowiązek, przeto można śmiało twierdzić, że zapewnienie szczęścia dzieciom zespala się ze szczęściem samych rodziców. Trudy te zresztą zmniejszą się w przyszłej dobie rozwoju, która wraz z wyższym ustrojem ludzkim, polegającym na znacznie szerszym wykształceniu umysłowym, przyniesie zmniejszenie płodności.

Wprawdzie altruizm społeczny, jako nie posiadający pewnych żywiołów rodzicielskich, nie dosięgnie nigdy równej z nim wysokości, mimo to wolno jednak przewidywać, że stanie się podobnym do drugiego w stanie instynktowości, to jest, że do takiej dojdzie miary, że troska o cudze szczęście stanie się codzienną potrzebą, że niższe przyjemności egoistyczne zajmą podrzędną rolę wobec tych wyższych i to nie wskutek pewnego wysilenia, lecz przez upodobanie w subtelniejszych zadowoleniach egoistycznych.

Czynności, wynikające z uczuć względem bliźnich, zaliczać należy do takich, których wymagają warunki społeczne. Z praw życia wolno wnioskować, że nieustający wpływ szkoły społecznej tak urobi naturę ludzką, że ludzie będą z czasem szukali przyjemności altruistycznych dla nich samych i to w stopniu najkorzystniejszym dla każdego i dla wszystkich.

Zanim nastąpi ten stan błogosławiony, pozostają dla altruizmu trzy drogi:

1) W sprawie wychowywania dzieci musi altruizm pozostać nazawsze dozorcą egoizmu. Jakkolwiek bowiem konieczność ta ustępować będzie w miarę zmniejszania się ilości potomstwa, z drugiej jednak strony rosnać znów musi wskutek wzmocnienia staranności i przedłużenia zachodów wychowawczych. Pociąga tylko ta okoliczność za sobą to, że czynności altruistyczne, podjęte w tym kierunku, godzą się w pewnej części z samolubnymi przyjemnościami rodzicielstwa.

2) Dążenie ku dobru społecznemu powinno zostać i nadal polem dla poświęcenia widoków własnych na rzecz altruistycznych, lecz w zakresie coraz mniejszym, ponieważ w miarę postępu przystosowania się do stanu społecznego, mniejszą staje się potrzeba tych czynności regulujących, które przyczyniają się do zgodności w życiu społecznym.

3) W stosunkach prywatnych, sposobności do pobudzanych współczuciem ofiar, następczać się będą musiały zawsze w pewnym, z czasem dość małym stopniu, w razach przypadków, chorób i nieszczęść wogóle. Jakkolwiek bowiem blizkiem zupełności stać się może niegdyś przystosowanie natury ludzkiej do warunków istnienia, tak fizycznych, jak społecznych, nigdy jednak nie stanie się zupełnem.

Chociaż w biegu życia powszedniego niezwykle poświęcenia na rzecz innych muszą stać się bardzo rzadkimi, to stosunki codzienne nie przestaną nasuwać mnóstwa drobnych sposobności dla czynów miłości bliźniego. Każdy będzie mógł i nadal przyczyniać się do dobra ogółu, zabezpieczając bliźnich od nieszczęść, których oni nie mogą przewidzieć i dopomagając ich działalności sposobami im nieznanymi; albo też, odwrotnie rzecz biorąc, każdy będzie mógł liczyć na to „pomocnicze oko i ucho“ u bliźnich, które dostrzegą za niego to, czego on sam nie dostrzeże, przez co życie jego doskonalić się będzie nawet

w wielu mało ważnych szczegółach, uzupełniając przystosowywanie się żywota do czynności otaczających.

W ostatecznej swej postaci przeto, altruizm będzie osiągnięciem rozkoszy przez współczuwanie tych przyjemności bliźnich, które wynikają głównie z ich przeróżnych a pomysłnie dokonywanych czynności—rozkoszy współuczuciowej, która doświadczającego jej nie kosztuje, a jest bezpłatnym dodatkiem do jego przyjemności egoistycznych. Najwyższy bowiem altruizm na tem się zasadza, że dopomaga nietylko egoistycznym przyjemnościom bliźnich, ale i altruistycznym.

Dopóki nie nastąpi ten upragniony przez Spencera idealny (z jego stanowiska) stan ludzkości, nie może być mowy o czynnościach bezwzględnie etycznych, któreby pomnażały życie wszechstronnie i negowały wprost wszelką przykrość, czyli nie sprawiały żadnej nieprzyjemności. Mówić tylko dziś można o postępowaniu względnie moralnem.

Rozebrawszy powyższy szkic „Zasad Etyki“ Spencera z żargonu pozytywno-filozoficznego i wycisnąwszy ze sporego tomu, zapełnionego mnóstwem wywodów rozwlekłych, nużących, powtarzających się ciągle i nie zawsze jasnych, treść istotną, będzie moralność naukowa wyglądała jak następuje:

Cokolwiekby pisano dotąd w kierunku etycznym, nie wytrzymuje krytyki nowszych czasów. Wyrok ten odnosi się nietylko do meralności religijnej i intuicyjnej, lecz także do utylitarnej. Pierwszy Spencer odkrył tajemnicę prawego postępowania; jest on Kopernikiem etycznym, twórcą jedynie nieomylnego systematu. Co przed nim myślano, tworzono, marzono, nie zasługuje na trwalszą pamięć.

Na czem polega jego wiekopomny wynalazek? Oto na ścisłem zastosowaniu teorii ewolucyjnej do badań etycznych.

Wszystko, co jest, jest dziełem nieświadomie działającego mechanizmu rozwojowego. Nieistnienie Boga, duszy w „daw-nem“ rozumieniu, idei wrodzonych, wolnej woli i t. d. rozumie się samo przez się. O takich elementarnych prawdach wiedzy nowoczesnej nie mówi nawet wielki mędrzec Albionu.

I człowiek jest tylko owocem tego procesu mechanicznego z całym aparatem swych: czynności, potrzeb, zachcianek i wierceń. Postępowanie jego, bez względu na jakość, podlega prawom tego procesu, i dlatego powinna także etyka oprzeć się na ewolucyi, aby za jej pomocą wyjaśnić wszelkie zjawiska moral-

ne. Jej pomocnicami są: fizyka, biologia, psychologia i socjologia, gdyż one to zamykają w sobie zasadnicze wytyczne ewolucji.

Fizyka, zastanawiająca się nad kombinacją materii i ruchu, twierdzi ostatecznie, że niema człowieka moralnego bez względnie doskonałej t. zw. równowagi ruchomej.

Według biologii jest moralnym taki osobnik, którego funkcje przystosowują się należycie do warunków istnienia.

Psychologia zaś wyświeśla powstawanie i systematyczny rozwój t. zw. samodozoru i świadomości obowiązku.

Socjologia w końcu wykazuje, w jaki sposób wytwarzały się konieczne ograniczenia postępowania samolubnego na korzyść innych. Jest ona rzecznikiem altruizmu praktycznego.

Cóż jest, według Spencera, dobrem, a co złem? Moralnie dobrem nazywa się takie postępowanie, które pomnaża wszechstronnie życie jednostki i jej bliźnich. Ponieważ zaś popieranie życia rodzi większą sumę przyjemności, przeto dobrem w ogóle jest takie postępowanie, które sprawia przyjemność.

A cóż pobudza człowieka do wszelkiej działalności? Oczywiście, że w pierwszym rzędzie egoizm, któryby zupełnie wystarczył, gdyby jednostka nie potrzebowała liczyć się z drugim, trzecim, setnym, tysięcznym i t. d. osobnikiem. W życiu społecznym musi altruizm hamować jednostronne popędy samolubstwa. Jednak chwilowe to tylko, przejściowe ścieśnienie praw egoizmu, wynikające z niedostatecznego przystosowywania się człowieka do jego otoczenia. Gdy nieprawidłowość ta minie, osłabnie także tyrania altruizmu, który, zresztą, można nagiąć do tego, aby nie sprawiał przykrości.

Rozkosz bowiem, rozkosz byle najobfitsza, oto główne, jedyne hasło moralności „niezawisłej“.

Sam Spencer wątpi, czy jego „etyka znajdzie jakiegokolwiek uznanie, gdyż nie zgadza się ona ani z uczuciami, ani z pojęciami pospolitemi“.

Chciałże inaczej, mógłże spodziewać się innego przyjęcia? Wymyślił moralność dla drapieżnych zwierząt, zamkniętych w klatce przez pogromcę, któremu na imię: społeczeństwo! moralność dla sybarytów, filistrów, episierów, moralność „indystryjną“, a pragnąłby powszechnego jej zastosowania?

Dotychczasowi moralisci szukali prawideł etycznych w duszy i sercu człowieka, uwzględniając przede wszystkim uczynki

wolnej woli. Wewnętrzna wartość jednostki była jej główną miarą. Mniemano, że najwięcej upośledzona istota jest w krainie etyki równouprawnioną z najsilniejszą, że niema nędzarza, któryby nie mógł być szlachetnym, podniosłym... moralnym, choćby jego „łączone czynności zewnętrzne“ były jak najwadliwsze, bo najlepsze postępowanie fizyologiczne, że się tak wyrazimy, najpomysłniejsze kombinacye organów czucia i myśli, nie wpływają zupełnie na taki lub inny stan etyczny. Ale Spencer orzekł: wszyscy poprzednicy moi mylili się! i wnet znalazła się gromada wielbicieli, którzy zawtórowali, do bezmyślnego podobni echa: tak jest, mylili się! Bo etyka, a troska o pomnażanie życia, to jedno i to samo.

Policzek to, wymierzony całej idealnej przeszłości rodu ludzkiego. Zwierzęciem jesteś, marny śmiertelniku, niczem, okrom zwierzęciem, żerującym, płodzącym i wychowującym potomstwo, umierającym w końcu, a zachciewa się tobie jakichś posłannictw, wyższych celów, a męczysz się lub odurzasz jakiemiś tęsknotami, marzeniami, pragnieniami, zamiast przemyśliwać nad tem, jakby dni doczesne jak najwięcej przedłużyć i najprzyjemniejszemi uczynić.

A na czemże opiera Herbert Spencer tę swoją „fizyologiczną“ moralność? Jestże teorya ewolucyjna podstawą tak pewną, niewzruszoną, ży może na niej spocząć gmach tak potężny i ważny, jak etyka?

Wiadomo, że Spencer rozciąga prawo rozwoju na całą przyrodę, organiczną i nieorganiczną, nie wyłączając z niej oczywiście człowieka. Wszystkie zjawiska widzialne są tylko wypadkowemi owego wielkiego procesu, który miesza martwe atomy, niby aptekarz, posługując się przy tej operacji siłami chemicznymi i mechanicznymi. Świata nie stworzył nikt, nie ma stałości rodzajów, ani niezmienności organów. Wszystko doskonałe rozwinięło się z mniej doskonałego, aż wybujało w człowieka, który jest areydzieniem natury.

A dlaczego nie stworzył nikt świata lub pojedynczych rodzajów? Bo, odpowiada Spencer w swej „Biologii“, stworzenie materji jest aktem niemożliwym do pojęcia — nikt nie widział nigdy stwarzania rodzaju — nikt nie zdołał nigdy wynaleźć pośredniego dowodu na stworzenie jakiegoś rodzaju i t. d.

Dziwne, że ludzie „naukowi“ zadowalają się tak błahe-
mi „dowodami“. A możeż umysł ludzki pojąć odwieczność ma-

teryi? Daleko chyba trudniej wyobrazić sobie za pomocą środków zmysłowych taki „pewnik“, niż powstanie materii za przyczyną Boga. A któż widział kiedykolwiek rozwijanie się jednego rodzaju z drugiego, np. zająca z lisa, kto przytrzymał na gorącym uczynku wykluwanie się człowieka zo zwierzęcia?

O udowodnienie ostatniego procesu starano się niedawno bardzo usilnie. Zwolennicy teorii rozwoju prawili o powolnem nieprzerwanem stopniowaniu, a oczywistość wykazywała mimo różnych zapewnień przerażające przedziały. Widoczna głównie przepaść oddzielała zawsze człowieka od najdoskonalszych okazów z królestwa zwierzęcego.

Z niesłychaną zapalczywością szukano śladów tych form pośrednich. Stukano do bram: paleontologii, historii i etnografii, radowano się każdą odkrytą gdzieś czaszką kopalnego typu, wydobywano na wierzch obyczaje i zwyczaje najdzikszych ludów, szukano owego „ogniwa przejściowego“ w Ameryce, Australii i — Azji, ale wszystkie zabiegi spełzyły na niczem. „Nie znaleziono nigdy i nigdzie, skarży się Virchow, jakiegokolwiek kopalnej czaszki małpiej, albo małpoludzkiej, która mogłaby należeć do człowieka. Wszelki przyrost w tym kierunku oddalał nas coraz więcej od postronnego zagadnienia“. Na całej kuli ziemskiej nie ma ani jednego plemienia, któreby obywało się bez ognia i sztucznej broni, bez uczuć i wyobrażeń religijnych, choćby się one w najgrubszej przedstawiały postaci.

Nie zaprzeczy dziś już nikt, że człowiek podlega tak samo, jak natura nieorganiczna, działaniu sił fizycznych i chemicznych, wpływowi ciężenia, gorąca i zimna, że odżywia się, wyrasta i rozmnaża, jak rośliny, a pożąda i poznaje zmysłowo jak zwierzę, lecz ponad całym tym jego aparatem mechaniczno-chemiczno-fizycznym wznosi się dusza, którą tylko on posiada. Trzeba być bardzo „wierzącym“ pozytywistą, aby chcieć wytłómaczyć myśl lub akt woli za pomocą mieszania się i grupowania atomów.

Systematyczny postęp, ciągle rozwijanie się czynności wyższych z niższych jest główną zasadą teorii ewolucyjnej. Szczególna jednak rzecz, że doskonali się właściwie tylko człowiek i to duchowo, gdyż pod względem fizycznym zostaje i on niezmiennym. Prawidłem świata zwierzęcego jest wieczna jednostajność. Choćbyśmy sięgnęli jak najdalej do historii, nie do wiemy się, że: bocian, lis, wrona, kruk i t. d. wyglądali inaczej,

jak ich dzisiejsze potomstwo. Między zwierzętami nie ma widocznego rozwoju w granicach tego samego gatunku; jedyny człowiek kształci się, postępuje.

Jeżeli człowiek ma być koroną stworzenia w rozumieniu pozytywistów, jeżeli jest istotą „najwyżej rozwiniętą“, to powinien w myśl logiki spencerowskiej posiadać od urodzenia, na mocy praw o dziedziczności, najlepsze środki do przystosowania się do warunków życia, do jego utrzymania i pomnożenia. Tymczasem przychodzi właśnie on na świat bezbronny, nagi, słaby i niedołężny. Jakże pogodzić ten niezbity pewnik z teorią stopniowego przystosowywania się?

Rozwój ma na celu pomnożenie życia, twierdzi Spencer. Wynika stąd, że najobfitszą pełnią życia powinien cieszyć się człowiek, gdyż stoi na najwyższym szczeblu drabiny jestestw organicznych. Ale niektóre zwierzęta, jak: słonie, karpie i t. d. żyją znacznie dłużej od nas, a jeszcze dłużej mnóstwo roślin, jak: cedry, drzewa i t. d. Co więcej, wiadomem jest, że właśnie w tych epokach narodów, w których ludzie wcielają zasady moralności „niezawisłej“, zmniejsza się ogólna suma życia. Czasy przemysłowe, które są ideałem Spencera, wydają nędzarzy fizycznych i umysłowych, strawionych „przyjemnościami“, a zohydzone przez pozytywizm chwile wojenne wytwarzają mężów, dzielnych ciałem i duszą.

Każda rzecz ma dwie strony. I teoria rozwoju nie wytrzymuje ścisłej krytyki. Nie ulega wątpliwości, że należy ona do bardzo cennych wynalazków, tak samo, jak hipoteza o powstawaniu gatunków, że można za jej pomocą wytłumaczyć mnóstwo nieznanych dotąd szczegółów, że jest poprostu dobrą pomocniczką nauki, lecz żeby miała być nieomylnem, powszechnem prawem dla całej przyrody nieorganicznej, tego dotąd nieudowodniono. Wadliwość jej przejawia się głównie we wszystkich umiejętnościach, odnoszących się wyłącznie do człowieka. Duchowa bowiem część nasza rozwija się na innych warunkach i do innego też, jak reszta stworzenia dążymy celu. Spencer nie uznaje oczywiście tej prawdy, lecz dlatego właśnie wymyślił miksturę, której nie można przełknąć. Wielka to lekkomyślność oprzeć tak ważną, tak praktycznie doniosłą naukę, jak etyka, na teorii, której oczywistości nie wykazano jeszcze z dokładnością matematyczną. Przyrodnik, chemik, fizyolog mogą bawić się w różne doświadczenia, lecz moralista nie powinien

zapominać, że jego eksperymenty mogą zwiechnąć miliony ludzi. Nowość bawi i olśniewa, a iluż „pozytywistów“ umie czytać krytycznie?

Niezmiernie szeroki zakres postępowania ogarnia etyka Spencera, bo cały ogół „łącznych czynności zewnętrznych“! Dawniejsi „zacofani“ moralisci zastanawiali się nad wewnętrznymi, duchowymi procesami, kładąc główny przycisk na objawy woli, lecz właśnie tę część, która stanowi rzeczywisty przedmiot nauki moralności, pomija filozof angielski z pogardą człowieka, wierzącego tylko w fizylogię.

Trojakię rozróżniano dotąd dobro: (*bonum utile*), sprawiające przyjemność (*delectabile*) i moralne (*honestum*), które samo przez się odpowiada naturze człowieka, jako istoty rozumnej; dla Spencera istnieją jedynie dwa pierwsze dobra. Nie rozumie on, raczej nie chce uznać, że nie prosta użyteczność robi postępek moralnym w znaczeniu etyki, lecz odpowiedniość jego, zastosowana do przeznaczenia człowieka na ziemi. Wyrzuca on z etyki „zwietrzałe“ dobro moralne, bo wytyka dla ludzkości nowy pozornie cel. Żyjemy na to, twierdzi, aby sprowadzić jak największą pełnię życia dla siebie, dla potomstwa, dla bliźnich w końcu, i aby się wykształcić na artystów przyjemności. Moralnym przeto jest każdy, kto umie się tak urządzić, że zaspokaja swoje potrzeby i zachcianki, a nie naraża się innym. Wynika z tego, że ideałami moralności byłiby wszyscy ludzie zręczni, przebiegli, sprytni, wszyscy mistrzowie w sztuce lawirowania i używania, a niemoralnemi natury proste, szlachetne, zapalne i bohaterskie. Wojownik, męczennik, ofiarnik, człowiek, umierający przed czasem dla jakiejś szerszej sprawy, nie zasługują według Spencera na tytuł moralnych, gdyż nie pamiętają o utrzymaniu i pomnażaniu własnego życia. Szaleńcy, to ludzie zwaryowani, nie mający wyobrażenia o zasadach etyki „niezawisłej“.

Do tak filisterskiego określenia dobra musiał dojść myśliciel, który zepchnął człowieka ze stanowiska, zajmowanego przez niego od początku cywilizacji. W nauce, która nazywa jedynym zadaniem ludzkości mechaniczne przystosowywanie się, dokonywane samo przez się, nie może być oczywiście mowy o wyższych celach i o szlachetnem pojmowaniu obowiązku. Wszelkie porywy niesamolubne, wszelkie zachwyty, zapęły, ofiary i poświęcenia muszą się wydać zwolennikowi spencerowskiej teorii

rozwoju prostymi zбочeniami umysłu, a niezewnętrzne i niełączące czynności dziełami niemądrego.

Chwieje się też Spencer i ślania, ilekroć przekracza międę fizjologii, a wchodzi do podziemi wewnętrznych pobudek postępów etycznych. Obowiązek np., który nazywa „samodozorem“, „powagą nakazującą“, „pierwiastkiem przymusu“ i t. d. tłumaczy w sposób następujący: Duch i wola człowieka powstały z prostych pobudek i poruszeń drogą składania i kombinacji. Później rozwinięte formy tego procesu (uczucia wyższe) są oczywiście więcej złożone, ogólniejsze i posiadają wyższą powagę, jako przewodniki, odczuć niższych i wcześniej powstałych. Już niższe jestestwa rządzą się w ten sposób całym „splotem uczuć“, które tej są natury, że ogólna pomyślność zależy od pewnego poddania niższych uczuć wyższemu. Do tego zaś podporządkowywania czyli panowania nad sobą dochodzą one przez własne lub odziedziczone doświadczenie. Tak samo dzieje się i z ludźmi, w których wyrabia się z czasem tyle siły umysłowej, ile potrzeba na wyprowadzenie wniosku z tych doświadczeń, a potem na skupienie wniosków jednostkowych w zasady powszechne i tradycyjne, któremi przejmuje się każde wzrastające pokolenie. Z sądów tych, zaczerpniętych z doświadczenia o użyteczności poddawania jednych uczuć drugim wykwitła w dalszym ciągu świadomość obowiązku i przymusu przez... pewien rodzaj niedokładnego kojarzenia pojęć.

Trudnoby uwierzyć, że pozytywista, który powinien przede wszystkim jasno dowodzić i operować samymi „dokumentami“, umie się tak... fantastycznie wyrażać, gdyby się nie miało książki przed oczami. Więc obowiązek powstał przez... pewien rodzaj niedokładnego kojarzenia pojęć? Szczególnych argumentów używa wielki Spencer, gdy mu wszechmądra fizjologia odmawia posłuszeństwa. Ma się rozumieć, że taki „mechaniczny“ obowiązek musi stracić swą moc, gdy przestanie być potrzebnym. Spencer twierdzi też rzeczywiście, że uczucie obowiązku jest przechodniem i zmniejsza się w stosunku do umoralnienia, czyli, co według etyki „niezawisłej“ na jedno wychodzi, w miarę rozwijającego się procesu przystosowywania. Przyjdzie nawet kiedyś czas, mniema arcykapłan pozytywizmu, w którym obowiązek przestanie być regulatorem czynności ludzkich, w którym śmiertelnicy będą używali bez pracy i bez starań wymarzonej „przyjemności“, gdyż staną się tak doskonale nastawio-

nymi maszynkami, że choćby chcieli, nie potrafią zrobić nic takiego, co by szkodziło utrzymaniu i pomnażaniu życia. A będzie to epoka przemysłu, przemysłu.

Aby nadszedł przepowiadany przez Spencera stan, winny się wszyscy ludzie: rodzić, wychowywać, kształcić, rozwijać i umierać w tych samych warunkach. Nie powinno być silnych i słabowitych, zdrowych i chorych, mądrych i głupich, przeciętnych i utalentowanych, bogatych i ubogich, nie powinno być żadnych różnic, odmian i przewrotów. Straszliwa, bezbarwna jednostajność musi zapanować w rodzie ludzkim, aby się spełniło proroctwo myśliciela angielskiego. Wszelkie szlachetne porywy, gorętsze uczucia, dalekie cele, słowem wszystko, co oddziela człowieka od zwierzęcia, musi zniknąć, zgasnąć, ulotnić się. Epoka „przemysłowa“ zaludni kulę ziemską filistrami, którzy będą tuczyli siebie, dzieci swe i sąsiadów, aby byli dla nich „pomocniczym uchem i okiem“, i aby im sprawiali swym dobrym wyglądem przyjemność. Bo nie za darmo, woł Spencer. Pragnę szczęścia bliźniego, lecz tylko dlatego, że mi ono potrzebne do moich celów. Pożarłbym cię, aby pomnożyć moje i moich dzieci życie, gdybym wiedział, że mi się za to nie stanie, ponieważ jednak mógłbym za cudzą krzywdę sam oberwać, przeto wolę być twoim przyjacielem i^ourządzać się tak, aby z przyjemności jednostki, o którą muszę się ocierać i dla mnie coś kapnęło.

Jakie to... rozumne! Gdyby zwierzęta umiały czytać, postawiłyby Spencerowi niezawodnie pomnik. Ale ludzie mają prawo zapytać: jakim prawem ściągasz nas z wyżyn, na które wpięliśmy się po tylu wiekowych wysiłkach tytanicznych za pomocą przyrodzonych, wszczepionych w nas zdolności? Dokąd doszłoby społeczeństwo, któreby przejęło się na prawdę zasadami etyki „niezawisłej“? Cała cywilizacja pracowała nad ustaleniem poczucia: obowiązku, uczciwości, sprawiedliwości, honoru w końcu, a wszystko to ma zniknąć dlatego, że się Spencerowi zachciało traktować moralność jak nauki przyrodnicze, i uznać tylko siły mechaniczne i chemiczne.

„Dane Etyki“ Spencera można nazwać próbą zastosowania doktryny rozwoju do moralności. W swej części praktycznej są one połączeniem utylitaryzmu z epikureizmem.

Pomijając brutalną niemoralność i nieszlachetność tej moralności, grzeszy ona jako utwór uczonego w ogóle rozwlekłością

i sztucznem naciąganiem argumentów do celu z góry wytkniętego. „Zasady Etyki“ robią wśród czytania wrażenie, jak gdyby Spencer sam siebie przekonywał, gdyż nawet jemu wydaje się nowa moralność bardzo dziwną. Dowodzi on, jak sofista, któremu postawiono jakieś zadanie, a nie będąc pewnym siebie, wraca po kilka razy do tego samego przedmiotu, gromadząc olbrzymi zapas faktów. W tych też szczegółach spoczywa cała wartość etyki naukowej.

Pozytywizm warszawski.

Z dniem 7 stycznia 1866 r. zaczął wychodzić w Warszawie „Przegląd Tygodniowy życia społecznego, literatury i sztuk pięknych“, założony przez Adama Wiślickiego, znanego już wówczas dziennikarza.

Że Wiślicki, stawając na czele własnego organu, nie miał nic „do powiedzenia“ społeczeństwu, że nie tylko nie rozumiał ale nawet nie przeczuwał prądów chwili, które następnie tak umiejętnie wyzyskał — dowodem pierwsze roczniki jego „Przeglądu“.

— Tyle pism, tyle pism, tyle pism! — wołał w samym początku („Otwarcie pisma“).

„Więc dlatego, że ich dużo, zamknijmy oczy, zatknijmy uszy i nie czytamy żadnego.“

„Jeżeli kto zakłada fabrykę lub otwiera handel, czemu nie krzyczy: tyle fabryk, tyle handlów! Powstaje dziennik, przynoszący w dobrej woli promienie oświaty, własną cegiełkę do wielkiego gmachu postępu, to zanim usta otworzy, wnet mu powiedzą: „Jesteś zbyt czyny! Jesteś, niepotrzebny!“ Smutny wniosek możnaby wyciągnąć z tego dla społeczności naszej, gdyby ten krzyk wydawali nie ci, dla których każdy dziennik jest zbyt czyny, wstrętny, którzy chętnie rzucają rublami, gdy idzie o zbytek, próżną zabawkę lub... ale rachują się, jak skąpcy, ze złotówką, wydaną na książkę, obraz lub koncert...“

„Jeżeli siedzisz cicho, jeżeli się wysługujesz interesom innych, możesz być pewnym uznania, jesteś dobry, pożyteczny; ale podnieś tylko głowę, zechciej działać na swój rachunek, wnet ci sami, co poprzednio klaskali, albo sykną z zawzięcią, albo z trwożnym współbolewaniem rzucają ci radę: Daj pokój! Stracisz, zmarnujesz pracę, po co ci nowe pismo?

„Stracę! A cóż to komu może szkodzić?”

Zamiast głośnie brzmiącego programu, jakby spodziewał się każdy, kto zna „Przegląd” z jego późniejszej działalności, zamiast zapowiedzi walki z przeszłością i nałogami starszego pokolenia, spotykamy na wstępie nowego organu zwykłe skargi przedsiębiorcy, który się obawia, aby „nie stracił”.

Tej odezwie kupieckiej nie braknie i banalnego: W Imię Boże, nadużywanego przez różnych wydawców.

Bo „w Imię Boże” otwierał Wiślicki swoją „kronikę krajową i powszechną”, jak nazwał „Przegląd Tygodniowy”.

— Nowe pismo zakładam dlatego—tłumaczył się— że widzę stanowisko dotąd niezajęte...

Ale tego wolnego, a przez „Przegląd” wrzekomo wypełnionego stanowiska, szukamy daremnie w pierwszych rocznikach. Rozglądając się w długim szeregu artykułów wstępnych i polemicznych z lat 1866 i 1867, czytamy: o wystawie ogrodniczej, o zbytku w strojach, o podwyższaniu komornego, o polskich i niemieckich przemysłowcach, o projekcie reformy terminów rzemieślniczych i t. d., słowem *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, z wyjątkiem właśnie tych spraw, które zajmowały najwięcej przyszłych pozytywistów. Ani śladu „nowych idei”.

I lista współpracowników objaśnia bardzo mało. Widzimy obok siebie nazwiska, nie świadczące wcale o jasno wykreślonym planie w robocie. Julian Bartoszewicz i Eleonora Ziemięcka przewróciłiby się bezwątpienia w grobie, gdyby ich ktoś chciał uczynić odpowiedzialnymi za późniejszy program pisma, które zasilali zrazu pracami swojemi.

Przeto nie Wiślicki jest w istocie twórcą organu pozytywistów, nie on wchłonął w siebie ducha czasu, którego głosów nawet pochwycić nie umiał.

Bo ten duch czasu odzywał się już gdzieindziej dość głośno. Wystarczało nadstawić ucha i słuchać uważnie.

Wszakże to Ludwik Powidaj nawoływał jeszcze przed po-

wstaniem „Przeglądu“ w „Dzienniku Literackim“ do zmiany kierunku idealnego na realny.

„Całe nasze życie umysłowe — skarżył się — rozpada się wyłącznie na dwa działy: z jednej strony archeologia i historia, z drugiej — poezya i powieść. We wszystkich czynnościach naszych jest wiele fantazyi, a mało rozsądku. Kierunek dzisiejszej oświaty zbyt potęguje wyobraźnię, której wszelka praca wydawać się musi poziomą, niegodną zajęcia; życie zwyczajne wśród obowiązku twardego zdaje się męczarnią, człowiek nią przesiąknięty marzy o jakiejś nieokreślonej bliżej wielkości i sławie. Starajmy się o naukę, którąby produkcyjnie zużytkować można było“.

Mysł Powidaję rozwinał obszerniej Jan Dobrzański („Dziennik Literacki“, r. 1865):

„Brak wszędzie specjalnego wykształcenia — pisał — w naukach ekonomiczno - politycznych, administracyi i prawodawstwa, nietylko miejscowego, lecz europejskiego, brak nawet głębszej znajomości własnego kraju...“

„Nauki społeczne, handlowe i przemysłowe kwitną za granicami naszego kraju. My tylko ani teorii ich nie nabywamy, ani nie chcemy pójść w naukę praktyczną. Uprzedzają więc nas cudzoziemcy i wyzyskują majątki tutejsze...“

„Wszyscy czujemy, iż potrzeba nam fabryk, mianowicie przerabiających nasze własne płody surowe. Ale młodzież, która odziedziczy kiedyś majątki po ojcach i mogłaby podnieść je sama, czy we wspólnie, nie oddaje się zawodowi technicznemu, a jeżeli się znajduje który, to kontentuje się jakimkolwiek podchwytaniem teorii, żaden zaś z bogatszej młodzieży nie uczy się potem praktycznie zastosowania tej teorii.“

„Wszędzie, gdzie spojrzysz, brak ludzi zdolnych, wykształconych. Bo nasza młodzież kształci się, pracuje za mało, aby móż wyprzedzić obcych współzawodników“.

„Dziennik Literacki“ zwracał w dalszym ciągu bezustannie uwagę na konieczność „zmateryalizowania społeczeństwa“, jak mu przeciwnicy zarzucali.

„Inteligencya narodowa — twierdził — powinna przez piśmiennictwo nietylko oddziaływać, ale wprost wykazywać, jak naród ma chodzić około interesów materyalnych“.

Albo:

„Główną podstawą duchowego rozwoju w narodzie jest bogactwo materyalne, powiększywszy bowiem na tej drodze dobrobyt ogólny, będziemy mogli wspierać stowarzyszenia miejskie, podnieść fundusz Towarzystw naukowych, krzewić oświatę pomiędzy ludem, zasilać biblioteki i przedsiębiorstwa literackie“.

Wszystko to, co przypomina żywo pierwszą część późniejszych marzeń pozytywistów w warszawskich (praca organiczna), wygłaszał „Dziennik Literacki“ już w r. 1865.

Równoległe z praktycznym „materyalizmem“ społeczeństwa szło w Galicyi i materyalizowanie teoretyczne, część druga programu pozytywnego. W ciągu lat 1865 i 1867 popularyzował ten sam „Dziennik Literacki“ zdobycze i zasiłki nowoczesne. Buckle'a „Historję cywilizacji Anglii“ przekładał Wł. Zawadzki, Kazimierz Chłędowski bronił praw metody doświadczalnej przeciw idealizmowi, Stefan Pawlicki wprowadzał w świat Darwinów, Millów, Draperów i t. d.

Gdyby Wiślicki, zakładając „Przegląd Tygodniowy“, był sobie zdawał sprawę z owego „niezajętego stanowiska“ i posiadał choć odrobinę intuicji publicystycznej, byłby z artykułów „Dziennika Literackiego“, w których grało echo potrzeb i dążeń chwili, zbudował z łatwością programat przejrzysty. Należało tylko te głosy uzasadnić, rozwinąć i uporządkować.

Ale na robotę publiczną w szerszym stylu nie stać było widocznie redaktora „Przeglądu Tygodniowego“. Wykonała ją za niego garstka młodzieży, schodząca właśnie z ław szkolnych.

Przez całe pierwsze dwa lata prosił się „Przegląd Tygodniowy“ daremnie o większą ilość prenumeratorów. Jeszcze przy końcu drugiego roku kwili po kupiecku, z czapką w rękę, zwracając się do P. T. Publiczności:

„Czy los ten smutny, a według naszego rozumienia rzeczy dla krajowej oświaty niekorzystny i nadal ma być udziałem „Przeglądu“? Nie sądzimy, lubo zależeć to będzie od ogółu, do którego po dwóch latach pracy poraz pierwszy odwołać się zamierzamy, ulegając pobudkom ważniejszym, niż osobiste względy lub widoki materyalnych korzyści, których w przedsięwzięciu tego rodzaju, jak wydawnictwo pisma literackiego, obecnie szukać niepodobna.

„Wymaga jednak szczerzego odwołania się do publiczności względ na gromadkę czytelników, która wytrwale wspiera nasze usiłowania, dla której praca miłym jest naszym obowiązkiem,

a dla której brak „Przeglądu“ może być przykrym. Wymaga tego odezwania się pismo nasze, które przez zajęte odrębne stanowisko wśród prasy warszawskiej, może być nieraz pożyteczne dla ogółu. A nareszcie, najważniejsza: wymaga tego dość obszerny krąg naszych młodych współpracowników, którym szpalty „Przeglądu“, za szczupłe, stoją otworem i służą za jedyne nateraz pole wyrobienia się na niwie literackiej. Ubytek więc naszego pisma mógłby niejednego z poczynających, przy zupełnem dla młodych pracowników zamknięciu innych organów, pozbawić sposobności rozwoju, nabycia wprawy, tak ważnej dla pisarza. Nikt odrazu doskonałym być nie może i nie jest. Potrzeba więc organów, któreby stały się areną kształcenia przyszłej generacji literackiej, chociażby nawet w tak skromnych rozmiarach, jakie przedstawia „Przegląd“, jest nam zbyt drogą, abyśmy w jej imieniu nie odważyli się kołatać do publiczności, aby gorliwszym współudziałem dała nam możność nietylko bytu, ale i rozwoju.“

Po raz wtóry powoływał się Wiślicki na jakieś „odrębne stanowisko“ „Przeglądu“ którego jednakże nikt nie zauważył. Koledzy w prasie i publiczność widzieli tylko pisemko informacyjne, redagowane zręcznie, chwytające w lot każdą wiadomość bieżącą. Nic więcej.

Przez chwilę zdawało się, że redaktor „Przeglądu“ zrozumiał nareszcie ducha czasu i rozpocznie robotę przyszłości. W ostatnim numerze z r. 1867 i w pierwszym następnego, ukazał się głośny swojego czasu artykuł p. t. „Groch na ścianę (parę słów do całej plejady zapoznanych wieszczów naszych)“, zwrócony przeciw młodym pseudolirykom, płacziwym epigonom romantyków.

„Wiek XIX nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwyconych trubadurów—zapewniał autor—jego poezję stanowi ciągle postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska wobec praw przyrody i ludzkości, aby w jak największym zakresie urzeczywistniał dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania“.

Nie sam tylko protest przeciwko pseudo-poezyi opiewaczów: konwalij, róż, gilów, makolągów, zawiera ten pierwszy manifest „Przeglądu Tygodniowego“. Padły w nim już słowa: zbytne uczucie, jasne widzenie rzeczy, prawa przyrody—słowa, nieużywane przez prasę starszą.

Należało się teraz spodziewać początku ruchu postępowego. Tymczasem zapanowało znów na łamach „Przeglądu“ milczenie, trwające całe trzy lata (aż do końca r. 1870), chociaż przyszli pozytywiści gromadzili się już pod sztandarem tygodnika Wiślickiego.

W roczniku drugim (r. 1867) błysnęły nazwiska: Juljana Ochorowicza, Józefa Kotarbińskiego i Elzenberga, w trzecim przybyli: Ernest Świeżawski, Walery Przyborowski i Wiktor Gomulicki; w czwartym: Piotr Chmielowski i Bolesław Limanowski.

Była ich więc już spora gromadka, a mimo to zalegała szpalty „Przeglądu“ cisza, przerywana rzadko śmielszymi recenzjami literackimi Chmielowskiego lub Kotarbińskiego.

Juljan Ochorowicz uprzystępniał i rozpowszechniał rezultaty nowszych badań filozoficznych; Bolesław Limanowski zapoznawał czytelników „Przeglądu“ z Comte'm i pozytywizmem; Chmielowski pisał o kobietach i oceniał dzieła beletrystyczne popospołu z Kotarbińskim i Przyborowskim, redaktor zaś wtrącał się, zwyczajem swoim, do wszystkich spraw bieżących, do: idiotów—konferencyj macierzyńskich—gospód dla służących—praktykantów rolniczych—do barszczu, czekolady i t. d.

Czasopismu, które miało wypełnić „niezajęte dotąd stanowisko“, zbywało na polemście z talentu i temperamentu; formującemu się stronnictwu na wodzu, któryby je poprowadził w gorący bój, idąc sam przodem.

Ten szampion, ten naczelnik pozytywistów warszawskich, znalazł się przy końcu 1870 r. Był nim Aleksander Świętochowski.

Pięć lat czekał „Przegląd Tygodniowy“ na siłę, co go miała poruszyć i pchnąć na nowe tory „niezajęte“. Z początkiem r. 1871 byli pozytywiści już w komplecie; mogli zacząć robotę.

I zaczęli ją...

„Pięć lat mija—twierdził „Przegląd Tygodniowy“ na wstępie szóstego rocznika—jak wydając pierwszy numer naszego pisma, przyrzekliśmy go uczynić punktem środkowym, zarodkiem działalności literackiej, z celem krzewienia idei postępu i tegoczesnej nauki“.

Dość przypomnieć sobie odezwę p. t. „Otwarcie pisma“, aby się przekonać, że się „Przegląd“ niesłusznie przechwalał.

W chwili, kiedy się Wiślicki zabrał do redagowania własnego tygodnika, wiedział tyle o „nauce tegoczesnej“—ile jego późniejsi współpracownicy, siedzący jeszcze wówczas na ławkach szkolnych. Słowo „postęp“ powtarzało się wprawdzie dość często na łamach „Przeglądu“, lecz jaki to miał być postęp, czego chciał, dokąd dążył—nie mógł się nikt dowiedzieć.

Z chwilą pojawienia się Świętochowskiego na łamach „Przeglądu“, zmienia się odrazu jego ton i kierunek. Skromna „kronika krajowa i powszechna“ przywdziewa na siebie zbroję i rzuca się odważnie, zuchwale nawet na zwarte szeregi t. zw. starej prasy. Nie kwili, nie skarży się, lecz grozi i napada.

Publiczność zrozumiała, że na czele młodej drużyny stanął bojownik dużej ręki, człowiek walki, żyjący przez nią i dla niej.

Już pierwsze artykuły Świętochowskiego nie pozostawiały żadnej wątpliwości o rodzaju jego talentu: odsłoniły go całego.

Oceniając przy końcu r. 1870 „bajkę dyalogowaną“ Adama Pługa „Przyjaciele“, odezwał się Świętochowski między innymi, jak następuje:

„To zaobszerne, jak na zasługę, przytoczenie treści, niech mi darują ci wszyscy, którzy są zwolennikami zdrowego rozsądku i wyznają tę słuszną zasadę, że lichocie nie warto jest poświęcać wiele czasu i miejsca, są bowiem chwile, w których trzeba uparcie walczyć z tem, co zdawałoby się napozór nie mieć żadnych warunków do życia; są pisarze, którzy istnieją jedynie przez nicosć swych myśli; są podrobione talenta, których rozgłos pozostanie wieczną dla trzeźwego umysłu zagadką. Nie wiem, jak kogo, ale mnie nic bardziej nie razi w naszym najnowszym piśmiennictwie, jak owa martwość myśli, wstręt do wszelkiego ruchu naprzód, to płacziwe bałwochwalstwo dlatego, co minęło, bezmyślne poezytowanie niedołęstwa, ta przesadzona czułościowość, to nakoniec nieustanne przeżuwanie i przybieranie w najrozmaitsze formy prawd starych“ i t. d.

A ten Pług, sponiewierany w sposób tak niesłychanie bezwzględny, był autorem z rozgłosną przeszłością („Duch i krew“), sędzią zaś jego młodzieniaszek, stawiający dopiero pierwsze kroki na polu pisarskiem.

O Edwardzie Lubowskim pisał Świętochowski (r. 1871):

„Przypuśemy, że nazwisko p. Lubowskiego, jako autora,

jest znanem, a znanem być może, bo p. Lubowski od lat kilku pisuje dosyć często. Przypuszczenie to, przebacz mi czytelniku, jeśli ono niema dla ciebie tej, co dla mnie prawdy... Fakt ten nie wyraża bynajmniej nowego zwrotu, który nie należy do żadnej szkoły, potwierdza tylko jego płytkość“.

Akcyą w powieści Kraszewskiego p. t. „Piękna pani“, rozwija się—„prosto, blade, z przymieszką tej znanej dozy pocziwej gadaniny, która temu autorowi jest tak właściwą“.

Eliza Orzeszkowa napisała—„powieść nudną, mdłą i pustą“.

Paulina Wilkońska - „pozbawiona myśli, dowcipu, artyzmu, nie zna składni polskiej“.

Adam August Jeske, przedwcześnie zgasły pedagog, gdy wypadł z łaski „Przeglądu“, chociaż służył mu z początku gorliwie, stał się natychmiast — „jakiemś minimum, którego nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie nie umiano“ — i „występując przeciw „Ludziom i hasłom XIX wieku“ (Tygodnik Mód), — nie miał nic do stracenia z własnej godności“.

Z początkiem r. 1872 witał redaktor felietonu „Przeglądu“ („Echa“) społeczeństwo następnie:

„Spółpracownikami „Ech“ — wy jesteście, najdrożsi, i dlatego, przestępując rubikon noworoczny, czujemy się w obowiązku złożyć wam podziękowania serdeczne za już i życzenia na przyszłość, z prośbą o jeszcze. Fałszywa skromność na bok! Dopóki w każdym człowieku — przepraszamy nieboszczyka Saphira za pożyczkę — mieści się cała menażerya, dopóty nie zbraknie pracujących dla „Ech“. Cała menażerya—gwałtu! W żołądku siedzi wilk, w sercu tygrys, w umyśle kameleon, w zmysłach jeź, w języku grzechotnik, w rękach gryf, w nogach tarantula...

„Wszystkie namiętności są ludożerco! Oto przyczyna pieprzności naszych „Ech“; chcemy, aby pieczeń, którą przygotowują woły, była smaczna. Przyprawy muszą być ostre!...

„Młody literacie! Sławo przyszła, a rozkoszo dzisiejszych salonów, obok podziękowania wskazówka: patrz, oto napis: Redakcyja „Kuryera Warszawskiego“, tędy droga do pracy i uznania!

„Dziękujemy ci także, tłumie bezmyślny i życzymy: bądź zawsze żądny i głodny wrażeń, goniący za czczym blaskiem, pędzący, gdzie głośno trąbią, szumnie krzyczą; łap się na błagę, wielbij pozory i przyjemności, wiruj wśród saturnalij uśmiech-

nięty i płaczący łzami krokodyla, pieszczący i depreczający, a niewdzięczny zawsze...

„Dalej ojcze, kapłanie rodziny! Zaniedbuj żonę, rzuć dziatki w obce ręce, nudź się u ogniska domowego, gryź wędzidlą moralności i ładu — życzymy ci łatwych rozkoszy, wesołych śniadanek z towarzyszymi kieliszka i turniejów przy zielonym stoliku... których zwycięstwo przyrzekam y roznieść setnem echem..

„Kobieto, którą jedni chcą widzieć niańką i kucharką, drudzy dzokiejem, kopącym knaster, życzymy ci, byś się stroiła w pożyczane gałganki, kupione kosztem własnego wstydu lub mężowskiej hańby. Różuj się, blanszuj, zapalaj oczy zalotnie, dekoluj się, podpinaj i kokuj!...

„Dalej, girlando wielkości i małości, dalej społeczny kalejdoskopie, wiruj i tańcz w zaczarowanym kole głupstwa, ciemnoty, obskurantyzmu, nietolerancy! Heca, jaką sprawiasz, to nasz materyał do „Echa“. Mnóż się i rozrastaj! Płodź niedołęstwa i potworności na potęgę, bo oto sprawiliśmy sobie nowy bicz upowity z ironii, łez serdecznych, wzdardy i miłości, rozumu i żółci. Jeżeli was ta pletnia nie zaboli, toście nic nie warci...“

Ex ungue leonem. Powyższe ustępy ilustrują dostatecznie rodzaj talentu Świętochowskiego. Zadziwia w nim przedewszystkiem zamknięta, skończona indywidualność debutantna.

Wiadomo, że prawie wszyscy autorowie pierwszorzędni (z wyjątkiem poetów) przechodzili dłuższy proces rozwoju, dojrzewając stopniowo. Złożywszy w pierwszej młodości daninę bieżącym prądom, pod których wpływem się kształcili, wcieliwszy mądrość profesorów w próby nieudolne, otrząsali się, w miarę gromadzącego się doświadczenia, powoli, z wyobrażeń i form cudzych, wyrabiając sobie własne, samoistne. Inaczej patrzy na świat i siły swoje student uniwersytetu, inaczej człowiek wytrawny.

Świętochowski stanowi wyjątek z reguły powszechnej. Nie przetrwał się, nie jękał, nie szukał, nie błędził po manowcach, lecz stanął odrazu przed publicznością w pełnym rynsztunku wojownika, gotowego do walki, której był żądny.

Zaledwie ujął pióro w garść, władał już niem, jak rutynowany szermierz. Dość postawić jego „Powinszowanie noworoczne“ obok dawniejszych odezwo i manifestów „Przeglądu“, aby odczuć całą różnicę między słowem utalentowanym a pospolicem. Artykuły jak „Otwarcie pisma“ i t. d. wypocił zwykły

gazeciarz, „echa“ zaś wyrzucał z siebie umysł oryginalny—błyskotliwy stylistą i urodzony szampion.

Nie było szerokiego rozmachu w artykułach Świętochowskiego: felietonista „Przeglądu“ nie rąbał z góry, kłuł raczej, niżby sztyletem, kąsał, syczał, bryzgając jadem, ale czynił to z taką maęstryą, że musiał na siebie zwrócić uwagę czytelników, znudzonych zwiędłą dykcyą przedstawicieli starszej prasy. Nie ulega żadnej wątpliwości, że tygodnik Wislickiego zawdzięcza owe „zajęte“ nareszcie stanowisko głównie jemu.

Wszakże wniósł Świętochowski do „Przeglądu“, oprócz jaskrawego stylu, prawdziwy talent polemiczny (siłę, logikę, zamiłowanie w walce) i ową pewność siebie, ów fanatyzm, który innych zniewala. Bez wiary w prawdę wygłaszanego programu nie ma reformatorów. Wszyscy przewrotowcy porywali za sobą tłumy, gdy i dopóki w siebie wierzyli.

I poszli za wodzem pozytywiści. Wzorując się na nim, ruszyli z fantazyą naprzód, potracając każdego, kogo spotkali po drodze. Hulała młodzież w suterrenach „Przeglądu“, w rubryce, zaprowadzonej w początkach r. 1871, pod stałym nagłówkiem: „Echa Warszawskie“, używając sobie na każdym, kogo wysłużone lata pracy publicznej mianowały „powagą“.

Ktokolwiek zrobił coś w kraju, kto wysunął się po nad powierzchnię, dostawał kamieniem w łeb, jak owe żaby z bajki.

Po Pługu, Lubowskim, Orzeszkowej, Wilkońskiej szli kolejno prawie wszyscy, więcej wówczas znani autorowie, pod różgę gołowąsych Zoilów. Bez miłosierdzia wysmiewano Faleńskiego za jego poemat „Pod Kannami“, z namiętnością potępiono „Dzieci Wieku“ Kraszewskiego i Zacharyasiewicza „Człowieka bez jutra“, z uciechą rozswywołonych źrebiąt rzucano się na przedstawicieli starszej prasy, wlokąc „do światła:“ Keniga, Szymanowskiego, Chęcińskiego, Lewestama. Nie przebaczone nawet Aleksandrowi Tyszyńskiemu, chociaż szanowany przez młodzież profesor zbliżał się pod pewnym względem do programu pozytywnego, gdyż walczył, jako krytyk, z teorią sztuka dla sztuki.

Rzecz szczególna, że „Przegląd“ śpiewał z początku hymny na cześć właśnie owych „starych niedołęgów“, o czym przekonują profile, pomieszczone w roczniku drugim.

Najczęściej później prażony Wacław Szymanowski—„wszedł w swój zawód z rzeczywistym talentem, wspartym wykształce-

niem, a prócz tego z niesłychaną łatwością pisania... Ale schylił głowę przed pracą, co się spożyć nie daje“.

To samo mniej więcej pisano o Kenigu i innych.

Więc nie Wiślicki wprowadził do „Przeglądu“ ton, niesłychanie przykry dla interesowanych, zdumiewający bezwzględnością — nie on „ożywił“ w ten tani sposób łamy niepokąźnego tygodnika, jeno pozytywiści, głównie zaś Świętochowski, jako urzędowy polemista stronnictwa.

Że się każdemu nowemu pokoleniu zdaje, iż dopiero ono zdziała, co się poprzednikom nie udało, wiadomo powszechnie. Znaną też rzeczą, że młodzież, skora do gwałtownego czynu i jędrnego słowa, nie przebiera w wyrażeniach.

Nazywaliśmy kiedyś wszyscy, bezpośrednio po zejściu z ław szkolnych, profesorów „osłami“, rodziców zaś i starszych krewnych grzeczniej „zacołańcami“. Dopiero życie i jego rozczarowania nauczyły nas rozumieć zdanie Ben Akiby: „Wszystko już było na tym świecie.“

W chwili jednak największego rozkwitu „Przeglądu“, w chwili, kiedy szumiał najgwałtowniej (między r. 1871 a 1873) Wiślicki nie był — młokosem. Miał wówczas poza sobą kilkanaście lat pracy dziennikarskiej, przekroczył rubikon, dzielący wiosnę od lata, zbliżał się, słowem, do fatalnej czterdziestki, a dojrzałemu mężczyźnie nie wolno „brykać“.

Było obowiązkiem Wiślickiego powstrzymywać zbyt niezapędy i skoki młodzieży, łagodzić jej brutalną bezwzględność, prowadzić ją i wyrabiać.

Dlaczego tego nie uczynił?

Rosnąca szybko ilość prenumeratorów „Przeglądu“ odpowiada dostatecznie na to pytanie.

Horacyuszowskie *profanum vulgus*, przeciętny plebs ducha i serca nie zmienił się, niestety, mimo wieków, które przeszły po nim. Jak niegdyś bawił się w cyrkach rzymskich widokiem męczarni szlachetniejszych od siebie, jak wołał za konsulów i cesarów: *panem circenses*, nigdy nienasycony — tak biegnie i dziś do teatru na niemądrą operetkę lub tłustą farsę, omijając starannie tragedję, na której się nudzi; kupuje chęciwie „sensacyjne powieści — zaśmiewa się z różnych „cri-cri“ --- rozchwytuje świstki brukowe, plotkarskie, stroniąc od czasopism poważnych.

Ten plebs, najliczniejszy oczywiście, wszędzie i zawsze lubi szalenie wszelkie: hece, skandale, krzyki, bez względu na ich

wartość; ten plebs pochłaniał każdy numer „Przeglądu“, w którym sponiewierano którą z „powag“.

Jego obchodzą bardzo mało: zasady, przekonania, kierunki, prądy i t. d., chociażby dlatego, że się na tych rzeczach nie a nie nie rozumie; on szuka łatwej rozrywki.

A przecież to niezawodnie uciecha, gdy kogoś zasłużonego młodokosy spychają ze stanowiska, na które pracował przez lat wiele, to, zaprawdę, widowisko warte kilkunastu kopiejek!

Między mnożącymi się czytelnikami „Przeglądu“ znajdowało się wielu, których nie łączyło nic z tendencjami tygodnika; opłacali poprostu prenumeratę za część plotkarską pisma.

Wiślickiemu działo się dobrze z tonem, wprowadzonym przez młodzież do „Przeglądu“. Już z początkiem r. 1872 nie błagał o poparcie, lecz przechwalał się trzema tysiącami prenumeratorów. Zamiast pokornej odezwy do „P. T. Publiczności“, wydrukował „Powinszowanie noworoczne“, którego każde słowo zawierało obelgę.

Zmieniony koloryt niepozornego dość długo tygodnika musiał zwrócić nareszcie na siebie uwagę starszej prasy, a systematyczna poniewierka oburzyć obrażonych. Zaczęto pytać: kto jesteście, wy, którym się zdaje, że macie prawo do sądzenia wszystkich?

Wówczas to (przy końcu r. 1871) odpowiedział, w imieniu tworzącego się stronnictwa, jako naczelnik, Al. Świętochowski manifestem p. t.: „My i wy“.

„To coś, to straszdyło — wołał — ta ława groźna, mająca zatrwożyć i zohydzić obecny okres literacki w oczach potomnych, to jesteśmy my, młoda drużyna pisarzy! Teraz więc właśnie jest czas, gdy nas wskazano palcem, określić nasze stanowisko, zdefiniować cel walki, którą pismo nasze wytrwale i ciągle prowadzi, lekceważąc sympatyje sąsiadów i.... rzekomych powag.

„Nie potrzebujemy tego szeroko dowodzić, że tylko zastój, nieruchomość i ciemność w dziennikarstwie, lenistwo lub niedołość w literatach, którzy coraz bardziej mnożącym się potrzebom wysługiwać się nie chcą lub nie mogą, którzy, zyskawszy sobie jaki taki kredyt u ogółu, zapomnieli o wypłacie mu najkonieczniejszych długów, że, mówię, to jedynie pobudziło nas do zajęcia innego stanowiska, do czynnych i energicznych wystąpień.

„My wypowiadamy swoje przekonania otwarcie; nie lękamy się sądu i kontroli, pragniemy ją rozciągnąć na wszystkich; pragniemy: pracy i nauki w społeczeństwie; pragniemy wywołać siły nowe, zużytkować istniejące, skierować uwagę przed, a nie poza siebie — oto nasze zasady.

„Wy jesteście starzy, skrupowani między sobą tysiącem niewidzialnych nici, skradacie się ze swemi zasadami nieśmiało, żądacie w literaturze spokoju, nieruchomości, każecie wszystkim patrzeć w przeszłość, szanować nawet jej błędy, chcecie, aby was, jako senatorów rzymskich, była zawsze tylko jedna liczba, ażeby was nikt nie sądził, nikt o nic się nie upominał—oto wasza zasługa.

„Czy idąc tak odmiennemi drogami możemy się spotkać kiedykolwiek i uszanować wzajemne swoje cele? Nigdy! Wiemy to — między naszymi obozami popalone mosty, pozrywane groble“.

Artykuł ten spalił rzeczywiście mosty, pozrywał groble między uznanymi już w kraju pisarzami, a występującą dopiero na widownię publiczną młodzieżą, bo rzucił starym w twarz krwawą obelgę.

„Widzimy, że was siły opuściły. Jesteście sterani pracą i wiekiem, wzrok wasz się stępił na widoki nowe, zmysł stracił poczucie nowych potrzeb, leniwa myśl, pozbawiona życia, kręci się tylko w kółku dawnych celów, a świeżych rozpoznać nie umie... Całe nieszczęście w tem, że, przeciągnąwszy swój zawód zbyt długo, obok strat zyskaliście jeszcze wadę nałogu — przewodniczenia innym. To was w każdym razie nie tyle broni, ile szkodliwymi i nieużytecznymi czyni. Ustąpcie więc z drogi wszyscy, którzy ją tylko zawalać możecie; inni dopędzajcie tych, którzy prędzej do was biegną“...

Po takiej odezwie stało się wszelkie porozumienie niemożliwe. Publicyści warszawscy rozpadli się od tej chwili na dwa świadomie odcięte obozy. Pod sztandarami pierwszego stanęli wszyscy pisarze z pokolenia dojrzałego, w granicach drugiego gromadzili się debiutanci literaccy i dziennikarscy. Pierwsi, których nazwano zachowawcami, albo starymi, mieli już poza sobą przeszłość publiczną, odznaczyli się na różnych polach; drudzy postępowcy, młodzi albo pozytywiści szli naprzód lekką stopą, bo nie zmęczeni jeszcze pracą i nie obciążeni ba-

gazem autorskim. Była przed nimi przyszłość jasna i świetna w ich mniemaniu, a jak się później okazało, bardzo niepewna.

Zaczął się odtąd taniec szczególnego rodzaju. Młodzi, zachęceni oklaskami publiczności, która bawiła się wybornie „krytyką powag“, pędzili na oslep, lekceważąc wiek, zasługę i talent; starzy zaś, zamiast hamować słowem rozważnem zbyt żywych i bezwzględnych przeciwników, drażnili ich podejrzeniami, albo zgoła milczeli.

„Z całej tej wrzawy polemicznej — mówi bardzo słusznie Piotr Chmielowski w swoim „Zarysie literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu“ — nie było wielkiego pożytku dla społeczeństwa. Wprawdzie krążenie myśli odbywało się nadzwyczaj szybko, ale cóż z tego, kiedy same myśli przedstawiały się niejasno, a nawet w coraz gęstszej mgłę frazesów się chowały.

„Prawdziwa walka o zasady ma tę dobrą stronę, że, choć nie przekona walczących, którzy zazwyczaj przy swoich opiniach pozostają, wyjaśnia przecież słuchaczom lub czytelnikom takie pojęcia, o których oni zwykle mało rozmyślają. Ale walka o zasady, jaka w r. 1872 i 1873 w naszym czasopiśmiennictwie się toczyła, będąca co najwyżej zręcznem przedrwanianiem cudzych frazesów, a nie myśli, taka walka niczego nie uczy i rozdrażnia tylko. Gdyby, zamiast mnóstwa polemicznych artykułów, które ani o krok myśli badawczej nie posunęły, napisano wówczas z jednej i drugiej strony porządne studia o kwestyach spornych, lepiejby przysłużyło się myślacemu ogółowi“.

Skądże miały wyjść te „porządne studia“, kiedy starzy nie chcieli wsłuchać się w mowę ducha czasu, a młodzi byli jeszcze zbyt młodymi, aby mogli zapanować nad wrzawą, która pierś ich rozpierała? Przeczucie potrzeb bieżących daje chwila dziejowa, ich zaś świadomość tylko geniusz lub doświadczenie łąt wielu.

Po „krytyce powag“ i po manifestie Świętochowskiego, nadszedł czas do określenia programu stronnictwa. Należało teraz budować, uprzątnięto już bowiem gruzy, oczyszczono miejsce.

Dotąd wołano bez ładu i porządku: tegoczesna nauka — krzewienie nowych idei — postęp — ustąpcie z drogi, zacofańcy — my — wy — młodzi — starzy i t. d., ale co mianowicie te lu-

żne, odręcznie rzucane hasła, miały oznaczać, żaden z młodych nie wytłumaczył.

Sam manifest, który przyspieszył rozłam prasy warszawskiej na dwa obozy, chociaż twierdził, że wygłaszał „zasady“ dorzucił tylko do góry dawnych frazesów garść ogólników i obelg.

„My jesteśmy młodzi, nieliczni; wypowiadamy swoje przekonania otwarcie, nie lękamy się sądu i kontroli, pragniemy ją rozciągnąć na wszystkich, pragniemy pracy i nauki w społeczeństwie — oto nasze zasady“.

Pracy i nauki pragnęli i starzy, bo pracowali i uczyli się, jak umieli i chcieli. Domagano się słusznie, aby młodzi wskazali rodzaj pracy i kierunek, który uważali za lepszy od istniejącego.

Odbudowanie programu pozytywistów z setek artykułów, artykułików, luźnych wzmianek i uwag, nie należy do zadań łatwych. Pionierowie pozytywizmu warszawskiego mieli zrazu sami tak słabe wyobrażenie o celach, do których dążyli, tyle wyrzucili z siebie frazesów bez treści, słów bez znaczenia, że trzeba się przekopywać przez całe góry śmieci, zanim się natrafi na jakieś ziarno, na jakieś zwięzłe określenie.

„Dotychczas młodzi — twierdzi Chmielowski (j. w.) — przeciwstawiając się starym, obficie szermowali słowami: postęp i wiedza, nie zadając sobie trudu wyluszczenia szczegółowo, jakie cechy poglądów uważają za postępowe i jakie wyniki wiedzy chcą wśród społeczeństwa rozpowszechnić. Każdy czuł, że tak, jak się do tej pory działo w literaturze, dalek dzieć się nie może, ale mało kto potrafiłby był sformułować, o przeprowadzenie jakich reform przedewszystkiem chodziło.“

„Zapewne, że ci, co głębiej nad kwestyami lubili się zastanawiać, wyrobili już sobie pewne pojęcia religijne, polityczne, społeczne lub literackie, lecz pojęcia te nie były ujęte w program, nie mogły się nazywać ideałami stronnictwa, gdyż przedstawiały się tylko jako idee jednostek“.

„Jestto wybitnem znamieniem tej fazy rozwoju duchowego, że tylko najogólniejsze zasady, najabstrakcyjniejsze poglądy, były silną stroną umysłów młodych, którym ani doświadczenie życiowe, ani nauka dobrze przetrawiona, nie dały jeszcze treści do form już gotowych. Domagali się oni od przedstawicieli prasy silnie wyrobionych przekonań — ale sami mieli właściwie jedno tylko niewzruszone, o zdobycie którego ludzkość wiek cały wal-

czyła, t. j. wołali o swobodę rozbioru wszystkich zjawisk, o swobodę badania wszystkich przedmiotów, o swobodę krytyki wszechstronnej i bezwzględnej, bez oglądania się na żadne powagi“.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądały odezwy i manifesty działaczy, tak mało przetrwanych!

Głównie artykuły „Przeglądu Tygodniowego“ (z wyjątkiem krytycznych) robią wrażenie wypracowań studenckich, w których młodzi mędrkowie popisują się wszystkim, co kiedykolwiek o jakim przedmiocie słyszeli lub czytali. Aby dowieść prawdy najelementarniejszej, zaczynają zwykle autorowie „od Adama i Ewy“; potem sypią, jak do worka, mnóstwo pojęć wyartartych, w końcu płaczą się, potykają, nawracają, zataczają, zdążając manowcami do rozwiązania.

Prawie wszystkie artykuły zasadnicze „Przeglądu“ grzeszą zbyt niemiernym przeładowaniem argumentacji i niejasnością wykładu.

W analizie nadzwyczaj silny Świętochowski, okazał się mniej mocnym, gdy przyszło wskazywać drogi pracy pozytywnej (dodatniej). Jako polemista niewątpliwie talent pierwszorzędny, tracił, wobec afirmacji, pewność oka.

Wprawdzie znajdowały się między pierwszemi pozytywistami dwie głowy więcej syntetyczne. Piotr Chmielowski i Julian Ochorowicz, lecz ani jeden, ani drugi nie byli z usposobienia i upodobania publicystami. Zajmując się historią literatury i filozofią, brali udział pośredni we wrzawie polemicznej, która wykonywa w każdym przewrocie roboty przedwstępne.

Najgłośniej i najczęściej wygłaszali młodzi słowa: nauka, wiedza, zarzucając starym nieuctwo.

Wytłumaczenie tego pierwszego paragrafu programu pozytywistów w znajdujemy nie na łamach „Przeglądu“, lecz w innych czasopismach postępowych.

Już w roku 1872, więc w kilkanaście miesięcy po zajęciu przez „Przegląd“ owego stanowiska, oderwała się od pierwotnego pnia gromadka młodzieży, której obrzydł krzykliwy, nieprzyzwoity ton tygodnika Wiślickiego. Nazwawszy się „postępowcami umiarkowanymi, osiedlili się „odszczepieńcy“ w dwóch pismach, w „Opiekunie Domowym“ i w „Niwie“. Pierwszy, istniejący od r. 1865, przeszedłszy różne koleje, stał się w kwietniu organem nowego odcienia pozytywistów (Julian Ochorowicz, Jan Maurycy Kamiński, Gustaw Doliński, A. G. Bem, Aleksander Głowacki, Adolf Suligowski, Bronisław

Znatowicz, Karol Dunin, Jan Jeleński). Drugą założyło pierwotnie grono prawników: Elzenberg, L. Meyet, Z. Mirosławski, F. Ochimowicz, Plebański, J. Szenman.

Umiarkowani pozytywiści dowiedli od pierwszej chwili, że dążności postępowe mogą obyć się bardzo dobrze bez gminnych wymysłań i pyszałkowatości. „Opiekun Domowy“ i „Niwa“ nie splamiły się nawet w latach najgorętszych (w 1872—1873) brutalną „krytyką powag“, plotkarstwem i nieszlachetną zacięłością.

Jak w „Przeglądzie“ wodził rej Świętochowski, tak prowadzili umiarkowanych Chmielowski i Ochorowicz. Obydwaj, od samego początku spokojniejsi i rozważniejsi od naczelnego polemisty stronnictwa, wrócili tak tonem, jak postępowaniem cześć młodzieży, zniesławionej przez metodę tygodnika Wiślickiego.

Głównie drugi organ umiarkowanych, co dwa tygodnie wychodząca „Niwa“, usiłowała ilustrować pierwszy paragraf programu nowego stronnictwa. Na jej to łamach należy szukać odpowiedzi na pytanie: jaki rodzaj wiedzy wskazywali pozytywiści krajowi?

„Wiedza, to potęga! — zapewniali redaktorowie w odezwie do czytelników. — Potęga, magiczne słowo, wstrząsające nerwami każdego, w czyjem sercu pulsuje życie. Potęga — bożyszcze, przed którym ludzie z pokorą schylają czoła. Potęga — godło, wypisane, na sztandarze który wydzierają sobie społeczeństwa, biegnące w zawody po drodze postępu. I tak rozgłośnię brzmiące słowo połączyliśmy z cichą, skromną wiedzą, uznając je za równoznaczne. Czyż nie wyda się to paradoksem! Nie, to nie paradoks!“

I „Przegląd“ potrąca o wiedzę, ale nigdy z taką wiarą, z takim naciskiem. Redaktorowie „Niw“ rzucali się w objęcia swojego bożyszcza z ufnością lat dwudziestu kilku, spodziewając się od niego lekarstwa na wszystkie choroby społeczne.

„Bo jesteśmy dotąd społeczeństwem, rządzącem się chwilowemi wrażeniami i popędami uczucia, społeczeństwem, nie mającym światła wiedzy, a co gorsza, nie chcącem promieniami jego rozjaśnić dróg, po których postępować należało. Wiedza i jeszcze raz wiedza powinna nas uleczyć z tego gorączkowego stanu. Ona tylko może dać trwałe podwaliny, na

których jest możliwa dalsza budowa materjalnej i moralnej pomysłności.“

A jakąż to wiedza miała owych cudów dokazać? Wszakże i profesorowie Szkoły Głównej trudnili się nie szewctwem lub handlem, jeno krzewieniem nauki, a pomimo to zaliczono ich do starych, czyli ignorantów?

Młodzi chcieli wiedzy „pozytywnej“.

Skoro wskazali palcem rodzaj nauki, który zalecali krajowi, to przeniknęli chyba nawskroś jego tajemnice, ogarnęli metodę pozytywną wszechstronnie?

Odpowie na to najlepiej Piotr Chmielowski, świadek ze wszech miar wiarogodny, gdyż należał do pozytywistów i brał czynny udział w ich robocie. Razem z nimi rozwijał się błędził, łudził się i dojrzewał, przeto nie podlega jego sąd wątpliwości.

„Pierwsze co prawda, pokolenie, wychowane przez Szkołę Główną („Zar. L. P.“), poszło utorowanemi już dawno gościńcami; oddało się uprawie poezyi, drukując różne zbiorki poezyj, pod mniej lub więcej romantycznemi tytułami. Ale druga już z kolei generacya poczuła na sobie wybitny wpływ ducha nowego, który bił z nowej instytucyi. Powoli, bardzo powoli, dowiadywał się o świetnych zdobyczach nauki nowożytnej lub o potężnych prądach, nurtujących w umysłowości europejskiej.

„Ze wstępnej prelekcyi Henryka Struvego dowiedziała się młodzież, że po za granicami kraju, od lat już kilkunastu, huczała burza materyjalizmu, którą wzniecili Moleschott, Vogt, Büchner, a o której w kraju do tej pory zaledwie tu i owdzie przebąkiwano. W odczycie J. K. Plebańskiego o Juliuszu Cezarze, posłyszała o nowym kierunku historycznym, inaugurowanym przez Tomasza Buckle'a, którego dzieło: „Historya cywilizacyi w Anglii“ wychodziło wówczas we Lwowie w przekładzie polskim. Ci dwaj profesorowie nietylko nie byli propagatorami nowych kierunków, zwalczali przeciwnie, rozgłaszane przez siebie teorye, ale dając znać o ich istnieniu, już przez to samo zachęcali młodzież, spragnioną nowości, do nabywania dzieł interesujących...

„Inaczej rzecz się miała z teorią Darwina i pozytywizmem Comte'a. Charakterystycznym znaczeniem naszego ukształcenia jest to, że pierwszą drukowaną wiadomość o Darwinie znalazła młodzież w polemicznej broszurze ks. Wartenberga, wymierzo-

nej (w r. 1866) przeciwko jego teorii. Wprzód zatem ostrzeżona była o jej niebezpieczeństwie i szkodliwości, zanim z ust Ant. Wrześniowskiego, a potem Edwarda Strasburgera, posłyszala jej zasady.

„Z teoryami Comte'a spotykamy się wprawdzie już w r. 1844, w dziele Adryana Krzyżanowskiego p. n.: „Dawna Polska“ ale wiadomość ta przebrzmiała tak dalece, że nawet wydawca drugiej edycji tego dzieła w lat kilka o tym fackie nie a nie już nie wiedział. Następnie, w roku 1865, Józefa Śmigielska streściła parę artykułów francuskich, przeciwnych pozytywizmowi i pomieściła krótką notatkę swoją w „Kółku Domowym“, ale i ta praca nie zwróciła na siebie uwagi. Kraszewski w powieści „Żyd“ wzmiankował kilkakrotnie o pozytywizmie, ale zrobił to tak pobieżnie i powierzchownie, że żadnego o tym kierunku myślenia nie można było sobie wytwarzać pojęcia. Dopiero obszerna rozprawa ks. Franciszka Krupińskiego p. t.: „Szkoła pozytywna“, pomieszczona w „Bibliotece Warszawskiej“ (w roku 1868), zaznajomiła myślących czytelników z nowym rodzajem filozofii.

„Z półsłówek wreszcie, z gazetarskich nowinek, dowiedzieliśmy się o Ern. Renanie, jako autorze „Początków Chrześcijaństwa“.

Ktokolwiek uczył się jakiejś umiejętności prawidłowo, wie z doświadczenia, co warte wiadomości nabyte za pośrednictwem ulotnych broszur, rozprawek, powieści, lichych przekładów, „półsłówek i nowinek gazetarskich“.

Bardzo też słusznie twierdzi Chmielowski, że o „tegoczesnej nauce“, którą wypisano w roku 1871 na sztandarze „Przejrzenia“ młodzież pojęcia mieć nie mogła, że „słyszała coś z boku, domyślała się, ale wiedziała tylko po wierzchu i z nazwiska“ czem się tak butnie przechwalała.

Nadomiar nie przyrodnicy, lecz prawnicy, głównie zaś filologowie, wypowiedzieli wojnę starszemu pokoleniu. Jakież wyobrażenie mogli mieć o tej „nauce nowoczesnej“ wychowawcy gimnazyów klasycznych, którym szkoła nie dała odpowiedniego przygotowania w kierunku właściwym? Żadnego oczywiście, albo przynajmniej niejasne, dyletanckie.

Chmielowski opowiada, że o teorii Darwina np., która narobiła swojego czasu tyle wrzawy „nie tylko jej przeciwnicy, ale

nawet zwolennicy, nie mieli z początku dokładnego pojęcia“, że samego mistrza angielskiego jego wielbiciele „nie czytali“.

Tak samo miała się rzecz z pozytywizmem.

„Jednakże i teraz — zdradza Chmielowski, gdy się powszechnie w młodem kółku zgodzono na metodę eksperymentalną, to znano znowu tylko środek badania, nie zaś treść i rezultaty jego. Było wtedy wiele przeczucia, wiele mglistych obrazów, goniono się za wielu majakami, sądząc, że się chwyta za kraj szaty, okrywającej prawdę. Wśród takiego położenia, zaczęto coraz częściej wspominać o pozytywizmie. Naturalnie gruntownej jego znajomości nie było natenczas u nikogo. Znalazło się kilku, może kilkunastu, co powodowani sumiennością, zajrzeli do źródła, skąd mądrość płynęła, odczytali sobie, jeśli nie samego Comte'a, to Littré'go i nabrali mniej więcej dokładnego pojęcia o metodzie i całości nauki pozytywnej; ale znaczna większość, zarówno zwolenników, jak i przeciwników, zadowalniała się na prędce gdzieś pochwytanemi frazesami, modelując je według upodobania i według potrzeby. Stąd powstały bardzo dziwaczne pojęcia o tem, co jest pozytywizm“.

Że się Chmielowski nie mija z prawdą, że oparł się na faktach, dowodem tego komentarze młodych mędrców, tłumaczące znaczenie pozytywizmu.

W „Niwie“ (tom III, str. 98 i nast.), w artykule pod tyt. „Pozytywizm i pozytywiści“, czytamy co następuje:

„Wśród takiego stanu rzeczy (wśród przeczuć, mglistych obrazów, majaków, gonionych cieniów i t. d.) wpadł nagle, prawie współcześnie z darwinizmem — wyraz pozytywizm. Powtarzamy, wpadł wyraz, gdyż u nas, wychowanych według zasad zacofanej pedagogiki, zwykle dzieje się tak: słyszymy na-przód dźwięk jakiś, lubujemy się nim lub też ze wstrętem zasłaniaamy sobie uszy; potem dopiero zjawia się pytanie: co też ten dźwięk może znaczyć — i łowiąc słuchem fale głosowe, zastanawiamy się i badamy pojęcie. Po nitce wyrazu dochodzimy do kłęбка myśli. Uczywiśta rzecz, że przy takiej manipulacji przyswajamy sobie jak najfałszywsze wyobrażenia.

„Pozytywizm pozwala mówić tylko o rzeczach zbadanych i wygłaszać prawdy, trudną i mozolną pracą zdobyte.

„Pozytywizm, obcinając skrzydła fantazyi w nauce, nie pozwala na szumne i bezwzględne orzeczenie o istocie wszech-

rzeczy, o najwyższem prawie rozwoju ludzkości, o wszystkich wogóle kwestyach, które ogromem swoim drażnią ciekawość ludzi, chcących wiedzieć wszystko odrazu, natychmiast i bezpośrednio.

„Ale z drugiej strony wiemy również, że po upadku tylu już bezwzględnych systematów, umysł ludzki znużył się gonieniem rzeczy niepochwyconych i chciałby odpocząć, rozważając i badając sprawy przyrody i życia dla siebie dostępne, chciałby wiedzieć coś pewnego o tem, co go najbliższemu interesuje.

„Opierając się na wynikach nauk specjalnych, pozytywizm nigdy pobłądzić nie może, a przynajmniej łatwiej mu bezwątpienia poprawić omyłkę, nie burząc całej swojej budowy. Niepodobna nawet pomyśleć drogi prostszej i pewniejszej, któraby do odkrycia prawdy prowadziła.

„Dla pozytywisty powagą jest tylko badacz naukowy, o ile się zajmuje badaniem szczegółów nauki, jego specjalność stanowiącej. Co stwierdzone zostało doświadczeniem, to stanowi zasługę i tytuł do nazwy powagi“.

Powyższe zdania, chociaż zawierają rzeczywiście najglówniejsze wytyczne metody badania, zwanej pozytywizmem, nie wykraczają poza sferę ogólników. Czuć w nich „przecucie“, a nie widać świadomości.

Więc między uczonych, co się wiedzą swą chęć, zarzucając starszym kolegom nieuctwo, „wpadały wyrazy“, tworząc w dalszym ciągu „najfałszywsze wyobrażenia?“

Było tak w istocie, wszyscy bowiem, którzy należymy do ostatniego pokolenia pisarzy polskich, dowiadaliśmy się w ten zabawny sposób o pozytywizmach i darwinizmach; wszyscy, czy postępowcy, czy zachowawcy, znaleźliśmy zrazu zaledwie główne zarysy przebrzmiewających już doktryn zachodu, nie mając wyobrażenia o ich całokształcie. Douczaliśmy się dopiero później, czego nam szkoła nie dała. „Dochodziliśmy“ wolno, z latami, „po nitce wyrazu do kłębka myśli“.

A nietylko nie przetrawiliśmy teoryj, które „krzewiliśmy“ lecz znajdowali się między nami nawet tacy „uczni“, którzy, przyswajając literaturze krajowej dzieła obce, nie panowali dostatecznie nad językiem tłumaczonych autorów. Chmielowski idzie jeszcze dalej, bo twierdzi wprost, że: „znajomość geografii i historii była u wielu dość słaba“. Rzeczywiście, znaczna część wydawnictw Wislickiego, nie pomijając jego „Ency-

kłopedyi“, jeży się takim mnóstwem usterek, że możnaby z nich spleść bardzo długą wiązanę humorystyczną.

Mimo faktycznego nieuctwa, nie traciła młodzież „miny“. Przeciwnie! Niosła głowę butnie, za butnie, jak na swoje kwalifikacye. Sama nie wiele wiedząc, zarzucała wszystkim nieuctwo.

W r. 1872 pomieszczał „Przegląd Tygodniowy“ studyum Feliksa Bogackiego, pod tyt. „Psychologia i fizyologia“. Rozprawkę swoją „zabarwił“ autor przypiskiem, wystosowanym pod adresem Libelta.

„Pomimo poszanowania, jakie mam dla p. Libelta — pisze Bogacki—dla jego wielolicznych zasług, nie mogę przemilczeć, że powyższe jego słowa tylko kompromitować mogą jego powagę. „Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę—a, jaka dobra cebula!...“ cóż innego powiedzieć można o tym filozoficznym gzie. I śmiać i płakać się chce, czytając podobne rzeczy. Że Al-Gazali bredził—nie dziwo, że p. Libelt rozwodzi się z podobnemi andronami, to dziwniej—choć da się usprawiedliwić w pewnej mierze panującą u nas bzikologią, nietylko przez pospolite, ale i przez poważne umysły wyznawaną. Bzikologia jest skutkiem niedouczenia i jakiejś dziwnej rezygnacyi słuchania każdej owcy z metafizycznego stada, która tylko głośniej i z większym zapalem beczy.

„Duch stęskniony, jak mówią platoniczni filozofowie—choć lepiej byłoby wyrazić się: żądny prawdy — zamiast jej szukać, kładzie się do góry brzuchem, łyknąwszy przedtem kieliшек metafizycznego wyskoku i w pijanym zawrocie głowy zmyśla na czem świat stoi i nazywa swoją niedołążność boską mądrością. Jest to i zuchwałość i zarozumiałość i... domyślcie się sami, czem jeszcze“.

Że młodzieniec, który się odurzył, nie „wyskokiem metafizycznym“, ale obrzydliwą lurą materyalistyczną, stracił równowagę i pokrzykiwał nieprzyzwoicie, można mu przebaczyć. Ale co sądzić o redaktorze, o meżu dojrzałym, który drukuje w swoim piśmie takie ordynaryjne wycieczki przeciw ludziom długiej i jasnej przeszłości?

Jak krytycy „Przeglądu Tyg.“ tak usiłowali i jego uczeni steroryzować inaczej wierzących, przerazić ich za pomocą obelg i wymyślań.

Metoda „Przeglądu“ okazała się, niestety, skuteczną, staryzy bowiem, wleczeni przez ścieki błota, milczeli, obawiając się „skandalu“.

A przecież tak łatwo było wykazać ignorancję uczonych z „Przeglądu“ i innych pism postępowych! Wystarczyło rozpatrzyć się trochę w nauce europejskiej i napisać kilka studyów sumienniejszych, aby zdemaskować pseudo-uczoność młodych. Rzecz szczególna, że się na ten pomysł nie zdobył żaden ze starych, choć znajdował się między nimi Henryk Struwe, który posiadał wszystkie warunki, potrzebne do prac źródłowych.

Pierwszy, główny paragraf programu pozytywistycznego nie objaśnia właściwie nic. Owa, najczęściej i najgłośniej obwoływana wiedza, ginie w gęstej mgłę niezrozumiałych frazesów—nie rysuje się plastycznie. Młodzież, która twierdziła, że „krzewi naukę“, uczyła się dopiero sama elementów „wiedzy tegoczesnej“, o czym świadczą liczne, w znacznej części nieudolne kompilacje, rozrzucone między rokiem 1870 a 1873 po różnych czasopismach postępowych i wydawnictwach „Przeglądu“.

Bez porównania jaśniej, pochwytniej, przedstawia się drugi paragraf: reforma pojęć literackich, której „przecucie“ odbywa się już w owym „Grochu na ścianę“.

Artykuł ten, zwrócony przeciw naśladowcom liryki romantycznej, przeciw malarzom nieprzecierpianych cierpień, zawiera pierwszy ferment idei „trzeźwych“.

„Czem jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakimi częstokroć zapomniani geniusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku, zbrojnej w baterie, ulane z twardego i niczem nieprzebitego sensu“.

Lirycy ówczesni „nie bombardowali wcale do twierdzy zdrowego rozsądku“, nie szło im zupełnie o przytrzymanie ideałów przyszłości, choć się nieraz groźnie marszczyli, mówiąc o teźraźniejszości. Byli to poprostu w znacznej części artyści, których olśniewały kaskady lśniących słów romantycznych i muzyka ich rytmów. Poświęcali treść dla formy. Dusza jednak romantyczna nie czywiała ich.

Wsluchując się dziś w satyry, wymierzone przeciwko ówczesnym lirykom, rozróżniamy bardzo wyraźnie odgłosy starej

walki pomiędzy teorią „sztuka dla sztuki“ a zasadą „sztuka dla ludzi“.

Jak w filozofii potykają się ze zmiennem szczęściem od wieków dwa kierunki, idealny i materyalistyczny, różne przybierając nazwy, tak widzimy i w literaturze pięknej, od samego początku jej istnienia nie ustający nigdy spór między wielbicielami myśli, a czcicielami formy. Pierwsi twierdzą, że istotę dzieła sztuki stanowi jej treść, drudzy zwracają przednią uwagę na technikę artystyczną. Oba rodzaje, chociaż odmawiają sobie nawzajem racji bytu, są równouprawnione, mogą rozwijać się i kwitnąć obok siebie.

Pozytywiści stanęli odrazu po stronie „sztuki dla ludzi“, co poświadczają manifesty literackie, drukowane głównie w „Niwie“.

W Nr 18 „Niwy“ (r. 1872) czytamy w artykule pod tyt. „Utylitaryzm w literaturze“:

„Każdy pisarz powinien żyć życiem ogólnem, a nie swojemi osobistymi przypadkami i awanturami; potrzeba nie tylko czuć, ale rozumieć wszystkie potrzeby, jakie w danym czasie w społeczeństwie powstają; wymagania czasu, zrozumienie jego ducha, nie dadzą się ułoić wśród beczynnego marzenia, w którym zostawia się swobodny polot wszystkim myślom i wyobrażeniom, nie przebierając w nich wcale. Wyrobienie stałych, nie wzruszonych zasad, jest tu pierwszą i najważniejszą rzeczą. Naśmiesznośćby się wystawił, ktoby dziś chciał utrzymywać, że zasady niewiele ważą w utworach piękna. Doprawdy? Więcby tak mało należało cenić publiczność, której się przedstawia jakiś obraz z jej życia, żeby powiedzieć jej z prostodusznym uśmiechem: na dziś to dobre, ale jutro przyjdź, zobaczysz zupełnie co innego; wszakże tobie idzie o to tylko, ażeby mile czas przepędzić, mniejsza jakich przekonań kosztem“.

„Albo literatura pójdzie ręką w rękę z naszymi najdroższymi interesami, zarówno materyalnymi, jak duchowymi, albo też pozostanie w tyle, odśpiewując stare litanie nieutulonego żalu i bezmyślnego majaczenia. W pierwszym wypadku przyjmujemy ją do swojego towarzystwa i cenić będziemy na równi z innymi użytecznymi produkcjami, w drugim zaś—niech umiera, nam jej nie potrzeba“.

Głosy powyższe obywają się bez komentarza: mówią same za siebie. Nie sztuki dla sztuki, nie arcydzieł formy domagali

się pozytywiści, jeno poezji, powieści, komedyj i dramatów, w którychby występowali ludzie współcześni i odzywały się przekonania, zasady i cele chwili obecnej. Nie zachwycały ich harmonijne zwrotki rozplakanych artystycznie liryków, nie muzyki pięknego słowa pragnęli.

„Służcie społeczeństwu, potrzebom epoki, dorzucajcie do wspólnej pracy wszystkich kierunków i swoją cegiełkę, bo jeżeli nie zrozumiecie, że sztuka powinna być *ancilla populi*, jak niegdyś w wiekach średnich była filozofia *theologiae ancilla*, a obecnie i nauk ścisłych, to znać was nie chcemy“.

Pożyteczność literatury pięknej, nie zaś jej artyzm, była hasłem pozytywistów, którzy nie przyznawali sztuce stanowiska niezawisłego.

Mniej wyraźnie, aniżeli przewrót w pojęciach literackich, przedstawia się w początkach ruchu paragraf trzeci programu „młodych“, ich stosunek do spraw społecznych. Trzeba się tu znów przedzierać przez las bałamutnych artykułów.

Właśnie ta część wymagała doświadczenia życiowego i znajomości stosunków kraju, o co trudno w młodości.

Głównym społecznikiem między pozytywnymi czasopismami warszawskimi był „Przegląd Tyg.“. Jeszcze wówczas, kiedy Wislicki nie miał wyobrażenia o drogach, któremi jego tygodnik, pchnięty przez młodych, kiedyś pobiegnie, zajmował się z upodobaniem sprawami społecznymi. Pierwsze roczniki jego tygodnika wykazują długi szereg t. zw. kwestyj bieżących, mniejszej lub większej wartości.

Już w r. 1867 zastanawiał się Wislicki nad dobrobytem materyalnym (artykuły pod tyt. „Praca i majątek“), a i później wracał dość często do tego samego przedmiotu. Mozolnie jednak sklecone, bez talentu napisane elukubracye redaktora „Przeglądu“, nie skutkowały, przemijając bez wrażenia. I część społeczna programatów pozytywistów czekała na umysł błyskotliwy, któryby olśnił publiczność słowem jaskrawem, a silnem przekonał.

Artykuły, jak „Wielka i mała polityka“ — „Kołowacizna polityczna“ — „Djabli wiedzą na co“ — „Nule“ — „Paszorzyty literackie“ — „Pleśń społeczna i literacka“ i wiele innych poruszały niezawodnie sprawy ważne, palące w danej chwili, ale nie zawierały afirmacji. Wyłącznie negatywne, „oczyszczały tylko teren“, nie dając żadnych wskazówek istotnie pozytywnych.

Krótki okres działalności dodatniej „Przeglądu Tyg.” rozpoczął Świętochowski w Nr 11 z r. 1872 rodzajem odezwy pod tyt. „Absentizm“.

„Absentizm dobrowolny jest tchórzostwem i niema prawa do godności wspaniałej cnoty. Jest wadą, a może nawet największą, jakie nas uciskają. Jeżeli więc się skarżymy na zastój, na brak inicjatywy, na ospałość i nieruchomość społeczeństwa, to pamiętajmy, że znaczna część przyczyn tych smutnych zjawisk wypływa właśnie z tej wady...”

Nie o robotę „porządną” w ogóle szło pozytywistom, lecz o działalność, któraby się przyczyniła do podniesienia dobrobytu kraju, co niejednokrotnie wypowiadali.

„Nigdy nie widziano — wołali na innym miejscu — aby naród ubogi, nie zasobny w zapasy materialne, pozbawiony dobrodziejstw szeroko rozwiniętego przemysłu i handlu, doszedł do wysokiego wykształcenia, wydał z łona swego znakomitych uczonych, poetów i artystów. I naodwrot — wzrost nauk i sztuk ma się w stosunku prostym do dobrobytu materialnego.

„Nauki specjalne oddają niezaprzeczone zasługi materialnemu rozwojowi społeczeństwa“.

Więc ową „pracą organiczną” pozytywistów było głównie zwracanie uwagi na doniosłość dobrobytu materialnego i wskazywanie wiodących do niego dróg (handel, przemysł, nauki techniczne).

Co publicyści stronnictwa rozrzučili w licznych artykułach, co pokryli mnóstwem wykrzykników, to wystąpiło plastycznie w dziełach beletrystów obozu.

Eliza Orzeszkowa, najzarliwsza wyznawczyni idei pozytywnej w powieści współczesnej, włożyła w usta jednego ze swoich bohaterów („Ostatnia miłość”) słowa następujące:

„Chyba tylko jaki w tłumie zabłąkany poeta cicho westchnie za błogosławionym dla eterycznych dusz czasem, w który nie świastyły lokomotywy; ale prozaiczne dusze dzisiejszych czasów wolą w objęciu pary przenosić się z miejsca na miejsce, w pogoni za wiedzą, bogactwami i użyciem“.

Michał Bałucki, drugi pozytywista w literaturze pięknej, kazał Adolfowi („O kawał ziemi”) wielbić przedewszystkiem przemysłowców i pomocników ich, inżynierów.

— Poeci chwalą wciąż, do znudzenia, tę minioną przeszłość;

tam widzą piękność, wspaniałość, bohaterstwo. A przecież owe olbrzymie zapasy ludzkości w czasach dzisiejszych warte także pieśni; ludzie, co z cyrklem, łańcuchem mierniczym i łopata zdobywają dla cywilizacji przestrzenie ziemi, prostują drogi i budują koleje, większymi może są bohaterami, niż ci, co te drogi znaczyli ogniem i krwią.

— W taki sposób pan — zauważyła baronowa — opisując bohatera nowszych czasów, zrobiłbyś go z ważkami w rękę lub łańcuchem mierniczym?

— Zaręczam pani — odpowiedział Adolf z uśmiechem — że dla ludzi, rozumiejących istotną poezję, byłby to większy bohater, niż ten, co krew ludzką przelewał.

Sprowadzając do wspólnego mianownika wszystkie wskazówki, uwagi, odezwy i manifesty, rozrzucone między r. 1871 a 1873 na łamach czasopism postępowych Warszawy — osiągnięciem następującą mniej więcej wypadkową:

Pozytywiści żądali od kraju:

1) Głębszej i szerszej wiedzy, kładąc szczególny nacisk na filozofię, zwaną pozytywną, i nauki ścisłe. Intuicję zastąpili obserwacją, spekulacją — eksperymentem.

„Dla pozytywisty powagą jest tylko badacz naukowy, o ile się zajmuje badaniem szczegółów nauki, jego specjalność stanowiącej. Co stwierdzone zostało doświadczeniem, to stanowi zasługę i tytuł do nazwy powagi“ — twierdzili.

Zwrot do nauki ścisłych, jaki się w czasach ostatnich objawił, silnie przemawia za przyjęciem tego kierunku myślenia“ — uczyli.

„Pozytywizm pozwala mówić tylko o rzeczach zbadanych i wygłaszać prawdy, twardą i mozolną pracą zdobyte“ — powtarzali bezustannie.

2) W literaturze pięknej popierali użyteczność („tendencję“) przeciw wyznawcom teorii „sztuka dla sztuki“. Aczkolwiek nie krępowali fantazyi autorów, nie zacieśniali dziedziny przedmiotów, sprzyjali jednak najwięcej pomysłom, zaczerpniętym ze źródła obyczajów, zwyczajów i dążeń mieszczańskich.

3) Jako nauczyciele społeczni, marzyli o powszechnym dobrobycie kraju, o „dobrodziejstwach szeroko rozwiniętego przemysłu i handlu“, o mrówczej, mozolnej „pracy u podstaw“, spodziewając się od bogactw materialnych pomyślności moralnej.

Tak zwana „praca organiczna“ była ich hasłem bojowym, ich wołaniem.

Do krzewienia nauki nowoczesnej, tendencyjności w literaturze i pracy organicznej, należy jeszcze dla całości obrazu dodać „kwestwę“ emancypacji kobiet, popieraną przez pewien czas przez młodych. Sprawa ta jednak, przeszedłszy w ręce niewieście, stanęła wkrótce na uboczu. Mecenasem jej był „Przeгляд Tygodniowy“.

Więc pozytywiści wykwitli z ducha czasu, z jego potrzeb, byli skutkiem istniejących przyczyn, szkołą, która miała rację i prawo bytu? Więc nie kaprys kilku głów powołał ich do życia i natchnął, jeno chwila dziejowa?

Niewątpliwie.

Dzieci marzycieli i zapaleńców z r. 1863, patrzący własnymi oczami na ujemne owoce złudzeń ojców i starszych braci, chciały naprawić błędy przeszłości.

Znaczenia ruchu pozytywnego, nie zrozumieli starzy, nazywani zachowawcami. Skryształizowani już w r. 1870 na resztę życia, zasklepieni w skorupie spłowiałych ideałów romantycznych, pokostowanych lirycznym demokratyzmem i sielankowym żydofilstwem, zamykali uszy na wrzawę dnia. Dziwiły ich te głosy młode, niedojrzałe, więc zuchwałe — świeże, więc krzykliwe. Przerazały ich „nowinki“, odpychała ich buta.

„Czyż kiedy wy — skarżył się Świętochowski tylko w części słusznie („My i Wy“) — jako ludzie rozważni, doświadczeni, chłodniejsi, wystąpiliście do nas, już nie mówię ze słowami pochwały, ale przynajmniej żywej sympatii i zgody? Czyż w działaniu naszym uznaliście nas jako cyfrę, którą wciągnąć należało w rachunek ogólny? Czyż uznaliście w nas ludzi, którzy są i zdolni są pracować obok z wami? Nic nie zrobiliście z tego wszystkiego, a skarżycie się teraz, żeśmy się sami o swoje upomnieli, źle mówię — żeśmy się wam pamiętać kazali. Przypuściwszy, że wasza rola jeszcze nie skończona, dlaczegoście nam wszelkiej zaprzeczali? Czy myślicie, żeście wy tylko zaarendowali honor, miłość dobra, poczucie piękna? Czy sądzicie, że młodej piersi wszystko to obce? Rezerwując sobie swobodę zdania, nam odmówiliście prawa głosu. I dziś skarżycie się, że usta wygłaszają na was tu nowe wyroki? Gdybyście byli odrazu coś ustąpili ze swojej wielkości, gdybyście zgodzili się na to, że i nam wolno przyjąć udział w zadaniach, któreście dotąd sami spełniali -- bylibyśmy dotąd lepiej sobie

znajomi; możebyście nauczyli się bezstronności, zapału, ruchu, śmiałości pragnień, a my skorzystali z waszej pomocy i doświadczenia“.

Tylko w części słusznie, starzy bowiem nie mogli ukorzyć się przed garstką młodzieży, która nie miała jeszcze nic poza sobą, nie mogli przyklasnąć talentom, których owoców nie widzieli, nie mogli, słowem, uznać za „cyfrę“ tego, co dopiero rosło! Nie było wypadku w żadnej historii literatury, aby kilka artykułów postawiło nowicyuszów odrazu obok już zasłużonych.

Młodzież nie miała w r. 1872 prawa do żądania stanowiska które się jej nie należało, a najmniej do tonu, jakim się posługiwał Świętochowski w manifestie p. t. „My i wy“.

Zresztą, nie od prósy o gościnność, lecz od szykany i obelgi zaczął polemista stronnictwa robotę. Każde jego echo, każda recenzja, obrażały kogoś krwawo.

Jakżeż chciał, aby go starzy przygarnęli, wraz z towarzyszami, kiedy odtrącił wszystkich z niesłychaną bezwzględnością?

Do kogo się mówi:

„Ustąp z drogi, niedołęgo, głupcze, osłe“ i t. d.—
od takiego nie spodziewa się chyba rad i poparcia.

Dwa głównie artykuły „Przeglądu Tygodniowego“ podbudziły ostatecznie namiętności, mianowicie: „Opinia publiczna“, oraz „Tradycja i historia wobec postępu“.

W drugim z nich chciał autor wykazać różnicę między tradycją dobrą a złą, rozumną a nierozumną. Pierwsza, dziejowa, będąca ostatecznym wynikiem działalności pewnego społeczeństwa, nie może przeminać, bo jest podstawą dalszego rozwoju. Oprócz tej tradycyi, istnieje jeszcze inna, owoc nałogów pewnej epoki, który powinien ustąpić miejsca innym wyobrażeniom, zwyczajom i obyczajom, gdy zmienione warunki odmiennego domagają się postępowania.

Zamiast różnicę między tradycją właściwą a niewłaściwą określić przejrzycie, młody mędrzec, nie umiejąc sobie poradzić, utonął w chaosie frazeologii dyalektycznej i „nawymyślał“ tak zw. wstecznikom.

„Bo narody mają historię a nie tradycję“—prawił, udając okrutnie uczzonego.

Należało sprostować pogląd pozytywisty, wprowadzić

trochę powietrza do jego bałamutnej gadaniny, wyjaśnić ją. Stało się jednak inaczej.

„Otóż macie ich — zawołano. — Nie szanują tradycyi, sztydzą z ideałów społecznych, plwają na przeszłość“ i t. d., i t. d.

Nawet na silniejszą odprawę nie zdobyli się starzy, zadowalając się kłaniem. Jedyń Edward Lubowski odezwał się wówczas gromkim głosem, stawiając krzykliwych towarzyszków Wiślickiego przed trybunałem szerszej publiczności, bo w „Kłosach“ (Nr 343, p. t. „Do redakcyi czasopisma „Kłosów“) i w „Kuryerze Warszawskim“ (Nr 19 z 25 stycznia 1872 r.).

Daremnie łagodźli umiarkowani, co „Przegląd“ zaognił i zaostrzył.

Juljan Ochorowicz w artykule p. t. „Pozytywizm i negatywizm“ („Niwa“, tom III, str. 88) uznawał—„łączość dziejów i idealnym pobudkom zostawiał wolne pole do działania pod kierownictwem rozważi“, uwielbiał wszystko, co wzniosłego i szlachetnego serce wydało.

Nie przydały się na nic nawet obrony „ideałów“ („Idealny“). Starzy, wypowiedziawszy sobie raz, że młodzi nie tylko wygłaszają, ale także wcielają osobiście zasady utylitaryzmu, nie dali się inaczej przekonać. Przeto spada i na nich część winy za zgorzenie publiczne, którego Warszawa była widownią między r. 1871 a 1873.

P o z y t y w i s c i błędzi — niezawodnie — wszakże nie złą wiarą i „odstępstwem“, jak im zarzucano, lecz tylko brakiem nauki, doświadczenia życiowego i wyrobienia.

Łudzili się przedewszystkiem co do znaczenia wiedzy. Pięta achilesowa, stroną najsłabszą ich programatu, jest jego część pierwsza, główna.

Wiedza, to potęga—któż zaprzeczy—ale nigdy w tym stopniu, jaki jej przypisywali młodzi wielbiciele. Nie ona jednak wytwarza „trwale podwaliny, na których jest możliwa dalsza budowa materyjalnej i moralnej pomysłności“, nie ona wypełnia życie człowieka i narodów. Pomocnicą jest, sługą, nie zaś królową, panią samowładną.

A najmniej — metoda pozytywna.

Wiadomo, że Comte („Cours de philosophie positive“) podzielił historię rozwoju umysłowego ludzkości na trzy okresy (stany), mianowicie: teologiczny czyli poetyczny, metafizyczny (abstrakcyjny) i ściśle naukowy (pozytywny).

W pierwszym występują siły i zjawiska przyrody w osłonach mitologicznych; w drugim wzniesiono się do pojęć oderwanych o istocie wszechrzeczy; w trzecim (współczesnym, rozpoczynającym się właściwie od Comte'a, według jego mniemania), zrozumiała nauka, że powinna ograniczyć się do badania zjawisk przyrody i ich wzajemnego do siebie stosunku. Ponieważ zaś jedynie umiejętności specjalne (matematyka, astronomia, fizyka, chemia, biologia i socjologia) nadają się do eksperymentów, przeto nie zna poza ich obrębem wiedzy prawdziwej.

Mniej więcej z tego stanowiska wychodzi Herbert Spencer („Pierwsze zasady“), który skrupował także myśl człowieczą, nie pozwalając jej wylecieć poza ramy faktów i danych empirycznych.

I niemiec Lange („Geschichte des Materialismus“) i francuz Ribot („La psychologie anglaise contemporaine“) i cały legion mniejszych proroków pozytywistycznych i materyalistycznych kazało rozumowi służyć doświadczeniom zmysłowym.

Nie mylili się pozytywiści warszawscy, twierdząc, że pozytywizm „pozwała mówić tylko o rzeczach zbadanych,“ ale ludzie się, wierząc, że mądrość ich „oparta na wynikach specjalnych, nigdy pobrać nie może,“ wyniki te bowiem chwieją się i zmieniają dość często. Zwykle uważa się pewniki matematyczne za prawdy bezwzględne, a tymczasem wykazali nowsi matematycy (Riemann, Helmholtz, Grassman, Schleyel, Zöllner i in.), że co wieki uwielbiały jako podwaliny niespożyte, baczniejszej nie wytrzymuje krytyki.

Wszakżeż i nauki, chociażby najściślejsze, nie mogą się obyć bez zasad wstępnych, bez przypuszczeń i uogólnień i one więc bawią się potroszę w metafizykę. Czyż zresztą świadectwo zmysłów nigdy nie zawodzi. A i wyłączenie przez Comte'a logiki z całokształtu nauk nie przemawia za jego metodą, możliwyż bowiem bez tego cementu jakkolwiek wykład metodyczny?

Mylili się przedewszystkiem pozytywiści warszawscy, zowiąc swoją wiedzę potęgą i spodziewając się od niej lekarstwa na niemoc społeczną. Bo jeśli która metoda, to właśnie pozytywna, ograniczywszy się do badania zjawisk przyrody i wzajemnego ich do siebie stosunku, wykreśliła sobie bardzo skromne cele: służyła tylko naukom ścisłym, zasilając je, wy-

pełniając mnóstwem cennych spostrzeżeń, „faktów“, co stanowi jej istotną zasługę.

Gdyby nasi pozytywiści byli szkołą naukową, kierunkiem, popierającym tylko umiejętności ściśle, możnaby im zbytnią ufność w świadectwo zmysłów przebaczyć. Ale oni chcieli zreformować poglądy na świat doczesny i pozagrobowy, uczucia, marzenia, dążenia, rodzaj pracy, słowem, pragnęli wyrzucić na nice całego człowieka, dać mu inną duszę, inne serce, krew, instynkty; byli nie uczonymi, jeno na pierwszym miejscu publicystami, nauczycielami społeczeństwa, do takiej zaś roboty nie wystarcza recepta Comte'a, a nawet Spencera.

Wprawdzie dworowali sobie z szumnych i bezwzględnych orzeczeń o istocie wszechrzeczy, o najwyższym prawie rozwoju ludzkości, o wszystkich wogóle kwestyach, które ogromem swoim drażniły ciekawość ludzi, chcących wiedzieć wszystko odrazu, natychmiast i prędko (Niwa, „Pozytywizm i pozytywiści“), możliwe — jednak, aby ludzie młodzi, zaczynający dopiero patrzeć na świat i jego tajemnice oczami własnymi, bez kontroli profesorów, nie pytali właśnie o tę istotę wszechrzeczy, o owe „najwyższe prawa rozwoju“ i t. d.

Badanie, ściśle ograniczone, zajmie męża dojrzałego lub urodzonego specjalistę (chemika, matematyka, fizyka i t. d.), który zapomni nad drobiazgowym szczegółkiem o harmonii wszechrzeczy, ale nigdy młodzieńca, pragnącego pełnej świadomości.

„Łam, czego rozum nie łamie, sięgaj, gdzie wzrok nie sięga!...“ — pozostanie na zawsze dewizą lat dwudziestu i kilku.

I byłyby źle, gdyby było inaczej.

A pozytywizm nie odpowiadał na rozliczne pytania, które niepokoiły gorące głowy pozytywistów.

„Jakkolwiek wielkie są postępy, dokonane dzięki gromadzeniu faktów i ustalaniu coraz to szerszych uogólnień — uczy Spencer („Pierwsze zasady“) — to jednak prawda zasadnicza pozostaje dla nas, jak zawsze, niedoścignioną. Wytlumaczenie rzeczy wytłumaczalnych może tylko z większą jasnością wykazać, iż to, co stoi po za niemi, jest niewytłumaczalnem. Tak dobrze w świecie zewnętrznym, jak i wewnętrznym, człowiek nauki widzi się otoczonym wiekuistymi zmianami, których ani początku, ani końca wykryć nie może.

„W jakimkolwiek kierunku zwracamy nasze badania, dochodzimy do jakiejś nierozwiązalnej zagadki. Nierozwiązalność tę pojmujemy z każdym dniem jaśniej. Prawdziwy mędrzec uczy się poznawać zupełną niemoc umysłowości ludzkiej we wszystkim, co przechodzi zakres doświadczenia. Wytwarza on sobie bardzo wyraźne pojęcie o ostatecznej niezrozumiałości najprostszego faktu, rozważonego w samym sobie. Lepiej, niż ktokolwiek inny, wie on i nie wątpi, że... żadna rzecz nie może być poznana w swej istocie“.

Być może, że któryś z uczeńszych pozytywistów warszawskich znalazł około r. 1872 teorie Spencera w główniejszych zarysach, wątpić jednak należy, czy treść ich odczuwał. W pierwszej młodości nie zakreśla się granic tak ciasnych rozumowi, zwłaszcza, gdy się wierzy i głosi, że — wiedza, to potęga.

Więc, zamiast mniej przystępnych Comte'ów i Spencerów, chwyciła się takich Büchnerów, Vogtów, Haeckelów i Moleschotów, czerpiąc „prawdę“ z mętnego źródła ich mądrości płytkiej, a pysznej; zamiast w pozytywizm, wierzyło się poprostu w materializm, i to w jego formę najordynarniejszą.

Fałszywi prorocy, którzy przecinali najważniejsze sprawy jednym, lichym frazesem, odpowiadając bez zająknięcia na „kwestye, co ogromem swoim drażniły ciekawość ludzi, chcących wiedzieć wszystko odrazu, natychmiast i prędko“, którzy wołali: nie ma Boga, duszy—życie i cele człowieka kończą się z jego ostatniem tchnieniem — świat powstał z niczego lub z wirujących atomów tylko głupcy wierzą w moralność wrodzoną, egoizm powoduje każdym czynem człowieka, walka o byt jest jego bodźcem jedynym i t. d.—słowem, najpospolitsi materialści przemawiali daleko wyraźniej, zrozumialej do młodzieży, aniżeli wytworniejsi, pozytywiści. Młodość potrzebuje afirmacyi, chociażby negatywnej.

Że tak było, wiemy wszyscy którzy przechodziliśmy kiedyś odrę „tegoczesnej nauki“. Szukaliśmy wszyscy w przeczeniu odpowiedzi twierdzącej na męczące nas zagadki.

Nic w tem złego, ani szkodliwego, dopóki gonitwa za prawdą odbywa się w obrębie pokoików studenckich. Głowy poważniejsze, przypatrzwszy się lepiej życiu i światu, wejrzawszy głębiej w siebie, ochłoną po jakimś czasie i ukorzą się przed ta-

jemnicami, których ogarnąć nie mogły. Ród „tytanów“, szturmujących do bram niebieskich, nie dziś się zaczął i nie jutro istnieje przestanie.

Gdy jednak niedowarzone dysputy młodzieńcze wylecą na szeroką arenę prasy, gdy staną się za pośrednictwem druku własnością tysięcy, kroci, wtedy zmienia się postać rzeczy. Wtedy to, co jest w istocie niewinną zabawką, staje się grzechem.

Chyba ktoś bardzo zaciekle posądziłby pozytywistów warszawskich o rozmyślną chęć demoralizowania społeczeństwa. Ani tego chcieli, ani nawet myśleli o występku podobnym. A jednak, popularyzując za pomocą przekładów i streszczeń, nadmiar najczęściej wadliwych, niedostatecznych, pyszne doktryny materializmu i mętne pozytywizmu, które podawali bez krytyki, *in verba magistrorum*, bo wierzyli w nie na razie sami, powtarzając skwapliwie a bezmyślnie wszystko, co mądrość Zachodu wymedytowała — gorszyli małuczkich.

Jest różnica między sprawozdaniem a sprawozdaniem. Umysł dojrzały poda teorię najprzewrotniejszą w takiej formie, że objaśni czytelnika, nie zabierając mu nic z jego skarbów duszy i serca.

Ludźmi wytrawnymi nie byli pozytywiści w chwili, gdy zaczęli robotę, przeto, zamiast uczyć, obalamowali czytelników i burzyli gmach wyobrażeń, bez których stworzenie myślące nie może długo na ziemi wytrzymać. Podkopywali wiarę w nadprzyrodzony początek świata, w istność Boga, duszy, w celowość ludzkości, usuwali moralność chrześcijańską, zastępując ją t. zw. niezawisłą, słowem, równali bezwiednie człowieka ze zwierzęciem.

Pragnęli oświecić kraj, a szkodzili mu, co nie ulega żadnej wątpliwości. Bo czasopismo płynie tysiącami strumieni na strony różne i zanosí wszędzie truciznę. Wszczepia ją przede wszystkim w umysły, nieprzygotowane naukowo, więc wrażliwsze, mniej odporne.

Gdyby ruch filozoficzny pozytywistów był wydał grono uczonych, stworzył naukę krajową, jak się spodziewać należało, możnaby go choć w części rozgrzeszyć. Ale gdzież są owi filozofowie, psychologowie, socyologowie, ekonomiści, natchnieni przez „wiedzę tegoczesną“, wychowani na metodzie doświadczalnej, gdzież owoce ich pracy dwudziestokilkoletniej? Przeglądając katalogi wydawców warszawskich, spotykamy pod rubryką

„filozofia“ same tylko obce nazwiska. Przekłady, z początku wadliwe, od pewnego czasu staranniejsze, ale tylko przekłady. Nawet na podręczniki nie zdobyli się bałwochwalczy wiedzy. Nie posiadamy dobrej historii filozofii, porządnej psychologii, logiki, braknie nam na każdym kroku własnych książek pogładowych. Nawet tego niedostatku, skoro ich nie było stać na naukę oryginalną, nie usunęli pozytywiści, chociaż wypisali „wiedzę“ na sztandarze swoim i udawali filozofów.

Co więcej. Z licznego grona „uczonych“, które debiutowało tak głośno, zarzucając mężom zasłużonym nieuctwo i lenistwo, ocalał jeden tylko Julian Ochorowicz. Reszta, kilkudziesięciu, przepadła bez wieści, zmieszana się z tłumem.

Wartoż było dla garści przekładów, sprawozdań i streszczeń dziennikarskich, z których połowa nie wytrzymuje krytyki, narobić tyle wrzawy, obrazić tylu ludzi i zgorszyć tylu nieświadomych?

Byłby jednak stronny, ktoby pierwszej części programu pozytywiści odmawiał zupełnie rezultatów dodatnich. Wprawdzie nie wyszli z pomiędzy młodych filozofowie, socjologowie i ekonomiści, ale powszechniejsza dziś i gruntowniejsza znajomość nauk przyrodniczych, jest niezawodnie ich zasługą.

Wydawany corocznie przy „Wszehświecie“ tom „Pamiętnika fizyograficznego“, pozostanie na zawsze pomnikiem olbrzymiej pracy i niepospolitej wiedzy grona ludzi (Jurkiewicz, Znатовicz, Kramsztyk, Boguski i inni), którzy wycofawszy naukę z krzykliwych a niewiele objaśniających sporów dziennikarskich, służą wiedzy na uboczu pożytecznie i dobrze.

I pośrednio przyczynił się naukowy ruch pozytywiści do pomnożenia oświaty kraju, który nie przodował nigdy w tym kierunku. Bezustanne nawoływania młodych, głośno i z wiarą powtarzane hasło: wiedza, to potęga! — wszczęły nawet w starszych przekonanie o wysokiej wartości pracy umysłowej. Więc oddawano synów do szkół, posyłano ich do uniwersytetów, dla córek nawet pamiętano o staranniejszem wykształceniu. Dzieci „białych dworów“ zaludniły miasta gimnazyalne; obok „paniczów“, zasiadały na tej samej ławie pociechy rządów, małych urzędników, rzemieślników i jeszcze uboższych robotników. Kto miał i nie miał na „edukację“, cisnął się do bram świątyń mądrości, spodziewając się od niej nie samego tylko światła.

Wszakże zapewniali młodzi, że wiedza da nietylko mo-

moralne, ale i materyalne powodzenie, że nauka prowadzi do dobrobytu.

Dla nauki, jako nauki, dla umiejętności „poszukiwania prawdy“, poświęca w każdym społeczeństwie jedynie małą liczbą wybranych najważniejszą dobę życia, bo całą młodość. Sale szkolne i uniwersyteckie zapełniają w znacznej części nie przyszli uczeni, nie talenty i zdolności, których później sama wiedza za trud nadmierny wynagradza, jeno „przeciętni“, szukający na tej drodze chleba, stanowiska.

Dla chleba z masłem, dla wygodnego stanowiska, uczyło się głównie pokolenie dziś dojrzałe, które nasłuchiwało się i naczytało tyle o „dobrobycie i użyciu“. Gdy te dostatki kazały na siebie dłużej czekać, aniżeli wierzone, gdy nadzieje zrobienia szybko fortuny większość w ogóle zawiodły, bo nauka zarabia trudniej i wolniej od handlu, przemysłu, a nawet od wyższego rzemiosła — nastąpiło rozczarowanie. Pomnożyła się wprawdzie oświata, ale równocześnie z nią rósł i proletaryat naukowy, niezadowolony z siebie i z położenia.

I pod tym względem nie przysłużył się krajowi pierwszy paragraf programu pozytywistów.

Bezwątpienia obficie przedstawiają się owoce ruchu literackiego. Wprawdzie przysługuje tytuł beletrystów ściśle pozytywnych, wcielających ideały mieszczańskie i doktryny „nauki tegoczesnej“, tylko Elizie Orzeszkowej, Adolfowi Dygańskiemu i Michałowi Bałuckiemu (w powieści), Aleksandrowi Świętochowskiemu (w dramacie), wprawdzie nie wyznają i nie wyznawali najwybitniejsi powieściopisarze warszawscy z pokolenia dojrzałego, około r. 1890 (Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Klemens Junosza, Maryan Gawalewicz, Marya Rodziewiczówna i inni), noweliści (Wiktor Gomułicki, Julian Łętowski, Wacław Karczewski, Wincenty Kosiakiewicz i inni), komedyo-pisarze (Kazimierz Zalewski, Edward Lubowski, Z. Przybyłski) zasad „pozytywnych“, — mimo to jednak czuć na ich dziełach wpływ epoki, jak inaczej być nie mogło. Dawniej przeidealni, rozwiani, niepochwytni bohaterowie epigonów romantyzmu, ustąpili miejsca postaciom więcej realnym, ludziom prawdziwym, żyjącym. Pisarze-artysci, bez różnicy teoryj, które uważają za właściwsze („sztuka dla sztuki“, „sztuka dla ludzi“), zbliżyli się do społeczeństwa, mieszały się ze wszystkimi warstwami, zeszedli z koturnów, zstąpili między małych, mniejszych, najmniej-

szych. Mają swoje powieści warstwy „praktyczne“ (Orzeszkowa), nowele rzemieślnicy (Łętowski, Kosiakiewicz), ubodzy wszystkich stanów (Prus), chłopi rozumniejsi (Prus), ciemni (Dygasiński), zwierzęta nawet doczekały się literatury (Dygasiński, Karczewski). Tylko o „białych dworach“ zapomniano prawie zupełnie. Gdyby nie Klemens Junosza, nie wiedzielibyśmy zgoła, że istnieją u nas „obywatele“ i smutni ich podskarbiowie a doradcy — żydzi.

Literatura piękna pokolenia, wychowanego w ideach „praktycznych“, spraktyczniała, obniżyła śmiały dawniej lot wyobraźni i podniosły ton dykeyi, wyrzekła się typów na miarę bohaterów, proroków, kapłanów, ludzi natchnionych, kochanków nawet, płonących ogniami namiętności potężnej, wszechwładnej, charakterów w ogóle niepospolitych. Sztuka sfilistrzała; malowała bezbarwne, szare życie, z jego drobnymi radościami i smutkami.

I ten zwrot był konieczną reakcją przeciw rozkiełznanej fantastyczności epigonów romantyzmu, reakcją, w pewnej mierze potrzebną, lecz przesadną, jednostronną.

Najszerszemi jednak strumieniami, żłobiąc nowe łożysko dla nowych poglądów na życie i jego cele, rozlały się po kraju wskazówki społeczne naszego pozytywizmu. „Młodzi“ zerwali z nawyknięciami i wadami przyszłości, wskazali pracę u podstaw jako najbliższy cel narodu, rozczarowanego do metody przeszłości nieszczęśliwemi rezultatami powstania z r. 1863.

Dramatów, oprócz tendencyjnych Świętochowskiego, nie wydała epoka trzeźwości i rozsądku. Lutnie liryków, które usiłowały dostroić się przez czas bardzo krótki do programu „pozytywistów“, zamilkły, nie znalazłszy w nowych prądach dostatecznej pobudki. Epopeje trudno było osnuwać na tle nawoływań do starania się o dobrobyt, do pracy u podstaw. Przeważnie rozwieliżmożniła się w teatrze komedia mieszczańska (*pièce*) lub płaska krotochwila, a felietony czasopism opanowała najpopularniejsza forma twórczości artystycznej — powieść i nowela.

I na polu krytyki literackiej zapisze przyszłość na rachunek pozytywistów kilka „plusów“. Piotr Chmielowski, zasłużony historyk literatury, należał przekonaniem do młodych.

Zbłądzili tylko, kładąc główny nacisk na handel i przemysł, na pracę miasta. Zapomniawszy, że jesteśmy przeważnie krajem rolniczym, wielkim warsztatem do fabrykowania ziarna, że u nas nie miasto wieś żywi, lecz odwrotnie, zgrzeszyli lekce-

ważeniem, a nawet poniewierką rolnika. Tak zw. szlachcic, czyli właściwie ziemianin (bo wiadomo, że w dworach i dworkach mieszka coraz mniej przedstawicieli kasty dawnie uprzywilejowanej) był długi czas *la bête noire* czasopism pozytywnych.

Lada pisarek zdobywał sobie ostrogi dziennikarskie wymyślaniem na „szlachtę“. Wystarczało bryzgnąć atramentem na „większą własność“, aby zyskać tytuł postępowca. Młodzież, nie mająca w znacznej części wyobrażenia o stosunkach wiejskich, uczyła ziemianina jego obowiązków bezpośrednich, a zawsze w tonie nieprzyjaznym.

Ogarniając całą działalność pozytywistów szybkim spojrzeniem, spostrzegamy ostatecznie rezultaty następujące;

Pierwszy paragraf ich programatu (wiedza to potęga) wydał mało owoców dodatnich. Nietylko, że nie stworzył nauki swojskiej, ale zaszkodził wprost społeczeństwu rozkrzewianiem jednostronnych doktryn, płynących z negacyi, z absolutnego krytycyzmu.

Są rzeczy, których nie wolno brać masom, to jest religii, są znów inne, które bałamuca tylko „przeciętnych“. nieprzygotowanych odpowiednio, np. filozofia.

Pożytywiści zblądzili stanowczo, popularyzując wyniki „tegoczesnej wiedzy“ za pośrednictwem czasopism, przeznaczonych dla szerokich kół, a zgrzeszyli, budując gmach nowych wyobrażeń na podstawie materyalizmu, który nie daje równowagi umysłu i spokoju serca, który jest szkodliwy, bo spycha człowieka z wyżyn, wzniesionych przez tęsknoty i rozpacz lat tysięcy. Materyalizm, druzgocząc w śmiertelniku „obraz i podobieństwo Boże“, zabija w naturach pospolitych sumienie, szlachetne zaś zatrzuwa pesymizmem.

Reforma literacka pozytywistów dorzuciła do skarbnicy naszej beletrystyki obfitą garść nowych motywów, rozszerzyła znakomicie zakres przedmiotów artystycznych, co nie ulega żadnej wątpliwości. Z drugiej jednak strony była ona zanadto praktyczna, mieszczańska.

Podsumowawszy wszystko, zostanie więcej minusów niż plusów.

Czuli to samo pozytywiści już w r. 1875, bo opuścili ręce, skarżąc się niemocnie. W „Niwie“, która w czerwcu 1874 r. przeszła na własność Mściława Godlewskiego, Juliana Ochorowi-

cza i Henryka Sienkiewicza, czytamy w artykule pt. „Nasza młodzież“ lament następujący:

„Pamiętasz, czytelniku, ten przełom, jaki się w piśmiennictwie naszym dokonał przed kilku laty za ledwie; pamiętasz tę sławną walkę starej i młodej prasy, to nawoływanie do przemysłu, handlu, te sztandary postępu, wywieszane w kilku naraz punktach? Powiedz! Gdzież to wszystko?”

„Mówisz, że słowa przeszły w sferę czynów?”

„Zapewne. Została garsć faktów z tej powodzi słów i uczuć! Zyskaliśmy kilkadziesiąt dzieł poważnych, postępowych, nauczyliśmy się trochę nauk przyrodzonych, piszemy więcej o wykształceniu kobiet, ale...”

„Ale... młodzież zestarzała się...”

„Mów, co chcesz, ja obstawiam przy swoim. Gdzie tylko rzucę okiem, widzę pracowników, myślicieli, rachmistrzów i karyerowiczów, sensatów i ospalców — ale nie widzę młodzieży. Gniewa mnie praca tych ludzi, bo w niej ugrzęźli, jak mól w książce; gniewa mnie ich bezczynność, bo nie pochodzi ze zmęczenia; gniewa mnie ich rozmowa, bo w niej nie ma życia, nie ma ognia, nie ma uczuć.

„Pokolenie, które wystąpiło do walki ze starym porządkiem idei, rozproszyło się... w walce o byt. Ci, którzy zdobyli posiadłości, spoczęli na laurach; ci, którzy dotąd szukają chleba, zniechęcili się. Kilka chwil minęło i zestarzelicie się...”

Daremnie wmawiali w siebie młodzi, że im „wiedza tegoczesna“ da „prawdę“, o której marzyli, co poświadcza Chmielowski w swoim „Zarysie“. Rozpatrzywszy się uważniej w zdobyczach tej „wiedzy“, spostrzegli zdolniejsi z pomiędzy nich, że ludzili się, spodziewając się pełnej świadomości od proroków epoki ostatniej. Materyjaliści, usunawszy „górze przesądów“, postawili na ich miejsce hipotezy nowe, ale w istocie puste, karkołomne, pozytywiści zaś gromadzili tylko fakta, nie ujęte w ramy porządnie zbudowanego systemu.

Wprawdzie zapewniali młodzi, gdy wnikali w ducha swojej wiedzy, że nie pragną „szumnych i bezwzględnych orzeczeń, odnośnie do istoty wszechrzeczy, o najwyższym prawie rozwoju ludzkości“ i t. d., możliweż jednak, aby się głowy dwudziestokilkoletnie zadawały suchą a smutną mądrością krytycyzmu?

Nietylko pragnęły odpowiedzi stanowczych na pytania,

niepokojące ludzkość od początku samoistnego myślenia, ale potrzebowały ich wprost, łaknęły „prawdy“; przeto, nie znalazłszy jej, straciły zaufanie do nauki, która miała być królową wszechpotężną i wszystko wiedzącą, a gromadziła w istocie tylko materiał, rozszerzający wiedzę pospolitą.

W końcu i brak sposobności do wcielenia teoryj pozytywnych, które nie wyszły, mimo swej praktyczności, z błędnego koła oderwanych dysput, brak sposobności zastosowania haseł społecznych wpłynął oczywiście na obniżenie zapału reformatorskiego.

Ruch, który się rozpoczął po roku 1870, wrzał i kipiał przez lat trzy mniej więcej, aż do roku 1873, następnie słabł, spokojniejąc z każdym miesiącem, aż po 1875 omdlał zupełnie.

Idealy młodości Elizy Orzeszkowej.

Kalikst Graba, bohater znanej powieści Elizy Orzeszkowej, skreśliwszy z bezczelną szczerością cynicznego łotra swój życio-
rys, zapytuje gromadkę paniczów i pasorzytów ich:

— Wszakże nie ma między nami literata?

— Żadnego — odpowiedziała młodzież.

— A doktora?

— Żadnego!

— Awokata?

— Żadnego!

— Inżyniera?

— Żadnego!

— Tego się spodziewałem — mówił Graba. — Jesteśmy więc tutaj wszyscy wolnemi dziećmi natury, mędrkami, ukształconymi na łonie życia. Ludzie, których nazwy wymieniliśmy przed chwilą, z radością stwierdzając, że żadnego z nich między nami nie ma, stworzeni są do usług naszych. Im praca, nam użycie.

Powyższa scena zawiera w sobie jeden z główniejszych paragrafów kodeksu postępowego po r. 1863.

Ostatnie klęski polityczne były zarazem ostatnią zwrotką epepei szlacheckiej.

Naród, odwrócił wzrok od przeszłości i zapragnął odpoczynku, zapomnienia w cichej a mrówczej pracy. Złymi doradcami okazały się mesyanizmy i natchnienia, więc może rozwaga, może rozum wytkną lepsze drogi...

Po krótkiem osłupieniu zaczęto się znów ruszać, a wtedy dowiedział się kraj, że zbawią go tylko: wiedza i dobrobyt. Pu-

blicyści, którzy podali około roku 1866 ten środek, nazwali się w Warszawie postępowcami (później pozytywistami).

Ciekawa, i na wszelkie zmiany niezmiernie wrażliwa powieść, przyswoiła sobie natychmiast „zbawienne hasła“, rzucając je tłem pod zajmującą bajkę i oprawiając w błyskotliwe ramki pięknej dykcji.

Z młodszych beletrystów stanęła pierwsza Orzeszkowa świadomie pod sztandarem „nowych poglądów“. Sympatya jej znajduje się od samego początku po stronie mężów nauki. Wyśmiani przez Grabę „rzemieślnicy“, są jej „ulubieńcami“.

Głównym charakterem dodatnim w „Ostatniej miłości“ jest inżynier, Stefan Rawicki, w „Z życia realisty“ gra przednią rolę młody dyrektor fabryki, Zygmunt, „W klatce“ szamoce się lekarz, „Na prowincyi“ jaśnieje pomiędzy wszystkimi przyrodnik Andrzej, kolega ojca Waławy („Pamiętniki Waławy“), który jest także „naturalistą“. Wesole teorye („Wesoła teorya i smutna praktyka“) wygłasza znów lekarz, dr. Władysław, przyjaciel adwokata Witolda; dzielnością odznacza się w „Rodzinie Brochwiczów“ kupiec, właściciel małego sklepiku, Stefan Sיעiński, a w „Maryi“ handlarz drzewa, Michał Iwicki.

Lekarz, mechanik, inżynier, przyrodnik, kupiec i t. d. zastępują w pierwszej seryi powieści Orzeszkowej dawnych wojowników, rycerzów, poetów, artystów i obywateli szerszych rozmiarów. Są oni jej typami dodatnimi.

Każdy z nich staje przed czytelnikiem z listami polecającymi autorki: posiada „szlachetną, rozumną twarz“, i działa w powieści bez zarzutu. Z wyjątkiem statysty Dembielińskiego („Na dnie sumienia“), którego ambicya popchnęła do zbrodni, nie dopuszcza się żaden z nich czynu hańbiącego.

„Nowi to ludzie“, zupełnie niepodobni do dawniejszych bohaterów powieściowych. Uczciwi, pracowici, „porządni“ ze wszech miar; nie grzeszą oni przeciw logice i tabliczce Pitagorasa. Oprócz biednego dr. Lucyana („W klatce“), którego zatruliła miłość do pani Warszawskiej, nie ma między nimi: Romeów, Konradów, Faustów. Poetyczny z łaski autorki mechanik Zygmunt („Z życia realisty“), choć chciał w chwili namiętnej pojąć chłopkę Ulanę za małżonkę, nie wytrzymał w tej roli romantycznej do samego końca. Śmieje się on na ostatnich kartkach powieści z „wybryku pierwszej młodości“, i spieszy na giełdę, aby się

pozbyć papierów, mogących go narazić na znaczne straty, gdyż „kurs ich spadł przez dwa dni z 97 na 93“.

Szczególna rzecz, że ci, „ludzie nauki“ są bardzo rzadko rzeczywistymi kapłanami wiedzy. Nauczyli się oni jakiegoś fachu chlebodajnego, za którego pomocą zdobywają sobie stanowisko i majątek. Nie ma między nimi: filozofa, filologa, historyka, estetyka, nie ma człowieka, któryby żył jedynie dla nauki bez względu na wpływające z niej korzyści materialne. Wszakże i statysta Dembieliński („Na dnie sumienia“) trudzi się głównie dla kariery, a hr. Horskiego (tamże), kochającego wiedzę dla niej samej, nazywa sama autorka „uczonym marzycielem“.

Mimo ciągłych hymnów na cześć nauki, mimo dość. zbyt nawet gęsto po wszystkich powieściach Orzeszkowej rozrzuconej erudycji encyklopedycznej, nie widzi czytelnik właściwie uczonego. Wprawdzie powiada autorka, że ojciec Waławy („Pamiętnik Waławy“) „rozmawia z Bogiem“, ale nie słyszymy tej rozmowy. Pan Andrzej („Na prowincyi“) zbiera zioła i owady kwiaty i kamienie, hr. Horski („Na dnie sumienia“) bawi się wszystkim; inni kupują książki, myślą, lecz co myślą nie wiemy.

Orzeszkowa nie stworzyła prawdziwego bohatera wiedzy, któryby poświęcił dla niej widoki osobiste, któryby głodny i poniewierany w młodości, wyszydzony i zdeptany w wieku dojrzałym, szedł przez świat z pogardą wygód i zaszczytów tej ziemi, wpatrzony jedynie w swoją gwiazdę przewodnią w... daleką prawdę.

Żaden z jej „uczonych“ nie walczy z niemocą rozumu ludzkiego. Nie przechodzą oni różnych odcieni rozwoju, od bezwzględnej wiary lat dwudziestu począwszy, skończywszy na poślizgnięciu dłuższego doświadczenia.

Są to przeważnie ludzie praktyczni, posługujący się nauką, jako środkiem, — przeciętni: lekarze, inżynierowie, mechanicy i przyrodnicy. Nie ma między nimi ani talentów, ani „męczenników myśli“.

Z wielomównością młodej autorki, nie panującej jeszcze nad techniką artystyczną, zachwasiła Orzeszkowa swoje pierwsze powieści mnóstwem uwag osobistych, wykrzykników i komentarzy, które ułatwiają pogląd na jej zapatrywania i tendencye.

— Koleje żelazne — woła na samym wstępie „Ostatniej miłości“ — urocze to słowo! Magiczny wyraz, zamykający w so-

bie dbała o dobrobyt materialny i umysłowy wzrost ludzkości myśl XIX wieku. Przestrzenie znikają, narody rozrzucone po różnych krańcach ziemi łączą się węzłem wzajemnego poznania się i wspólności spraw; ludzie, pracujący nad dobrobytem, z szybkością błyskawiczną, rozsełają po świecie plody swego przemysłu, a podróżni liczni, spragnieni wszechstronnej w różnych sferach rozwijającej się wiedzy, w krótkim przeciągu czasu mogą stanąć między murami wspaniałych stolic i u stóp gór niebotycznych...

— A do wszystkich tych celów służy owa kometa czarna, żelazna, z grubym i długim warkoczem dymu, wijącym się po za nią w kłębach szarych, owa kometa, której ciałem żelazo, duchem para, którą w prostocie swojej lud nasz nazwał zrazu mocą szatańską, a my nazywamy siłą i czynnikiem cywilizacji — lokomotywa. Poważni mędrcy i młodzi ludzie, rwący się do życia i użycia, fabrykanci, przemysłowcy, naturaliści i ekonomiści, pracownicy ludzkości... wszyscy i wszyscy śpiewają cześć tej poważnej pani, której silny duch, błyskawiczną szybkość nadaje żelaznemu ciału...

— Chyba tylko jaki w tłumie zabłąkany poeta cicho westchnie za błogosławionym dla eterycznych dusz czasem, w którym nie świsłały lokomotywy... ale prozaiczne dusze dzisiejszych czasów wolą w objęciu pary przenosić się z miejsca na miejsce, w pogoni za wiedzą, bogactwami i użyciem, niż doić krówki, lub wic girlandy z róż, lilii i tymianku.

Kilkakrotnie spłynęły z pióra Orzeszkowej wyrazy: dobrobyt materialny, umysłowy wzrost ludzkości, bogactwa, użycie. Parę nazwała duszą, a lokomotywę kometa. Świecznikami ludzkości są dla niej: fabrykanci, przemysłowcy, naturaliści, ekonomiści. Zapomniała ona zupełnie o: prawodawcach, filozofach, poetach i artystach. Kto dba o uwygodnienie pospolitego życia, ten wielki; ale kto pracuje nad uszlachetnieniem uczuć i instynktów, kto podnosi ducha, prowadzi myśl na szlaki świetlane, serce uczy pokory i ofiary, ten należy do... przeszłości.

Uniesiona zapalem przemysłowo - przyrodniczym wkłada Orzeszkowa w usta Rawickiego hymn, apoteozujący sztukę inżynierską.

— Kto zwycięzko odpiera wody, występujące z łożysk swoich i niszczące prace milionów rąk, jeśli nie inżynier? — woła pan Stefan. — Kto przenosi góry, tworzy morza, kształci lądy,

jeśli nie inżynier? Kto pobudował sławne wodociągi, które zasilają rosą pola, piekącym wyprażone słońcem, a których ślady znajdują się dziś jeszcze w Syrii i Persyi? Kto drogi wiekami niespożyte utworzył dla rzymian i ich następców, kto zbudował mury Babilonu, postawił piramidy, jezioro Merysa utworzył, latarnię morską w Rhodos wystawił? Kto zbudował statki, po oceanie krążące, kto rzucił mosty przez przepaście, rzeki i morza? Inżynier, panowie, i nikt inny!...

— On to jeszcze i nikt inny broni ojezyny i współobywateli, stawiając twierdze i... niestety — tworząc maszyny zniszczenia. W zawodzie inżyniera streszczają się najbezpieczniejsze, najpiękniejsze z nauk: matematyka i przyrodoznawstwo, istnienie i jego warunki.

— Inżynier, panowie, to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre. Panowie, ostatni kieliszek jeszcze! Za zdrowie wszystkich inżynierów na świecie, za zbawienie ludzkości przez myśl, serce i pracę!

Zdawałoby się, że inżynier to jakiś Mojżesz, myślący i czujący za cały naród, a tymczasem bywa on najczęściej zwykłym urzędnikiem technicznym, rzemieślnikiem uczonym, który wykształcił się w swoim fachu, aby dobrze zarabiać, i pracuje tylko wtedy, gdy go zapłacą.

Matematykę i przyrodoznawstwo nazywa Orzeszkowa najpiękniejszymi z nauk. Dla umiejętności humanistycznych nie znalazła ani słówka uznania. Bo wiedza to „niebezpieczna“, a przede wszystkim niepraktyczna. Nigdzie też nie spotykamy w jej licznych powieściach umysłu, zaniepokojonego zagadką wszechbytu, dręczonego tajemnicą, pokrywającą przyczynę przyczyn. Bohaterowie jej, zajęci wykonywaniem swych zawodów, staraniem o dobrobyt lub o bogactwa, nie mają ani czasu ani ochoty do zastanawiania się nad ostatecznymi celami ludzkości i jednostki, do wnikania w głąb duszy, do rozmowy z Bogiem, z przeszłością. Pozytywni to mężowie, wpatrzeni w ziemię, nie podnoszący tęsknego wzroku do nieba. Jeżeli cierpią, to tylko dla tego, że ominęło ich szczęście osobiste, po które sięgali. Nie mają oni zmysłu do tego, co „dawne, przesądne czasy“ nazywały: wielkiem, pięknem i dobrem. Fausta, Don Carlosa, Konrada i tym podobnych „narwańców“ ochrzciłiby bez wątpienia mianem szaleńców.

Więc uczonym jest matematyk i przyrodnik, najpożyteczniejszym obywatelem ekonomista, przemysłowiec i kupiec, a największym dobrodziejem ludzkości — inżynier...

Wygłaszając takie poglądy, powtórzyła tylko Orzeszkowa wyobrażenia, które okrażały kraj w chwili, kiedy pisała swoje pierwsze powieści. Była ona tak doskonałym echem „młodych haseł“, że przejęła nawet ich wstręt do wszystkich zajęć niepraktycznych. Ilekroć maluje jakiegoś artystę, stara się usilnie o przekrzywienie rysunku. Poeta Konwalius Koawaliorum („W klatce“) musi być śmiesznym głupcem, muzyk Gustaw („Wesoła teoria i t. d.) człowiekiem złym, a prowincjonalny skrzypek Roman Gotard Bruno Wąsikowski („Rodzina Brochwiczów“) nie powinien znać ortografii. Bez miłosierdzia wyszydza Orzeszkowa wszystkich „kochanków muz“. Nieco względniejszą jest dla powieściopisarzów („Marya“) i t. zw. literatów, *vulgo* współpracowników czasopism („Marta“).

Ma się rozumieć, że to jednostronność, nie wytrzymująca, krytyki, nauka bowiem a moralna wartość człowieka, to dwie bardzo różne rzeczy. Można być wybornym inżynierem, zręcznym mechanikiem, szczęśliwym kupcem i t. d., a nie potrzeba się wcale kierować zasadami szlachetności i uczciwości. Uczy doświadczenie, że „fachy praktyczne potęgują samolubstwo, stawiając interesy osobiste ponad wszelkie inne, o czem i Orzeszkowa wiedziała

Pani Marya Rudzińska, żona literata, chcąc ułatwić pracę ubogiej wdowie, Marcie Świckiej, udaje się do koleżanki i przyjaciółki swojej, Pani Eweliny, właścicielki dużego sklepu w Warszawie.

Pani Ewelina zatrudnia mnóstwo ludzi, więc znajdzie się u niej godziwy zarobek dla biednej wydziedziczonej, która nie pragnie niczego, okrom kawałka chleba dla swego dziecka i siebie...

Takie to naturalne żądanie, że pani Rudzińska nie wątpi nawet o pomyślnym skutku swych starań. A jednak odmawia kupcowa. Dla czego?

— Bo publiczność nasza — twierdzi Ewelina — nie lubi kobiet, sprzedających w sklepie... przekłada nad nie mężczyzn...

— Dla czego to?

— Bo młodzi, dobrze ułożeni, przystojni sklepowi, sprawiają dobry efekt, pociągają do sklepu nabywców, raczej nabywcynie...

— Czyż nie rozumiesz — woła oburzona tem wyznaniem żona literata — że stosując się do tego zwyczaju, schlebiasz czemuś złemu...

Kupcowa uśmiechnęła się.

— Jakto? -- wymówiła powoli. — Czyż sądzisz, że dla jakichś tam teorii powinnam antreprzyę naszą, jedyny fundusz nasz i naszych dzieci narazić na straty, na niebezpieczeństwa? Dobrze to wam, literatom, rezonować w ten sposób, siedząc nad książką i piórem; my, przemysłowcy, musimy być praktycznymi... Poprawienie i prostowanie należy do takich ludzi, jak mąż twój naprzykład, do uczonych, pisarzy, publicystów... My jesteśmy ludźmi ścisłego rachunku... najściślejsze zaś rachunki prowadzić musimy z publicznością, z jej gustami i wymaganiami... ona jest naszą panią, od niej zależy byt nasz... pomysłność i przyszłość naszego przedsięwzięcia i t. d.

Znała więc Orzeszkowa bardzo dobrze naturę ludzi „praktycznych“, a mimo to nie zdobyła się, choćby tylko dla równowagi artystycznej, na typ ujemny z tych warstw. Wzrok jej przesłoniła tendencya.

Jednostronność ta zadziwia tem więcej, że liberalna powieściopisarka umiała ominąć inne paragrafy kodeksu postępowego.

Wiadomo, że do „nowych hasel“ należała także bezwzględna krytyka szlachty i duchowieństwa. Orzeszkowa utrzymała się w tym względzie na stanowisku sumiennej spostrzegaczki.

Znajdują się w jej powieściach typy próżniaków, głupców i łotrów z herbami i tytułami. Przednie miejsce między temi „wolnemi dziećmi natury, mędrkami, wykształconymi na łonie życia“, zajmuje taki np. Kalikst Graba, człowiek zepsuty do szpiku, kajdaniarz, szubienicznik. Na około niego grupuje się cała armia niedołęgów, marnotrawców i błaznów.

Ale obok tych pasorzytów i wyrzutków, których posiada każde społeczeństwo i każdy stan, zna Orzeszkowa szlachciców szlachetnych, uczciwych, dobrych i ofiarnych. Typ rubasznego na pozór, a serdecznego w istocie ziemianina powtarza się u niej kilkakrotnie (Mieczysław z żoną w „Z życia realisty“; Dembowski w „W klatce“; Jerzy Snopiński w „Na prowincyi“); maluje ona i zacnych magnatów (Tarnowski i marszałkowa w „Ostatniej Miłości“; Gaczycki i pani Starowska w „Cnotliwych“); nie wierzy, aby każda arystokratka miała być koniecznie pustą gęsią

i wyrafinowaną strojnisią (Krystyna Dembielińska w „Na dnie sumienia“; Marya Porzewińska w „Maryi“), a każdy arystokrata nieukiem izblazowanym paniczem (hr. Horski w „Na dnie sumienia“).

Taki Horski równoważy hr. Pompalińskich, napuszonych dorobkiewiczów („Pompalińscy“), Krystyna Dembielińska naprawia, co złego uczyniła kokietka Warska, pani Starowska dopełnia typu pobożnej niewiasty, zepsutego przez obłudne bigotki („Cnotliwi“).

I duchowni nie mają powodu skarżyć się na Orzeszkową: ks. Stanisław („W klatce“) przynosi zaszczyt całemu stanowi.

Orzeszkowa nie błądziła w tym względzie zaciekłością stronniczą. Powieści jej przenika duch tolerancyi i wolnomyslności, ale nie zakazała ich nigdzie jednostronna nienawiść. Nie bluźni ona przeciw religii, nie sieje niezgody między stanami, nie „podporządkowuje spraw wszystkich warstw pod interesy jednej“ — Ogarnia ona cały naród dalekim wzrokiem, wydzielając wszystkim tą samą miarką. Jest ona postępowcem umiarkowanym, liberalistą w szlachtetnem tego określenia znaczeniu.

Poglądy swoje na stan ziemiański wcieliła Orzeszkowa w dwutomową powieść p. n. „Rodzina Brochwiczów“.

Pan Jan Brochwicz, zamożny niegdyś i ze starożytnej rodziny idący szlachcie, stracił majątek, a mimo to nie nazywa go autorka: durniem, łotrem, próżniakiem i głupcem.

— Pan Jan Brochwicz — mówi Orzeszkowa — jako posiadacz obszernej własności ziemskiej w powiecie wileńskim, dzielił losy swych współobywateli, ulegał wszystkim tym okolicznościom, pod których wpływem i uciskiem i oni zostawali. Potomek starego, szlacheckiego rodu, znanego zaszczytnie w prowincyi rodzinnej, Jan Brochwicz znanym był oprócz tego powszechnie, jako człowiek uczciwy, rozsądny, usposobień łagodnych i spokojnych, obyczajów wzorowych. Przewrót stosunków społecznych znalazł go w wieku, w którym wszelkie niespodzianki najmniej już pożądanymi bywają, bo przy końcu piątego krzyżyka, t. j. w porze życia, w której droga życia daje się poczuć pewnem strudzeniem, przyzwyczajenia i wyobrażenia posiadają moc nieledwie nałogów, a spokój i cisza uśmiechają się daleko wdzięczniej, niż burza i walki.

— Jan Brochwicz przecież nie tylko nie bolał nad zaszłemi zmianami, ale tej części ich, która tyczyła

się istotnie sprawiedliwych i humanitarnych pojęć, przyklasnął z całego serca. Instytucya pańszczyźniana nie miała w nim nigdy zwolennika: używał wprawdzie praw, jakie mu ona dawała, ale bardzo oględnie, możnaby rzec nawet, że był jej nieprzyjacielem, biernym wprawdzie, — bo czynnym nie mógł być ani on, ani nikt z jego współobywateli, — ale szczerym, tem szerszym, iż dbałość o rzecz publiczną nie była całkiem obcą mu cnotą, i że wrodzona łagodność charakteru czyniła mu widok cudzych cierpień nieznośnym.

— Gdzieindziej ludzie tacy, jak Brochwicz, od wczesnej młodości wtrąceni w arenę publicznego żywota, ustrojem państwowym i społecznym zmuszeni niejako do myślenia i działania, borykają się o własnej sile z okolicznościami życia i przeciwnościami losu, uczą się odgadywać wielkiego Sfinksa czasu z roztwartej przed ich oczami księgi spraw społecznych, w księdze tej zapisują sami litery pomysłów swych lub doświadczeń, a możność takiego zapisywania uważają za cel ambicyi swej i do niej dążą czynem i walką. Gdzieindziej...

Charakterystyka Brochwicza świadczy o tem, że Orzeszkowa nie wyrokowała o szlachcie gołosłownie, lecz szukała powodów jej chwilowej bezradności. Takich Brochwiczów było po r. 1863 mnóstwo, więcej aniżeli Grabów i Pompalińskich. Zmarnieli, bo:

— Zabierali się wprawdzie do pracy, ale zabierali się do niej nieumiejętnie, po wczorajszemu, t. j. z niezrozumieniem warunków, w jakich wszelka praca produkcyjna być mogła. A zblądzili, bo:

— Przewrot stosunków społecznych znalazł ich w wieku, w którym wszelkie niespodzianki najmniej już pożadanemi bywają..., w których trudno uczyć się i kształcić.

Zrozumiał to sam Brochwicz, kiedy, oddając synowi majątek, mówi:

— Pomimo wszelkich starań moich i trudów, pomimo pozbawienia się wielu rzeczy, do których ja i matka twoja przywykliśmy, nie mogłem zapobiedz znacznemu nadwężeniu naszej fortuny, a co więcej, przyszedłem do przekonania, że zapobiedz mu i nadal zdolnym nie będę. Nie wiem, czem się to dzieje, i czego jest skutkiem: badałem siebie nieraz; szczerze pragnąłem zastosować się do potrzeb i wymagań czasu — nie potrafiłem. Nie sądzę, abym był człowiekiem ograniczonym, chęci nie brakło

mi także; ale jestem człowiekiem starym, nie latami wprawdzie, ale przyzwyczajeniami, nałogami, wadami i niedoborami, które wyrosły razem ze mną; dawniej takimi może nie były, ale dziś, w praktyce życia, stawiają mi na każdym kroku przeszkody. Zostaję w położeniu człowieka, który ma oczy, ale rąk nie ma: widzę wszystko, działać nie umiem. Przeszłość siedzi ciężko na karku człowieka...

W wyznaniu tem scharakteryzowała Orzeszkowa przez usta Brochwicza całe, wygasające pokolenie szlacheckie, które, wyparte z dawnego położenia, postawione w odmiennych, nowych warunkach, nie umiało sobie poradzić i zmarniało.

Że taki Brochwicz musiał ustąpić, skoro nie umiał się na-giąć do nowego czasu, rzecz naturalna; lecz dlaczegoż nie utrzymała Orzeszkowa w jego spadkobiercy cnót ojców, wzmocniwszy je lepszym, do nowych warunków przystosowanem wychowaniem?

Wszakże i rolnictwo należy do zawodów „praktycznych“, a u nas jest ono nawet pewnego rodzaju posłannictwem obywatelskiem. Bo ziemia, to podstawa naszego bytu. Bez niej przestaniemy istnieć.

Liberalna jednak autorka, rozmiłowana w inżynierach, mechanikach, lekarzach, przyrodnikach, przemysłowcach i kupcach, wierząca w swej młodości, że technika „to ludzkość cała w jej dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu, co wielkie, dobre i piękne“, popierająca głównie pracę miasta, zapomniała o wsi, która... trąci pleśnią przeszłości. Tu i owdzie odzywa się Orzeszkowa o potrzebie prawidłowego, postępowego, gospodarstwa; każe nawet hr. Cezaremu Pompalińskiemu („Pompalińscy“) poświęcić się agronomii, lecz nie uważała za właściwe stworzyć dodatniego typu znakomitego rolnika i czynnego w szerszych kołach ziemianina.

Przez chwilę zdaje się, że z młodego Józefa Siecińskiego („Rodzina Brochwiczów“) wyrosnie taki pracownik, który będzie wzorem dla innych. Ale postać rzutkiego gospodarza, wykształconego fachowo, błędnie, zaćmiona przedsiębiorczością jego brata, który porzuca glebę przodków dla... handlu wiktuałami, założonego za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży ozdobnych, drogiemi kamieniami wysadzonych ram, otaczających portrety ojca i matki „dzielnego przemysłowca“. Jedyna to po rodzicach jego pamiątka, ostatni ślad ich pielgrzymki doczesnej. Bohater Orzeszkowej pozbywa się ich, aby... kupić za nie towarów. Praktycz-

ny to „ideał...“ „Romantyk“ byłby wolał zdobyć innemi drogami środki materyjne, ale mąż pozytywny zamienia wszystko na ruble, byle dojść prędzej do celu.

Ciekawa rzecz, w jakich też stosunkach z Amorem zostaje tak praktyczna autorka, jak Eliza Orzeszkowa? Jak wyglądają jej kochanki, narzeczone, żony, matki, kobiety wogóle?

„Bogdanek“ w rodzaju bohaterek romantycznych szukałyby czułe serca bardzo długo daremnie w księgach powieściopisarki litewskiej. Jedyna tylko Krystyna Dembielińska („Na dnie sumienia“) może się poszczycić uczuciem w dawnym stylu. Ale romans ten, rozpoczęty zaledwie, naszkicowany odręcznie, prze-rwała autorka w samym zawiązku.

Wprawdzie kocha i chłopka Ulana mechanika Zygmunta („Z życia realisty“) z oddaniem się imienniczki swej, znanej z powieści J. I. Kraszewskiego; umiera z miłości dr. Lucyan („W klatce“), a żona Snopińskiego („Na prowincyi“) kona z żalu po zawodach młodego życia, lecz „przygodę“ technika uważa sama Orzeszkowa za wybryk, kończąc ją brutalnym rozdźwiękiem. Śmierć lekarza spowodowała nie sama tylko pani Warska, a suchoty rozczarowanej mężatki sprowadziła lekkomyślna namiętność, ulegająca wrażeniom chwili.

— A gdzie jest szął, tam nie ma rozumu, a gdzie nie ma rozumu, tam szczęście... kruche — mówi Orzeszkowa („Na prowincyi“) z okazji małżeństwa Aleksandra Snopińskiego.

— Miłość i dobroć?... to za mało — poucza autorka przez usta żony Graby („Pan Graba“). — Kobieta, która chce skutecznie spełnić wielkie dzieło zbawienia duszy, powinna być nietylko dobrą i kochającą, ale jeszcze rozumną.

Więc i tu zamieniło się romantyczne: miej serce i patrzaj w serce! na pozytywne: miej rozum i postępuj rozumnie, a będziesz szczęśliwym. Nie zapalaj się, nie unos; nie pozwalaj się odurzyć muzyce uroczego głosu, oślepić słonecznemu blaskowi pięknych oczu, uwięzić zdradzieckimi uśmiechami, jeno... rozważaj, obliczaj, albowiem, gdy tego nie uczynisz, będziesz pokutował!

Pomijając liczny zastęp szablonowych typów kobiecych, występujących w powieściach Orzeszkowej, jak: zwykłe gosposie wiejskie, elegantki wielkomijskie, kokietki i naiwne dziewczęta, wystarczy zwrócić uwagę na kilka postaci, streszczających w so-

bie wszystko, co młoda Orzeszkowa chciała wypowiedzieć o stosunku swojej płci do t. zw. brzydszej połowy rodzaju ludzkiego.

Doktor Władysław twierdzi i wierzy w „Wesołej teorii i smutnej praktyce“, iż „kobieta powinna wyobrażać w małżeństwie żywioł estetyczny, powinna być jego radością i pięknem, gdy mężczyzna przedstawia stronę surową i poważną“.

— My szczególnie, pracownicy — dowodzi lekarz — którzy mamy bezustannie do czynienia z nauką o pewnikach niezaprzeczalnych, jak matematyka, realnych, jak nieubłagana rzeczywistość, potrzebujemy na żony istot radosnych, uśmiechnionych, pięknych, artystycznych, przy których boku wracałyby ku nam, choćby na chwilę, słodkie złudzenia i marzenia, przygnębione nieubłaganym realizmem nauki.

Inaczej sądzi pani Ludwika, żona adwokata Witolda.

— Jesteś pan człowiekiem zacnym, pracującym — odpowiada — sam sobie winienesz wszystko, co posiadasz, a posiadasz wiele, bo wiedzę, szacunek ludzi uczciwych i rozsądnych i niezależne stanowisko materyalne, jakie własnymi siłami, własną pracą zdobyłeś. Otóż trzeba, aby przyszła żona pańska posiadała zalety, odpowiadające charakterowi i pojęciom pana, aby była także wykształconą, lubiącą spokój i domowe życie.

Kilkakrotnie mówi pani Ludwika o „umyśle niepospolicie rozwiniętym“, podkreślając ten warunek.

Te same zasady wyznaje Orzeszkowa, bo dodaje od siebie:

— Co do nas, wyznajemy otwarcie, iż mamy wstręt nieprzewyciężony do ciał bezgłowych i z tej to może przyczyny wszelkie nawet abstrakcyjne postacie, utworzone z pojęć o cnocie, na przykład miłości, poświęcenia i t. d., ukazują się wyobraźni naszej jako nietylko obdarzone sercem, ale także najregularniej zaopatrzone w głowę.

A dalej:

— Wszakże, nie chcąc zadawać kłamu naszym własnym przekonaniom, które zawsze i u każdego porządnego człowieka pragną widzieć serce i głowę w nierozdzielnym połączeniu i t. d.

Tego rodzaju pojęcia o miłości wykluczają oczywiście wszelką nierozważną namiętność, apoteozowaną przez dawniejszych pisarzy-artystów. Ubóstwiana kochanka ustępuje u Orzeszkowej miejsca dobrej żonie, rozumnej współpracownicy i towarzysze męża,

A kochanek? Lepszy od niego „porządny człowiek“ z głową i sercem.

— Ludwika—chwali się adwokat Witold, łysy mąż gospodarnej żony — jest najlepszą i najrozumniejszą przyjaciółką moją, pojętną powiernicą myśli, jakie kiedykolwiek powstają w mej głowie, dzielną pomocnicą w pełnieniu surowych i twardych zadań życia, umiejętną doradczynią i tkliwą pocieszycielką w strapieniach, rozumną nakoniec i wiernie powinnościom swym oddaną matką dzieci... Takim ludziom, jak ty i ja — zwraca się do dr. Władysława — nie muzyki, nie śpiewu, nie wiecznego chichotu i z artyzmem ułożonych fałd sukni potrzeba w żonie, ale umysłu pojętnego.

Nie ulega wątpliwości, że ideał doskonałej żony Orzeszkowej może dać szczęście każdemu „porządnemu“ człowiekowi, że jest w społeczeństwie daleko pożyteczniejszym od typu namiętnej kochanki, lub łzawej, roztęsknionej marzycielki, wygląda on jednak tylko w książce tak harmonijnie, jak pani Witoldowa. W rzeczywistości bledną nieco jego jasne barwy, szarzeją w końcu, wycierają się. „Rozumna towarzyszka“ staje się bardzo często nudną pedantką. Wprawdzie ozdabia Orzeszkowa rysunek swojego wzoru także miękkimi liniami, czuć jednakże, że czyni to ustępstwo jedynie ze względu na przeszłość. Serce jej stoi po stronie niewiasty rozumnej, trzeźwej, lubiącej spokój i domowe ognisko.

Orzeszkowa zapomniała rozmyślnie, że oprócz: inżynierów, mechaników, lekarzy, przyrodników, kupców, adwokatów i t. d., istnieją także „nieporządni“, którzy mają takie same prawa do miłości, jak owi „porządni“, że tacy „narwańcy“ potrzebują odrobiny fantazyi, poezyi.

Ale racyi tych dwóch czynników nie uznaje praktyczna autorka. Jak nie odznacza się sama wyższym polotem artystycznym, jak nie umie przemówić łzami, sypnąć żarem lub kwiatami — zawsze tylko rozumna, nawet wtedy, kiedy się pozornie zapala — tak chciałaby zmienić kulę ziemską w olbrzymią fabrykę i pracownię uczoną a wszystkich ludzi w „rzemieślników“ i filistrów.

Nie stworzyła ona aż do Gołdy, ani jednej kobiety natchnionej, wychylającej się ponad nizki poziom miernoty w myślach i uczuciach, ani jednej pełnej bohaterki w jakimkolwiek kierunku. Wandzie, córce Krakusa, Chrzanowskiej z Trem-

bowli, nie podołaloby jej pióro rozważne. Krystyna Dembielińska jest charakterem niewykończonym.

Ale za to nie gorszy Orzeszkowa nigdy swoich czytelników. Uznając tylko pracę, trud i rozumne postępowanie, nie idealizuje rozpusty zmysłowej. Surowa i obywatelska od samego początku swojego zawodu pisarskiego, nie splamiła się ani razu apoteozą nagości, brzydoty moralnej, lub grzesznej swawoli. Podaje ona na zachcianki krwi, na bunty instynktów bardzo skuteczne lekarstwo: obowiązek!

Wprawdzie stuka Kamilla, żona Graby, do bram prawa i Kościoła, pragnąc zerwania więzów, które powinny być dozgonnemi. Ale któraż kobieta nie chciałaby odłączyć swoich losów od takiego, jak Kalikst, męża? Marya Porzewska zaś („Marya“), chociaż ją okoliczności przykuły do człowieka, z którym nie ma nic wspólnego, krom uczciwości, z którym różni się w zwyczajach, obyczajach, poglądach, upodobaniach i wierzeniach, dotrzymuje mu przysięgi.

Wiadomo, że w skład programu liberalnego Europy wchodziła także t. zw. „kwestya“ żydowska. Pionierami w tym kierunku byli światlejsi synowie „wybranego ludu“, idący przodem w walce, której celem ostatecznym miało być zupełne równoprawnienie, społeczne i towarzyskie, tułaczego od wieków plemienia. Mojżesz Mendelsohn, Heine i Börne zasłużyli się wielce sprawie narodu, z którego pochodzili; nie szkodzili jej i: Auerbach, Kompert, pominawszy autorów chrześcijańskich, jak: Lessing, Gutzkow i inni.

Zdawało się około r. 1870, że skutek ze wszech miar pomyslny uwieńczył usiłowania beletrystów i licznej, na żoździe bogatych Żydów znajdującej się publicystyki wielkich miast Zachodu. W tem zachwiała się giełda, runęły przedsiębiorstwa, które obiecywały światu zbawienie i szczęście w objęciach mamonny... „krach“ przeraził i wytrzeźwił marzycieli liberalizmu.

Dawno, jak mniemano, zażegnany upór nienawiści rasowej podniósł się z grobu, zatoczył krwawemi oczami dokoła, ścisnął mściwe pięści, i... oświecony wiek XIX stał się świadkiem scen „średniowiecznych“. Stare, ponure: hepp, hepp! rozbrzmiało znów; Żyd przestał być pieszczonem dzieckiem literatury pięknej.

Nie dziwnego, że umysł tak ruchliwy i tak uważny na wszystkie prądy chwili, jak Elizy Orzeszkowej, wyzyskał i ten

barwny przedmiot. Autorka litewska poświęciła Żydom rzeczywiście nie tylko trzy powieści („Eli Makower“, „Meir Ezofowicz“, „Mirtala“), lecz nawet osobną broszurkę publicystyczną, wydaną w roku 1882 („O Żydach i kwestyi żydowskiej“).

Zwykle uważają Orzeszkową za bezwzględną wielbiczkę Izraela, a tymczasem nie trudno się przekonać, że zna ona bardzo dobrze także ujemne strony swoich protegowanych.

— Pierwszą z kolei i najpowszechniej wyrzucaną Żydom przywarą — mówi Orzeszkowa — jest nieuczciwość tak w handlu, jak we wszelkich interesowych stosunkach, nieuczciwość, nosząca trywialną, lecz ogólnie przyjętą nazwę szachrajstwa. Tytuł szachraja i nazwa Żyda tak zrosły się ze sobą, iż rozłączyć ich już niepodobna. Istotnie, Żydzi handlujący — dodaje Orzeszkowa od siebie — i wogóle trudniący się jakimikolwiek sprawami pieniężnymi skłonni są do wyciągania z czynności swych na sposób różny, zysków nieprawych. Dopędzają oni tych czynności nieuczciwych w sumie bardzo znacznej. Jest to prawda, której ani chrześcijanin, upominający się o sprawiedliwość dla nich, ani wyszły z ich łona, ucywilizowany członek społeczeństwa, zaprzeczać nie będzie.

Pychę, *vulgo* arogancję, która rozśmiesza, a częściej drażni, oburza, nazywa Orzeszkowa drugą wadą Żydów; trzecią, najcięższą jest podług niej, „odrębność, wyrażająca się strojem, mową, fanatyzmem religijnym, organizacją wewnętrzną a czyniącą ich w organizmie społecznym ciałem obcym i wielostronnie szkodliwym“.

Orzeszkowa posiada więc świadomość zarzutów, spadających ze strony przeciwnej na potomków Jakubowych, ale liberalizm jej tłumaczy je, łagodzi, w końcu usuwa.

Żyd jest nieuczciwym szachrajem? — Prawda! Lecz czy oszukuje tylko on jeden? Skarży się przecież Herbert Spencer na cały stan kupiecki, na wszystkich przekupniów wogóle. Kto się handlem trudni, ten rozmija się często z rzetelnością, z czego wynika, że zmiana zajęcia uszlachetni Żydów.

Żydzi są arogantami? — Nie przeczę — rozumuje Orzeszkowa dalej — mniemam jednak, że arogancję semicką trzeba podciągnąć pod pyszałkowstwo parweniuszowskie wogóle. Małoż to pociesznych dorobkiewiczów bawi nas dotąd w areydziałach różnych literatur? Mają Francuzi swego Jourdaina, Polacy

Geldhaba i wybornego prezesa, ojca uroczej Kamilki z „Kollokacyi“ Korzeniowskiego, i innych. Zbogacony pyszałek, to typ ogólnie ludzki.

Żydzi grzeszą w końcu odrębnością? — Kogoż to nie boli? Ale zarzut ten obarcza głównie masy nieoświecone. Bo:

— Stopień słuszności jego zmniejsza się w miarę posuwania wzroku, od warstw ludności najciemniejszych ku najoświecenijszym. Żaden oświecony człowiek, do jakiegokolwiek plemina należący, fanatykiem religijnym być nie może, i jeżeli nim pozostaje, składa tylko dowód, że oświata jego jest pozorną. Pomiedzy Żydami zjawisko to, wynikające z wielu przyczyn skomplikowanych, tem rzadszem bywa, że religijny fanatyzm ich taje z wielką łatwością pod promieniami oświaty. Znikanie więc odrębności żydowskiej postępować musi równolegle z rozpowszechnianiem się pomiedzy nimi umysłowego i towarzyskiego wykształcenia.

— A byłoby z wielkim dla społeczeństwa polskiego pożytkiem, gdyby się Żydzi z niem złączyli (Orzeszkowa), gdyż posiadają oni obok brzydkich wad w swej naturze plemiennej te właśnie zalety, których nam potrzeba, mianowicie: przemyślność, zapobiegliwość, oszczędność, niezwykle zdolności do finansowych obliczeń i działań, umiejętność organizowania się w ciało spójne z częściami dobrze uczuwającemi solidarność i pełniącemi związane z nią czynności współczucia i współpomocy.

— Dopełnianie się wzajemne dwóch wrogich sobie żywiołów nastąpić może tylko za przyczyną obustronnych usiłowań. Żydzi powinni nareszcie zrozumieć, że są synami ziemi, na której się urodzili — a my? My, chrześciance, powinniśmy starać się przedewszystkiem o poznanie obcego nam dotąd ludu, badać jego obyczaje i zwyczaje, wnikać w jego usposobienie, a potem pracować obok niego w przemyśle, handlu i t. d.

Orzeszkowa nie wskazuje, w jaki sposób należy zabrać się do tej roboty niwelacyjnej. Wierzy ona w swoje lekarstwo uniwersalne, którego potęgę głosiła od pierwszej powieści.

— Co do mnie, wierzę, — mówi — że wtedy tylko nasze wszelkie zagadnienia społeczne, z żydowskiem włącznie, szczęśliwie rozwiązaniem zostaną, gdy nauka da nam możność badawczą, jasno i swobodnie myśleć, a myśl badawcza, jasna i swobodna nauczy nas energicznie i umiejętnie działać.

— Wierzę, iż prędzej czy później, — może bardzo prędko, — zrozumiemy wielką omyłkę naszą i zamiast gasić światło, z całych i wszystkich sił naszych rozpalać je będziemy.

— Wierzę, że na wyższy poziom wyniosłszy ogólną umysłowość naszą, prędzej niż dotąd pozbywać się będziemy starych przesądów i nałogów; że pod działaniem uswobodnionej i wyćwiczonej myśli, prędzej, dzielniej wykonywać się będą wszystkie nasze przedsięwzięcia i prace, że wiekowa cywilizacja nasza, skrzepiona i odmłodzona wiedzą i pojęciami czasów nowych, przyciągnie ku sobie i spoi ze sobą te grupy społeczne, które dziś są jej jeszcze wrogię albo obce.

— Wierzę, że gdy dziecinne baśnie i fantastyczne widma ustąpią miejsca prawdom i naukom wiedzy, nienawiści umilkną, odrębności znikną, niedołęztwa zamienią się w dzielność, a pogardy i złorzeczenia we wzajemny szacunek dla praw i godności człowieka.

Więc nauka jest owym mieczem wszechmocnym, który przetnie wszystkie, najsztuczniej nawet splecione węzły. Ona wyniesie kobietę na właściwe jej stanowisko, a mężczyźnie da spokój serca i szczęście; ona powiedzie ludzkość prostą drogą do ideału dobra i piękna, ona... zawsze i wszędzie ona. Jej też świadome ręce złączą Żydów z chrześcijanami w... uścisku miłości i braterstwa.

Tak marzyła Eliza Orzeszkowa, zaklinając się, że „wolałaby wprzód umrzeć — zanimby wiarę tę postradała“.

Autorka „Eli Makowera“ i „Meira Ezołowicza“ nie kryła się nigdy z życzliwością dla semitów. Już w powieści p. n. „Na prowincyi“ naszkicowała odręcznie postać sympatycznego karczmarza Szlomy, a w „Panu Grabie“ starała się wytłumaczyć lichwiarza Wigdera.

Rzecz dziwna! Beletrystka trzeźwa, praktyczna, sucha, pozbawiona zupełnie poezyi, rozumująca ciągle, a czująca rzadko, nieprzyjaciółka charakterów niepospolitych w dawniejszem rozumieniu, umiała się w powieściach, żydowskich zdobyć na kilka postaci niezwykłych, narysowanych śmiało, prawie koturnowo. Taki Wigder przypomina Szajloków, stary Judele, ojciec Eli Makowera, może stanąć obok mędrców biblijnych, a u ramion Meira Ezołowicza powiewają skrzydła dusz natchnionych.

I jako artystka rozwinęła się Orzeszkowa z chwilą, kiedy

zaopiekowała się Żydami. Już w „Eli Makowerze“ znikła w części owa nużąca wielomówność niewieścia, lubująca się w rozwadnianiu najbłahszych ogólników, wysnuwająca grube tomy z materiału ubogiego. Kompozycya stała się zwięźlejszą, dyalogi treściwszymi architektonika więcej spoistą. Ustąpiły także gęsto rozrzucone: odezwy, uwagi i rozmyślania, wygłaszane w osobie pierwszej.

Któż to jest ten Eli Makower, odmalowany przez Orzeszkową w najdrobniejszych szczegółach?

— Ludzie z okolic Orchowa znali go oddawna, naprzód jako żydziaka - prostaka, który w brudnym chałacie, w podartych butach albo i bez nich, z rozczochranym, rudym włosom i rozdziawioną gębą, trawił ranki, wieczory, stojąc, lub siedząc na kamieniu przed wrotami karczem miasteczka, kędy zajeżdżały wozy chłopskie, a czasem i karety, koczki i najtyczanki pańskie. Wkoło niego wrzały rozmowy, krzyki, pohulanki, dokonywały się targi i umowy; sporządzały sprzedaże, kupna, kontrakty; panowie spotykali się, witali, sprawy swe załatwiali, w bilard grywali, a nierzadko popijali miód i szampana, gwarząc hucznie o stosunkach swych, zabawach, rozmaitych wypadkach ogólnych i szczególnych; faktorzy kręcili się koło panów, jak pszczoły koło kwiecia, stręcząc i pośrednicząc, a wśród całego tego, nigdy prawie nieustającego gwaru i zawichrzenia, żydziak - podrostek, bosy, rozczochrany, chudy, jak siedział, tak siedział przed wrotami, to jednej karczmy, to drugiej, rozdziawiając gębę i oczy wytrzeszczając.

— Nikomu zapewne na myśl wtedy nie przyszło, że owe karczmy, przez rozwarte na oścież wrota i okna ziejące wrzawą głosów ludzkich, były zakładem wychowawczym, w którym żydziak ów otrzymywał pierwsze wiadomości o świecie, otaczającym go i mającym być polem przyszłej jego życiowej działalności.

Z ulicy wtargnął Eli po pewnym przeciągu czasu do wnętrza karczmy, przylgnął do ściany głównej izby i odtąd tam już obrał sobie stanowisko obserwacyjne. Po kilku latach zniknął żydziak, o którego imieniu i pochodzeniu nikt nie wiedział, a w okolicy pojawił się nowy faktor, imieniem Elko.

— Zdawało się — opisuje dalej Orzeszkowa — że w tym jednym Elku mieściło się stu, dwustu Elków. Był on zawsze wszędzie i na każdym miejscu: w miasteczku na rynku, pomię-

dzy wozami chłopskimi, przybyłymi na targ; przy drzwiczkach przejeżdżających karet i koczów, z czapką w rękę i językiem obrotnym; w oberżach, gdzie popasali i nocowali podróżni; pod płóciennymi budami furgonów kupieckich; na trzęsącej biedce wśród pocztowego gościńca; pieszo wśród drożyn, ku wsiom wiodącym, na dziedzińcach dworskich, w oficynach z ekonomami, w oborach z pachciarzami, w przedpokojach z lokajami, w gabinetach dziedziców, nakoniec przy drzwiach, o pół kroku od progu, z wyprostowaną postawą, z bystrem spojrzeniem, latającem szybko do koła, lecz długo i głęboko zatapiającem się w twarzach ludzkich, z usługnym, zachęcającym, pokornym lub żartobliwym uśmiechem na ustach.

— Trwało tak długie lat dziesięć, poczem z okolicy zniknął faktor, młody i zwinny, a natomiast zjawił się kupiec, z gęstą, kędzierzawą brodą, w chałacie całym zupełnie, stąpający poważnie, mówiący zwolna i z namysłem, rzadziej trzęsący się na biedkach i drabiniastych wozach, krótkie stacye odbywający w przedpokojach, a w gabinetach pańskich nie o pół kroku już, jak poprzedzający go faktor, ale dwa, lub o trzy kroki od progu stojący, niekiedy zaś, w czasie spisywania umów naprzykład, albo przy dokonywaniu wypłat pieniężnych, przystępujący tuż do stołu lub biurka, przy którym siedział dziedzic. Przestał już nosić zdrobniałe imię Elki, a przedstawiał się jako kupiec Eli. Klasą chłopów, szynkarzy i pomniejszych oficyalistów dworskich, która stanowiła główny punkt zasiewów i zbiorów dla faktora, kupiec pozostawił niejako na stronie, zachowując drobne i poboczne z nią związki; całą zaś uwagę skupił na mniej lub więcej zamożnych domach szlacheckich, najściślejszym kręgiem swej działalności otoczył do dworów tych należące śpichrze, stodoły, gorzelnie, lasy. Handlował zbożem, drzewem, okowitą, małą ilością towarów tych zrazu, znaczniejszą potem, a w końcu bardzo znaczną. W ten sposób szachrując, nie przekroczył jeszcze Eli granicy wieku dojrzałego, kiedy ujrzał się bogatym.

Jakimi środkami posługiwał się Eli w swojej pogoni za złotem runem? Wszakżeż i z czoła: inżynierów, lekarzy, prawników, profesorów, literatów i artystów leje się bardzo często pot znoju; wszakżeż i rolnik upada nieraz ze zmęczenia na zagonie ojców, a rzadki z nich dochodzi do fortuny. Ludzie ci włożyli w wykształcenie swoje ogromny kapitał: czasu, zdrowia,

pieniędzy w końcu, a bywają zadowoleni, gdy mogą zaspokoić zwykle potrzeby życia.

Majątek daje szczęście albo wyzysk. Eli nie wygrał na loteryi, nie odziedziczył ani grosza, nie zrobił świetnej spekulacyi; on — pracował. Pracował zaś nie samemi tylko nogami, rękami, obrotnym językiem, ale i sprytem swojego plemienia i dziwną jego etyką. Zatapiając długo i głęboko bystry wzrok w twarzach chłopów i szlachciców, z którymi wchodził w układy, lub dowiadując się skrętnie o stosunkach „kundmanów“, szukał na tych obliczach i w tych biografiach pomocników: słabostek i próżności, głupstwa, niezaradności, dobroci, uczciwości, ufności, smutków, nieszczęść, klęsk. Z najdrobniejszego szczegółu umiał wyssać dla siebie korzyść, nie wiedząc oczywiście, co honor i szlachetność, co uczucie humanitarne. Wszystkie jego pojęcia zbiegły się w jednym ognisku: zarobić.

I stało się, że przyszły na kraj czasy ciężkie. Rolnik, pozbawiony kapitałów i sił roboczych, zubożony o połowę, musiał szukać dzierżawców. Wówczas spadły na ziemię różne kruki, a pomiędzy nimi był i Eli Makower. Pan Kajetan Orchowski, schorzały starzec, puścił mu jedną ze swoich włości; a były faktor i handlarz, nie mający wyobrażenia o agronomii, gospodarował bardzo dobrze, jak zapewnia Orzeszkowa.

Sama jednak praca na roli nie mogła oczywiście wystarczyć tak ruchliwemu człowiekowi, jakim był Makower. Więc kiedy założono gdzieś Dom Pośrednictwa, mający na celu wyzyskiwanie smutnego położenia ziemian, został Eli najgorliwszym agentem tego przedsiębiorstwa, doradcą szubrawca i kryminalisty Poryckiego.

Jak zręczny myśliwy, otaczał żyd wybrane na łup ofiary straszliwą siecią intryg, podstępów, rachub, ścieśniał ją zwolna, aż zaplątała się w niej ścigana zwierzyna i zadusiła. A z krwi konającego stworzenia płynęły dla „zdolnego“ finansisty tysiące, dziesiątki tysięcy rubli.

Pomagało Elemu całe miasto. Najlichszy szajgee poczuwał się do solidarności z dzierżawcą orchowskim. Gdy się który ze szlachciców opierał, osaczono go ławą. Nie było w całej okolicy nikogo, ktoby biednemu pożyczył pieniędzy, lub kupił od niego zboże, okowitę, las. Żyto niech marnieje, drzewo niech zgnije, bo tak kazał Makower.

W ten sposób wywłaszczył bohater Orzeszkowej kilkana-

ście rodzin, polując nietylko na rozrzutnych i słabych. I mocnego a szlachetnego Mieczysława Orchowskiego doprowadził do rozpaczcy, chociaż go szanował.

Postępował więc Eli, jak zbrodniarz, jak najzaciętszy wróg, a przecież był skądinąd człowiekiem pełnym zalet. Ojca swego, starego krawca Judełę, kochał czule, rodzinie nie szczędził niczego, a „swoim“, braciom w Mojzeszu, pomagał wedle sił. Uchodził nawet za sprawiedliwego między Żydami. Rozstrzygał ich spory, załatwiał sprawy kupieckie, bezstronny i uczciwy. Wobec chrześcijan tylko stawał się nieubłagany drapieżcą.

Nagle, przy końcu powieści zmienia się jego charakter. Wszystko dla pieniędzy poświęcający handlarz szlachetniejsze i zaczyna być prawie obywatelem kraju, w którym się urodził i wychował. Pożycza Orchowskiemu pieniędzy i zrywa z Domem Pośrednictwa.

Skąd ten niespodziewany zwrot? Znajac zasady Orzeszkowej, jej uniwersalne lekarstwo na wszelkie głupstwa i nikiemości, trzebaby sądzić, że cudu tego dokonała nauka, wiedza. Rzecz ma się jednak wręcz przeciwnie. Eli zostaje tym samym ciemnym żydem, którym był od początku powieści, tym samym kupcem, nie zapominającym o zyskach materyalnych nawet wtedy, gdy podaje bliźniemu dłoń życzliwą. Nie oświata budzi w nim uczucia ludzkie, jeno — napomnienie serdeczne, uczciwe.

Stary Judele, ojciec Elego, od lat wielu chory i niedołężny, nie potrzebujący z łaski powodzenia syna pracować, miał dużo czasu do samotnego rozmyślenia. Więc myślał dniem i nocą, zastanawiał się nad różnemi dziwactwami tej ziemi i przyszedł do przekonania, że „dwóch Bogów niema, że jest tylko jeden dla Żydów i chrześcijan“. Dotarłszy zaś do tej mądrości, stracił nienawiść rasową. pozbył się ciasnych przesądów małego miasta i wypłynął na szerokie a spokojne fale pobłażliwości i miłości dla wszystkich.

On to, dowiedziawszy się, jakimi drogami Eli doszedł do znacznej fortuny, przemówił do serca ukochanego syna i zdołał go nawrócić.

Praktyka wygląda zupełnie inaczej, aniżeli teoria. Orzeszkowa, przypisująca nauce moc cudowną, wykazała, prawdopodobnie przeciw swej woli, ujemne skutki wiedzy, padającej na grunt nieprzygotowany. Miała przecież sposobność do wciele-

nia swych poglądów w Abramka, syna Elego, którego ojciec posłał do szkół, pragnąc, aby jego chłopiec był „wielkim purycem“. A cóż zrobiła z małego Makowera?

— On nikogo nie lubi, i nie nie szanuje, — skarży się Eli przed ojcem—on z Żydów się naśmiewa, jakby sam żydem nie był, a w głowie u niego tylko zabawa, jak u jakiego panicza, albo interesa, jak u jakiego faktora. On rodzonej matce każe, żeby jego nie nazywała Abramem, ale Gottliebem, a wszystkim mówi zawsze, że on niemiec. A kiedy on mnie zobaczy, to do mnie żadnego takiego słowa nie powie, jak syn do ojca, ale zaraz mówi: daj, tate, pieniędzy, żebym ja interesa na moją rękę mógł prowadzić. Czy ja dlatego do szkół jego posyłał i wszystkich języków, i muzyki i tańczenia uczyć kazał, żeby on potem faktorem albo kupcem był? Ja chciałem, żeby on bardzo edukowanym był i wielkim panem, a żydem być nie przestał. A on tymczasem wygląda, jak szubrawiec, do rubla się rwie, jak faktor, hulanki lubi, jak głupiec, a ze wszystkiego, co ja w duszę i w serce moje schował, wysmiewa się, jak łotr.

Abramek, zamiast piąć się w górę i myśleć o „honorach“, jak marzył jego ojciec, robi po skończeniu szkół geszefta, wypożycza pieniądze na wysoki procent, rodzica nazywa głupim żydem, a siebie niemcem. W końcu kradnie Elemu pieniądze i ucieka do Ameryki po... złoto.

Dlaczego tak uczynił? Bo nie inaczej postępował jego ojciec, nie inaczej jego przodkowie od lat kilkuset. Jakże chciał Eli, aby jego syn poszedł szeroką drogą, kiedy on sam przemyczał się przez całe życie ścieżynami ubocznymi, manowcami. Jakże mógł żądać, aby jego pierworodny czuł i myślał szlachetnie, kiedy każde drgnięcie jego serca, każde poruszenie jego mózgu wytwarzało podłe uczucie i myśli? Charakter człowieka rzeźbią wieki. Nie przeistoczy go praca jednego pokolenia.

Co Orzeszkowa wkłada w usta starego Judeli o owej „wodzie (ma być wiedza), co pływa na powierzchni, i o tej, która się na dnie znajduje“, nie przekonywa nikogo. Nauka jest jedną dla wszystkich. Czerpią z niej bez ograniczenia bogacze i ubodzy, Żydzi i chrześcijanie. Dziś nie ma już profesorów dla różnowierców. Z katedr szkół i uniwersytetów spływają na uczniów te same smugi światła, bez względu na ich pochodzenie i wyznanie. Każdemu wolno ze skarbnicy umiejętności brać, co mu się tylko podoba. Że się zaś Abramkowi podobała wię-

cej cywilizacja zewnętrzna, aniżeli rzeczywista, że przenosił lichwę nad mozolny trud umysłowy, że marzył o milionach zamiast o „honorach“, — za to nie może odpowiadać nauka. Upodobania drzemią w krwi. Syn szachraja nie będzie nigdy bohaterem lub marzycielem, chyba, że nie wzięł z łona natury instynktów rodzica. Gdyby się Abramek był wdał w dziada, w Judelę, byłby niezawodnie dotarł aż do samego „dna owej wody“.

Szkicując sylwetkę Abramka, nie domyślała się zapewne Orzeszkowa, że podpisywała równosześnie niepomyślny wyrok na jednostronność swoich teoryj. Nauka ma, podług niej, zbawić ludzkość, uobywatelić Żydów, a tymczasem wyszedł syn Elego z jej objęć potworem. Oto, jak obserwacya drwi mimo-woli z doktryn tendencyi.

Ta sama obserwacya nie zgadza się na zakończenie powieści. Możliweż bowiem, aby kilka słów cieplejszych przerobiło takiego Makowera, który od dzieciństwa oszukiwał, wyzyskiwał, poprostu okradał nieopatrznych i słabych? Eli nie znajdował się już w tym wieku, w którym ludzie bywają skłonni do przewrotów psychologicznych.

W życiu dzieje się zwykle inaczej.

Jak z miasteczka znika żydek podrostek, a w okolicy pojawia się zwinny faktor, jak zręczny pośrednik ustępuje miejsca pół-poważnemu kupcowi, a doradca chłopów i ekonomów „przyjacielowi“ szlachty, tak ginie zupełnie finansista prowincjonalny, gdy zakupił wszystkie lasy i zrujnował kilkanaście wsi, aby zajaśnieć na widnokregu handlowym, jako gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Koleje żelazne, towarzystwa akcyjne, różne banki—oto ostatnie pole popisu dla Makowerów i podobnych do niego „obywateli“.

A gdy pierwszy milion spocznie w ich kasie ogniotrwałej, wtedy stają się... głupcami. Goldfish, Goldmann, Goldsohn, Goldstein i t. d. uczuwa w sobie nagle wielko-pańskie zachcianki, pragnie: stanowiska w towarzystwie, tytułu, godności, szacunku. Więc wynajdzie sobie jakie dyrektorstwo, prezesostwo, konsulat, w końcu — kupuje dla swych córek mężów z nazwiskiem szlacheckiem.

Ma się rozumieć, że takich „Jaśnie Wielmożnych“ obchodzi los ich współwyznawców tyle, co niepewna spekulacya.

A przecież oni to właśnie powinni oświecać ciemne masy żydowskie.

Eli Makower nie jest więc typem, lecz mógłby być chyba tylko wyjątkowym zjawiskiem. Rysunek jego, wyborny przez trzy tomy, skrzywiła na ostatnich kartkach tendencja. Dla celu z góry obmyślonego poświęciła Orzeszkowa prawdę, czem grzeszy wogóle zbyt często.

Przypuściwszy jednak, że Orzeszkowa wzięła Elego z życia, to z jakiej racyi ma społeczeństwo obowiązek zapomnieć Makowerom i do niego podobnym pijawkom, co mu złego wyrządzili? Nie podaje się ręki lekkomyślnemu, który popełnił jeden czyn hańbiący, wtrąca się do wieży głodnego gdy zabrał komuś rubla, aby się nakarmić, a wampirowi, utuczonemu na krwi wielu ofiar — trzeba przebaczyć? Dlaczego to?

Jeżeli dla tego, że Eli grzeszył, bo nieposiadał świadomości swoich występków, że był niewinnym, mówiąc językiem tych, którzy tłumaczą wszystko odziedziczonemi instynktami i namiętnościami wieków, to czemuż zajmują autorowie liberalni tak wrogie stanowisko wobec innych ludzi, czyniąc ich nawet odpowiedzialnymi za błędy prapradziadów? Nie ma dwóch tolerancji: jest tylko jedna — dla żyda i szlachcica, dla chłopa i mieszczanina.

Nie wesoło przedstawia się w „Eli Makowerze“ stosunek Żydów do chrześcijan. Nawrócenie syna Judeli nie zaciera przykrego wrażenia.

Trudno się zresztą dziwić, że Orzeszkowa nie rozwiązała zadowalająco „kwestyi“, która należy do najzawilszych zagadnień chwili obecnej. Któż tego dokonał? Jak dotąd, istnieją tylko dwie metody, a żadna z nich nie rozporządza nieomylnym talizmanem: nie posiadają go ani antysemita, ani przyjaciele Żydów. Powieściopisarka litewska wybrała, jako publicystka, drugą rolę, choć wie bardzo dobrze, że nie czas jeszcze na... miłość i braterstwo.

Daleko swobodniej porusza się oczywiście każdy beletrysta, gdy weźmie za przedmiot badań samych Żydów, odłączając ich od chrześcijan. Fantazyi jego nie kępią wówczas różne względy, prądy, kierunki i programaty. Pewnik ten potwierdza najlepsze dzieło młodej Elizy Orzeszkowej, mianowicie: „Meir Ezo-fowicz“.

Wszystko, co liberalna pisarka czuła i myślała, co przepełniało jej serce, bijące dla ubogich i sponiewieranych, co nie-

pokoilo mózg jej, marzący o powszechnem szczęściu, wlała w buntownika szybowskiego, w kochanka swojej wyobraźni. Piękny on też i sympatyczny, owiany wonnościami poezji, wypieszczony życzliwą dłonią doświadczonej już artystki. Niepodobny on do owych: inżynierów, mechaników, kupców, przyrodników i lekarzów, którzy z szyderskim uśmiechem na ustach mówią o sobie: my, ludzie pozytywni... i rozprawiają rozumnie a nudno, uczenie a rozwlekle o obowiązkach pospolitych, o wiedzy i dobrobycie. „Narwaniec“ to, wychylający głowę ponad szary tłum, stający do walki z potęgą, utrwaloną i uświęconą przez wielki, rosnący w siłę i odwagę w miarę pietrzących się przeszkod... marzyciel, człowiek natchniony i na wskroś niepraktyczny.

Jak gdyby się poezya chciała zemścić na Orzeszkowej za okazaną jej wzgardę, kazała jej upleść najcenniejszą powieść z charakterów romantycznych. Bo Meir nie jest bohaterem „pozytywnym“, ani „wyrozumowaną“ jest jego miłość do Gołdy, wnuczki starego karaity, bo wszystko, co ten młodzieniec czyni, muszą ludzie „trzeźwi“ potępić.

Orzeszkowa, odwołuje się przy końcu drugiego tomu do czytelnika, prosząc dla swego ulubieńca o „braterską dłoń przyjaźni i pomocy“. Któżby mu jej odmówił? Kilkudziesięciu takich Meirów rozwiązałoby niezawodnie „kwestyę“ żydowską.

Meir pochodzi z starodawnego rodu Ezofowiczów, który wydał dwóch znakomitych w dziejach Rzeczypospolitej Żydów. Jeden z nich, Michał, był Seniozem za Zygmunta I, drugi, Hersz, bratał się podczas sejmku czteroletniego z posłem Butrymowiczem, pracując nad uobywateleniem swoich współwyznawców. Obydwaj jednak ulegli potędze domu Todrosów, dostarczającego Szybowowi rabinów. Światło ustąpiło przed ciemnościami, miłość przed nienawiścią.

Ale duch Ezofowiczów nie zgasł na zawsze. Odezwał się on po raz trzeci przez usta Meira, prawnuka Hersza i Frejdy, a wnuka Saula, patriarchy rodziny.

Chłopiec chował się, jak jego bracia i rówieśnicy, pod nadzorem fanatycznego mełameda, przysłuchiwał się rozmowom kupieckim stryjów, brał w siebie, słowem, od kołyski te same wrażenia, co inni Żydzi, a przecież nie był do nich podobnym.

W Szybowie, za miastem, zdala od ludzi, jak trędotaty, pędził w ubogiej chatce nędzny żywot stary karaita, Abel, prze-

śladowany przez panującą kastę hasytów. Co piątek, wieczorem, biegło w stronę lepianki kikudziesięciu bachorów, podburzonych przez mełameda, aby lżyć i bezcześcić „odstępce“; i dorosli okazywali mu pogardę; jeden tylko Meir litował się nad „wyrzutkiem“, albowiem „nie godzi się poniewierać słabych“.

W domu starego Saula Ezołowicza odprawiono sumiennie wszelkie przepisy rytualne, i słuchano z uwielbieniem śmiesznych opowiadań i komentarzy rebe Moszka; ale Meir uśmiechał się sceptycznie, gdy tłumacz prawił z zachwytem o Lewiatanie, tak wielkim, że na nim cały świat spoczywa.

Ezołowicze byli od wieków kupcami, a choć nie rządźli się etyką szachrajów, pysznili się jednak bogactwami swojemi, pragnąc większych. Meir nie myślał o zarobkach, nie chciał się żenić z Maryą Witebską, ani z córką Kamionkera, a kiedy mu dziad mówił o handlu, odpowiedział:

— Ja kupcem nie będę; wódki pędzić ani jej sprzedawać nie chcę. Ja do tego ochoty nie mam żadnej. Ja chcę iść w świat, widzieć wiele rzeczy, uczyć się dużo, a jeżeli nie przychylisz się do prośby mojej, wtedy wolę zostać rzemieślnikiem, mieszkać z ubogimi ludźmi na jednej ulicy i pracować z nimi razem, i strzedz dusze ich od grzechu, aniżeli trudnić się handlem.

Każdy szajgec szybowski, wyszedłszy z pod opieki mełameda, dopytywał się cheiwie, ile posagu weźmie z przyszłą żoną. A Meir odrzucił bogate panny, przynosząc nad nie sierotę, dziwkę i nieokrzesaną, ale pełną serdecznych uczuć Gołdę. Czytał jej dzieje rabbi Akiby i żony jego Racheli, i przemawiał do niej słowami miłości poetycznej. Ona rosła pod wpływem jego wspomnień i marzeń do rozmiarów kochanki bohaterskiej, jedynej, którą Orzeszkowa stworzyła, pominawszy niewykończoną Krystynę Dembielińską.

Dziadowie, stryjowie, wujowie, bracia i towarzysze patrzyli na Meira, jak się spogląda na dziwoląga, którego się nie rozumie i obawia. Kto on jest, skąd przyszedł? Czy on nasz wnuk, syn i krewny? Dlaczego nasze głowy inne przebiegają myśli, a piersi inne wstrząsają uczucia? Kto go nauczył przewrotności?

Jedna tylko stara, stuletnia Frejda, niegdyś małżonka buntownika Hersza, a obecnie prababka rodu, święta relikwia domu, otoczona czcią i miłością, uśmiechała się, ilekroć jej przy-

gasły wzrok padał na piękne, uduchowione oblicze Meira. Wówczas zapalały się te oczy na chwilę blaskami młodości, a zwiędłe usta jej szeptały: Hersz, Hersz, mój Hersz!

Bo ten Meir był portretem jej męża, jak Hersz odziedziczył rysy dalekiego przodka, Seniora Michała. Z podobieństwem cielesnem łączyła się tożsamość dusz. Michał, Hersz i Meir — to dziad, ojciec i syn, choć ich wieki rozdzielały.

Od starej Frejdy dowiedziała się rodzina o źródle „przewrotności“ Meira, przeto, choć nie zgadzała się na poglądy „nawrańca“, nie czyniła mu jednak krzywdy, bezpośredni bowiem przodkowie wnuka Saula byli chlubą Ezofowiczów. Michał rozmawiał z królem, Hersz żył z wielkimi panami za pan brat. Któżby się nie szczycił takimi antenatami?...

Kiedy się całe miasto oburzyło na Meira, a jego stryj, Abraham zaniósł na niego skargę do Saula, do patriarchy domu, żądając, aby tenże obił krnąbrnego chłopca, wtedy odparł syn Hersza:

— Ja jego bić nie każę!

I dodał cichym głosem:

— Dusza Michała przeszła w ciało ojca mojego, Hersza, a dusza ojca mego Hersza, zamieszkała w ciele Meira...

O czymże marzyli Michał i Hersz Ezofowicze, o czym potomek ich z krwi i ducha, dziwny Meir? Pragnęli oni tego samego, do czego dąży Orzeszkowa i przyjaciele jej: chcieli lud swój oświecić, nauczyć go miłości do ziemi, na której się urodził i uczuć braterskich dla ludzi, obok których pracuje i cierpi.

Ale Senior Michał musiał ustąpić przed potęgą Todrosa, przedstawiciela nietolerancyi żydowskiej, odrębności i nienawiści; ten sam los spotkał w 200 lat później Hersza; nie lepiej w końcu powiodło się Meirowi. „Czarny człowiek“ rabbi Izaak, rzucił na niego straszną klątwę, odepchnął go od łona Izraela, a herem ten, choć się przeciwko niemu zbuntowano, posiadał tak wielką moc, że kiedy „wyrzutek“ opuszczał miasto rodzinne, znalazł się między krewnymi tylko jeden człowiek, który miał odwagę uścisnąć na drogę dłoń tułacza i wsunąć mu w nią trochę pieniędzy.

Orzeszkowa nie powiada, co się stało z Meirem między „Edomitami“. Poszedł w świat i przepadł. Czy wypłynie później, jako prorok, jako reformator swojego ludu?...

„Meir Ezofowicz“ jest najlepszym dziełem artystycznym młodości Elizy Orzeszkowej. Przetrwają ono twórczynią swoją i zapali może kiedyś w sereu jakiego nowego „odszczępieńca“ ognie miłości.

Poraz pierwszy panowała autorka w tej powieści zupełnie nad sobą. Zamiast rozumować, naginać bajkę do tendencji i wtrącać niepotrzebne uwagi lub odezwy do czytelnika, zachodzące jeszcze w „Eli Makowerze“, odmalowała w „Meirze“ stosunki, wypadki i charaktery z bezwzględną przedmiotowością, trzymając na wodzy swoje przekonania osobiste. Rysunek głównych postaci, począwszy od uroczej w młodości a świętej w starości Frejdy, aż do nędzarki Gołdy, podobnej do wonnego kwiatka, wyrastającego z pod gruzów, sprawia najwybredniejszemu krytykowi prawdziwą przyjemność. Pięknym, jak portret natchnionego artysty, jest Meir, strasznym, „czarnym“ rabbi Izaak Todros, sympatycznym patriarchą rodu Saul, syn Hersza.

Kompozycja „Meira“ odznacza się ściśłością i lekkością. Autorka nie przeładowała tym razem budowy mnóstwem zbytecznych szczegółów, nie przeciążyła jej tanią erudycją encyklopedyczną, którą lubiła się popisywać w dawniejszych powieściach. Wszystko tu niezbędne, konieczne.

A ponad całością wieje owo „coś“, czego się nie można nauczyć, z czem trzeba przyjść na świat, ów duch Boży, zwany talentem artystycznym. Orzeszkowa jest w „Meirze“ nie tylko myślicielką, lecz także poetką.

Może wydawałoby się dziwnem, gdyby ktoś zauważył, że powieści żydowskie Orzeszkowej zadają kłam przekonaniom i nadziejom, wyrażonym w broszurze publicystycznej, zajmującej się sprawą Izraela. Autorka ta uchodzi przecież za bezwzględną semitifilkę.

A jednak czy jest tak?

Pominąwszy tendencyjne dodatki, którym Orzeszkowa zawdzięcza swą popularność między Żydami, przedstawia się ogólny obrachunek wcale niepomysłnie.

Wigder z „Pana Graby“, straszliwy lichwiarz, zdzierający skórę z nieopatrznych i lekkomyślnych, nie może nikogo pociągać ku sobie, mimo aureoli patryoty jerozolimskiego, którą autorka zdobi przy końcu jego skroń wytartą.

W „Eli Makowerze“ zasługuje jeden tylko Judele na mia-

no typu dodatniego. Ale któż będzie się liczył ze starcem znie-
dołęźniałym, nie znającym życia, dalekim od spraw tego świa-
ta? Wszyscy Żydzi, którzy w tej powieści działają, nie wy-
łączając samego bohatera, powinni rozmyślać w kryminale nad
podłością etyki handlarskiej. Oszukują oni, wyzyskują, ssą krew
z bliźniego, poją się jego łą.

Wszystkich tych finansistów potępia najwymowniej Saul
Ezofowicz, kiedy w obliczu zbrodni, popełnionej przez Kamion-
kera, który podpala dla zatarcia swej „operacyi“ z okowitą,
dom szlachcica, pyta swego syna, Rafała:

— Rafał! wiele lat ty z młodym Kamiońskim handlu-
jesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i go-
spodarzem zrobił się...

— Rafał, czy ty od niego krzywdę jaką miałeś? — mówi
dalej patriarchy domu.

— Nie, ja od niego krzywdy żadnej nie miałem — odpo-
wiada syn. On trochę pyszny jest, prawda, i interesów swoich
nie bardzo pilnować umie, ale u niego serce dobre jest, a sło-
wo rzetelne, a w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, niż
sam kogoś skrzywdzi...

A mimo to potępia cała gmina szybowska Meira, który
chiał odwrócić od młodego obywatela grożące mu nieszczęście.

W „Meirze Ezofowiczu“ jaśnieje wprawdzie postać pra-
wnuka Hersza, lecz chłopiec ten jest przede wszystkim dziecią
ciem wyobraźni autorki, wytworem jej marzeń i tęsknot. To
ideał, to żyd taki, jaki być powinien, jakiego niema w rzeczy-
wistości. A choćby i istniał, uchodzi między swoimi za warya-
ta, za człowieka, obranego z rozumu. Nawet najbliższa rodzina
wyrzekła się biednego, gdy na młodej jego głowie spoczęła kłą-
twa rabina. Dziad błogosławi go przed dokonaną kłatwą, to-
warzysze wstawiają się za nim w synagodze, lecz w chwili sta-
nowczej zamykają się przed nim wszystkie bramy. Poszłaby za
nim w świat daleki jedyna Gołda, gdyby jej wysłańcy Todrosa
nie byli zamordowali; ale to dziewczyna trędowata, karaitka,
odtrącona od łona Izraela.

Więc jako kupcy są Żydzi w powieściach Orzeszkowej: li-
chwiarzami, podpalaczami, złodziejami, oszustami i t. d., a jako
wyznawcy religii mojżeszowej: fanatykami, ciemnymi nietole-
rantami, mściwymi prześladowcami.

— Ale może charakterystyka ta odnosi się tylko do ciemnych mas, może semici oświeceni stanowią wyjątek? Wszakże wiedza usunie odrębność, zwycięży głupotę, pokona nikczemność; ona powiedzie ród ludzki do prawdy i piękna—jak zapewnia Orzeszkowa.

Ma się rozumieć, że autorka, która przypisuje wiedzy moc tak cudowną, wykazała jej skutki na Żydach. Takby się koniecznie zdawało. Tymczasem?...

Orzeszkowa posłała niewielu Żydów do szkoły, ale na tych, których kazała „edukować“, zawiodła się srodze. Syn Makowera, Abramek, wychodzi z gimnazjum potworem, dla którego nie ma nic świętego; pani Witebska, niedoszła świekra Meira Ezofowicza, bardzo cywilizowana dama, jest śmieszną papugą, a pierworodny jej Leopold, także niezmiernie uczony mąż, patrzy na swojego przyszłego szwagra takimi samymi oczami, jak chałcziarze szybowscy. Nie rozumie on marzyciela, bo i on, chociaż jest urzędnikiem, myśli również jedynie o dobrobycie, jak pierwszy lepszy szajgec, który wyszedł z hederu mełameda. Właściciel hotelu Wszech krajów (Widma), bratający się z hrabiami, człowiek bogaty i „elegancki“, puszy się, nadyma razem z kuzynkiem swoim, Leonidem Igorowiczem Rozenblatem, niby paw, siedzący na płocie.

Więc wykształcenie robi Żydów śmiesznymi arogantami, materyalistami i bezwyznaniowcami, czyli oszpeca ich nowymi wadami, nie uwalniając ich od starych? Tak należałoby wnioskować, przeczytawszy powieści Orzeszkowej, w których nie ma ani jednego Meira w tużurku, ani jednego izraelity światłego, pracującego nad uobywateleniem ciemnych współbraci.

Wobec tego wolno wyrazić zdziwienie, że Orzeszkową nazwano semitofilką. Ależ najzaciętszy antisemita nie potrafiłby się gorzej Żydom przysłużyć. Mogą oni sobie powtórzyć z owym biedakiem, któremu życzliwi dokuczylili: Panie Boże strzeż mnie od przyjaciół, bo z wrogami dam sobie sam radę.

Inna rzecz broszurka okolicznościowa lub artykuł dziennikarski, a inna dzieło sztuki. Publicysta musi nieraz kruszyć kopie w sprawie, o której jednolitości nie jest zupełnie przekonany, artysta zaś patrzy na życie i, co widzi, odtwarza, lub rzuca tłem pod wymarzony ideał.

Przeto trzeba się dobrze zastanowić, zanim się w powieści lub dramacie postawi jakąś doktrynę, obmyśloną z góry, nie

wypróbowaną w ogniach doświadczenia, gdyż można narazić się łatwo na słuszny zarzut zmienności przekonań.

Któżby się np. spodziewał, że Orzeszkowa, ta sama Orzeszkowa, która, począwszy od „Pierwszej miłości“, a skończywszy na „Meirze Ezołowiczu“, czyli przez dwadzieścia dziewięć tomów podaje na wszelkie niedostatki jedno tylko lekarstwo, mianowicie naukę, napisze kiedyś dzieło, potępiające właśnie ten środek nieomylny? A jednak uczyniła to w „Widmach“.

Lucya Otocka i Julek Ryżyński zatruli się wiedzą. Wszystko, czego ich nauczył dom, rodzice, religia i szkoła, zabrała im książka. Z niego wyrósł potwór, ubierający się w czerwoną koszulę i w czapeczkę z pawiem piórkiem, niedowiarek, zazdrośnik, nienawidzący szczęśliwszych, przewrotnik, reformujący świat pustymi frazesami, młodzieniec bez serca, bez zasad i rozumu; z niej—dziwadło, przeznaczone na zgubę w błocie. A przecież skończyła Lusja pensyonat, i czytała bardzo wiele, a Julek był studentem uniwersytetu.

Więc wiedza nie jest alfą i omegą ludzkości? Więc ci, „nowi, trzeźwi“ ludzie omylili się?

— Nanieszczęście,—mówi Orzeszkowa (w „Widmach“)—o doli i niedoli jednostki nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają też na nie uczucia, przywyknienia, a nawet przesady.

Warto-ż było napisać 29 tomów, aby wrócić do tej starej, dawnej prawdy?

Michał Bałucki

jako powieściopisarz (ur. 1837 um. 1901 r.).

Michał Bałucki, wychowaniec miasta Krakowa, w którym stale i z upodobaniem przebywał, zbierając na jego bruku wzorki do swoich powieści, rozpoczął, jak wiadomo, zawód autorski jeszcze przed r. 1863, próbując się młodzieńczych na polu poezji w ścisłym tego rodzaju znaczeniu. Zrazu liryk, po trosze i epik („Ziemowit“ 1861 r.; „Cicha miłość“ 1861 r.; „Bez chaty“ 1863 r.), przerzucił się później do prozy.

Czego pragnie młoda Orzeszkowa, o tem marzy także Bałucki.

Świat dawniejszy, ludzający się mrzonkami poetycznymi, świat naszych ojców romantycznych, przeminął, przeżył się, wytworzywszy w końcu formalizm i sybarytyzm estetyczny. Musi on ustąpić epoce trzeźwej, praktycznej, szukającej „ognia, co ma oświecić ludzkość, w ziemi i na ziemi“.

W cichej miejscowości galicyjskiej, w Zalesiu („O kawał ziemi“) rozgrywa się walka między dziś a wczoraj. Panem włości jest baron, człowiek wykształcony, kochający się w pięknym zamku, w parku, w kwiatkach i t. p. „zbytkach nie przynoszących nic“, a obok niego rośnie w pieniądze i pychę stary Schmidt, syn kowala, z zawodu ślusarz, później fabrykant.

Baron zdobi swoją siedzibę — przemysłowiec napełnia swoją szkatułę; szlachcic nie znosi łoskotu maszyn i dymu długich kominów, — mieszczanin spogląda poządlawie na lasy i ziemię

sąsiada, mówiąc: tyle przestrzeni marnuje ten człowiek na głupstwa...

I byłby baron wyleciał z Zalesia a Schmidt do niego się wcisnął, gdyby nie jego syn, młody Adolf, i psotny amorek, załatwiający wiele sporów, zwłaszcza w powieściach.

Adolf Schmidt jest ideałem „nowego człowieka“ z epoki po r. 1863. Silny ciałem, zdrowy, rumiany, nie zapominający o „interesach“ nawet w chwili zapału, rozumny, wykształcony, spokojny w słowie i czynie, przytem szlachetny, posiada wszystkie cechy „bohatera“ praktycznego.

Odnaczał się on dużą zdolnością do malarstwa i... dlatego oddał się mechaniczności, aby, jak się wyraża, mógł „malować fabryki i maszyny“. Poetę, który całe życie poświęca na to, aby „wyrabiał bawidelka“, nazywa próżniakiem, bo cokolwiek się dzieje, powinno „przynosić ludziom korzyść“. A jakież pożytek płynie dla społeczeństwa z „szermowania pięknymi frazesami?“

-- Poeci chwalać wciąż, do unudzenia (Adolf), tę minioną przeszłość; tam widzą piękność, wspaniałość, bohaterstwo. A przecież owe olbrzymie zapasy ludzkości w czasach dzisiejszych warte także pieśni; ludzie, co z cyrklem, łańcuchem mierniczym i łopatą zdobywają dla cywilizacji przestrzeń ziemi, prostują drogi i budują koleje, większymi są może bohaterami, niż ci, którzy te drogi znaczyli ogniem i krwią.

Prawie temi samymi słowami zachwala Orzeszkowa („Ostatnia miłość“) swoich ulubieńców.

— W taki sposób pan, — zauważa Irena, córka barona — opisując bohatera nowszych czasów, zrobiłbyś go z ważkami w rękę lub łańcuchem mierniczym.

— Zaręczam pani — odpowiada Adolf z uśmiechem — że dla ludzi, rozumiejących istotną poezję, byłby to większy bohater, niż ten, co krew ludzką przelewał.

Młody Schmidt występuje rzeczywiście na każdym kroku „po rycersku“. Naraża podczas pożaru życie swoje na niebezpieczeństwo, ocalając ubogą dziewczynę, opiekuje się serdecznie losami robotników, nie zamyka kieszeni, gdy potrzeba komu pomódz, a w stosunku do baronostwa wychodzi zawsze po „dzentelmeńsku“.

Tyle zalet rozbija wreszcie starego arystokratę. Baron mówi:

— Przekonałeś mnie pan, że cyrkiel i cyfry nie wypędza-

ją z duszy człowieka szlachetnych uczuć, że łoskot machin nie zagłusza głosu sumienia i fabrykant może mieć więcej poezyi w duszy, niż ci, co się głoszą jej kapłanami.

I oddaje mu swoją wychowanicę, uroczą Zosię. Numa wychodzi za Pompiliusza...

Jak Orzeszkowa, upodobał sobie i Bałucki: inżynierów, mechaników (Adolf Schmidt w „O kawał ziemi“ i August w „Siostrzenicy księdza proboszcza“), przemysłowców (Józef Dylski w „Byle wyżej“), adwokatów (Józef w „Błyszczące nędze“), lekarzy (Agaton w „Żydówce“), a nawet prostych rzemieślników, (kował Jan w „Pańskich dziadach“).

I na miłość, mimo wyraźnej skłonności do powikłań romansowych, którymi ożywia zbyt często fabułę, zapatruje się Bałucki ze stanowiska praktycznego. Jego ideał męża, adwokata Józef („Błyszczące nędze“) wygłasza te same przekonania o małżeństwie, za których pomocą Orzeszkowej mecenas Witold („Wesoła teoria i smutna praktyka“) usiłuje odwrócić nieszczęście od swego przyjaciela, lekarza Władysława.

— Miłość moja — spowiada się Józef przed Ludwikiem — nie zdałaby się do romansu, lub na wiersz dla poety, ale zdolna jest zapewnić nam obojgu szczęście i będzie osładzać cierpkie i znojne nieraz życie. Nie kocham Leonii, jak wymarzoną kochankę, ale kocham ją, jak przyszłą żonę moją, współniczkę mych kłopotów i radości. Dla tego nieznanne mi są owe wymarzone, sztuczne, jak rośliny w cieplarni rozwinięte cierpienia miłosne, które innym kochankom zatruwają życie i dają bezsenne noce, bo nie ubiegam się za tęczowymi blaskami uczucia, za cieniem miłości, ale chcę samej miłości.

Z każdego słowa wyziera tu „człowiek nowy“, pozytywista z epoki po r. 1863, który przynosi wygodne, spokojne życie nad „wrażenia“ i zachwyty romantyków.

Bałucki nie zna, tak samo jak Orzeszkowa, wojowników, proroków, poetów, publicystów, mówców natchnionych, uczonych, pracujących tylko dla nauki, nie wygłasza nawet hymnu na cześć wiedzy, która „ma zbawić ludzkość“. Jemu wystarcza „to światło, którego ciekawi szukają... w ziemi i na ziemi“. Stoi on pod tym względem niżej od młodej Orzeszkowej, od entuzjastki pozytywizmu. Powieściopisarka litewska jest mimo całej swej „trzeźwości“ potrosze marzycielką („Meir Ezofowicz“), a Bałucki nie

odstępuje ani na krok od programu mieszczańskiego. Dobrobyt — to jego ideał.

Jak Orzeszkowa, nie pominął i Bałucki sprawy żydowskiej („Żydówka“) i zajął w niej odmienne, własne stanowisko.

Regina jest córką karczmarza galicyjskiego, który rozpaja chłopów i oszukuje szlachtę. W miarę, jak się skutkiem tej jego działalności, jego kieszeń napełnia, wypróżniają się oczywiście trzosa „gojów“. Nic dziwnego, że żyd zajmuje po jakimś czasie pozycje, opuszczone przez „Edomitów“.

Ojciec Reginy ma w Warszawie krewnego, milionera, izraelitę cywilizowanego, nie gardzącego obyczajami i przysmakami chrześcijan. Bankier mówi po polsku, ubiera się we frak, chodzi do teatru, jada dużo i dobrze, nie pytając, czy potrawa korszerna albo trefna, słowem, jest t. zw. żydem „bez przesądów“. Ludzie nie wiedzą nawet, zapewnia Bałucki, że Goldberg należy do narodu wybranego. Milioner! to dosyć. Taki potentat nie potrzebuje narodowości, religii, drzewa genealogicznego. Wszystkie te dodatki zastępują mu pieniądze.

Do tego krewniaka udaje się Regina na wychowanie. Sybarycie podoba się miła, zdolna dziewczynka, przywiązuje się więc do niej i otacza ją zbytkami. Rozpieszczona dostatkiem i ogłodzona przez nauczycieli, wyrasta brudna żydóweczka na urodziwą i „inteligentną“ pannę, która nie może mieć nic wspólnego z fanatyzmem i głupotą swej rodziny galicyjskiej. Zamiast talmudu, czyta Regina Szyllera i Szekspira, zamiast w bożnicy modli się w teatrze, w świątyni sztuki.

Zachwycona świetną grą Juliusza, szlachezca, który dla miłości aktorki poszedł między komedyanty, rozkochuje się Regina w słynnym tragiku. Wirtuoz teatralny odplaca jej wzajemnością, bo nie wie, że czarnooka dziewica jest żydówką. Dowiedziawszy się o tym grzechu pierworodnym bankierówny, zrywa z nią na rozkaz swej matki, chociaż Regina chce przejść na łono Kościoła katolickiego.

— O, chrześcijanie! Okropnieście się obeszli z sercem żydówki, — skarży się Regina — nie ma już między nami nic wspólnego.

Juliusz zna Reginę z Warszawy, gdzie występował w teatrze, a nie wie, że jest żydówką. Wolno wątpić, czy to możliwe. W „grodzie syrenim“ trudno ukryć się z pochodzeniem, gdy się stoi na jakimkolwiek świeczniku, a miliony nie pozwa-

lają przecież zginąć w tłumie. Pierwszy lepszy ulicznik warszawski poda dokładną genealogię każdego bankiera, zwłaszcza, gdy ten nosi na sobie piętno Izraela: rysy i charakterystyczne ruchy semickie, których nie zacierają ani łagodzą: fraki, białe krawaty, powozy i t. d. Kupiony herb nie daje „miny i czupryny“.

Przeto należy się dziwić, że Juliusz nie wyczytał z rysów bankiera i jego kuzynki metryki właściwej, tem więcej, że jako aktor powinien był umieć odróżnić charakterystyczną fizyognomię wschodnią od typowych twarzy północy. Nieznajomości tej potrzebował Bałucki do wykazania, jak „okrutnymi bywają chrześcijanie“.

Orzeszkowa szuka za pomocą wiedzy drogi wyjścia z tego zaczarowanego koła, które się „kwestyą żydowską“ zowie; Bałucki obwinia głównie chrześcijan.

— O chrześcijanie, okropnieście się obeszli z sercem żydówki!

Bałucki zapomniał w chwili, gdy wkładał w usta swej bohaterki gorzką skargę, jak się Żydzi obchodzą od lat tysiąca przeszło nietylko z sercami, ale przedewszystkiem z majątkiem wyznawców Chrystusowych, jak godzą codziennie na ich życie, przyprowadzając ich do nędzy, tropiąc ich, niby dziką a szkodliwą zwierzynę?

— Wina więc i po waszej stronie—przekładał przyszedł lekarz, Agaton, rozmawiając z ojcem Reginy. — Zmieńcie się, a ci, co was nienawidzili, kochać was będą.

— Zróbcie wy pierwszej swoje, odpowiedział uraglawie pyszny chałaciarz — wszak wy lepsi od nas, wasz Bóg każe miłować. Miłować, aj waj! A wasi księża szczują was na nas, jak psów.

Zdaje się, że Polska „zrobiła swoje“, tuląc do siebie Żydów wówczas, kiedy nie było dla nich w całej Europie ani jednej piędzi bezpiecznej ziemi, myśląc o nich na sejmie czteroletnim, a w końcu za rządów Wielopolskiego.

Można rozumieć Orzeszkową, która pragnie natchnąć poczuciem obywatelstwa milion obcych dotąd krajowi ludzi; można wytłumaczyć *pium desiderium* Jeża, gdy marzy o uszlachetnieniu Żydów przez miłość, lecz trudno domyśleć się drogi, jaką Bałucki doszedł do swoich wniosków.

Bo, że jeden aktor, choćby fakt ten zgadzał się istotnie

z prawdą, wzgardził Reginą dlatego, że była Żydówką, nie dosć to jeszcze powodu do potępienia wszystkich chrześcijan.

W tej formie, w jakiej Bałucki przedstawił czytelnikowi swoją Reginę, jest ona tylko bladą kopią żydówek Lessinga i późniejszych beletrystów niemieckich. I w innym jeszcze kierunku zajął autor krakowski stanowisko „oświeconych“ (Aufklärung) przeszłego stulecia.

Bałucki wprowadził pierwszy z pisarzy liberalnych do powieści stan duchowny, nie krępując się względami, jakie inni autorowie starsi zachowują, gdy mówią o księżach. Orzeszkowa ominęła zręcznie tę „drażliwą u nas kwestyę“, zadowolając się szablonowemi typami „zacnych, świątłych kapłanów“. Bałucki poświęcił temu przedmiotowi osobną powieść („Siostrzenica księdza proboszcza“).

Idealem Bałuckiego jest ksiądz, który „nie prawi ludowi o niebie, nie straszy go karami piekielnemi, ale uczy, jak żyć na ziemi, jak spełniać obowiązki swoje; który nie podnieca wyobraźni, lecz przemawia do rozsądku, działa na serca i poświęca dla miłości i pracy drobiazgowo ceremonie kościelne“.

— Dziecinny umysł wyciąga rękę do tych błyskotek i cacek, któremi dla przynęty ubierać musiano prawdy religijne; dziś trzeba mu już te błyskotki odjąć, by się zbliżył do prawdy i poznał ją, by nie brał łupiny za ziarno, cienia za rzecz, echa za głos.

Takim kapłanem postępowym jest ks. Jan Oleka („Siostrzenica księdza proboszcza“), człowiek rozumny, świątły, doradca i opiekun parafian. Więc, gdy któryś z bogatszych chłopów zamierzał wystawić w kościele ołtarz, lub zakupić obraz, wtedy przekładał ks. Oleka:

— Nie lepiejże to, abyście pieniądze, które chcecie złożyć Bogu w ofierze, obrócili na wspólny śpichlerz i zaopatrzyli go w zboże, z którego biedni na przednówku zapomogę miećby mogli?

A kiedy znaczna liczba ludzi wybrała się ze wsi do Czestochowy na odpust i starsi wstąpili do świątyni po krzyż i błogosławieństwo, wziął ksiądz na siebie kapeę, wyszedł do pobożnych i zapytał:

— Ilu was idzie na odpust?

— Do stu ludzi — odpowiedziano.

— I na wiele dni?

— Tam i z powrotem, bez mała tydzień czasu zabierze.

— A więc stu ludzi przez sześć dni nie będzie pracować i straci tyle a tyle reńskich.

Ksiądz Olęka przemawia ciągle, jak praktyczny filister, dla którego to, co pożyteczne, stoi wyżej od tego, co piękne. Płaskim on utylitarystą, kolegą przemysłowców, fabrykantów, bankierów, zbogaconych rzeźników i piekarzów. Zdaje mu się, że teologia, to ekonomia polityczna, albo zdawkowa, pospolita filozofia praktyczna. Uczy on, jak żyć na ziemi, jak gdyby taki wykład był jego jedynym zadaniem.

Ks. Olęka zapomina o tem, że powinien być przedewszystkiem stróżem idealnych dóbr swoich parafian, że religia nie jest tylko etyką, ale i nauką o Bogu; że uczynki doczesne stoją o tyle pod jego kontrolą, o ile odnoszą się do kary lub nagrody pogrobowej. Kapłan nie może być praktycznym mieszczuchem, marzącym o wygodach i dobrobycie. Jeżeli się komu posłannictwo duchowne nie podoba, nie potrzebuje wstępować do seminaryum; skoro jednak przyjął święcenia, nie ma prawa odbiegać od drogi, wytkniętej przez Kościół.

Ks. Olęka idzie jeszcze dalej. Jakaś żydówka chce przejść na wiarę katolicką. Proboszcz odradza dziewczynie konwersję, bo „zasmuciłaby ojca, matkę i chorego dziadka, bo musiałyby opuścić kółko, w którym jest konieczną dla szczęścia drugich, i w których sama znajduje dziś szczęście“.

Bardzo „rozsądnym“ jest ksiądz Bałuckiego, lecz w cóż zmieniłyby się wszelkie wyznania, gdyby posiadały takich kapłanów? Apostołowie i męczennicy nie pytali, gdy szli nauczać narody, czy „zasmucają ojca lub matkę, czy wypadną z kółka, w którym doznawali szczęścia“. Nie może się o to troszczyć żaden człowiek, pracujący dla jakiegokolwiek idei, choćby ona nie była tak potężną, jak religia.

Ciekawy to zresztą ksiądz, odmawiający innowiercę od wiary, której jest kapłanem. Jakby też Bałucki nazwał oficera, zohydzającego ochotnikowi sztandar, któremu zaprzysiągł sam wierność, posłuszeństwo, krew swoją? Chyba — zdrajcą.

Autor „Siostrzenicy księdza proboszcza“ potępia razem z wytartym liberalizmem mieszczańskim, który jest rozwodnieniem programu „oświeconych“, „błyskotki, łupinę, cień, echa“

czyli ceremonie kościelne, a domaga się „ziarna, prawdy, rzeczy, głosu“, czyli istoty religii.

Najznakomitsi mędracy wszystkich czasów usiłovali zgłębić do dna tę tajemnicę odwieczną, pragnąc ją zrozumieć za pomocą środków przyrodzonych. Wiadomo jednak, że trudy ich spełzły dotąd na niczem. Kto jest początkiem i końcem wszechbytu? — Na to odpowiada wyczerpująco tylko wiara. Jakże można żądać od milionów umysłów przeciętnych, aby się zadowalały pojęciem oderwanem, kiedy ta strawa niepochwytna nie wystarcza na całe życie nawet głowom wybranym?

Ceremonie są niepotrzebne? — Ale dlaczegoż składa się człowiek z duszy i z ciała; dlaczego musi sobie najbujniejszej wyobraźni poeta uzmysłowić rzecz, którą chce zrozumieć, czuć, widzieć? Nie „przynętę“, jak twierdzi Bałucki, stanowi zewnętrzna część każdej religii, lecz ustępstwo dla natury ludzkiej, która nie jest zdolną do rozmiłowania się w abstrakcyi. Tu i owdzie znajdzie się może jakaś jednostka ze smakiem wydelikacowanym, obywająca się bez „formalizmów“, ale będzie to tylko bardzo nieliczny wyjątek. Dla dziwaków zaś i fantastów nie buduje nikt kościołów.

Czy może np. być coś więcej na pozór dziecinnego nad ćwiczenia wojskowe? Wszakże to rzecz obojętna, czy żołnierz postawi nogę tak lub owak, czy trzyma karabin zręcznie albo niezgrabnie, byleby dobrze bił, gdy go wysła w pole. A jednak nie byłoby porządku i karności bez owych „drobiazgowych ceremonij“, a porządek i karność znaczą w bitwie więcej, niż odwaga osobista.

Wystawmy sobie armię, posuwającą się bez ładu, niedbale, ubraną źle, maszerującą koszlawo, pozbawioną sztandarów, muzyki i świetnych mundurów. Wojsko takie nie zachwyci nikogo, podczas, kiedy oddział, przestrzegający ściśle „drobiazgowych ceremonij“, zaopatrzony w „błyskotki“, robi nawet na mieszczechu podniosłe wrażenie. I zbogacony episier wyprostuje się, podrzuci łeb do góry, wciągnie w siebie tłusty brzuch, gdy znajdzie się w obliczu pułku, ciągnącego rażno przez ulicę przy dźwiękach orkiestry z powiewającemi chorągwiami.

Wszelkie formalizmy polegają na głębokiej znajomości psychologii.

Ks. Olęka ma być idealnym kapłanem według szablonu liberalnego, a tymczasem nie jest on przedewszystkiem księ-

dzem katolickim. Płytki to liberał, nie znający ludzi, których chce i powinien uszlachetniać i oświecać.

Bałucki nie jest przyjacielem niższego kleru. Wkłada on w usta adwokata Józefa („Błyszczące nędze“) następujący wyrok potępiający.

— Duchowieństwo u nas choruje na bezczynność i brak wykształcenia. Praca księży ogranicza się po większej części na oficjalnem spełnianiu koniecznych obowiązków, a poza temi nic, chyba jaka namiętność lub dziwactwo, które im zapełnia resztę bezczynnych godzin. Świecenie kapłańskie jest kresem kształcenia się naukowego dla wielu; żyją oni po większej części w zupełnej nieświadomości tego, co świat dokonał na polu wiedzy, i dla tego są jej wrogami, bo wygodniej im gasić światło, niż je tworzyć, przeklinać postęp i wiedzę, niż z trudem je nabywać. Nie uczucie religijne, lecz lenistwo jest tu motorem.

Nie ulega wątpliwości, że nie każdy, kto nosi sutannę, odpowiada obowiązkom, które ona na niego włożyła, że między księżmi znajdują się także zwykli rzemieślnicy, pracujący jedynie dla chleba, urzędnicy kościelni bez zapału i natchnienia. Ale nietylko duchowni przestają się kształcić, postępować, gdy opuścili seminarja. Czynią to samo profesorowie, lekarze, prawnicy, inżynierowie, literaci.

Gdyby ktoś pytał, czy wolno w akcyę powieści lub dramatu wpleść osobę duchowną, nie wartoby nawet odpowiadać. Ksiądz jest tak samo człowiekiem, jak każdy inny, a jako syn Ewy stoi pod juryzdykcyą artysty. Idzie tylko o to, w jaki sposób, i w jakim celu posługuje się dany autor współdziałaniem kapłana. Beletrysta, robiący kogoś „czarnym charakterem“ dla tego, że jest księdzem, co się dość często zdarza, nie może liczyć na poklask krytyki przedmiotowej.

Michał Bałucki usiłuje być bezstronnym, mimo swych przekonań liberalnych, z któremi się wcale nie tai. Więcej artysta niż publicysta, poświęca niechętnie prawdę dla tendencji. Tworzy on w latach dojrzałych głównie za pomocą obserwacyi żywej, nie krępując się chwilowemi doktrynami stronnictwa. Sięga rzadko do głębi duszy, nie rozwija psychologicznie charakterów, motywuje niedostatecznie nagłe przejścia, ślizga się po wierzchu każdego przedmiotu, lecz wystrzega się wszelkiej zaciekłości. Pomaga mu w tem niepospolita zdolność spostrzegawcza, chwytająca z łatwością zewnętrzne rysy modelów.

Bałucki nie oszczędza ks. Felicjana („Żydówka“), nie przebiera w barwach przy odmalowaniu kapelana („Siostrzenica księdza proboszcza“), ale zdobywa się także na typy (w jego pojęciu) dodatnie ze stanu duchownego (ks. Piotr w „Pańskich dziadach“ i ks. Ułęka). Światła opromieniają u niego zawsze cienie w stopniu daleko wyższym aniżeli u Orzeszkowej.

Bałucki nie lubi, jako liberał mieszczański, szlachty, do hrabiów zaś czuje szczególną odrazę.

— Skądże mój przyjacielu, macie taką zawziętość do hrabiów? — pyta w „Błyszczących nędzach“ jakiś elegancik jakiegoś rzemieślnika. — Widać u ciebie, co hrabia, to łotr.

— A prawda — odpowiada demokrata. — Bo ci ludzie mają najwięcej czasu do robienia złego i najwięcej pieniędzy do tego.

Szewcowi i krawcowi zdaje się, że szlachcic lub hrabia musi być koniecznie bogatym, bo nie wie, ile to potomków rodzin historycznych pracuje tak samo ciężko, jak on, na gorzki kawałek chleba. Dość przejść biura któregośkolwiek z finansistów warszawskich, aby się przekonać, że nazwisko a złoto są dziś bardzo różnemi rzeczami.

Bałucki zdaje się podzielać wiarę najniższych warstw społecznych, gdyż znęca się nad hrabiami z wielką fantazją. Hr. Maurycy („Błyszczące nędze“) dusi ciotkę, która nie chce umrzeć wtedy, kiedy mu jej majątek potrzebny; ojciec jego należy do rodzaju obrzydliwych, starych sybarytów; młodą hrabinę („Byle wyżej“) wloką przed sąd i oskarżają o otrucie męża; hrabina Gilska („Pańskie dziady“) romansuje na przekór dorosłym synom z młokosami i t. d. Czuć wśród czytania, że się autor wybornie bawi, ilekroć prowadzi hrabiego lub hrabinę do kryminału. Sprawia mu to widoczną przyjemność.

Mimo to zwycięża w nim artysta mieszczanina krakowskiego, patrzącego z niechęcią na paniczów, którzy szlifują chodnik „linii A. B.“, obok bowiem zbrodniarzy z tytułami hrabiowskimi znajdują się w jego powieściach postacie jasne, jak małżonek kochliwej pani Gilskiej, synowie tejże („Pańskie dziady“), baron („O kawał ziemi“), a przedewszystkiem hrabianka Irena („Błyszczące nędze“), silniejsza charakterem od plebejusza Ludwika, który nie umie zapanować nad swoją namiętnością.

Chociaż Bałucki nie należy do pisarzy głębszych, bierze jednak naturę ludzką szerzej od innych autorów postępowych.

Nie oszpeca on pewnemi wadami jednego z góry oznaczonego stanu, nie poddaje się „hasłom“ swego obozu, lecz obserwuje uważnie człowieka, bez względu na jego pochodzenie.

Oto np. jego powieść p. n. „Byle wyżej“. Nie konserwatyści w niej działają, nie szlachcice, hrabiowie i t. p. „wstecznicy“, jeno szewcy, stolarze, rzemieślnicy i demokraci inni, a mimo to nie ustępują w niczem arystokratom.

Szewe Tomasz Baryłkiewicz, majster z majstrów, starszy cechu, nie cierpi „nowatorstw“. Stary swój poźółkły dyplom powiesił w izbie bawiałej, otoczył troską i pieczołowitością, ni by szlachcie z dziadów i pradziadów swoje perganiny,

Konstytucya zniósła monopol cechów, otwierając bramy wolnej konkurencyi, zdolnościom, ruchliwości bez patentów. Zdobycz to postępu, nowych idei, ale Baryłkiewicz przeklina zmianę i patrzy z góry na Dylskiego, na „fuszera“, który nie zrobił „majstersztyku“ i nie poddał się rygorowi dawnych tradycyj.

Baryłkiewicz, chociaż zwyczajny szewe, jest „obskurantem“, a nawet pobożnym katolikiem, jak najzatwardziały „pan z panów“, który nie może się pogodzić z nowymi obyczajami i pojęciami.

W córce jego Tekli kocha się Józef Dylski, chłopiec wykształcony, prawy i zacny, ale pan Tomasz nie chce ani słyszeć o tem małżeństwie. On, majster z majstrów, miałby wydać dziewczę swoją za syna „fuszera“, który jest sam „fuszerem?“ Bo cóż, że młodzieniec, skończywszy gimnazyum, poświęcił się rzemiosłu, że został stolarzem? Nie zrobił przecież „majstersztyku“, nie uzyskał patentu od cechu. Nie, prędzej zmarnieje, niżby miał połączyć losy swego dziecka z takim przybłądą...

Ale czasy idą, płyną szybko, ni by wody potoku górskiego, który porywa z sobą urwiska i podmywa, przewraca skały odporne. Fala nowych praw zaszumiła nad głową biednego szewca, przemknęła ponad nim, nie troszcząc się o jego protest niemocny.

„Fuszerzy“ podnosili się, a rzemieślnicy starej daty chylili się ku upadkowi.

Stary Baryłkiewicz bronił się przeciw potężnym prądom, dopóki mu sił starczyło, szukając w miodku pociechy na frasunek; w końcu runął w błoto ulicy. Tam znalazł go „fuszer“

bez dyplomu, Józef Dylski, dźwignął i przytulił do siebie. Konserwatysta skonał, pogodzony z postępem.

Dość nazwać Baryłkiewicza np. Firlejem i zrobić go wojewodą zamiast szewcem, aby mieć typ „wstecznika“ *par excellence*. Starszy cechu posiada wszystkie rysy, składające się na wytworzenie zacieklego konserwatysty.

Albo ten Podachowski w „Błyszczących nędzach“. Prosty to sobie kupiec, właściciel sklepu, mieszczuch, a nie różni się w niczem od rodziny hrabiowskiej, zachodzącej w tej samej powieści.

Dach wali się nad jego głową, mury domu pękają wokoło, wierzyciele grożą... ruina zbliża się zewsząd. A Podachowski choć powinien umieć liczyć, woli ludzić się do ostatniej chwili. Stroi żonę i córkę, prowadzi je na bale, marzy o małżeństwie z hr. Maurycym, okłamuje biedę, siebie i ludzi, w końcu, gdy nie widzi innej drogi wyjścia, okrada kasę miejską, jedzie do Hamburga w mniemaniu, że pokryje deficyt wygraną, a gdy go i ta nadzieja zawodzi, rozchorowuje się i umiera w samą porę.

I Podachowski mógłby nosić nazwisko historyczne i być jakim znikczemniałym, z zasad honoru i moralności obranym paniczem, a nie skończyłby inaczej.

Jakim świetnym typem jest ten stary Dylski, ojciec Jana i Józefa („Byle wyżej“). Syn chłopca Dyla, ambitny i ruchliwy, zdolny i niespokojny, marzy jedynie o wyniesieniu siebie i swej rodziny. W tym celu przezwiał się, dodając do swego nazwiska końcówkę szlachecką, pracował olbrzymio przez długie lata, łożąc bez skargi na wychowanie dzieci, a kiedy się doczekał skutków, których się nie spodziewał, wtedy stracił rozum. Syn jego, Jan, adwokat, prześcignął go w bezwzględności, chociaż należał do klasy inteligentnej.

W „Siostrzenicy księdza proboszcza“ odznacza się nietolerancją i bigoteryą nie sama tylko arystokratka, matka Zenona: mściwszym od niej jest stary Majer, dziewierz ks. Oleki, ciemniejszymi chłopci, a podlejszym przechrzta Finger.

Bałucki nie daje się porwać tendencji. Jest on jej panem, kierownikiem, a nie sługą. Stoi on mimo swych przekonań liberalnych na stanowisku prawdziwego artysty, bo obserwuje przedewszystkiem człowieka, którego różne odmiany znajdują się we wszystkich stanach. Tę wczesną dojrzałość autorską zawdzięcza Bałucki prawdopodobnie pobytowi swojemu w Krako-

wie. Beletrysta uczy się i przetrawia bardzo szybko, gdy ma sposobność przypatrywania się zblizka teoryom w praktyce. Zastosowywanie doktryn do życia, co dzieje się bezustannie w państwach autonomicznych, wydobywa naturę ludzką na wierzch. Jednostka staje się sobą, pozbywa się maski, gdy walczy za idee i sprawy ważne. Trybun ludu, poseł, mówca polityczny, reformator nie mogą być grzecznymi obłudnikami. Namiętność stronnicza zdziera z nich pozłotę towarzyszką.

Orzeszkowa musiała wiele myśleć, czuć, zastanawiać się, zanim doszła do równowagi i stała się artystką przedmiotową. Bałucki potrzebował tylko patrzeć i chwytac, co widział. Że nie wzleciał tak wysoko, jak autorka „Meira Ezofowicza“, że trzymał się ostrożnie poziomu, nie przypinając ani razu skrzydeł poety do śmiałych ramion, że zadowolił się przeciętnymi wyobrażeniami i tendencyami liberalizmu mieszczańskiego, którego głównym celem dobrobyt, wina to stopnia jego talentu. Bałucki nie jest pisarzem ani głębokim, ani natchnionym.

Oprócz tego grzeszy architektonika powieściowa Bałuckiego dość często zbytkiem dowolności. Nie lekceważy on rozmyślnie techniki artystycznej, jak Teodor Tomasz Jeż, nie zamecza czytelnika przystawkami, zajmującemi całe tomy, lecz nie uważa za konieczne pamiętać o poprawnej budowie. Eksponuje dobrze, w dalszym jednak ciągu nie wiąże scen cementem wynikliwosci, lubując się w straszliwych wypadkach. Jego bohaterowie duszą dla pieniędzy ciotki, nawet ojców (bankier Alfred Sztolce w „Byle wyżej“), mordują stare lichwiarki, topią kochanki („Sabina“), dopuszczają się, słowem, z zimną krwią czynów potwornych.

Zabarwiona w tak jaskrawy sposób fabuła zyskuje na ciekawości, i podoba się niezawodnie zwykłym pochłaniaczom beletrystyki daleko więcej, aniżeli logicznie i psychologicznie przeprowadzona akcja, lub ścieranie się idei z ideą, nieprzystępne dla wielkich mas, ale przed kratkami sądu fachowego musi się spotkać z zarzutem nieprawdopodobieństwa, gonitwy za grubymi efektami, zwłaszcza, gdy autor nie motywuje swoich okropności.

Bałucki gromadzi mnóstwo dziwnych nieraz wypadków, nie troszcząc się o ich wewnętrzne połączenie. I jego charakterystyce osób braknie staranności, cieniowania, oblicza duchowego. Szkicuje on zwykle „od ręki“.

Dodawszy do wad powyższych bardzo często zaniedbany, a zawsze pospolity styl, trudno przyznać Michałowi Bałuckiemu, który jest bez wątpienia artystą w treści, w pomysłach, tytułu technika artystycznego. Ani jedna z jego powieści nie stanie kiedyś współrzędnie obok „Meira Ezofowicza“; chociaż każda z nich bawi na razie szerokie koła „ciekawych“.

I.

Adolf Dygasiński

(Wspomnienie pośmiertne).

Znakomity autor „Niezdary“ urodził się w roku 1839 w powiecie miechowskim, w Niegosławicach. Wykształcenie średnie dała mu szkoła realna w Kielcach, wyższe b. Warszawska Szkoła Główna.

Z chwilą, gdy Dygasiński opuścił ławę szkolną, zaczyna się Kalwarya jego życia, nie należał bowiem do ulubieńców losu i szczęście, ślepy, często nierozumny władca, nie szło przed nim aby mu wyrównać drogę, zdejmując z niej przeszkody, jakie ludzie rzucają zwykle pod stopy jednostek utalentowanych.

Dygasińskiemu nie podał nikt ręki życzliwej, nie pomógł mu, nie ułatwił, nie osłodził przykrej zawsze walki o byt. Zdobywał on sobie prawo do życia ciężką, krwawą pracą, szedł zawsze, aż do ostatniej chwili przebojem. Czem był, zawdzięczał tylko sobie.

Osiedliwszy się około r. 1873 w Krakowie, założył tam księgarnię i wydawał czasopismo literackie p. t. „Szkice społeczne i literackie“. Ale księgarz i wydawca, jeśli ma zbierać owoce ze swojej pracy, musi być głównie kupcem, a Dygasiński nie miał w swoim temperamentcie ani odrobiny usposobienia kupieckiego. Bo nie jest kupcem, kto nie przywiązuje wartości do pieniędzy. Zamiast zarobić, stracił Dygasiński na handlu.

Zlikwidowawszy swoje interesy w Krakowie, przeniósł się Dygasiński w r. 1879 do Warszawy, gdzie poświęcił się zawo-

dowi pedagogicznemu, który uprawiał aż do ostatnich lat życia bądź w mieście, bądź na wsi.

Działalność literacką rozpoczął Dygasiński w r. 1873 przekładem dzieła Maksa Müllera p. t. „Religia, jako przedmiot umiejętności porównawczej“. Pisał dużo w różnych kierunkach jako pedagog, filozof, publicysta i beletrysta; pisał oryginalnie i przekładał dzieła naukowe. Należąc wykształceniem i przekonaniami do szkoły pozytywistycznej, popierał ten kierunek artykułami publicystycznymi, które drukował w pismach postępowych. Jako pedagog, wydał szereg dzieł: „Nauczanie bez książki“, „Pierwsze nauczanie w domu i szkole“, „Obraz psychicznych zjawisk w organizmie ludzkim“, Podręcznik do nauki stylu“, „Krytyczny katalog książek dla dzieci“, „Wypisy polskie“, „Jak się uczyć i jak uczyć innych“, „Nauka czytania i pisania“, „Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych polskich“, „Lekcyje o rzeczach“, „Historya naturalna w obrazach“.

Jednak nie jego bogata działalność pedagogiczna dała mu rozgłos, uwieńczyła jego skroń laurem zasłużonych. Szeroka publiczność zna go i ceni głównie jako beletrystę, jako znakomitego malarza życia zwierzęcego.

Dygasiński znał i kochał przyrodę sercem artysty. Rozumiał las, odczuwał jego mieszkańców, jak nie wielu z pomiędzy europejskich malarzów zwierząt. W tym rodzaju zostawił po sobie arcydzieła, które zostaną na zawsze trwałym jego pomnikiem.

Jako człowiek, należał Dygasiński do najsympatyczniejszych postaci warszawskiego świata literackiego. Uczciwy na wskroś, czystych rąk, wysoko niosący sztandar obowiązków obywatelskich, uczynny, łatwy, przyjemny w stosunkach towarzyskich, wyrozumiały dla wyznawców innych przekonań, nie kopiący nigdy dołków pod nikim, wdzięczny za słowa życzliwe — zasługiwał ze wszech miar na szacunek i przyjaźń.

Idzie za nim w światy inne bardzo serdeczne pożegnanie nawet przeciwników jego przekonań.

Adolf Dygasiński zmarł w Grodzisku pod Warszawą, d. 3 czerwca 1902 r.

Adolf Dygasiński

(jako beletrysta).

W spuściznie literackiej Adolfa Dygasińskiego znajduje się jedna powiastka, która maluje najwszechstronniej istotę jego talentu, odsłania lepiej tajniki jego duszy. Powiastką tą jest „Niezdara“.

Był Jantek Mróz, kawaler i Baśka Nowakówna, panna, oboje silni, zdrowi, pełni nadziei w przyszłość szczęśliwą. Spodobawszy się sobie, połączyli się węzłem dozgonnym, aby utworzyć nową rodzinę. On wnosił do spółki małżeńskiej, oprócz zwykłych przymiotów młodego chłopca, trochę pieniędzy; ona, oprócz pierzyny i przyodziewku, mocne ręce,—narzędzie do pracy. Tak uposażeni kupili sobie karczowisko pod lasem i postawili tam chałupę, oraz wszystko, co należy do obejścia chłopskiego.

Wierzyli, iż się w tej chałupie doczekają gromadki dzieci, może wnuków, i lat sędziwych; byli przekonani, że ich dobytek będzie rósł z każdym rokiem, coraz większy, obfitszy. Bo dla czegożby nie? Mieli przecież własny warsztat do pracy, a kto posiada własny warsztat i zdrowie, czynne ręce, kto się krząta i zabiega, ten musi dojść w końcu do mety, którą sobie wytknął.

Tak rozumował Jantek Mróz, bo Jantek Mróz był głupim, ciemnym chłopem, nie chodził do szkół, nie pił ze źródła wykwintnej mądrości, nie czytał Darwina, Comte'a, Littré'go, Spencera, Heckla i dlatego nie wiedział, jak go Dygasiński

poucza, że w „klimacie, wodzie, glebie, w zwierzętach nie przemieszkiwa żadna idea, ani poczucie sprawiedliwości, że są one, równie, jak człowiek, rządzone przez nieubłagane prawa, którym wcale nic na tem nie zależy, czy kto cierpi albo jest szczęśliwy“ i nie wiedział Jantek, że „pracowitość, sumiennosc, inteligencya i uczciwość nie zapewniają człowiekowi szczęścia na tym padole wszelakich podłości“.

Gdyby Jantek był się kształcił w szkołach, w uniwersyte-
tach, między r. 1865 a 1875, byłby się był nauczył, że „gwoli
korzyści i wygodzie własnej („Niezdara“) chciałaby każda istota
żywa świat ten urządzić: wytepić swoich wrogów, albo nawet
i nie wrogów, lecz spółzawodników, a następnie swobodnie pa-
nować. Ta idea, czy to pożądanie, przesiąknęło sobą całe stwo-
rzenie, wyrodziło mnóstwo środków i sposobów, do celu wio-
dących, a któremi posługuje się zarówno gatunek ludzi, jak ka-
żdy inny“. I byłby się był jeszcze nauczył, że „śród wszystkich
jednostek danego gatunku zwycięża osobnik najenergiczniejszy,
to jest najlepiej dla siebie wyzyskujący wszystkie warunki oto-
czenia, czyli ten, który pod swoje panowanie umie przed inny-
mi podbić, oraz zagarnąć wszelkie warunki życia. I nie jest to
ani źle, ani dobrze; jest to faktyczna konieczność tylko.“

O tem wszystkiem nie wiedząc, zakasał Jantek rękawów
i zabrał się okrutnie, z impetem młodości, do roboty. Ale oto
roi się dokoła niego od istot, które chcą także żyć, o ile można
najwygodniej, najłatwiej. W boru mieszkają zające, lubiące
bardzo kapustę, jastrzębie i lisy, oblizujący się łakomie, pożądl-
wie na widok drobiu, i gołąbków, dziki w końcu, amatorowie
kartofli. Cała ta zgraja nieproszonych gości rzuca się na doby-
tek Jantka i pożera jego krwawicę. Nic nie pomogły straszaki,
nie czujność, nie waleczna obrona kolonisty. Gdy kapusta pod-
rosła, kurczęta wykluły się z jajek, kartofle dojrzały, przy-
chodzili czworonożni i skrzydlaci sąsiedzi Jantka i zabierali owoc
jego trudu.

Nie przebaczyli mu także ludzie, że rozgospodarował się
obok nich i patrzył im na ręce. Szymczak, Gałda i Musiał,
siedzący tak samo, jak Jantek, pod borem, kradli do spółki
z żydem Szmulem, drzewo z lasu dziedzica. Uczciwy Mróz, nie-
potrzebny świadek ich niecnej roboty, zawadzał im. Więc, by
mu obrzydzić pracę na karczowisku, by go się pozbyć, poma-

gali i oni drapieżnikom leśnym w niszczeniu jego dobytku, szkodząc mu, gdzie mogli.

I niedość na tem. Zagroda Jantka leżała w kotlinie, otoczona z trzech stron pagórkami. Przeto, gdy na wiosnę śniegi stopniały, spływała woda zewsząd, zalewając kolonię. Chłop bronił się, o ile mu sił starczyło: kopał rowy, stawiał tamy, naprawiał, co mu bezmyślny żywioł zniszczył, ale jego walka rozpaczliwa nie ocaliła jego mienia. Był słabszym od nieprzyjaciół.

Dopełniając miary zawodów i klęsk Jantka, dodał Dygasiński do jego niepowodzeń materyalnych wielki ból serdeczny. Kazał mianowicie gajowemu Jaškowi Skórzakowi zbałamucić mu żonę i zastrzelić ukochanego psa.

Teraz miał Jantek dosyć daremnego boju z przeszkodami. „Poleciwszy się zarządowi praw przyrody“, założył sobie stryczek na szyję i powiesił się na gruszy.

I nikt nie roztkliwił się nad biednym chłopem, ani jeden listek nie spadł z drzewa, na którym zawisł, bo „wspaniały dramat przyrody sunie od wieków, ludzie i wszystkie żywe istoty pragną, dążą, działają, giną nie wiedząc wcale, że są tworam i narzędziami wielkich praw, prenikających sobą odwieczną przyrodę. Człowiek to tylko jedna cząstka, jeden czynnik, to wytwór i nieznaczna przyczyna licznych przeobrażeń przyszłych. On mniema, że rządzi i włada, a on tylko żyje i działa, bo nie chce mu nie wolno“.

Rozumie się, że Dygasiński nagromadził wszystkie te utrapienia, doprowadzające Jantka do stryczka, do samobójstwa, rozmyślnie, świadomie, aby uwypuklić jak najwyraźniej swoją filozofię życiową, swój światopogląd, istnieją bowiem kolonie, znajdujące się w takich samych warunkach, jak zagroda Mroza, a mimo to nie giną.

Jakimi oczyma, przez jakie szkła patrzył Dygasiński na świat, ludzi i życie, nie trudno się domyślić po przeczytaniu „Niezdary“. Wychowaniec i zwolennik wiedzy pozytywistycznej stawiał on bezwzględna walkę o byt ponad etykę i prawodawstwo, widział w sile najwyższego władcę kreatury żywej, a w niezmiennych prawach przyrody jedyny kodeks, obowiązujący zarówno twory martwe, jak istoty myślące i czujące. Wolnej woli nie uznawał, albowiem człowiekowi „nie wolno nie chceć“.

Zanim Dygasiński zwrócił pióro swoje ku dziełom arty-

stycznym, pracował dużo jako uczony i publicysta. W licznych artykułach, rozrzuconych w czasopismach warszawskich, popularyzował, krzewił wyniki i zasady pozytywizmu, które znał bardzo dobrze, lepiej, gruntowniej od szampionów dziennikarskich.

To, czem się uczony zajmuje, wpływa zawsze na artystę, który jest zwierciadłem swojej chwili. Teorye pozytywistyczne, panujące w Warszawie między r. 1870 a 1890, zostawiły, jak inaczej być nie mogło, ślady swoje na dziełach prawie wszystkich autorów, kwitnących w owym czasie, bo pisarz ssie soki ożywe ze swej epoki, jak drzewo z ziemi, z której wyrasta. Technienie pozytywizmu powiało nad całą beletrystyką pokolenia, które stanęło na arenie publicznej około r. 1870. Powiew ten czuć bardzo wyraźnie u Orzeszkowej (w pierwszej połowie jej twórczości), u Bałuckiego (zawsze), u Marrené - Morzkowskiej, u Prusa, u Sienkiewicza (w jego drobnych nowelach). Ale żaden z wychowañców kierunku „trzeźwego“ nie przejął się nim tak nawskroś, nie wziął go w siebie z taką szczerą wiarą, nie odczuł go tak głęboko i nie wcielił tak plastycznie, tak dobrze, jak Dygasiński.

Idąc konsekwentnie w kierunku wskazanym przez doktrynę pozytywistyczną, doszedł autor „Niezdary“ do metody, do której jako umysł oryginalny, samodzielny rychłej czy później dojść musiał — do absolutnego pesymizmu. Zbyt szeroką miał głowę, zbyt bystre oko, sięgające w głąb rzeczy, by mógł się długo ludzi obietnicami i przechwałkami wiedzy „niezależnej“ Kiedy inni, ciaśniejsi od niego, bierniejsi, klęczeli jeszcze u stóp Rozumu, bijąc mu korne pokłony, wierząc w jego wszechmoc, on uśmiechał się już sceptycznie, straciwszy zaufanie do jego potęgi. Wszakże to już w „Niezdarze“ mówi: „Jest w nas ciekawość poznania skrytych sprężyn, według których człowiek działa i przyczynia się do przeobrażenia świata, o ile musi. Ciekawem jest dla nas przyglądanie się czynnikom, które pobudzają ludzkość do czucia, myślenia i działania. I ta ciekawość podchodzi również pod wielkie prawo życia, które jest jedno na całą ziemię. Ale ani siebie, ani świata nie zdołamy zbadać; możemy się tylko przyjrzeć światu i sobie samym, w tym świecie umieszczonym. Jako istoty skończone, nie zdołamy nigdy zrozumieć najdalej przy-szłości. Wzdłuż, wszerz i w głąb ani nie dosięgniemy, ani so-

bie pojęć o tem nie wytworzymy. Jako maleńkie odłamy i okrucy, możemy jedynie cząstki prawdy zbadać“.

Po takim uświadomieniu sobie ograniczoności, niemocy rozumu ludzkiego należało wyrzucić z siebie doktrynę pozytywistyczną i wziąć na jej miejsce z powrotem pewną część t. zw. przesądów, które przyświecały zgasłym pokoleniom. Zwrot ten byłby ochronił Dygasińskiego od pesymizmu. Ale on czy przeziął tak nawskroś mądrością szkolną, iż nie mógł się jej pozbyć, czy też nie chciał się narażać na hańbiący w owych czasach zarzut wstecznictwa, nie przestał być przekonany pozytywistą i dlatego zwątpił nietylko o wiedzy, ale o ludzkości wogóle. Dewizą jego najulubieńszą, ostatnim wyrazem jego filozofii życiowej stał się ogólnik: szlachetni giną!

Skarga, że „szlachetni giną“ jest nicią czerwoną, która wiże się przez wszystkie nowele i powieści Dygasińskiego, wszędzie widoczna, pochwytna. Żaden z autorów polskich nie był tak jawnym, wyraźnym, przekonany pesymistą, jak on.

Jantek Mróz, ginie, tylko dlatego, że wyróżnia się wśród swojego otoczenia prawością, uczciwością, giną wszyscy, którzy nie chcą zrozumieć, że *homo homini lupus*.

Absolutny pesymizm nie jest nigdy dobrym doradcą beletrysty, przesłania bowiem ich oczy czarną opaską, iż nie widzą, nie dostrzegają nic oprócz ciemności.

Dziwiono się powszechnie, iż Dygasiński, umysł szeroki, głęboki, doskonale oszlifowany w dobrej szkole teoretycznej i praktycznej, iż pisarz nietylko utalentowany i wykształcony gruntownie, lecz także obyty w świecie, nie umie odtworzyć człowieka cywilizowanego. I w istocie! Ilekroć znakomity malarz zwierząt i chłopów dotknął się wyższych warstw społecznych, wychodziły z pod jego pióra zawsze karykatury. Ta wadliwość charakterystyki ludzi subtelniejszych nie była bynajmniej skutkiem nieudolności jego w tym kierunku, niezajomości natur misterniej złożonych, lecz poprostu naturalnym rezultatem jego doktryny pozytywistyczno - pesymistycznej.

Wierząc niezachwianie i szczerze, że „pracowitość, sumienność, inteligencya i uczciwość nie zapewnijają człowiekowi szczęścia na tym padole wszelakich podłości“, że człowiek jest igraszką i niewolnikiem swoich potrzeb lub zachcianek zmysłowych i, że „szlachetni zawsze giną“, dorabiał do tej swojej doktryny

fabułę i ludzi i stąd ich tendencyjna, rozmyślna, świadoma karykaturalność.

Dygasiński napisał pomiędzy innymi trzy obrazki, które stanowią całość, dopełniają się wzajemnie: „Na pańskim dworze“, „Głód i miłość“ i „Von Molken“.

Albert hrabia Lutowski („Na pańskim dworze“) romansował z piękną włoską. Owocem tej zakazanej miłości był chłopiec, którego nazwano von Molkenem. Dziecina, opuszczona przez matkę i nieuznana przez ojca, chowała się przy kuchni pospołu z psami. Posadzona o kradzież, zbita i wypędzona za bramę, byłaby zginęła pod płotem, jak zapomniane szczenię, gdyby nie proboszcz, który przemówił do sumienia hrabiego. Von Molken wrócił „na dwór pański“.

Główną postacią w „Głodzie i miłości“ jest Antosia Hałastrowiczówna, przybrana córka Hałastrowicza, z początku ekonomka, później rządcy, w końcu plenipotent hrabiów Lutowskich. Hałastrowicz ożenił się z jakąś panną Aniela, z którą wziął w posagu, oprócz protekcyi swoich chlebobawców, trzyletnią już Antosię, córkę hr. Alberta i Anieli.

Lutowojscy trwonią majątek, Hałastrowicz okrada ich, a jego żona romansuje, z kim się da. Hałastrowicz, dorobiwszy się znacznej fortuny, umiera, pani Aniela odgrywa rolę wielkiej damy, traci „zarobione“ przez męża pieniądze i udaje się z córką do Warszawy. Tu uprawia dalej miłość, schodząc w końcu na kochankę starego Łapczykiewicza, „koronnego złodzieja“. Matkę naśladuje córka, ładna Antosia. I ona służy Wenerze, spada coraz niżej, niżej, aż kończy karierę w domu publicznym.

W „Von Molkenie“ wraca na pierwszy plan nieprawy syn hr. Lutowskiego. Wychowany starannie, wstępuje w ślady pappy. Uwodzi ładną Hanke, zabawia się z Hałastrowiczową, z jakąś żydówką i t. d. Stargawszy zdrowie, umiera w szpitalu małego miasteczka na *dementia tabica*.

Trzy te powiastki mają ilustrować jedną z teoryj pozytywistycznych, którą Dygasiński wsunął w „Głód i miłość“: wszyscy ludzie żyją tylko dla zaspokojenia głodu i miłości. Głodni sprzedają miłość i wtedy, nasyceci, odprawiają tryumf nad głodem, który jest rządem i prawidłem świata. Wśród cierpień bezmiernych, w torturze wije się ludzka istota, a głód jej wtedy dyktuje: sprzedaj jeszcze to, co posiadasz, bo cię nie wypuszczę z moich objęć kata“.

By oświetlić i uwypuklić tę teorię, zgromadził Dygasiński w trzech nowelach całą bandę grzeszników różnego rodzaju: niewiernych mężów, rozpustników, ladacznice, żarłoków, koniokradów i t. p. zaczął kompanię.

To samo powtarza się w innych jego nowelach. W „Dniach i nocach w kantorze“ okradają lokaj i kasyer bankiera Abersznytta, w „Świecie i ślepej dziewczynie“ znęca się całe otoczenie nad ociemniałą dziewczyną, w „Filozofie i przecze“ uwodzi uczony kobietę z ludu i t. d.

Głód jest wszędzie u Dygasińskiego „rządem i prawidłem świata“, przeto drwi z uczciwości, honoru, obowiązków, mocniejszy od nich, potrzebniejszy. Miłość pomaga mu do zdemoralizowania kreatury żywej. Gdy się głód zadowolił, zaczyna miłość swój taniec.

Nie ulega wątpliwości, iż głód i miłość odgrywają rzeczywistość w historii jednostki rolę niepospolitą, iż są głównymi sprężynami postępowania natur przeciętnych, lecz owe natury przeciętne, owe wielkie masy nie są całą ludzkością. Dla ocalenia honoru sponiewieranej i oplutej przez pesymizm pozytywistyczny ludzkości, wystarczy wymienić legiony męczenników, mędrców, pustelników, bohaterów, uczonych, w końcu i natchnionych twórców, dla których głód nie jest jednym rządcą świata, a którzy stanowią właściwie ten „gatunek“, co się człowiekiem zowie. Bo te wielkie, przeciętne masy więdną, gniją, rozpadają się w proch, jak liść jesienny. Nie pozostaje po nich nic, nawet ślad najmniejszy.

I nie ulega także wątpliwości, iż na tej ziemi nie króluje dobroć, prawość, rycerskość, lecz siła, spryt, chytrość, bezwzględność; nie wynika jednak z tego wcale, aby dobrych, prawych, rycerskich między ludźmi nie było. Że „szlachetni giną“, bo giną w istocie, nie obrzydza cnotliwym bynajmniej cnoty. Cnota prawdziwa nie dba o nagrodę. Idzie swoją drogą, bez względu na to, co ją spotka.

Wszelkie uogólnienia mają to do siebie, iż kuleją tak samo, jak porównania. Artyście nie wolno uogólniać, Dygasiński zaś nie uznawał żadnych wyjątków z reguły i dlatego, malując ludzi mniej lub więcej cywilizowanych, nie był artystą lecz doktrynerem tendencyjnym.

Położenie zmienia się odrazu, gdy autor „Głodu i miłości“ opuszcza pałace, dwory, dworki i domy miejskie, a zstępuje do

nizkich, do tych najniższych chat wiejskich, gdzie mieszkają istoty ludzkie, których fala kultury nawet z wierzchu nie dotknęła, którzy żyją biernie na łonie natury, w najbliższych stosunkach ze zwierzętami. — życiem instynktami tylko rządzących się zwierząt. Na posadzkach woskowanych i niewoskowanych potykający się, ślizgający, padający Dygasiński staje na szczerzej ziemi stopą pewną, a jego bystre oko chwyta każdy drobiazg znamienny bez żadnego trudu. Tu dopiero widzimy twórcę niepospolitego talentu.

I dlaczego? Bo uczony przyrodnik i teoretyk pozytywistyczny, malując ciemnego chłopca, nie potrzebuje odgadywać za pomocą intuicji jego psychologii. Bo ta psychologia prostaka, wyraźna, nie zatarta, nie zagmatwana eksperymentami cywilizacji, odskakująca bardzo mało od psychologii zwierzęcia, wchodzi sama w oczy pozytywisty, przykładającego do każdego zjawiska psychicznego jednostajną miarę niezmiennych praw przyrody.

Chłopem zajmowali się u nas różni autorowie.

Idealizowali go Kraszewski i Jeź, stroił go w złocistą suknię dobrego optymizmu Klemens Junosza, współczuł z jego biedą Bolesław Prus, malował go w „słońcu i w cieniu“ Sewer Maciejowski. Pierwszy jednak dopiero Dygasiński spojrział mu prosto w twarz i odtworzył go takim, jakim jest w istocie.

Nieszczególnie wygląda chłop Dygasińskiego. Gdyby nie gadał, nie pił gorzałki i nie chodził do kościoła, różniłby się bardzo mało od zwierzęcia. Dla niego są głód i miłość na prawdę jedynym „rządem świata“, nim powodują jedynie najpierwotniejsze instynkty.

Znalazłszy się na swoim gruncie, w swoim żywiole, zaczął się Dygasiński ruszać swobodnie, z wielką ochotą. Złagodniał nawet jego pesymizm, którego miejsce zajęła satyra, nazwana niewłaściwie humorem.

Humorystą Dygasiński nie był, śmiać się czy pusto, serdecznie, jak Sienkiewicz, czy przez łzy, jak Prus i Junosza, nie umiał. Znadto głęboko uwiązał w nim ból życia, aby mógł być wesołym lub tkliwym. Ale czasami bawiła go głupota człowieka i wtedy uśmiechał się pod wąsem, mrużąc powieki. Drwił ze swoich kreacyj, ze swoich typów z subtelną głębo- kiego myśliciela, a czytelnikom zdawało się, że ich chciał rozśmieszyć. Był on satyrykiem w najlepszym rodzaju. W tym

kierunku zostawił po sobie kilka arcydziełek, które nie zwiędły razem z nim.

Właściwym królestwem talentu Dygasińskiego był świat zwierzęcy. Na tem polu nie dorównał mu z nas nikt ani w przeszłości, ani w chwili obecnej. Znane „monografie“ zwierzęce Kazimierza hr. Wodzickiego, znakomite w swoim rodzaju, nie należą do beletrystyki.

Wydostawszy się z mieszkań ludzkich na pola i jeziora, do lasu i puszczy, czuł się Dygasiński tak swobodnym, jak sokół w powietrzu, jak szczupak w wodzie. Tu nie krępowało już nic jego wiary naukowej, jego przekonań filozoficznych, tu mógł stosować bez żadnej przeszkody swoją doktrynę pozytywistyczno-pesymistyczną. Bo lisów, jastrzębi, wron, zajęcy nie ogładziła cywilizacya, nie wzięła na obrożę ich instynktów naturalnych. Religia i prawodawstwo nie ujęły w karby brutalnego barbarzyństwa zwierzęcia. Głód i miłość gospodarzą w tym świecie bez żadnych ograniczeń. Sędzia śledczy i policya tracą moc w lesie, w puszczy. Najwyższem, jedynem prawem w tem królestwie jest siła, poparta przez zrzęczość.

Jak w swoich szkicach, nowelach i powieściach, osnutych na tle stosunków ludzkich, nie przestaje być Dygasiński i w obrazkach zwierzęcych ani na chwilę uczonym pozytywistą, mającym zawsze na oku wytyczne teorye swojego światopoglądu, ale na tem polu nie zawodzą go jego zasady, tu bowiem nie podlegają one żadnej wątpliwości.

Jest w „Na pańskim dworze“ scena, rozgrywająca się między trzema psami: Mortonem, Brylantem i Brysiem. Maluje ona doskonale metodę Dygasińskiego, jako psychologa zwierząt.

Brylant ukradł prasę z serem i uciekł z nią w krzaki. Właśnie spożywał swoją zdobycz z przyjemnością, kiedy go zwietrzył kolega Bryś, pies czarny, nieco kudłaty, z rodu szpiców, bardzo zawzięty, ale otwarty w postępowaniu, nie lubiący się bawić w żadne podstępny. Bryś był bardzo czujny, więc zaraz zmiarkował, że w okolicach kuchni dzieje się coś nadzwyczajnego. Wziąwszy na przewodnika ucho i nos, dotarł niezwłocznie do podejrzanego miejsca. Ponieważ dobra przekąska nie szkodzi nikomu, przeto przystąpił zuchowaty Bryś bez długiego namysłu do Brylanta i warknął gniewliwie.

— Mruuu, mruuu!...—co w psim języku znaczyło: dawaj ser, bo i ja lubię dobre rzeczy.

Na to, odpowiedział Brylant z głębi gardła, nie puszcza-
jąc worka z serem:

—Rrrrryyy... — co w przekładzie na język ludzki znaczyło:
nie zaczynaj, awanturniku, wynos się do wszystkich dyabłów,
bo jak cię lunę, to nie pozbierasz kości!

Ale nie odważnemu Brysiowi grozić zębami. Tyś moc-
niejszy ode mnie, ale ja zręczniejszy od ciebie.

Brylant wiedział, że ser jest jego zdobyczą, którą tylko
ludzie mieliby prawo mu odebrać, Bryś zaś wiedział znów, że
dostyć jest posiadać trochę śmiałości i siły, aby odebrać to, co
ktoś uważa za swoją własność. Wprawdzie Bryś był szczupły,
ale za to krewki, burzliwy, cięty, pełen rycerskiego animuszu:
rwał się on do każdej bójki ochoczo, nie zważając na nierów-
ne siły.

Doskonale zbudowany, mocny Brylant, flegmatyk ocieślały,
nie lubi awantur, lecz gdy go ktoś zaczepił, umiał się bronić.

Pierwszy Bryś skoczył do Brylanta i schwycił go za ucho,
szarpnął i pociągnął na dół ku ziemi, tak, że Brylant porzuci-
wszy ser, przywarował na łapach przednich i stanął prosto na
tylnych, chrapiąc przytem, warcząc i sapiąc straszliwie. Naraz
podniósł się, zarzucił Brysiowi na kark przednie łapy i szczek-
nął zwycięsko tuż nad uchem napastnika: Ham, ham!, co mia-
ło znaczyć: a widzisz, chłystku, nie wchodź mi w drogę, bo
chociażes ty czupurny, ale ja za to mocniejszy!

Potem przewalił Brysia na ziemię do góry brzuchem,
a przyciskając prawą łapą jego gardło, lewą zaś piersi, dykto-
wał mu po bohatersku warunki pokoju. Bryś, zrozumiawszy
swoje przykre położenie, przycichł w zuchwalstwie i, wijąc się,
składał świadectwo, iż mu obecnie chodzi jedynie o to, aby się
z pod łap Brylanta wydobyć i odzyskać swobodę ruchów. Bry-
lant też, natury będąc spokojnej, nie mściwej, uciał go tylko
w słabiznę, aby pamiętał o niepotrzebnej awanturze i z wypro-
stowanym do góry, a gładkim jak kielbasa ogonem, wrócił
tryumfalnie do przerwanej biesiady, do sera. Lecz tu przera-
ził go widok niespodziewany.

Oto zastał nad swoją zdobyczą Mortona, wielkiego brytana,
którego przywabiła wrzawa walki. Brylant, nie mając zamia-
ru dzielić się z nikim, najeżył srogo sierść na karku i grzbie-
cie, wyprężył prawie prostopadle ogon, podniósł do góry z bo-
ków i z przodu wierzchnią wargę, ukazał zdrowe, białe zębce,

mignął błyskawicą wściekłości w oczach, a posuwając się wolno, noga za nogą, głosem, wydobywającym się z wnętrzości, rozpoczął akt uroczystej protestacji przeciw przywłaszczeniowi.

Ponieważ jednak w świecie zwierzęcym nie mają protesty, choćby najsprawiedliwsze, żadnego znaczenia, przeto nie zdała się Brylantowi na nic jego reklamacya. Porwany przez silniejszego Mortona za grzbiet, znalazł się prędzej, aniżeli się mógł domyślić, co się z nim dzieje, w klombie jaśminów, róż i bżów. Gdy Bryś, który, siedząc na tylnych nogach i ogonie, oblizywał się, biorąc w ten sposób zdaleka udział w biesiadzie, dostrzegł porażkę swojego zwycięzcy, nieomieszkał zemścić się na Brylancie. Wcale nie po rycersku przypadł do niego i schwytał go zębami za gardło. Kiedy się słabsze psy gryzły, — dokończył wielki, mocny Morton spokojnie biesiadę.

Odczytując scenę powyższą, powie każdy wieśniak, obyły ze zwierzętami: cóż w niej tak nadzwyczajnego? Patrzymy codziennie na wsi na takie sceny i nikt się im nie dziwuje.

Zapewne... Codziennie też widzi wieśniak wschód i zachód słońca, pola, las, stawy, jeziora, lecz niech weźmie pędzel lub pióro do ręki i niech spróbuje to, co widzi, odtworzyć tak, żeby „nie było w tem nic nadzwyczajnego“.

Właśnie w tem, że sceny z życia zwierzęcego są u Dygasińskiego tak naturalne, iż nie dziwią nikogo, spoczywa ich mistrzostwo.

Dygasiński znał zwierzęta nietylko jako przyrodnik, jako obserwator uczony. Odgadywał on ich psychologię intuicyą artysty i łączył poszczególne rysy danego typu w całość zamkniętą, skończoną, ze świadomością dobrego kompozytora. Trzy psy występują w walce o ser. Dla profana jest jeden pies podobny do drugiego. Ale u Dygasińskiego ma każdy z nich inny charakter, inny temperament, a każdy jest prawdziwy. Dygasiński umiał odnaleźć w gromadzie szarych wróbli, pstrych czyżyków, długonogich bocianów, przebiegłych lisów, żarłocznych wilków, czupurnych kogutów, najrozmaitsze indywidualności i spleść z nich całą, zajmującą powieść. Tej sztuki nie dokazał u nas przed nim nikt.

Między ludźmi nieśmiały, niezręczny, nabywał Dygasiński wśród zwierząt wielkiej pewności oka i ręki -- był malowniczy, plastyczny.

W gołębniku Jantka Mroza („Niezdara“) ostał się tylko

stary samiec, nazwany Maćkiem. Wszystkich innych ulubieńców chłopca wydusił jastrząb. Ostał się tylko Maciek, bo był nadzwyczaj zręcznym, silnym żeglarzem na falach powietrznych. Stokrotnie mierzył się on w obłokach z mordercą swojej rodziny, a jednak nie poniósł nigdy szwanku. Pędził w powietrzu lekko; ruch jego skrzydeł dojrzyć było można, jak ruch wiosła przy łodzi. Wznosił się w błękity powietrze, prując je śmiało, zataczał w górze olbrzymie koła, wodził za sobą jastrzębia całe godziny.

„Nadchodziła nareszcie chwila starcia, ta chwila stanowcza, kiedy jednostka musi wykazać całą swoją wartość i zaświadczyć wobec przyrody, że jej gatunek ma jednak prawo istnienia na świecie. Ponad borami, ponad ciemnymi odbywały się harce heroiczne gołębia z jastrzębiem. Już oto wiszą w przestworzu, jak dwa punkciki, jeden nad drugim; już za chwilę zleją się ze sobą w jeden punkt większy i ciało mniejsze zostanie przyciągnięte i pochłonięte przez masę większą. Nie!... Bo oto Maciek robi jeden z tych zwrotów, jakie wykonywa mając, pędząc pod zacieklą smyczą chartów, gdy im daje obrót na prawo, na lewo, lub susa w górę. Tak i Maciek, gdy mu nad głową wisi straszny jastrząb, skręca ją nagle szybko na dół, wywraca w powietrzu zręcznego koziołka i w mgnieniu oka znajduje się na tyłach groźnego prześladowcy, który, złudzony i stropiony, daremnie przez czas jakiś pędzi jeszcze przed siebie bez żadnego celu. Maciek zaś tymczasem przebiegł już w kierunku przeciwnym znaczną przestrzeń. Innym razem zwrot taki byłby dla gołębia nieużyteczny. Goniczka odbywa się tuż, tuż, ponad połyskującymi od słońca szczytami drzew; słychać świst skrzydeł, podobny do świstu kul na polu bitwy; ptaki trącają się prawie lotkami o iglaste jodły, o liście wysokich klonów i dębów. Cała wyższość jastrzębiego lotu daje się widzieć w tej równej pogoni na jednej płaszczyźnie; z każdą chwilą prześladowca zbliża się do swojej ofiary. Gołąb wpada wtedy pomiędzy drzewa, wężykowatym pędem przesuwając się wśród gałęzistych świerków, brzoź i sosen, dolatuje do gąszczy krzewów, pograża się w nich, aż wreszcie cicho, swobodnie dołem wypływa z lasu na pole i, mknąc chyżo ponad ciemnymi zagonami, dopada zagrody jantkowej. A jastrząb, zawzięty w pogoni i roznamiętniony, rzuca się z całą siłą w ten punkt gąszczy, gdzie mu zniknęła zdobycz, pewny, że już ma pod szponami gołębia. Ale zawiedziony, głu-

powato spogląda dokoła, jakby się wstydził chybionej pogoni“. Takich wspaniałych obrazów, pochwyconych żywcem w borach, na polach, a odtworzonych znakomicie, jest w nowelach i powieściach zwierzęcych Dygasińskiego bardzo dużo. Znał on nie tylko doskonale zwierzęta i odgadywał ich psychologię, lecz odczuwał także sercem artysty przyrodę, którą szczerze miłował. W jego „Godach życia“ przesuwa się krajobraz po krajobrazie, a każdy mistrzowski, owiany technieniem poezji.

Zarzucono zwykle Dygasińskiemu, iż wszczepiał w swoje zwierzęta inteligencję ludzką. Ci, którzy ten zarzut stawiali, nie żyli nigdy dłużej na wsi, w lesie, na jeziorach, nie polowali, nie przypatrywali się, słowem, zblizka inteligencji zwierząt. Trzeba śledzić własnymi oczyma: lisa, jastrzębia, zająca, dziką, sarnę i t. d., aby wiedzieć, że zwierzę zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co robi w walce o byt lub w obronie życia.

Nie inteligencją ludzką wyposażał Dygasiński swoje zwierzęta, lecz odtwarzał prawdę, to, co widział, a to, co widział, owe drobne nie dla każdego oka dostępne, rysy z obyczajów i zwyczajów, mieszkańców lasu i pola, łączył w nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Ten łańcuch logiczny robi wrażenie tendencyjności. Jest to jednak złudzenie, artysta bowiem, jeżeli chce stworzyć obraz pełny, nie może inaczej budować. Przyczyna i skutek muszą następować po sobie w łańcuchu nieprzerwanym.

Ma się rozumieć, że czworonożni i skrzydlaci bohaterowie Dygasińskiego nie mają najmniejszego wyobrażenia o etyce ludzkiej, że nie kierują się popędami i celami szlachetnymi. Są to bez wyjątku: samoluby, złodzieje, rabusie, mordercy, cudzołźnicy, albo zuchwali gwałtownicy, albo podstępni, chytry łotrzykowie i zdrajcy. Hasłem ich: pożyj go, albowiem on cię połknie; chwytaj, co się da złapać, albowiem ktoś inny capnie zdobycz; pamiętaj tylko o sobie, albowiem o tobie nikt nie myśli.

Pesymizm Dygasińskiego używał sobie do syta wśród owych gwałtowników i łotrzyków skrzydlatych i czworonożnych, a satyra myśliciela i znawcy życia bawiła się czasami doskonale.

Dygasińskiego żywiło przez całe lata pióro, a kogo u nas pióro żywi, ten musi pisać dużo, więcej, aniżeli to potrzebne dla zdrowia i talentu. Produkując dużo, często w pośpiechu,

pod grozą komornika lub wierzyciela, nie można tworzyć zawsze równo. Niema nieraz czasu do wybrania i obmyślenia tematu, któryby rozgrzał mózg, przypiął fantazyi lotne skrzydła. Chwyta się pierwszy lepszy przedmiot, byle prędzej, byle więcej „zrobić“.

Nie wszystko, co Dygasiński napisał, przetrwa w naszej literaturze, mocniejsze od niwelującej siły czasu. Odłączywszy jednak od jego bogatej spuścizny wszystkie plody niedonoszone, wszystko, co wydała na świat *dura lex* ubóstwa, zostanie jeszcze tyle dzieł wiecznie młodych, iż dosyć ich, aby zapewniły swemu twórcy tytuł znakomitego pisarza. „Niezdara“, „Wśród wody“, „Ze stajni“, „O groch przy drodze“, „Targaj“, „Ze wsi do wsi“, „Wojtusiowe szczęście“, „As“, „Zajac“, „Gody życia“ i in. złożą się dla Dygasińskiego na pomnik *aere perennius*.

III.

Ostatnie dzieło Dygasińskiego.



Nostatniem dziełem Dygasińskiego były „Gody życia“.

Wśród wspaniałej luny purpurowej zaszło słońce talentu przyrodnika-poety. Wszystkie barwy, wszystkie blaski tego niepospolitego talentu błysnęły jeszcze raz, zanim zgasły na zawsze.

Rozrzucone w licznych szkicach, nowelach i monografiach obrazy, obserwacye i myśli zebrał Dygasiński w „Godach życia“ w jedną, uporządkowaną całość i stworzył epopeę przyrody.

„Gody życia“ ogarniają cały rok — zimę, wiosnę, lato, jesień. Jak w latarni czarnoksiężskiej przesuwają się przed oczyma czytelnika puszcza, od jej ocknienia wiosennego aż do wypoczynku zimowego. Widzimy ją całą, jej radości i smutki, jej wesele i rozpacz, jej miłość i głód. W barwny gobelin życia przyrody whaftował Dygasiński gusła, zabobony, legendy i zwyczaje ludzi, zrosłych z puszczą.

Zaczął swoją epopeę od obrazu zimy.

Śnieg spowił ziemię w biały całun, zamknął wszystkie źródła pożywienia dla mniejszych, słabszych mieszkańców lasu, a większym, mocniejszym, utrudnił polowanie. Okrutny głód wtargnął do puszczy, bezlitosny, jak mróz. Kto żyje—cierpi, przemyśliwa o chlebie. Niektórzy jęczą, klną, złorzeczą stworzeniu.

Jastrząb przepędził noc zawieruszną w polu, między lasami, na starej gruszy. Ptak-panosza, nieustannie żyjący na sto-

pie wojennej, witeź potężny, istny margraf na rubieżach, przywykły do zmiennej kolei losów, czeka spokojnie na haracz, jaki mu puszcza codziennie składa.

Nie tak motłoch leśny, krzykliwe wrony, sejmikujące na jodłach. Kręcą się niecierpliwie na gałęziach, a płeć żeńska przymawia męskiej:

— Od czegoż wy jesteście, głowy rodzin, żupanowie gromad, wodzowie drużyn wronich? Głód targa nasze wnętrza, szarpie nam trzewia. Niechże się przecie który z was ruszy i przypatrzy, co gdzie i jak jest na świecie.

I ruszy się, by rozpatrzeć się po świecie, stary samiec, wysłany na zwiady przez całą gromadę. Głowacz to niepospolity, mąż stanu zawołany, ogromnie biegły w rozbieraniu wszelkich zawilych spraw wewnętrznych i zewnętrznych. Przedewszystkiem wybornie odróżniał kij w rękach ludzkich od każdego oreża zabójczego dla ptaków. Następnie odgadywał na rzut oka wszelką złąbę skrytych zamiarów człowieka i nigdy, przenigdy nie dałby się omanić pozorom udanej dobrodusznosci. Przytem posiadał sąd zdrowy o rzeczach, którzy wiódł go zawsze najprostszą drogą do żeru. Mistrz istny, kiedy szło o zmylenie matki-gęsi lub kwoki-kury, odznaczał się jednocześnie beczelnością i takim zuchwalstwem, że wydierał psu z gardła kawalki padliny.

Takiego to mądralę i zuchwalca wysłały wrony na zwiady. Skierował on oczywiście lot swój ku mieszkaniom ludzkim jako doświadczony bowiem statysta wiedział, że gdzie tylko przebywa skrzętny człowiek, tam można zawsze znaleźć jakieś pożywienie. Lecąc rozmyślał: Przecież to czyste niepodobienstwo, ażeby podczas zimy tak ciężkiej nie zdechł gdzie jaki baran chorowity albo szkapa dychawiczna. A rozmyślając tak, kręcił ciągle mądrą głową, zwracał oczy to na dół, to na prawo, to na lewo; łeb chodził mu, jak na zawiasach.

Kiedy stary wroniec rozglądał się z góry po okolicy, brnął na dole, przez zasypane śnieżne na polu, biedny zajęczyna, utykając jak chromy. Chadzał za chlebem w noc mroźną, okrutną i szczęście mu nie dopisało. Może go jaki kundel, grubijanin napadł i skrzywdził, może miał przeprawę z lisem, podstępny kity i zamiast chleba, zyskał tylko guzy, bo ledwie powłóczył, chudziak, spracowanemi, zmęczonemi skokami.

Dostrzegł go odrazu czujny wroniec i spuścił się natychmiast

na ziemię, aby dobić cherlaka. Łykając ślinkę, szedł pieszo na spotkanie zajączka. Palnie go mocnym dziobem w jedno oko, w drugie oko, oslepi nędzarza, a potem rozszarpie, jak padlinę.

I zaczęła się bitwa. Wroniec atakował dziobem, zając broził się łapkami.

Lecz wysłaniec wroni zapomniał, że nad okolicą czuwa jej pan właściwy, jastrząb-rycerz, rozglądający się z wysokiej gruszy-baszty po swoim dziedzictwie. Ucho wojownika pochwyciło wrzawę bitwy. Ktoś tam walczy bez niego, zabiera może haracz, należny jemu. Więc rozwinął skrzydła potężne, wyleciał i z wysokości badał przyczynę zgiełków. Przystanął w powietrzu, obłany światłem różowym słońca wschodzącego, i wkrótce wiedział już wszystko. Oburzyło rycerza zuchwalstwo plebejusza. Jakiś cham śmie polować w jego rewirze... Trzeba go nauczyć rozumu.

I opadł jastrząb na przerażoną wronę.

W sposób tak barwny, obrazowy odmalował Dygasiński bezwzględność walki o byt, zawsze okrutnej, a w zimie zajądłej, dochodzącej do szaleństwa. Głód podwaja dzikość, odwagę siły zwierzęcia. Nigdy nie czuje się słaby wobec silniejszego tak bezradnym, niedołęznym, tak okropnie opuszczonym, jak w nędzy.

Ale lody pękają w końcu, śniegi topnieją, nad ziemią idzie powiew ciepły, wonny. Wiosna wstępuje do puszczy.

Już okryły się drzewa niektóre listkami drobnymi, na innych połyskuje pącze, pełne nadziei, we wszystkich zaś obiega bogactwo twórczych soków życia. Tajemnicze siły wzrostu grają w miazgach. Pierwsze kwiatki wiosny złością się, modrzą, bielą, rumienią po lasach i smugach. U krynic, u jezioreczysk sity, wodorosty, trawy, zioła puściły pędy szmaragdowe. Młodziutkie kwiaty świerków czerwienią się wśród gąszcza igliwia ciemnozielonego. Bór z każdym dniem wydycha więcej woni żywicznej i balsamu brzeziny, łozy, topoli. Ziemia zmienia się nieustannie, codziennie zrzuca szatę wytartą, szarą, zapleśniałą, staje się piękną, wielmożną w każdym swoim splachciu. Święci ona teraz wschody i zachody słońca, kwiatami żegna i wita kochanka jasnego — słońce — pieśniami ptaków czaruje i w ciągu dnia całego opowiada baśni o rozkoszach miłości. Wietrzyk ciepły roznosi tajemnicze szepty szczęścia po zaciszach świata, igra z liśćmi i motylami nowo norodzonemi. Niebo rozmiłowa-

ne w ziemi, z lubością spogląda swym błękitem na jej wdzięki, z rumieńcem szczęścia odchodzi wieczorem i przybywa rankiem wczesnym.

Tak przesłicznie ustroił Dygasiński puszcę na przyjęcie miłości. Bo teraz zaczyna na ziemi miłość swoje gody, swoje pieśni, swoje nadzieje. Pani Wenus rozkazuje w lasach, w rzekach i jeziorach. Dokoła kipią: rozpusta, szały, namiętności, wybuchy serc tkliwych, aż las szumi i wody się pienia. Czuć miłość w powietrzu. Kto ma uszy do słuchania, ten słyszy wyraźnie: kochać, kochać, kochać!

Ale biada szaleńcom, tarzającym się w rozkoszach miłości, bo nie sama tylko miłość rządzi stworzeniem żywym. Głód nie złożył swojego berła okrutnego u stóp rozmarzonej bogini. Pochłania on codziennie swoje ofiary, moloch, nigdy nienasycony. Pieśń miłości zrywają od czasu do czasu krzyki trwogi, bólu, jęki konania. Śmierć nie odpoczywa i na wiosnę. Pracuje ona, morduje bez wytchnienia.

Postrachem borów jest przedewszystkiem smok, potwór skrzydlaty, — puhacz ohydny. Spędza on cały dzień w wydrążeniach skał, albo w gąszczach liściastych, przytulony do pnia drzewa. Posępnie napuszony, drzemie wśród jasności dnia z oczyma nawpół otwartymi, a dokoła niego wrą zgiełki życia.

Słońce zachodzi jaskrawo, ostatnimi promieniami żegna szczyty drzew, garby skał najwynioślejszych. Wieczornica złota wystąpiła na niebo i zda się z lubością spogląda na bory ogromne, których cienie nakrywają ziemię płachtą nocy przedwczesnej. Kukułka rzuca światu zamroczonemu dobranoc, wrony zakrakały poraz ostatni, gwar dzienny ucichł. Ćma gruba zaległa parowy i wertepy między skałami, gąszcze gajów młodych. Opary białe wisiały, rozpięte nad polami, nad rzeką, jeziorem i mokradłem. Lelek na nizinach rozpoczął pracę, nietoperz zarysował się ponad borem. W górze — niebo gwiazdziste, na padolach — otchłanie ciemności.

Teraz rozpoczyna się panowanie puhacza. Już od godziny niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Drapał się szponem po szyi, układał płaszcz na sobie, ziewał, przeciągał się, a oczy zaczęły mu gorzeć, jak latarnie. Z upragnieniem wyczekiwał swej pory. Ciemność i cisza przybyły nareszcie. Tylko głos świerszcza i niezłęczony nigdy szmer strumieni, mąciły milczenie nocy, kiedy opuszczał schronienie dzienne. Za-

trzeptał skrzydłami, otrząsł się na ciele, potem lekko, bez żadnego szelestu, wyleciał i usiadł na wierzchołku skały, panującej nad doliną.

Straszliwe, okropne: U-hu-huuu! — zachuczalo nad borem. To szatańskie „u-hu-huuu“ urąga światu, drwi z życia śmiechem biesowskim i wzywa je do boju.

Na znak, dany przez puhacza, wychodzą z kryjówek swoich wszyscy skrytobójcy lasu, wszyscy podli mordercy, skradający się do ofiary pod osłoną nocy. Wilk, ryś wyruszają na grabież, posłyszawszy hasło, borsuk opuszcza norę, kot z oczyma świecącymi czai się pod krzakiem, lis słuchem i węchem bada, dokąd ma iść na polowanie. A żubry i łosie rozstawiają czaty czujne, jelen i sarna pierzchają bez pamięci z kniei do kniei, ptakiienne, ocknąwszy się ze snu, ogarnięte zewsząd ciemnością, drżą w trwodze śmiertelnej; niektóre tracą zupełnie przytomność, więc uciekają na oslep, aby marnie zginąć, wpaść w paszczę nocnego zbója.

Ale noc mija, dzień świta, światło zwycięża — wycie potwora milknie. Ptaki — niepomne, że noc czarna znowu nastąpi — śpiewają radośnie, aż się bór trzęsie. Jedna połowa życia jest szczęściem, druga cierpieniem...

I tak ciągle w kółko.

Po wiosnie odtworzył Dygasiński lato — czas znoju, po lecie jesień. W żadnym z dzieł swoich nie rozrzucił tyle przepysznych krajobrazów (nie tych „malowanych“, robionych, którymi się przeciętni czytelnicy zwykle zachwycają, lecz żywych, wyrwanych ze wspaniałego albumu przyrody), w żadnym nie rozsiał tylu brylantów poezji, ile w „Godach życia“.

I język, dawniej czasami oschły, zaniedbany, nabrał w tej epopei przyrody barwy, dźwięku, siły. Malowniczy i jędrny, przypomina on męską prozę pisarzy złotego wieku.

I — rzecz szczególna — nawet pesymizm, naturalny u przyrodnika i pozytywisty, złagodniał nieco w „Godach życia“.

Dygasiński nie sprzeniewierzył się i w swoim testamencie artystycznym zasadom, lecz jego pesymizm stracił w „Godach życia“ cierpkość, gorycz. Zmienił się on w cichy, serdeczny żal do okrutnych praw przyrody. Zamiast złorzeczyć, przeklinać, skarży się miękko, przez łzy.

Kiedy wroniec napada na zająca, autor modli się. Bóstwa

jasności, czyż zając musi ginać dlatego, że jest słaby, biedny i żarłoczność nań czyha?

Albo na innem miejscu: czy kwiat cnoty dlatego jest tak cudownie piękny, że szlachetni cierpią i giną?

Albo jeszcze: „Nie to nie znaczy, że złe przypadki, nieszczęścia chodzą po świecie. Trzeba nieraz zginać, aby innym utorować drogę do zwycięstwa—umrzeć, aby dobrej sprawie życia zapewnić przyszłość. Umiesz kochać—umiej walczyć, cierpieć i umrzeć. Byt doczesny bez tego przykazania byłby marny, pozbawiony uroków wiary i nadziei. Cierpią słabi, ale cierpią i mocni, bo są jeszcze mocniejsi od nich“.

Na tyle rezygnacyi nie byłby się był autor „Niezdary“ i „Głodu i miłości“ nigdy zdobył. By złagodzić obrazy pesymistyczne, jakie przyroda ciska sama codziennie przed oczy uważnego obserwatora, wprowadził on do „Godów życia“ drobną ptaszynę—mysikrólika, który nie traci nigdy humoru, w doli, czy niedoli! Zawsze wesoły, zadowolony z wszystkiego, z zimy i wiosny, z lata i jesieni, zawsze równy—panuje on nad grozą, nad bezwzględnością praw przyrody.

Zakończenie „Godów życia“ zawiera treść testamentu Dygasińskiego, ostatni wyraz filozofii artysty i myśliciela.

Bóg Jasny (Słońce) i dziewa Ziemia wydali na świat bożycza Życie, dziecię niewinne, czyste, dobre. Natchnęli je miłością, prawdą, otoczyli wdziękami szczęścia, ażeby było piękne, nieśmiertelne.

Alic duch czarny, wróg odwieczny Słońca, przeciwnik dzieł jego zacięty i wiecznie niechętny, zaemił jasność ciemnościami, rozmnożył głody blade, zimna drzące i niedolę wszelką. Mało mu było tej uciechy katowskiej, więc stworzył śmierć zapalczywie żądną zniszczenia i jej pomocnice, choroby mnogie i zjadliwe. Nareszcie rozpuścił po świecie zbrodnie wyuzdane, występki sromotne, które wrogo pokalały czystość życia.

Zło pomieszało się w życiu z dobrem, wzięło górę i zamieniło krynicę przeczystą w kałużę szpetną.

Wówczas Żywa załamała ręce w rozpacz i wzniosła głos błagalny do Słońca, do Jasnego:

— Ocal, Panie, lub obróć w niwecz byt dziś tak sromotny!—prosiła.

Na to odpowiedział Jasny:

— Ja nie stworzyłem zła i nie dopuszczam go; ono beze-

mnie powstaje. Ale wiesz, że złe w złości swojej ponosi karę i ku zagładzie samo podąża, a enocie użyzcza potęgi i blasku.

Lecz Żywa skarżyła się:

— O, Panie, najslabsi cierpią, najszlachetniejsi giną.

A Jasny rzekł:

— Nie lubię spraw i rzeczy małych: wdzięk doskonałości jest zamiarem Stwórcy, a przeto musi zginąć wszystko słabe, mierne, niegodne nieśmiertelności.

Więc niema miłosierdzia dla słabych, więc jedna tylko siła pić będzie zawsze bez żadnej przeszkody, z całą swobodą z krynicy życia?

Na tej ziemi: tak odpowiada Dygasiński - przyrodnik, ale Dygasiński - poeta pociesza nieszczęśliwych światami innymi.

Bo oto w wyżynach, niedojrzanych z nizkości ziemskich, daleko od naszej doliny lez i boleści, jest świat drugi, świat szczęścia czystego. Z tego świata dochodzi głos na ziemię, pocieszający mieszkańców ziemi.

— Życie zła, niedoli wszelkiej jest doczesne i na śmierć skazane!—woła ten głos.

I „świat żywy spogląda z uwielbieniem ku krainie błogosławionej dobrych obietnic nieśmiertelności... Jak dobrze żyć w owym świecie innym! Na rozpacz nie ma czasu...”

Jakże inaczej wygląda ten pesymizm umysłu dojrzałego, oczyszczonego w ogniu długoletnich doświadczeń i rozmyślań, od ponurego, beznadziejnego pesymizmu „Niezdary“?

Bo prawdą jest i być nie przestanie, iż królestwo słabych, dobrych i szlachetnych „nie jest z tego świata“.

Walerya Marrené--Morzkowska

(Ur. 1831 r. zm. 1903 r.).

Młodość Waleryi Marrené - Morzkowskiej ozłacały wspaniałe blaski gasnącego słońca romantyzmu, jej lata dojrzałe obryzgała szumiąca piana wiru wspiętych prądów pozytywistycznych. Urodzona w r. 1831, była zbyt blizką romantyków, aby nie miała uleść ich wpływom; poświęciwszy się wyłącznie działalności literackiej około r. 1870, ocierała się zbyt często o pozytywistów, by nie miała przejąć się w latach dojrzałych choć w części ich zasadami, zwłaszcza, że była bardzo wrażliwą na wszelkie nowe prądy.

Córka żołnierza, spolszczonego Francuza, wzięła po ojcu gorący, zmysłowy temperament galijski, po matce zaś, szlachiance polskiej, odziedziczyła uczucia patryotyczne. Wychowana w zamożnym domu, poruszała się najswobodniej w środowisku, do którego należała pochodzeniem i stosunkami,—w t. zw. „towarzystwie“.

Gasnący romantyzm, wojujący frazesami, dziennikarski pozytywizm, krew ojca i matki, „środowisko ziemiańskie — oto główne pierwiastki talentu Marrenowej.

Nie: technicy, kupcy, fabrykanci, przemysłowcy, przyrodnicy, lekarze i t. p. „bohaterowie“ praktyczni, trzeźwi, skupiają na sobie uwagę czytelnika w główniejszych powieściach Marrenowej, lecz przeważnie ludzie, należący do sfer ziemiańskich, lub artystycznych.

W „Róży“ żeni się z piękną córką prezesostwa Henryk Wieliński, zamożny szlachcic; w „Błękitnej księżeczce“ popełnia różne niedorzeczności księżniczka Natalia Staromirska; w „Walce“ odgrywa rolę luminarza powiatu bogaty ziemianin, p. Salicki; w „Jerzym“ umiera z miłości gwałtowna Stasia, wnuczka senatorów; w „Nemezys“ walczy ze spóźnioną namiętnością rzeźbiarz, Antoni; w „Mężu Leonory“ cierpi za nieopatrność swoją człowiek zamożny, tak samo w „Augustcie“.

Marrenowa porusza się swobodnie tylko między ludźmi „dobrze wychowanymi“. Tam, gdzie chce naśladować Orzeszkową, jak w „Mężowie i żony“, traci jej ręka pewność rysunku. Wprowadza i ona tu i owdzie osoby z t. zw. innych warstw, lecz jej ubodzy błędą w zestawieniu z ulubieńcami losu.

Nie odznacza się ona łaskawością względem mężczyzn. W powieściach jej wraca uporczywie jeden typ, nie przynoszący nikomu zaszczytu.

— Powierzchność jego wytworna, pieszczona, — opisuje autorka samobójcę Edwarda w „Walce“ — nacechowana była tą miękkością, zdradzającą wybitny rys charakteru i usposobienia; jeżeli temu człowiekowi groziło nieszczęście jakie, on nie miał siły go odwrócić; jeżeli nadeszło, nie potrafił go dźwignąć. Przywyknienie musiało dla niego być prawem; skłaniał głowę przed każdą burzą, pokonany zawczasu; lękał się walki i puszczał łódkę swą na wodę prądów bez oporu.

Takim jest Edward w „Walce“, takim Lucyan w „Jerzym“, Henryk Wieliński w „Róży“, takimi wielu innych „bohaterów“ Marrenowej. Słabi oni wszyscy, bez woli i siły, niezdolni do życia twardszego. Co „towarzystwo“ uznało za „przyzwoite“, jest dla nich jedynym drogowskazem. Umieją być szlachetnymi i dobrymi, lecz tylko w szczęściu.

— Myśl jego ma tę dziwną właściwość pszczoły, (Lucyan w „Jerzym“), że słodycz wyciąga z każdego pierwiastku, zarówno w świecie materyalnym, jak duchowym. Serce jego szlachetne, niewieściej prawie delikatności; sprawia mu rozkosz czynienia dobrze; kupuje sobie ludzi dobrocią, która nie kosztuje go nic, bo jest własnością jego natury, jest mu nawyknięciem i, więcej powiem, potrzebą. Jeżeli chcesz, możesz go nazwać epikurejczykiem, nawet egoistą. Dotąd nieszczęście omijało go i zapewne omijać będzie; ten człowiek usu-

wa mu się z drogi i nie wyzywa go niczem, bo ręka jego sięga tylko po to, czego dostać może. Trudność każda zraża go, nie nęci niepodobieństwo. Lękałbym się dla niego nieszczęścia, bo nie widzę w jego duchu żadnego pierwiastku, aby z nim mógł skutecznie walczyć.

Żaden też z licznych przedstawicieli tego typu nie usiłuje stawić czoła przeciwnościom. Albo odbiera sobie życie, jak Edward, albo godzi się biernie z losem, jak Lucyan, który pociesza się na bulwarach paryskich po utracie miłości Stasi, choć zdawało się, że złamie się pod ciężarem odmowy narzeczonej. Henryk Wieliński, odepchnięty przez żonę, nie myśli wcale o starganiu rozluźnionych przez Różę więzów. Żyłby on z buntowniczką do śmierci, nie troszcząc się o jej niewygodną samodzielność i niezrozumiałe dla niego zasady, gdyby tylko zechciała.

A jeżeli który z mężczyzn Marrenowej wie, dokąd zmierza, jeżeli idzie naprzód z pełną świadomością skutków tego, co robi, to nie zdąża z pewnością do świetlanej krainy szlachetnej pracy, poświęcenia i cnoty. Placyd Ziemia i Salicki („Walka“), nie „puszczali łódek swych na wolę prądów bez oporu“; prowadzili oni je wprawna, pewną dłońią, lecz na... błota i topieliska, w których pograżali każdego, kto im zaufał.

Romuald Kalina, guwerner w domu hr. Romińskich, zbam uczył zręcznie odegraną komedią niewinne serce Natalii Staromirskiej. Stanąwszy przed hrabią, który domyślił się niepożądanego stosunku, czuje bakałarz, że ukochany księżniczki powinien być rycerskim.

— Nie chcę pańskich pieniędzy! — woła, gdy hrabia, wydając go przed terminem, każe mu wypłacić całoroczną pensję.

Romiński spojrział na oburzonego „bohatera“ z pod czoła, uśmiechnął się i zadzwoniwszy na lokaja, wyrzekł:

— Pójdiesz za tym panem, zaprowadzisz go do kasy, a potem wrócisz i powiesz mi, czy wytrwał w szlachetności.

Sługa stawił się niebawem, aby oznajmić, że pan Kalina... nie grał przed kasyerem roli obrażonego.

Ten sam „natchniony młodzieniec“ sprzedaje w kilka dni później za 20,000 franków dziewczynę, która opuszcza dla jego ubóstwa pałac i blask rodziny magnackiej.

Wytworni, dobrze wychowani, słabi, niedołężni arystokraci Marrenowej zdobywają się czasem na czyn szlachetny, lecz tylko dlatego, że nie umieją inaczej.

Hr. Leon (w „Walce”) jest „zanadto szlachetnie urodzonym, za dobrze wychowanym i czującym, by nie rozumiał brzydoty tego wszystkiego, co nikiemne. W braku sumienia oburzały się jego nerwy na każdy dwuznaczny postępek; przy odpowiednich środkach byłby pozostał z pewnością człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, byłby sobie nawet pozwolił na zbytek w tym względzie, bo miał pociąg do wszystkiego, co niezwyčajne i byłby z chęcią dzisiejszemu zmateryalizowanemu światu rzucił w oczy jakiś czyn wspianiałej bezinteresowności...

Marrenową zaliczano powszechnie do bojowniczek pozytywizmu, należy jednak wątpić, czy którykolwiek z postępowców warszawskich w r. 1880 podpisałby słowa powyższe, zdradzające wiarę w szlachetność krwi, w dziedziczność lepszych instynktów, w siłę tradycji.

I pobudki, wpływające w powieściach Marrenowej na czynność, odbiegają niejednokrotnie bardzo daleko od programu „trzeźwych”. Wprowadza ona do romansu: przecucia, sny, widzenia, czego by żaden pozytywista nie uczynił. Cały np. „Jerzy”, napisany z wielką siłą i z niepospolitym talentem spoczywa i rozwija się na takich „dziwactwach”.

Jadwiga, panna z XVIII stulecia, przekleła niewiernego kochanka. Straszne słowa umierającej prześladowają potomków lekkomyślnego starosty aż w trzecie pokolenie. Kto idzie z jego krwi, ten musi być współwinnym.

Sam przestępca nie doznaje spokoju na drugim świecie. Straszy on żyjących wizjami, które się sprawdzają. Pokazał się we śnie Jerzemu, przyjacielowi Lucyana, więc stara Rozalia przepowiada, że spotka kogoś z rodziny nieszczęście, bo tak zawsze bywało, kiedy się starosta ukazał. Stasia kona rzeczywiście na progu młodości.

Fatalistyczna to powieść od początku do końca, pełna nadzwyczajnych wypadków, których trzeźwy rozum nie uznaje.

Najdziwniejsza w tej bajce, że wierzy w nią chemik, człowiek ścisłej nauki, który nie powinien śnić tak romantycznie, bo „natchnęły go nie mrzonki marzeń mistycznych, ale trzeźwy zachwyty tego, co się dzieje”.

Marrenowa wsunęła oprócz tego w „osnowę Jerzego“ kilka zdań i uwag, które podają w wątpliwość przekonania pozytywne.

Jej bohater, „natchniony trzeźwym zachwytem tego, co się dzieje“, zapytuje swego przyjaciela Henryka, co ma sądzić o śnie, który powtórzył mu dosłownie historię Jadwigi i starosty, a starszy kolega, także przyrodnik, odpowiada:

— Nie odrzucaj jednak rzeczy, których dotąd pojąć nie umiemy, jako niemożliwe; teorie powinny stosować się do faktów, a nie fakta do teorii. My, cośmy zajrzeli w tę otchłań, zwaną nauką, wiemy, iż stoimy zaledwie na pierwszych szczeblach wiedzy, że w koło nas „nieznane“ roztacza się wszędzie. A czy wiesz, co kryje się w jego głębiach? Fakt jest zawsze rzeczą możliwą; skoro się spełnił, przyjąć go musisz, choć, jak powiadasz, węgielny kamień wiedzy twojej jest obruszony. Ja sądzę, iż mylisz się w tym względzie, bo węgielnym kamieniem wiedzy naszej jest pokora ducha, wobec wszystkiego, co nam nieznane. Nie godzi się przyjmować bez wahania za fakt wszystkiego, co podpada pod zmysły nasze, bo one mylić się mogą.

Nie było około r. 1880 pozytywisty, któryby się ośmielił „obruszać kamień węgielny wiedzy“ za pomcą snów, lub któregoby widzenia i przecucia nakłoniły do „pokory duchowej“. Żaden też nie zawołałby głośno, jak Jerzy, że wierzy w Boga i przyszłość.

Z każdej nieomal sceny młodej Orzeszkowej wyziera „program“, wyskakują „hasła“, obniżające wartość artystyczną jej powieści, a podnosząc ich znaczenie publicystyczne. Czy się postacie autorki „Eli Makowera“ kochają, czy nienawidzą, rozpaczają, nie zapominają nigdy o tem, że są nowych, trzeźwych czasów wychowancami. Z ust ich nie schodzą słowa: rozum, rozsądek, praca, obowiązek, nauka i t. p. Orzeszkowa nagiina wypadki, dość często nawet całą czynność do swych poglądów i tendencji, poświęcając dla nich logikę i psychologię. Marrenowa zaś przypomina sobie wprawdzie niekiedy, że powinna wygłosić jakiś zwrot „postępowy“, ale przelotny ten frazes zalewa falą odmiennych wyobrażeń. Cały np. „Jerzy“, choć zawiera najwięcej pierwiastków „przyrodniczych“, wyzyskanych bardzo dobrze i umiejętnie, jest zaprzeczeniem wierzeń pozytywnych.

Bo Marrenowa jest przede wszystkim malarką miłości. Nie

posiada ona głowy publicystycznej Orzeszkowej, jeno serce i nerwy poetki. Rozumuje ona bardzo mało, ale czuje za to głęboko i potężnie. Ukochała ona, jako powieściopisarka miłość w jej najrozmaitszych przejawach, począwszy od platonicznego, niewinnego marzenia księżniczki Natalii aż do szalonej, zbrodniczej namiętności Kazimierza, męża Leonory. Czy się jej bohater nazywa tak lub owak, czy w żyłach jego płynie krew kasztelanów albo chłopów, szczegół to dla niej obojętny. Byleby kochał, jest godnym jej fantazyi i pióra,

Odsądziwszy z małymi bardzo wyjątkami rodzaj mężki od przymiotów dodatnich, otoczyła Marrenowa sympatya i opieką płeć piękną. Jej kobiety umieją być nawet rzeczywistemi bohaterkami mimo sztucznej atmosfery, w jakiej dojrzewają.

— Biedna Stasia! — skarży się Jerzy w liście do Henryka („Jerzy“) — chowana w cieplarnianej atmosferze umiała jednak zrozumieć moralną godność, której jej brakło; z dziecinną namiętnością garnęła się do światła i prawdy.

— Żaden dźwięk dzisiejszych walk nie doszedł nigdy do uszu dziewczyny („Błękitna Książeczka“), chowanej w sztucznej cieplarni konwencyonalizmu.

— Panna Róża, mówi Joachim („Róża“) — nigdy na krok od domu nie oddalała się sama, nigdy nie rozmawiała sam na sam z żadnym mężczyzną, bywała tylko w wyborowych towarzystwach, była doskonale wychowaną, czyli trzymaną w systematycznej niewiedomości wszystkich realnych warunków bytu, nie miała najmniejszego pojęcia o obowiązkach, jakie ją czekały i była pozbawioną najzupełniej samodzielności i inicjatywy, niezbędnej w życiu.

Była to więc także panna, „chowana w atmosferze cieplarnianej“.

— A więc słuchaj pan — woła panna Salicka, oświadczając się sama Lucyanowi Ziembie („Walka“) — chociaż nie wiem, czy będziesz w stanie zrozumieć taką, jak ja istotę. Wychowałam się wśród sztucznej atmosfery, sztucznych pojęć i sztucznych uczuć i t. d.

Typy niewieście Marrenowej — to prawie zawsze panny z „towarzystwa“, bogate, wychuchane, chowane w „sztucznej, cieplarnianej atmosferze“ dostatku, konwenansu i wykwitnych form. Przeznaczone na żony ludzi zamożnych, kształcone przez

pospolite nauczycielki, strzeżone przez rodziców, nie znają życia, siwata.

Ale na dnie ich serc „drgają jakieś ukryte siły“, w młodych główkach błyska coś, niby przelotne jasności, zapowiadające burzę. Te naiwne napozór, bezwolne, bierne stworzonka, to... materyał na buntownice.

— Są chwile, kiedy czuję, iż mię krępują niewidzialne więzy — mówi księżniczka Natalia — i chciałabym je zerwać jakim bądź kosztem; są chwile, kiedy wolałabym zobaczyć grom jakiś, niż tę wiecznie jednostajną spokojność. Tak jest; pełno pytań tłoczy mi się na usta, a nikt na nie nie chce odpowiadać.

Ten sam niepokój dręczy: Różę, Stasię, Kazię („Walka“) Augustę i t. d. Idzie im przedewszystkiem o miłość, w której ramach zamyka się cały świat kobiety. Więc, gdy się ocknęły z odurzenia, spowodowanego mdłemi wyziewami „cieplarnianej atmosfery“, gdy sposobność zerwała z oczu ich bielmo nieświadomości, wtedy albo popełniają niedorzeczności, jak księżniczka Natalia, która ufa komedyantowi Kalinie, i Róża, rzucająca się w objęcia paniczka Eugeniusza, lub też wybuchają taką namiętnością, że potrzeba niepospolitej siły Marrenowej, aby ją dobrze odtworzyć. Stasia umiera z miłości, tak samo Aniela („Mąż Leonory“), a panna Salicka staje się z tej samej przyczyny nikizemną.

Bohaterki Marrenowej nie bawią się w środki połowiczne Oprzytomniawszy w życiu, przekonawszy się o siłach, które spoczywały w nich dotąd nieużyte, nie skarżą się, nie płaczą, lecz czynią, chwytają wypadki w drobne ręce i zmuszają je do powolności. Chcemy być szczęśliwe przez miłość! oto ich program, oto meta, do której biegną na oslepek, nie pytając, kogo i co po drodze roztrąca. A jeśli nie staną u celu, wtedy padają na placu boju, jak przystało na dzielnych wojowników.

Stasia nie zniża się do prośby wobec Jerzego, przeciwnie, podnosi głowę dumnie, a dzieje się to w chwili, kiedy ją cios śmiertelny dosięga. Wychodzi ona rozmyślnie za człowieka objętego, lecz tylko na to, aby dowieść chemikowi śmiercią swoją, jak kochają serca gwałtowne.

Róża pogardza karetami i dostatkiem męża, przenosząc nad blaski tej ziemi niezależność i ubóstwo.

Mężczyzna, który czyta powieści Marrenowej, musi się ciągle rumienić za przedstawicieli swojego rodzaju.

Zygmunt („Augusta“) chwije się, niby sucha trzcina nadbrzeżna, dotknięta powiewem silnego wiatru. Miłość do Augusty odebrała mu przytomność, resztę woli, szlachetność, rozum. Płacze on, załamuje ręce, wije się z boleści, kwili, jak dziecię kapryśne, któremu odmówiono zabawki.

A ona, kobieta zdeptana, nieszczęśliwa, rośnie przy nim do rozmiarów olbrzymki. Każdy jej czyn, to świadomość, duma i królewskość.

Albo rzeźbiarz Antoni. Ojciec dorosłych dzieci, mąż przedojrzały, prawie starzec, popełniłby największe szaleństwo, gdyby „ona“ sobie tego życzyła. Pani Nasielska nie spostrzega nawet jego spóźnionej namiętności, bo gdyby ją zauważyła, musiałaby nią pogardzić.

Kazimierz, mąż Leonory, pożerany ogniem miłości do Anieli, staje się dzikiem zwierzęciem, dla którego nie istnieje nic, okrom natychmiastowego zaspokojenia namiętności płciowej. Rozdrażniony oporem żony, która nie chce zezwolić na rozwód, usuwa ją gwałtownie z drogi swojego szczęścia.

Henryk Wieliński, „dobry chłopiec“, człowiek w gruncie niezły, pogodziłby się chętnie z Różą dla miłego spokoju, choć rzuciła mu w twarz najcięższą dla każdego męża obelgę, bo przyznanie się do pokątnych miłostek.

A Eugeniusz, pierwszy kochanek Róży? Ona składa u stóp jego wszystko: cześć swoją, piękność, młodość, gorące serce, on zaś dziwi się, że można tak kochać...

Romuald Kalina, ustępujący za 20,000 franków praw swoich do Natalii, dopełnia tej ciekawej galeryi portretów męskich, których honoru nie ocala kilka typów dodatnich, grzeszących pobieżnością rysunku i biernością charakteru.

Dopiero w zestawieniu z kobietami występuje plastycznie cała nędza moralna mężczyzn Marrenowej.

Bo jej panny i mężatki jaśnieją wszelakimi cnotami. Są one dumne, świadome celów, do których dążą, szlachetne, a nawet chciwe wiedzy. Jedyne to może odcień „pozytywny“ w ich charakterze.

Owe dziewczyny, chowane w „cieplarnianej atmosferze“ zrazu naiwne, przebudzające się niebawem i pożądające praw-

dziwej miłości, łakną w końcu nauki. Pragnie jej Stasia, szuka równowagi w jej objęciach Natalia, zapomnienie Kazia, osłody pani Nasielska. Uczą się wszystkie, podczas kiedy znaczna część mężczyzn Marrenowej nie rozumie wcale wartości pracy umysłowej.

Lecz uczoność ulubionego typu niewieściego autorki „Je-rzego“ jest rysem dodatkowym, podrzędnym, pewnym rodzajem ornamentyki. Główną ich treść stanowią skarby uczucia, przejawiające się w kierunku miłości płciowej.

Marrenowa jest psychologiem tej namiętności, adwokatem jej, anatomem i malarzem. Podpatrzyła ona robotę amorka w różnych położeniach; wie, jak się psotnik bawi i jak okrutnik szaleje.

W „Błękitnej książeczce“ odtworzyła pierwsze złudzenie młodej, wrażliwej dziewczyny, trzymanej w klatce przez wychowawców. Natalia rwie się do świata, chciałaby go poznać i zmierzyć wśród jego wirów własne siły, ogląda się naokoło za kimś, któryby mówił i myślał inaczej, niż ograniczona Drylska, zimna siostra i szyderski dziewierz. Ktokolwiek stanie w tej chwili przed nią z pozorami oryginalności, na tego przeleje ona swe marzenia, ten będzie ideałem jej bezsennych nocy. Ukocha ona nie jego, lecz swoje tęsknoty, i zawiedzie się, jak bywa zwykle w takich razach, w których zamiast serca działa wyobraźnia.

„Róża“ jest powieścią tych kobiet, które, wydane zawczasie za męż, nie pytane przez nikogo o zgodę, przebudzają się dopiero w małżeństwie, po upływie miesięcy miodowych. Pan i władca ich, który im się zrazu „podał“, zwłaszcza, jeżeli był przystojnym i zamożnym, jak Henryk Wieliński, stał się nudnym i pospolitym, gdy rozebrał się z tużurków wizytowych, a szorstkim po zamianie banalnej, lecz gładkiej rozmowy salonowej na trywialny żargon codzienny. Wówczas przypatrują się takie Róże sąsiadom, aż trafią na „swego“. Dalszy rozwój wypadków zależy już tylko od usposobienia owych „ocknio-nych“. Róże Marrenowej, w których „drgają jakieś ukryte siły“, obdarzone samodzielnością, dumą, energią, rozrywają gwałtownie narzucone im przez innych więzy, wracają sobie same swobodę.

W „Augustcie“ opowiedziała autorka „Historję omylonego serca“, jak się jej bohaterka wyraża.

— Większa część kobiet — mówi Augusta — które się spotyka, idące ze łzami, czy śmiechem krwawą drogą życia, przeszły podobną próbę, a miarą ich męki była miara siły i wytrwania uczucia. Ja byłam osamotniona, bez wsparcia i opieki, rzucona na fale brudnego świata, jak istota, spadła z księżycy, obca dla wszystkich i dla samej siebie. Mąż nie zajmował się mną wcale; gdy raz posiadał mój majątek, na cóż potrzebną mu byłam?

W „Nemezys“ mści się amor za lekceważenie, jakiego doznał od rzeźbiarza, Antoniego. Artysta wrażliwy na piękno, ożenił się w młodości z urodziwą kobietą, nie poradziwszy się serca. Za to przypomniało się ono wówczas, kiedy powinno było być tylko dla dzieci i matki ich, kiedy jego tęsknoty musiały ośmieszyć biedaka, którego krew rozpały po niewczasie.

Z tych samych prawie powodów cierpią: Kazimierz w „Mężu Leonory“ i Zygmunt w „Auguście“. Pierwszego oślśniła uroda córki zbankrutowanego kupca, drugi mniemał, że obędzie się bez miłości. Spadła ona jednak na niego w chwili, kiedy się jej najmniej spodziewał, i porwała go tak silnie za wystygłą pozornie pierś, że zachwiał się i runął przed nią na kolana, wołając przerażony: litości!

Ale namiętność nie zmiłowała się ani nad nim, ani nad żadnym z jego towarzyszków, bo miłość Marrenowej to furya, która szarpie z rozkoszą ostrymi pazurami serca swych ofiar. Im więcej ludzie cierpią, tem ona dumniejsza, szczęśliwsza. Nie uznaje ona nad sobą żadnego pana. Nie wie, co to przysięga małżeńska i rodzina, co honor i rozsądek. Najmocniejsze hamulce pryskają pod jej dotknięciem, rozpadając się na strzępy.

Nie pokonał jej nawet taki „January“, jedyny typ męski w powieściach Marrenowej, który umie panować nad sobą, i zdawał się być wybranym do poskromienia okrutnej wiedźmy. Genialny dyalektyk nagiął ją w prawdzie, „przegadał“, przymusił do posłuszeństwa, bo oddała mu Helenę na wyłączną własność, lecz ona, nieprzywykła do uległości, zakrwawiła mu w końcu serce, zabijając dzieci kobiety, które on umiłował.

Miłość Marrenowej nie daje szczęścia. Gdziekolwiek się ukaże, burzy, niszczy, druzgoce wszystko. Kobiety łamie lub odbiera im wrodzoną łagodność, mężczyzn upadła.

To nie jest uczucie pozytywne Orzeszkowej, spokojne, poważne, któremu nie potrzeba uleż, gdy się umie rozkazywać zachciankom krwi, ani tęsknota romantyczna, zadowolona, kiedy może wzdychać i płakać — namiętność to francuska, zmysłowa pragnąca posiadać osobę ukochaną,

Marrenowa nie zna cichych szeptów wstydlivej dziewczycy, uroczych rumieńców tkliwej narzeczonej, lekkich uścisków miękkich dłoni, zachwyty idealnej duszy, rezygnacyi, pociechy w modlitwie, zapomnienia w wykonywaniu obowiązków: matki, żony, córki, siostry, obywatelki. Kochać, znaczy u niej to samo, co oddać się bezwzględnie albo cierpieć. „Cierpi“ też u niej każdy, kogo sobie wybrał za cel do igraszki swawolnej.

Tę miłość odtwarza autorka „Męża Leonory“ i „Augusty“ po mistrzowsku, rozporządza ona bowiem znacznie większym zapasem siły, temperamentu, niż Orzeszkowa.

Takie ogniste, zmysłowe pióra tworzą najlepiej w młodości. Orzeszkowa, ogarniająca myślą szerokie koła spraw i zagadnień chwili, nie mogła być z początku dobrą powieściopisarką. Musiała się ona długo uczyć, kształcić i rozwijać, zanim przetrawiła bogaty materiał i ustaliła poglądy swoje w różnych kierunkach; Marrenowa zaś, kipiąca jak wulkan, jeden tylko badająca przedmiot, do którego potrzebowała gorących barw, przedstawiła się odrazu w pełnym rynsztunku swojego talentu.

Temperament Marrenowej słabnie, wypala się, ostyga z latami, jak inaczej być nie mogło. Taki „January“ np., chociaż należy do jej lepszych dzieł, nie odznacza się już tą gwałtowną wymową namiętności, jaka olśniewa i porywa w „Mężu Leonory“ i w „Augustie“.

W miarę, jak się Marrené-Morzowska oddalała od romantyzmu a zbliżała do pozytywizmu, odzywały się w jej powieściach znane frazesy, jak: wiedza to potęga; pogoń za wiedzą, dobrobytem i użyciem jest celem człowieka; matematyka i przyrodoznawstwo są najpiękniejszymi z nauk i t. d.; ale w jej ustach były te frazesy w istocie frazesami. Romansopisarkę obchodziła głównie miłość. Jej „postępowość“, którą się chlubiła, polegała na obronie praw serca kobiecego przeciw tyranii zwyczajów i obyczajów, uświęconych przez praktykę wieków. Była ona u nas jedną z pierwszych szermierek, dopominających się o prawa człowieka kobiety.

W latach dojrzałych usiłowała Marrené - Morzkowska rozszerzyć zakres swoich motywów, wstąpić na rozleglejsze pole przedmiotów społecznych; żadna jednak z prób w tym kierunku nie może współzawodniczyć z jej romansami. Właściwą działalność autorską, tę, która zostanie po niej trwałym pomnikiem, zamknęła utalentowana autorka „Jerzego“, „Augusty“, „Męża Eleonory“ około r. 1880.

Marya Szeliga. — Zofia Urbanowska.

Wszelkie nowinki są, jak pochodnia, sypiąca dokoła siebie mnóstwo iskier, blednących, gasnących szybko, gdy oddaliły się od ognistego źródła, z którego tryskały.

Talenty wyższe trzymają w ręku ową pochodnię — niższego rzędu autorowie chwytają iskry, świecą przez pewien czas i bledną, gasną.

Cały legion autorów (głównie autorek), efemeryd literackich, dorabiał do formułki: wiedza, trzeźwość i dobrobyt! szkice, nowelle i powieści. W utworach tych wychowańcy i wyznawcy „trzeźwości“ uczą się zawodów praktycznych, pracują w fabrykach, laboratoryach, warsztatach, kochają się rozumnie, drwią z dawnych złudzeń romantycznych.

Do mniejszych bogów literatury pozytywistycznej należą pomiędzy innymi Marya Szeliga i Zofia Urbanowska.

Marya Szeliga, pisująca od roku 1878 także pod nazwiskiem Jerzego Horwata, zaciągnęła się pod sztandar pozytywistów w byłym „Opiekunie domowym“. Wydała ona kilka powieści, w których kobieta kłóci się ciągle z reformatorem społecznym.

Jak Walerya Marrenowa jest i Marya Szeliga przedewszystkiem córą Ewy, dla której miłość stanowi najważniejszą zagadkę i najgłówniejszy cel życia. Nie omija ona wprawdzie żadnej sposobności, by wygłosić swoje „zasady“; gdzie może, wpłata w akcyę poglądy obozu, do którego należy przekonaniem, lecz maskuje się niezręcznie, każda bowiem jej powieść zdradza osta-

tecnie kobietę, którą sprawy serca zajmują daleko więcej, aniżeli wszelkie mądrości społeczne.

W „Natanieli“ nie zapomniała Szeliga o obrocisku moralnym dla nieopatrnej szlachty (Stamierowscy), ginącej wskutek zacofanego gospodarstwa, głównie idzie jej o stosunek hr. Emila Skarbka do jego żony. Miłości poświęciła „Wyklęte dusze“, to samo uczucie jest przedmiotem powieści p. n. „Nic nowego pod słońcem“; psotnego amorka widzimy także na pierwszym planie w „Dla ideału“ i w „Dworze i dworku“.

A miłość to wcale nie pozytywistyczna i nie pozytywne są ludzie, którzy działają pod jej wpływem.

Hr. Emil Skarbak („Nataniela“) odegrałby za czasów Rzeczypospolitej niezawodnie rolę Szamotulskich, Radziejowskich lub znakomitych wojowników. Natura to niepospolita, potężna, posiadająca w sobie wszystkie pierwiastki, potrzebne do wytworzenia człowieka niezwykłego. Szczęśliwe okoliczności wyrabiają z takiego materiału mężów zasługi, nieszczęśliwe popychają ich w drugą stronę krańcową.

Nad młodością hrabiego Emila nie czuwało rozumne oko szlacheckich rodziców, a wyjątkowe położenie kraju nie dało mu sposobności do należytego wyzyskania przymiotów, z którymi przyszedł na świat. Na polach bitew, wśród gradu kul, w obliczu śmierci, wyszumiałby i wyspokojniałby jego gwałtowny temperament. Niebezpieczeństwa i trudy wyrównałyby chropowatości takiego charakteru, który życie gnuśne musiało spacyć.

Zdolny, piękny, odważny i bogaty hr. Skarbak, trudnił się uwodzeniem kobiet, jak najmizerniejsze lwiątko salonów. Różnił się tylko w tem od paniczek, że nie przebierał w środkach, gdy sobie ofiarę jaką upatrzył. Człowiek ten, napotkawszy na opór, nie cofał się nawet przed zbrodnią. Nataniela przykuł do siebie za pomocą fałszywego ślubu, przebrałszy swego lokaja w suknie kapłańskie,

Hr. Emil drwi sobie z ludzi.

— Jestem wcieloną opozycją wszystkiego tego, — mówi — co przyjęte za stosowne i słuszne. Nie krępuję się nigdy, niczem, i w niczem. Nie znam hamulca nietylko wobec mej woli, lecz nawet wobec tysiąca moich kaprysów.

Na taką naturę potrzeba silnego parcia z zewnątrz. Szeliga kazała hr. Emilowi uleż Natanieli. Awanturnik złamał się, prysł o czystość szlacheckiej kobiety, a nawrócił się przez

pracę. Mimo takiej przemiany odebrał sobie życie, kiedy mu żona odmówiła nagrody.

I drugi bohater Szeligi, hr. Bronisław Miączyński („Nic nowego pod słońcem“) niema nic wspólnego z ulubionymi typami Orzeszkowej. Bogaty i przystojny, jak hr. Skarbek, nie bawi się w miłostki, bo nie bawi się wcale niezem. On nudzi się wszystkim, ziewa ciągle, nie starając się nawet w licznym towarzystwie o pozory zadowolonego. Niema nic nowego pod słońcem — odpowiada na wszelkie uwagi.

I to zepsute dziecię dostatku leczy autorka za pomocą miłości. Bolesław rozkochuje się w pięknej Delicyi, córce Polaka i cyganki. Potężne uczucie odmładza go i wraca życiu czynnemu.

Zdawałoby się, że tak gorliwa mecenaska amorka wierzy w jego moc niepokonaną, że nie podda nigdy jego roboty surowej krytyce. Ale „Wyklęte dusze“ świadczą inaczej.

— O! biada temu, kto ma serce tkiwe i namiętne,—skarży się Flora, „wyklęta dusza“ — kto jego zadowolenie za najwyższe prawo w życiu kładzie...

Tylko takim cynikom i niesumiennym uwodzicielom, jak dr. Sylwan Jaskier, jest dobrze na świecie; tylko takie wyrafinowane kokietki, jak jego godna siostrzyczka, Elwira, wydobywają z miłości miód słodkiej rozkoszy. Dusze szlachetne, „wyklęte“, Flory, Anielki, Stefanie, Antosiowie, albo marnie giną, albo tęsknią daremnie za niepochwytnem dla nich szczęściem.

Więc cóż jest prawdą w powieściach Szeligi? Należy wątpić, czy ona sama wie o tem, przeskakuje bowiem z wielką łatwością z pojęcia na pojęcie. W utworach jej niema porządku, niema tej czerwonej nici świadomie przeprowadzonej tendencji, która wije się przez wszystkie dzieła Orzeszkowej.

Szeliga jest beletrystką postępową z chwili po r. 1870, co zdradzają luźne uwagi, rozrzucone w jej romansach, ale nie zdaje sobie dokładnie sprawy z programu obozu, do którego się zalicza.

W „Dla ideału“ występują np. dwaj wielbiciele wdzięków pięknej, rozumnej Otylii, z których jeden, Kamil Zięba, ma być przedstawicielem „nowych czasów“, drugi zaś, Kamil Ordynski, wyznawcą „przebrzmiałego idealizmu“.

Pierwszy z nich mówi o sobie:

— Jestem zupełnym pozytywistą, biorę rzeczy tak, jak są,

zapatruję się ze stanowiska praktycznego, bo nie chcę się rozczarować...

Drugi zaś posługuje się w rozmowie z kobietami językiem poetycznym, kocha się w kwiatach, w pięknie.

Pierwszy ma być podług Szeligi pozytywistą, drugi idealistą, a ponieważ Zięba przewyższa Ordyńskiego szlachetnością, *ergo* wydaje pozytywizm lepsze owoce od idealizmu.

Tymczasem Zięba jest poprostu człowiekiem uczciwym i prawym, Ordyński zaś kłamiwym frazeologiem. Żaden z nich nie kieruje się w życiu hasłami takimi lub owemi. Gdyby się Zięba nie był nazwał pozytywistą, nie wiedzielibyśmy nawet, że uważa się za wychowawca trzeźwych zasad.

Raz tylko usiłowała Szeliga być powieściopisarką naprawdę „pozytywistyczną“, ale psotny amerek popsuł jej szyki.

W „Dworze i dworku“ występuje dwóch ludzi, zupełnie zrazu podobnych do bohaterów Orzeszkowej lub Bałuckiego. Inżynier Sulima nie chce jechać na bal do pana Augusta Chrapownickiego, bo nie cierpi „arystokratów prowincjonalnych“.

— Warstwa ta jest podobną do stojącej wody, — mówi do przyjaciela, do Borejszy — co przechowuje wszelkie męty i wylega z nich właściwe sobie tylko potworności, jakich nie widziało gdzieindziej.

Mimo tego wstępu do „próżniaków, nieuków, zacofańców“, rozkochuje się Sulima w córce właśnie owego pana Chrapownickiego, w uroczym motylku, porzuca dla niej kochankę młodości, dzielną Walkę, zaniedbuje się w pracy, robi wiersze, udaje eleganta, słowem — ośmiesza się i umiera w końcu na suchoty, jak najekliwszy epigon romantyzmu.

Zawiadowca Hunter, drugi typ nowoczesny w „Dworze i dworku“, nie popełnia wprawdzie takich niedorzeczności, nie mających nic wspólnego z „trzeźwością“, ale razi fanatyzmem *sui generis*. Ponury to robotnik, który nie znosi w życiu światła. Gniewa go wesele innych. Chciałby, aby wszyscy tylko pracowali, zrządzili, moralizowali. Przypomina on zresztą z nadto szablonowe postacie „zacnych fabrykantów“, „filantropów“ i nie wygłasza nic nowego.

Rozpatrzywszy się w powieściach Szeligi, niepodobna odgadnąć filozofii tej autorki. Zaliczono ją tak samo, jak Marrenową, do obozu pozytywistów. Ale pozytywizm warszawski wyrobił sobie z czasem program ściśle określony, który przepro-

wadzał systematycznie, a Szeliga nie wcieliła świadomie ani jednego „nowego“ hasła w twory swojej wyobraźni. Nad czynnością jej fabuł nie panują ani ludzie praktyczni, fachowi, ani „trzeźwe“ tendencye. Nie ma u niej t. zw. kwestyi żywotnych, zagadnień chwili, które zajmowały ogół po r. 1870.

Wymieni może ktoś „Pieśni i piosenki“ Szeligi i wskaże na jej „Urszulę Zmorską“.

Minęły średnie wieki! i to bezpowrotnie.
 Dzisiaj ludzie prawo, dobro, pojmują odwrotnie,
 I postęp się swobody domaga potwornej!
 A zdzierając uludną maskę świątobliwą,
 Inne głosi zasady, inaczej się modli!..

W tym wykrzykniku Szeligi odzywa się w istocie echo „oświeconych“. Ale jakie ono słabe, jakie zwietrzałe!

Marya Szeliga pragnęła być krzewicielką „nowych poglądów“, ale zabrakło jej do tej roli wykształcenia i talentu. Rozrzuciła ona w swoich powieściach garść ogólników, pustych frazesów — nic więcej.

Więc może jest artystką przedmiotową, kiedy nie amiała pochwyć prądów bieżących, może odtwarza dobrze chociażby ową miłość, której moc wykazuje na licznych przykładach? I to nie. Jej kochankowie przypominają bohaterów melodramatu, kobiety są w znacznej części wytworami jedynie wyobraźni, a obrazom braknie plastyki. Czasami, rzadko bardzo, w scenach gwałtownych błysnie coś, jakby prawdziwa namiętność (podróż Bolesława i Delicyi wśród śnieżnej zawiei w „Nic nowego pod słońcem“), lecz sztuczny ogień gaśnie rychło.

Każdy program dostawszy się w ręce epigonów, albo zmienia się w karykaturę, albo rozdrabnia się i blednie. Pod piórem Szeligi rozpadł się sztandar pozytywistów w tak poszarpane strzępy, iż trudno go złączyć w jakąś całość. Niby to pozytywistka, niby romantyczka, niby naturalistka—co kto chce. Tylko wytrawny umysł posiada pełną świadomość celów, do których dąży, w utworach zaś Szeligi nie widać stopniowego rozwoju, dojrzewania.

Daleko wyżej od niej stoi pod tym względem Zofia Urbanowska, należąca w pewnej mierze także do świty Orzeszkowej. Autorka ta, nie należąca do płodnych, napisała powieść, w której odbijały się najdokładniej ideały filisterskiej beletrystyki pozytywistycznej.

W r. 1882 ogłosiło kilka osób w „Tygodniku ilustrowanym“ taką mniej więcej odezwę:

„Przełożone prywatnych zakładów naukowych żeńskich w Warszawie, pragnąc uczcić pamięć zgasłej w dniu 16 lutego 1882 r. Pauliny Krakowowej, powzięły myśl wydawnictwa jej imienia, mającego przynieść pożytek uczącej się młodzieży. Za jedno z potrzebniejszych uznano dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiające obraz dziewczęcia i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili obecnej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu. Szło o okazanie dodatnich i ujemnych stron życia społecznego, wypowiedzenie pragnień, zawodów, przedstawienie walki z okolicznościami i z samą sobą, o wzruszenie i rozgrzanie, zatem zbudzenie za pomocą uczucia, szlachetnych dążeń i postanowień. Kobieta przedstawioną być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, a osoby, wchodzące do dziełka winny były należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa polskiego, będącej najlepszym przedstawicielem bytu narodowego. Bohaterka powieści czy pamiętnika miała mieć wady i ułomności bądź wrodzone, bądź z wychowania, bądź ze szkodliwych wpływów wynikające, ale idąc przez życie nie wyjątkowe, lecz powszednie, znajdując się w okolicznościach i warunkach powszechnie spotykanych, winna uczyć się: jak pojmować obowiązki swoje względem Boga, bliźniego i dalszego otoczenia; jak pielęgnować cześć dla ideału narodowego i domowego życia; jak pojąć znaczenie cichej a wytrwałej pracy i nauczyć się spełniać cnoty, których świat słusznie od kobiet się domaga“.

Powyższym warunkom konkursowym odpowiedziała w zupełności, podług zdania sędziów, powieść Zofii Urbanowskiej p. n. „Księżniczka“.

„Księżniczka“ jest panna Helena Orecka, szlachcianka, córka pana Marcina, niedobitka z niedalekiej przeszłości. Pan Orecki nie znał wartości grosza, jak nie ceni go nikt, kto nie musiał potnieć, aby go zdobyć. Co wziął w spadku po rodzicu, to roztrwonił w znacznej części, a z resztkami osiadł w małej mieści-

nie, gdzie mu, jako człowiekowi wysokiej prawości, rada nadzorcza b. Domów zleceń powierzyła ajenturę.

Gdy wieść o założeniu tych „Domów“ przybyła do miasteczka, powstał między Żydami wielki popłoch, a obrady giełdowe, odbywające się codziennie zrana na środku rynku, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek. Kiedy się jednak dowiedziano, że czynności ajenta będzie pełnił p. Orecki, ziemianin, nie mający żadnego wyobrażenia o kupiectwie, wtedy zaprzestano wierzyć w niebezpieczeństwo, mające jakoby zagrażać finansistom powiatowym.

I rzeczywiście stało się, jak przepowiedział stary Hersz. Szlachta cisnęła się zrazu do kantoru filii, skora do korzystania z taniego kredytu. Brano pieniądze, dopóki były, a pan Orecki, szczęśliwy, że „służy krajowi“, nie tylko dawał bez oporu, lecz ręczył nawet za każdego, kto jego nazwiska potrzebował. Lekomyślny brat Łata, wziąwszy, ile mógł, wycofał się cichaczem ze spółki i wracał do swego „kupca“, który wprawdzie daleko większy brał procent, lecz pożyczał za to pieniędzy na każde zawołanie i nie żądał dotrzymania terminów.

Filia, przeciążona zrazu interesami, opustoszała już po roku, a po dwóch przestała mieć rację bytu ku wielkiemu zmartwieniu pana Oreckiego, który z jej zwinięciem tracił prawie jedyny sposób do życia, bo żaden z panów braci nie oddał mu sum zawierzonych lub poręczonych.

Właściwa powieść Zofii Urbanowskiej rozpoczyna się z chwilą usunięcia ojca bohaterki z posady ajenta, gdyż pierwsze rozdziały podmalowują tylko tło, z którego „księżniczka“ wykwiła. A bogate to było tło, pełne smaku i barw, owiane poezją młodości, spędzonej wśród dostatku, kwiatów i wygod.

Helena była jedynaczką ludzi niegdyś zamożnych, błyszczących jeszcze wtedy, kiedy się chylili do upadku. Nie wiedziała ona, co praca i smutki, co kłopot i troski o jutro. Wychowana wykwintnie, przeznaczona przez matkę na lalkę salonową, a pieszczona przez ojca, nie mogła mieć najmniejszego wyobrażenia o ciemnych stronach życia.

Takie to kruche cacko chwyta autorka bezlitośną dłonią, rzuca je między ludzi, każe mu walczyć, aby ostatecznie zwyciężyło.

Gdy do miasteczka nadeszło zawiadomienie o zwinięciu

ajentury, ujrzała Helenka łzy w oczach ojca i domyśliła się ich źródła. Trzeba pomódz! Ale jak?

— Całe miasto spało, tylko w kajucie statku stojącego na rzece, błyszczało jeszcze światelko, a po cieniu, zasłaniającym okienko w regularnych, szybko po sobie idących odstępach, można się było domyśleć, że tam ktoś jeszcze szyje pracowicie.

— Dawniej, wpatrując się tak w blaski księżycy, Helenka dumiała o nieszczęściach Maryi Stuart, o Balladynie, albo o dzielnym Rob Roy'u — a dzisiaj, śledząc ruch cienia w okienku, zastanowiła się nad tem, jak się to dzieje, że ludzie, czuwający do późna w nocy przy pracy, mają jednak dobry humor i są zadowoleni ze swego losu.

— Co im daje ten humor i to zadowolenie? Skąd bierze się siła, czyniąca z ludźmi takie cuda? Gdzie jej szukać i jak się ona nazywa? Głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że to praca, która daje trud we dnie, a słodkim czyni spoczynek w nocy; że ona to hartuje serca, drżące przed niedostatkiem, a przygnębionym umysłem przywraca jasność i pogodę.

I ten głos wewnętrzny powiedział słabemu dziewczęciu: pracuj i ty, a pomożesz rodzicom, sobie zaś zgotujesz stanowisko niezależne.

Helence zdawało się, że potrzebuje tylko zażądać pracy, by przyszła sama do niej. Nie wiedziała, że ta apoteozowana i zalecana przez różnych moralizatorów praca, bywa bardzo często ponurą, nieznośną despotką, że trzeba pozbyć się wielu marzeń, pragnień, najświętszych nawet przekonań, aby zostać dobrym robotnikiem. Nie wiedziała także, że kapitał, utoczony na pracy, rzuca ją potrzebującemu — niby łaskę.

Zaraz na samym wstępie spotkała się dziewczyna z szorstkością pracy.

Do miasteczka przyjechał pan Radlicz, właściciel składu nasion w Warszawie, wysłany przez „Dom zleceń“ do zlikwidowania filii. Do niego to udała się panna Orecka z prośbą o radę.

— Cóż pani umiesz? — zapytał odrazu pan Radlicz, zamiast rozzalić się nad niedolą drżącej z bojaźni i wstydu pannenki.

Okazało się, że panna Orecka „nie umie nic“ dobrze, oprócz kaligrafii. Po odbytych egzaminie, obiecał jej pan Radlicz miejsce u siebie za piętnaście rubli miesięcznej pensyi.

— Ostrzegam panią, — mówił kupiec do nowej wyrobni-
cy — że jestem surowy i wymagający, i nie znoszę nieakurat-
ności, ani najmniejszego lekceważenia przyjętych na siebie obo-
wiązków. W razie, gdybyś je pani zaniedbywała, będę zmuszo-
ny objawić pani swoje niezadowolenie.

Powitana w ten sposób przez pracę, nie zraziła się dziew-
czyzna. Przekonawszy rodziców do swoich zamiarów, udała się
z panem Radliczem do Warszawy. Tu rozpoczęło się jej „wy-
chowanie“, jak się jej chlebodawcy wyrażają, a właściwie tres-
owanie, naginanie do niewolnictwa.

Autorka chciała prawdopodobnie postawić w swojej po-
wieści pracy *monumentum aere perennius*, ale ta praca i jej
wyznawcy wyglądają w jej utworze dziwnie niesympatycznie.
Dom Radliczów, który ma być wcieleniem ideałów życia mie-
szczańskiego, robi wrażenie fabryki lub koszar. Mieszkańcy je-
go wstają codziennie o tej samej godzinie, schodzą się razem
na śniadanie, potem rozchodzą się każdy na swój posterunek,
widują się znów przy skromnym obiedzie, i wracają do biur
i kantorów. Siedzą oni na twardych krzesłach, śpią na twar-
dych posłaniach, myją się cuchnącem mydłem, ocierają się gru-
bym ręcznikiem, słowem, żyją, myślą, mówią i czują twardo.

Nawet zewnętrzne postacie swych ulubieńców dostosowała
autorka do ogólnego tła. Pan Radlicz nie był na pierwszy rzut
oka człowiekiem miłym, tak samo jego żona, *hic mulier*, a syn
Andrzej, z krótko ostrzyżonemi, jak szczotka włosami, brzydki,
uszczypliwy, nie mógł się kobietom podobać. I służba Radli-
czów nie grzeszyła ani uprzejmością, ani życzliwością dla bie-
dnej dziewczyny, którą przewano uragliwie „księżniczką“.

Ludzie ci pracują ciągle. Ojciec prowadzi zakład, syn ho-
duje nasiona, jedna córka jest kwiaciarką, druga maluje na por-
celanie, trzecia fabrykuje wyborne konfekty, matka pilnuje por-
ządku w domu, ceruje stare skarpetki, gasi w pokojach świece,
gdy palą się niepotrzebnie, zbiera po obiedzie okruchy chleba
i wkłada je do woreczków. Tylko w niedzielę zabawiają się
graniem na fortepianie, czytaniem i przechadzką.

Gdy się coś zepsuje, przypominają: „to kosztuje pieniądze“,
dysputując, rozprawiają najchętniej o „kwestjach ekonomicz-
nych“, wydając rozporządzenia, odzywają się bezwzględnie.

Wszystko u nich i w nich twarde, chropowate, nieprzyje-
mne. Niema w ich charakterach owych miękkich linii, które

wyrabia staranniejsze wychowanie domowe, ani owych jasnych błysków, tryskających ze szlachetniejszych poglądów na życie i jego cele. Grubi to, posepni robotnicy, w gruncie zacni, uczciwi, dobroczynni nawet, ale nawskroś pospolici i odpychający brakiem kultury estetycznej.

O ileż sympatyczniej wygląda wśród tych zarabiaczów i zjadaczów powszedniego chleba, biedna Helenka, pasująca się po bohatersku ze swymi instynktami i nawyknięciami. Wyśmiewana ciągle, krytykowana bez miłosierdzia, przezwana z przekąsem „księżniczką“, łamie się i dźwiga ciągle z miłości do rodziców, którzy potrzebują chleba. Nie sztuka być wyrobnikiem, gdy się inaczej nie nauczyło, ale mocarzem jest, kto zdepcie siebie, aby innym służyć.

Niejedną palącą łzę wycisnęło „wychowanie“ Radliczów z oczu Helenki, z tych jasnych ocząt, które patrzyły dotąd na świat, jak gwiazdy, zdaleka. Ona łaknęła serdecznego słowa, a kupcy przemawiali do niej surowym, chłodnym żargonem filisterskiej praktyczności. Ona potrzebowała pieściwego słowa pociechy, a chleבודawcy jej umieli ją tylko karcieć i łajać.

Gdy Helenka śpi w pokoju jadalnym na stole, wypędzona ze swojego pokoiku przed właściwą godziną obawą wymówki, że się spóźnia, i gdy ją w tej postawie cała rodzina Radliczów otacza, wtedy czuje się jakby wstręt do tych zimnych ludzi, choć się właśnie w ich sercach na widok strwożonej, mizernej, zmęczonej dziewczyny budzą uczucia łagodniejsze.

Helenka wytrzymuje ciężką próbę — pokonywa wszystkie przeszkody i staje się dzielną kobietą, żoną... Andrzeja Radlicza.

„Księżniczka“ Zofii Urbanowskiej jest w nowszej beletryście polskiej najdokładniejszym wcieleniem praktyczności i pospolitej pracy, raczej roboty. Właściciele składu nasion, kwaciarki i fabrykantki konfektów nie występują w niej jako typy, odtworzone przedmiotowo, odmalowane dla nich samych, lecz jako wzory, jako ideały.

— Czy pan z patriotyzmu, nie dla własnej korzyści, produkujesz i sprzedajesz nasiona? — pyta Helena Andrzeja Radlicza. — Czy pańska starsza siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smarzy konfitury i konfekty, że już nie mówię o podkładkach do bukietów, wyrabianych przez młodszą?

— Tak jest pani, odrzekł Andrzej z niezachwianym spokojem — bo pieniądze, posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwendlinburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfekty, do Paryża za podkłady, w znacznej części pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tem korzystamy, ale korzysta niemniej kraj cały, gdy się bowiem jednostki bogacą, wzrasta bogactwo narodowe.

Więc ten sprzedawca nasion — to patriota, bohater, to drogowca dla innych! Ciekawa rzecz, czyby tak dumnie przemawiał, gdyby tracił, zamiast zarabiać na swoich towarach. To samo mógłby powiedzieć szewc, krawiec, handlarz pieprzu, staryzny, to samo wszelaki rzemieślnik i kupiec. Zatrzymują oni wszyscy jakieś pieniądze we własnych kieszeniach, czyli — w kraju. I dlatego należy się im, podług Zofii Urbanowskiej, wieńiec obywatelski.

Na tak niskim, filisterskim poziomie wyobraźni stanęła jedna tylko autorka „Księżniczki“. Podczas kiedy skrzydła Orzeszkowej, w miarę dojrzewania jej talentu, rosły i wzbijały się w górę, zostawiając za sobą daleko drobne cele zdawkowego zarobkowania, prześcignęła naśladowniczka jej w swojej najlepszej powieści samą „pracę organiczną“. Nawet Bałucki, pisarz trzeźwy *par excellence*, nie odważył się na apoteozę hodowania nasion i fabrykacji konfitur; nawet ten *bourgeois* krakowski narysował swojego Schmidta szerokimi liniami.

Urbanowska usiłuje wzbudzić w czytelniku różnymi środkami miłość do swoich Radliczów. Daremny to jednak trud! Można ich szanować, cenić, ale kochać i uwielbiać niepodobna.

Ma się rozumieć, że ideał praktycznego młodzieńca epigonki pozytywizmu w jego pierwszej fazie musi być wrogiem wszystkiego, co przypomina dawne wyobrażenia.

Helenka pyta Andrzeja Radlicza:

— Czy patrząc w niebo, nigdy panu nie przyjdzie ochota podumać i pomarzyć? Czy nigdy pan nie zapragnie sięciągnąć z tamtąd na ziemię, jako ze źródła wszelkiego dobra, światła, ciepła i wszelkiej szczęśliwości?

— Nie, pani, — odpowiada Andrzej — bo zdawałoby mi się, że niebo mówi do mnie: spełnienie twoich pragnień od ciebie samego zależy. Zamiast patrzeć we mnie z założonemi rękami, weź się raczej do pracy nad ich urzeczywistnieniem.

Takiej wiary w siebie nie posiada żaden z bohaterów

Orzeszkowej. Nawet ulubieńczy Bałuckiego, szukający także tylko „światła... w ziemi i na ziemi“ nie twierdzą, aby spełnienie wszelkich pragnień zależało jedynie od człowieka.

Po co zresztą ma Andrzej spoglądać w niebo, po co ma dumać i marzyć?

— Marzycielstwo jest, według niego, rzeczą szkodliwą, bo przytępia energię i prowadzi do lenistwa duchowego.

Urbanowska zapomina oczywiście o odwrotnej stronie medalu: o skutkach utylitaryzmu, o ujemnych wpływach tego nowoczesnego ideału, który zstępuje, niestety, zbyt często i zbyt rychło ze swoich wyżyn doktrynerskich i staje się prawie zawsze obrzydliwym samolubem.

Podczas, kiedy Orzeszkowa szła równo z czasem, kształcąc się i pogłębiając, została autorka „Księżniczki“, wydanej w roku 1886, na stanowisku współpracowniczki „Przeglądu tygodniowego“ z pierwszych lat jego istnienia. Uwielbia ona zdawkowy utylitaryzm, apoteozuje pracę pospolitą, „robotę“, idealizuje najsłabsze filisterstwo.

Czyni to z pełną świadomością i z talentem pisarskim. Jako publicystka i artystka stoi Urbanowska daleko wyżej od Szeligi. Pominąwszy tendencję, zawartą w „Księżniczce“, należy się tej powieści uznanie za dobrą kompozycję, za poprawny styl i wyborną miejscami charakterystykę występujących w niej osób.

Urbanowska „myśli porządnie“ i wie dokąd zmierza, czego szukalibyśmy daremnie w utworach Szeligi.

Że sędziowie konkursu uznali „Księżniczkę“ za dzieło, odpowiadające zupełnie „potrzebom chwili obecnej i wymaganiom zdrowo pojmowanego postępu“, świadczy wyraźnie, jakie poglądy panowały w kraju po roku 1870.

Spirytyzm i teozofizm.

Spirytyzm. — Jego pierwszy debiut. — Dar Ameryki. — Kathie Fox. — Allen Kardec. — Drugi występ — Alfred Wallace. — Naukowość spirytyzmu. — Paweł Gibier. — Drugi dar Ameryki. — Neobudaizm, czyli teozofizm. — Helena Bławicka. — Pułkownik Olcott. — Doktryna teozofizmu. — Nauka Buddy. — Okultyzm. — Kabaliści. — Właściwe źródło spirytyzmu i teozofizmu. — Ich znaczenie.

Zdawało się rozumowi w drugiej połowie XIX stulecia, że będzie mógł sam zadowolić wszystkie potrzeby człowieka. Wypędzić raz na zawsze usiłował niestrudzony buntownik z wieczeń i marzeń ludzkich wszelkie „złudzenia“, nie wytrzymując krytyki wobec sądu bezpośredniej obserwacji. Między rupiecie pokonanych na wieki przesądów cisnął cały świat: intuicji, wyobraźni i uczucia.

A oto podniosły się znów „stare upiory“, które miały bezprotnie zniknąć. Na trupie materializmu wyrosły różne zieliska dziwacznych kształtów i barw jaskrawych. Wzgardzona fantazyja majaczy jak za dobrych czasów romantyzmu. Działalność spirytystów, teozofów, okultystów i symbolistów potwierdza po raz setny może słowa Tacyta, że: umysły, które silnie przeżyły wstrząśnienia, bywają skłonne do zabobonów (*Sunt mobiles ad superstitionem percussae semel mentes*).

Jak kiedyś, temu lat czterdzieści, około r. 1853, nasze matki i babki siedziały przy stoliczkach i wywoływały „duchy“ porozumiewając się z nimi za pomocą stukań, ekierek i alfabetów, tak czynią dziś to samo nasze żony i siostry, nasi kole-

dzy i przyjaciele ¹⁾). Nawet ludzie wysoko wykształceni, nawet mężowie skądinąd trzeźwi, wychowani we wstręcie do wszystkiego, czego nie mogli zmysłami osiągnąć, znani pozytywiści i ewolucyoniści, ulegli „objawieniu“ wieśniaczek amerykańskich.

Bo światło spirytyzmu przyszło do Europy ze „świata nowego“, z ziemi kupców, geszeftmanów, robigroszów, w znacznej części potomków przeróżnej hałastry, która zbiegła za ocean przed sprawiedliwością starego kontynentu.

W grudniu 1847 roku -- opowiada pani Emma Hardingue „History of modern american spiritualism“, a powtarza za nią dr. Paweł Gibier ²⁾ -- osiadła w wiosce Hydesville, w Ameryce Północnej, w hrabstwie Wayne, rodzina kolonistów pochodzenia niemieckiego, nazwiskiem Fox (*Voss*). W kilka dni po objęciu domu usłyszeli nowi mieszkańcy stukania w ścianę i w podłogę. Zjawiska te mnożyły się, rosły, przybierając rozmiary niezwykłej wrzawy. Ktoś niewidzialny wprawiał w ruch sprzęty, chodził, głaskał dzieci zimną ręką po twarzy i t. d. Działo się to głównie w obecności małej Kathie Fox, która przywykła z czasem do tego stopnia do nieproszonego gościa, że rozmawiała z nim bez żadnej bojaźni.

Gdy wieść o tych dziwach doszła do władzy świeckiej i duchownej, oddano rodzinę Fox'ów pod nadzór osób „światłych i usposobionych sceptycznie“. Trzy jednak komisye, złożone z obywateli miasta Rochester, potwierdziły po dokładnem zbadaniu zjawisk ich rzeczywistość, oświadczając równocześnie, iż przyczyn ich wykryć nie mogą.

Taki jest początek spirytyzmu końca oświeconego XIX wieku.

Z drobnego źródła wytrysnął potok szumiący, który zalał w krótkim czasie prawie całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. W r. 1851 zawiązało się w Nowym-Yorku pierwsze stowarzyszenie spirytystyczne, składające się z sędziów, senatorów, lekarzy i duchownych; w trzy lata potem połączyło się drugie grono osób w celu „badania zjawisk, niedostępnych dla zwykłej nauki“.

¹⁾ W r. 1895.

²⁾ Dr. Paweł Gibier; „Spiritisme ou fakirisme occidental“; w przekładzie I. Wł. Dawida; „Spirytyzm, studjum historyczno - krytyczne i doświadczałne“; Warszawa, 1889; str. 29 i następne.

Do Europy przybył spirytyzm w r. 1852, naprzód do Szkocyi, skąd ogarnął resztę Brytanii, następnie do Niemiec, Francyi i t. d. Ale ponieważ równocześnie (około 1850 r.) rozpoczęły się rządy pozytywizmu i ewolucjonizmu, przeto nie raczyła nauka urzędowa gościa zaoceanowego zauważyć.

Pierwszy debiut spirytyzmu wydał w „starym świecie“ tylko jednego doktrynera głośniejszego. Był nim Allan Kardec (właściwe nazwisko Hipolit Denisard Rivail), francuz, pochodzący z Lyonu, autor znanej i u nas „Księgi duchów“ (Le livre des Esprits) i założyciel wychodzącego od r. 1858 miesięcznika p. t. „Revue Spirite“.

Świat zaludnia — podług Kardec'a — olbrzymia ilość istot różnych stopni, które doskonala się ciągle, wcielając się kolejno (reinkarnacya) na coraz to innych planetach. Z reguły tej nie ma wyjątków. Jedną z takich form przejściowych jest także człowiek, który podczas pobytu na ziemi albo pokutuje za winy, popełnione na innym świecie lub też zbiera owoce dawniejszych zasług.

Hałaśliwe powodzenie ewolucjonistów i pozytywistów zagłuszyło teorię Kardec'a. Spirytyzm, aczkolwiek nie przestał nigdy tlić, nie wybuchnął za pierwszym razem płomieniem szerokim. Stało się to dopiero po bankructwie nowoczesnego materializmu ¹⁾.

Nietylko fantasci w rodzaju Kardec'a zajmują się obecnie spirytyzmem, lecz także mężowie nauki, mający za sobą długi szereg lat, spędzonych w służbie myśli „niezawisłej“. Wiadomo, że w „komunikacye duchów“ uwierzyli, między innymi, znany astronom niemiecki, Fryderyk Zöllner, profesor uniwersytetu lipskiego — przyrodnik angielski, Alfred Russel Wallace, niegdyś współzawodnik Darwina — rozgłośny chemik londyński, William Crookes, i zdolny lekarz paryski, Paweł Gibier. Z chwilą, gdy do spirytystów przystali ludzie, przywykli od lat najwcześniejszych do krytycznego rozpatrywania zjawisk, zwróciło „objawienie“ wieśniaczek amerykańskich na siebie uwagę kół szeroki, jak inaczej być nie mogło. Sprawa, której tacy Walla-

¹⁾ O Allanie Kardec'u pisał u nas w swoim czasie J. I. Kraszewski. Jego główne dzieło wyszło w przekładzie polskim p. t. „Księga duchów“. Współcześnie przypominał u nas Kardec'a ks. Władysław M. Dębicki w studyum p. t. „Koniec wieku XIX“, pomieszczenem w „Tygodniku Ilustrowanym“, r. 1893.

ce'owie, Crookes'owie i Zöllnerowie poświęcają czas drogocenny, nie może być tylko urojeniem lub kłamstwem oszustów — wnioskowano.

Alfred Wallace, równocześnie z Darwinem, twórcą teorii o pochodzeniu gatunków, wielbiciel: Wolter'a, Strauss'a, Vogt'a i Herberta Spencera, był — jak się sam przyznaje ¹⁾ — do niedawna „materyalistą tak przekonany, iż nie znalazłby w swoim umyśle miejsca na koncepcję istności duchowej lub jakichkolwiek w wszechświecie działaczy innych oprócz materji i siły“. Ten sam ewolucjonista oświadcza dziś, że doszedł na „drodze ścisłej indukcji“ do wiary w istnienie pewnej liczby umysłowości nadludzkich rozmaitych stopni i w możność oddziaływania tych istot niewidzialnych na materję i na umysły (jak wyżej str. 4).

Twierdzenie Wallace'a przeczy wprost zasadom pozytywizmu i ewolucjonizmu, ale właśnie to przeczenie jest treścią spirytyzmu współczesnego. Zbuntowawszy się przeciwko nauce niezawisłej, wrogiej wszelkim nadprzyrodzonościom, zamkniętej w ciasnym kółeczku bezpośrednich obserwacji, spirytyści usiłują rozszerzyć granice wiedzy ludzkiej, włączając do niej zjawiska, uważane dotąd za niepochwytnne.

Wierzliśmy — mówi Wallace — iż wszystkie cuda są fałszem, iż to, co się pospolicie nadprzyrodzonym nazywa, nie istnieje, albo, jeżeli istnieje, to nie podlega badaniu. Takie stanowisko nie sprzyja bynajmniej poszukiwaniu „prawdy“ (jak wyżej str. 11). „Nie chceć uznawać tego, co w każdym innym wypadku byłoby bezwzględnie przekonującym dowodem faktu, dlatego tylko, iż owo coś nie daje się wytłumaczyć na podstawie znanych dotąd praw, znaczy to samo, co utrzymywać, iż posiadamy już dokładną znajomość wszystkich praw, czyli, że możemy określić z góry, co jest możliwem lub też niemożliwem. Tymczasem opowiada historia wiedzy ludzkiej, że to, co dla jednego wieku jest cudem, staje się dla drugiego zjawiskiem naturalnem. Przed wiekiem telegram, przychodzący z odległości 3,000 mil, albo fotografia, zdjęta w ciągu sekundy, nie byłyby uważane za rzecz możliwą i nie uwierzyłyby w nie nikt, oprócz nieuków i przesądnych. Przed pięciuset laty wzięłoby działanie

¹⁾ Alfred Wallace w przekładzie polskim I. K. Potockiego „O cudach i nowoczesnym spirytyzmie“; wydanie 3; Warszawa, 1890; str. 3.

dzisiejszego teleskopu i mikroskopu za siłę cudowną i t. d. — „Tak mało wiemy o tem, czem jest siła nerwowa albo życiowa, jak ona działa i działać może, w jakim stopniu może przechodzić z jednego człowieka na drugiego, iżby nierozważnym był, ktoby utrzymywał, że postrzeganie (percepcya) nie zna innej drogi, oprócz zwyczajnych zmysłów — (jak wyżej: 63, 64, 65, 66).

Powyższe twierdzenia Wallace'a przekonują bez komentarza, dziwić się tylko należy, że słynny przyrodnik ocenił tak późno niedostatki metody pozytywno-ewolucjonistycznej, jeżeli bowiem kto, to potykają się właśnie badacze natury bezustannie o tajemnice, przekraczające możność kontroli zmysłów. Najdrobniejsza trawka opowiada im o sile ukrytej, pobudzającej życie; najniklejszy robaczek zdumiewa ich misternością budowy i uczy nie pychy, lecz podziwu. Rzecz szczególna, że właśnie przyrodnicy, zbliżeni więcej do cudownego mechanizmu świata, znający lepiej od uczonych innych kierunków niemoc człowieka, rzucają zawsze pierwsi wiarę w t. zw. nadprzyrodzony początek wszechrzeczy i odgrywają rolę tytanów, zdobywających bramy niebieskie. Jak gdyby nie wystarczało ogarnąć spojrzeniem pierwszego lepszego krajobrazu, wsłuchać się w ciszę lasu, wpatrzeć się w błękitne przestworza, roziskrzone gwiazdami, aby się uczuć prochem, niezem w porównaniu z codziennem chociażby otoczeniem.

Ale panowie botanicy, zoologowie i chemicy, pochłonięci przez szczegóły, pochyleni nad mikroskopem, nie obejmują widocznie całości — tracą wzrok daleki. Odcyfrowawszy jakieś prawo, jedno z tysięcy, co „odkryciem“ nazywają, upajają się swoją potęgą, zapominając, że inną rzeczą jest zrozumieć coś, a inną zrobić. Zajmują oni wobec Najwyższego Mistrza to samo stanowisko, jakie bezpłodny krytyk zajmuje wobec autora. Pochwyciwszy jakiś rys znamieny dzieła, mniemają, że wniknęli w samą istotę twórczości.

Nie sam tylko Wallace zwrócił uwagę na jednostronność wiedzy czasów ostatnich. Zewsząd odzywają się od lat kilku głosy, domagające się rozszerzenia granic badań ludzkich, określonych ściśle przez pozytywizm. Karol Richet, profesor fakultetu medycznego w Paryżu i redaktor „Revue scientifique“, w przedmowie do francuskiego przekładu dzieła trzech angiłków: Gurney'a, Myers'a i Podmore'a, p. t. „The phantasms of the Living“, oświadcza, że możemy być dumni z obecnego sta-

nu nauki, porównyując bowiem to, co wiemy dziś, z tem, co nasi przodkowie znali przy końcu XV wieku, należy podziwiać pracowitość i geniusz ludzkości. Ale... „Nasza nauka jest jeszcze zbyt młoda, — dodaje — aby miała prawo do przeczeń bezwzględnych“. Twierdzić, że nie wolno nam się kusić o zrozumienie jakichś zjawisk dlatego, że one przekraczają możność naszego poznawania, znaczy to samo, co zamykać się rozmyślnie w ciasnem kółeczku praw i faktów już ustalonych, zbadanych, co „negować postęp, zakazywać sobie z góry jednego z owych odkryć zasadniczych, które, otwierając drogę nieznaną, stwarzają świat nowy“ ¹⁾.

Liczba przeciwników wiedzy pozytywno - ewolucjonistycznej rośnie z każdą prawie godziną. Uczeni beletryści i dziennikarze różnych przekonań i kierunków żądają od nauki, aby otworzyła swoje podwoje na rozcież, nie odmawiając dostępu żadnemu zjawisku, chociażby pozornie najniedorzeczniejszemu.

Do takich faktów, wymykających się dotąd z pod kontroli probierzów zmysłowych, zaliczają spirytyści istnienie istot, inaczej od człowieka uorganizowanych, zwanych pospolicie „duchami“. Fakt ten, czy hipoteza, jest właściwą treścią spirytizmu. „Podstawę teorii spirytystów — uczy dr. Paweł Gibier ²⁾ — tworzy aksjomat, który stanowi kamień węgielny ich wiary i co do którego godzą się wszyscy. Podług spirytystów, możemy porozumiewać się z duchami, to jest z duszami zmarłych... ale tylko za pośrednictwem osobników, obdarzonych szczególną dotąd niezbadaną siłą, za których pomocą duchy nabierają władzy działania na przedmioty materialne, podpadające pod zmysły. Osobniki, posiadające ową szczególną własność ustanawiania związku między jednym światem a drugim, zowią się medyami“. Jak jedni rodzą się z talentem muzycznym, poetyckim, malarskim i t. d., tak inni przychodzą na świat, wyposażeni darem „komunikowania się“ („komunikacye“) z duchami.

Dużo mądrych, często ciemnych słów zużywają spirytyści na „naukowe uzasadnienie“ odwiecznego „zabobonu“.

Mówi Wallace: „Są prawdy, skłaniające nas do mniemania, iż mogą istnieć i prawdopodobnie istnieją inne, nieskończone

¹⁾ Gurney, Myers, Podmore; w przekładzie polskim I. K. Potockiego; „Zjawiska Życia“, Warszawa, 1892, zeszyt I, str. 5 i 6.

²⁾ Dr. Paweł Gibier: „Spirytyzm i t. d.“, jak wyżej str. 26.

nie rozmaite postaci materji i rodzaje ruchów eteru, oprócz tych, do których poznawania uzdatniają nas nasze zmysły. Jeżeli tak jest, mogą być i są prawdopodobnie organizacje, przystosowane do działania na nie i do otrzymywania od nich wrażeń. „Nie byłoby tu żadnego „pogwałcenia praw“, żadnego „wtargnięcia do dziedziny prawa zachowania energii“. Ani materja, ani ruch nie byłyby stwarzane, albo unicestwiane, jakkolwiekby się tak zdawać mogło. W nieskończonym wszechświecie zasób materji i siły musi być nieskończony, fakt zaś, że istota eteryczna może ujawniać swoją siłę, bądź to czerpiąc ją z bezgranicznego eteru, bądź z życiowej energii ludzi, nie byłoby większym „cudem“, aniżeli np. wiekuiste wznoszenie się miliardów kropeł wody z Oceanu, albo też bezustanna wydajność siły żywotnej ziemi, których to zjawisk początek zdołaliśmy dopiero teraz odnieść do słońca. Wszystko to byłoby jeszcze naturalnem. Wielkie prawa przyrody zachowały swoje niezaprzeczone zwierzchnictwo. Musielibyśmy tylko wyznać skromnie, razem z pewnym uczonym współczesnym, iż nasze pięć zmysłów są bardzo niezręcznem narzędziem przy badaniu materji nieważkiej, a nadto moglibyśmy się dopatrzeć nowego, a głębszego znaczenia w przytaczanych często, lecz mało uwzględnianych słowach poety, który przypomina: iż są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich się naszym filozofom nie śniło“ (jak wyżej; str. 76, 77, 78).

Że „są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich się filozofom nie śniło“, wie każdy głupiec. Tylko bardzo mądrym ludziom zdaje się czasem, iż nie ma nic na niebie i ziemi, oprócz tego, co rozum ich raczy zauważyć. Ale tacy mędrcy wracają zwykle po złudzeniach młodości do wiary „najgłupszych“.

Bo czemże innem jest spirytyzm w istocie swojej, jeżeli nie odświeżeniem bardzo starego „zabobonu“?

Pierwszy człowiek, który, straciwszy kogoś bardzo ukochanego, nie mógł się pogodzić z myślą wieczystej rozłąki i szukał osoby drogiej w sferach dla niego niedostępnych, był właściwie ojcem spirytyzmu.

Wiara w życie pogrobowe jest tak dawna i powszechna, iż nie wiadomo, gdzie i kiedy początek swój wzięła. Istnieje ona ciągle, idąc równolegle obok przeróżnych doktryn filozoficznych, trwalsza od nich i mocniejsza. Im kto bliżej natury stoi, tem wrażliwszym bywa na tajemnicze głosy i znaki zja-

wisk, nie ujarzmionych dotąd przez naukę. Nie ma na wsi baby, nie ma chłopca, któryby nie „widział“ czegoś lub nie sły-
szał od sąsiadów o „strachach“.

Opowiada Eugeniusz Nus („Choses de l'autre monde“), że Indyanie amerykańscy nie tylko wierzą w duchy, ale wprost z nimi rozmawiają, radząc się ich w chwilach stanowczych za pośrednictwem kapłanów. Jakiś Aleksander Henri, pozostający w niewoli u czerwonoskórych w czasie wojen w r. 1759, był kilka razy świadkiem takich komunikacyj. Ilekroć jego zwycięzcy mieli coś ważnego do postanowienia, tylekroć wywoływali ducha, który „nigdy nie kłamie“, i stosowali się ściśle do jego wskazówek. Oprócz owego mieszkańca zagrobowego, mówiącego zawsze prawdę, przybywały na zaklęcia także istoty inne, złośliwe, przewrotne, ale tych nieproszonych gości witano świstaniem i krzykami.

Wynika z tego, że już Indyanie zeszłego stulecia rozróżniali tak samo, jak współcześni spirytyści, rozmaite rodzaje duchów i posługiwali się „medyami“ (kapłanami).

Nie ma więc nic nowego pod słońcem, są raczej jakieś odwieczne prawdy i wierzenia, które usunięte na stronę, wzgardzone, wydrwione przez jedno pokolenie, wracają w drugim, aby znów kiedyś stanąć na uboczu i znów wrócić *Circulus vitiosus*.

Odżyły w naszych czasach stare upiory, ukochane dzieci duszy, stare „przesady“, „gusła“, „zabobony“ z tą tylko różnicą, że ubrały się w biret doktorski i udają uczonych.

Uczonych — nie inaczej.

— „Odrzucamy wszelką cudowność zjawisk — twierdzi Gibier ¹⁾ — wszelki mistycyzm i nie uznajemy, ażeby cośkolwiek dzieć się mogło poza obrębem praw natury. Sądzymy, że skoro tylko dowiedziona zostanie ich rzeczywistość, zjawiska, zwane spirytystycznymi, okażą się równie mało nadprzyrodzonymi, jak zjawiska poddawania i hypnotyzmu“.

— „Spirytyzm jest nauką doświadczalną — zapewnia Wallace ²⁾ — dodaje on jedynie pewną podstawę prawdziwej filozofii, oraz czystej religii; znosi nazwy „nadprzyrodzoność“ i „cud“, a to przez rozszerzenie zakresu prawa, oraz dziedziny przyrody; czyniąc zaś tak, podnosi i objaśnia wszystko, cokolwiek jest

¹⁾ Paweł Gibier, jak wyżej; str. 4.

²⁾ Alfred Wallace, jak wyżej, str. 342, 343.

prawdziwego w przesądach i tak zwanych cudach wszystkich wieków. On, lecz tylko on jeden, zdolny jest pojednać niezgodne wierzenia, ostatecznie zaś musi doprowadzić do pogodzenia ludzkości w sprawach religii... dokona zaś tego cudu dlatego, bo odwołuje się nie do wiary, lecz do rzeczywistości, stawia fakty na miejscu mniemań“.

Jakaż jest owa „rzeczywistość“, przeciwstawiona przez Wallace'a wierze, owe „fakty“, które miały zastąpić „mniemania?“ Wadomo, że spirytyzm operuje dotąd dwoma kategoriami zjawisk, t. zw. komunikacjami (stukania, głosy, szmery) i objawami natury materyjalnej (podnoszenie stołów, rozdzieranie firanek, rozpętywanie węzłów, ukazywanie się tajemniczych rąk i nóg i t. p.). „Fakty“ te mają „doprowadzić ludzkość do pogodzenia w sprawach religii“, mają posiadać większą moc przekonywania, aniżeli rozpamiętywania tajemnic wszechświata... Wobec takich zapowiedzi, wygłoszonych z takich powodów, trudno sobie nie przypomnieć słów św. Pawła: „Albowiem przyjdzie czas, gdy nowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądlivości zgromadzą sobie sami nauczycieli, mając świerżbiące uszy. — A odwróca uszy od prawdy, a ku baśniom je odwróca“. ¹⁾

Zwrócili się pozytywiści i wychowawcy ich ku baśniom, a wołają, że odkryli nareszcie drogę, wiodącą do prawy.

Rozumie się, że jak zawsze i wszędzie, znaleźli się i obecnie nieuczciwi spekulanci, wyzyskujący łatwowierność ludzką. Gdy rozbudzony ruch spirytystyczny zapotrzebował pośredników między zwykłymi śmiertelnikami, nie obdarzonymi darem wnikania w tajemnice pogrobowe, a duchami, znalazły się oczywiście medya płci obojga, „komunikujące się“ za pieniądze z każdym nieboszczykiem. Cienie wielkich filozofów, wodzów, poetów zstępują na ziemię na zaklęcia pierwszego z brzegu kuglarza, byłego szewczyka lub krawca. Że zdemaskowano ostatecznie prawie wszystkie znane medya, od rozgłośnego Slade'a począwszy, a skończywszy na Bastianie i Cumberlandzie, że schwytano „wybrańców“ na posługiwaniu się najpospolitszymi sztukami „kuglarskimi“ — nie ochłodziło to bynajmniej zapału spirytystów. Z dniem każdym rośnie armia fantastów, którym się zdaje, że wejdą za pomocą stukań, „aparatów“, znaków, świetlistych rąk i nóg... do królestwa pełnej świadomości, albo-

¹⁾ Św. Paweł; „Wtóry list do Tymoteusza“; rozdział IV, wiersz 3 i 4.

wiem skłonne są do zabobonów umysły, które silne przebyły wstrząśnienia“. ¹⁾

Uhwila, spragniona cudowności, musiała sobie przypomnieć krainy, marzące nad „świętym“ Gangesem o wiecznym spoczynku w nicości. Wszakże w Indyach Wschodnich, w tajemniczej do niedawna ojczyźnie braminów, kształcą do dnia dzisiejszego fakirów, wobec których najzdolniejsze medya amerykańskie zasługują na nazwę nędznych fuszerów. Fakir, zapytany przez zdumionego jego sztukami europejczyka, w jaki sposób dokonywa różnych dziwów, odpowiada tak samo, jak współczesny okultysta paryzki lub londyński: „Duchy, które są duszami naszych przodków, posługują się nami, jak narzędziem; my udzielamy im swojego płynu naturalnego (*fluidum*), który oni łączą ze swoim i wytworzywszy w ten sposób pewne ciało płynne za jego pomocą działają na materję“.

I zwrócono rzeczywiście uwagę nie tylko na fakirów, lecz na Indye wogóle. Ameryka wyprzedziła i w tym wypadku Europę.

W r. 1875 założyło kilka osób w Nowym-Yorku stowarzyszenie pod nazwą „Teozoficzne, aryjskie stowarzyszenie nowojorskie“. Jakiś pułkownik Olcott i głósna Helena Bławacka są tego związku początkodawcami.

Biografia Bławackiej przypomina opowieści z „Tysiąca nocy i jednej“. Urodzona w Ekaterynosławiu (w r. 1831), córka kapitana artylerji, Piotra von Hahn, i rozgłosnej powieściopisarki, Fadiejew, zaślubiła w siedemnastym roku Bławackiego, wice-gubernatora Erywania. Opuściwszy wkrótce męża, mieszkała przez jakiś czas w Mingrelii, gdzie sprzedawała drzewo i przeniosła się następnie do Odesy, skąd wyruszyła w drogę naokoło świata. Była w Grecji i w Egipcie, popłynęła do Indji, a poznawszy się tam z Olcott'em, od którego słyszała dużo o budaiźmie, postanowiła zbadać osobiście tajemnice mędrców dalekiego Wschodu. W tym celu udała się z Olcott'em, jak sama o sobie opowiada, do Tybetu i wzięła z rąk „mahatmasa“ Morii,

¹⁾ Krytyce poważnej poddał spirytyzm, między innymi, ks. Wł. M. Dębicki w studjum p. t. „Koniec wieku XIX“ (jak wyżej). — „Szkic popularny teoryi i praktyki spirytyzmu“ wydał Witold Chłopicki, Warszawa, 1892. — O Spirytyzmie pisali dużo: Julian Ochorowicz („Tygodnik Ilustrowany“) i Ignacy Matuszewski („Przegląd Tygodniowy“).

po siedmioletniej nauce, „klucz do rozwiązania wszystkich zagadnień świata“. Wyzwolona na majstra w sztukach okultystycznych, wróciła na jakiś czas do Rosyi, do rodziny, pojechała jeszcze raz do Indyi, w końcu osiedliła się w Nowym-Yorku, gdzie założyła w roku 1875, razem z Olcott'em, owe „stowarzyszenie teozoficzne“. Z Ameryki jeździła Bławacka do Europy, do Francyi i Anglii. Umarła w Londynie w r. 1891, uznana przez „teozofów“ za prorokinię, za świętą.

Z innego trochę stanowiska oceniali działalność Bławackiej śmiertelnicy zwyczajni. Rada angielskiego „Towarzystwa badań psychologicznych“, poddawszy wrzekome cuda Bławackiej krytyce naukowej, wydała sąd następujący: „Pani Bławacka, osoba dużych zdolności, nie jest oczywiście uczennicą żadnych tajemniczych mędrców, ani zwyczajną awanturnicą; sądzimy, że historia wyznaczy jej miejsce jako jednej z najprzebieglejszych, najdowcipniejszych i najciekawszych oszustek naszej epoki“. Sąd „Towarzystwa badań psychologicznych“ potwierdziła sama Bławacka. Opowiada Wsiewołod Sołowiew, znany pisarz ruski, który obcował przez czas dłuższy z mistrzynią teozofów, że główna siła uczennicy „mahatmasa“ Morii spoczywała w niezwykle cynizmie i pogardzie ludzi. „Im tak zwany cudowny fenomen — mówiła pewnego razu do niego — jest prostszy i ordynarniejszy, tem łatwiej się powiedzie i silniej ze wywrze wrażenie. Ogromna większość ludzi, którzy się za uczonych uważają, składa się z kapitalnych głupców. Ach gdybyś pan wiedział, jakie lwy i orły w rozmaitych krajach na głos mojej świstawki przemieniały się w osłów. Dość było mi niekiedy gwizdnąć, żeby zaraz posłusznie ogromnemi kłapali uszami“. ¹⁾

Na czele stronnictw politycznych i kierunków naukowych albo artystycznych stawają zwykle ludzie, opętani przez jakąś ideę. Gorące ich słowo, drukowane, czy wygłoszone, w które sami wierzą, przekonywa innych, gromadzi wokoło jakiegoś sztandaru tłumy zwolenników. Nawet prorocy negatywnych haseł, nawet materyaliści i sceptycy, są swoich zasad pierwszymi wyznawcami. Tylko w chwilach anarchii intelektualno-moralnej wypływają na wierzch szumowiny społeczne pod postacią awanturników i kuglarzów, strojących się w suknie kapłanów.

¹⁾ Daty, odnoszące się do Bławackiej, zaczerpnąłem ze studyum Wł. M. Dębickiego (ak wyżej). (Przyp. autora).

Inaczej trudno sobie wytłumaczyć szeroki rozgłos takich Bławackich, Olcott'ów, Slade'ych i t. p. „mistrzów“.

Bławacka wraz z Olcott'em dowiedli zręczności, wskazując niedowiarkom, spragnionym wiary, naukę Buddy. Wychowawcy pozytywizmu, czując konieczność powrotu do „starych przesądów“, a nie chcąc się upokorzyć przed Chrześcijaństwem, uczepli się skwapliwie budaizmu, którego zasady przewyższają w istocie pod każdym względem światopogląd materjalizmu. Dość zestawień katechizm Buddy z dążnościami teozofów, aby zrozumieć przyczynę powodzenia budaizmu.

Buddha uczył: nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż, nie kłam, nie używaj trunków odurzających! Szukaj prawdy; bądź miłosiernym dla wszystkich, nawet dla nieprzyjaciół; wykonywaj dobre uczynki; bądź czystym w czynach, w słowach, w myślach; nie ubiegaj się o bogactwa; nawiedzaj chorych, wykupuj więźniów, pouczaj nieświadomych ¹⁾.

Teozofowie oświadczają: Zdawało się nam, iż, aby przeciwdziałać przeciw najazdowi zbyt ordynaryjnego materjalizmu i wzmocnić węzły rozprzegających się uczuć religijnych, należy stworzyć stowarzyszenie, pozbawione ducha sekciarskiego, a jednoczące członków wszystkich ras w celu poszukiwania prawdy i krzewienia jej pomiędzy bliźnimi ²⁾.

Gdyby teozofom szło tylko o wzmocnienie uczuć religijnych i o podniesienie poziomu moralnego chwili obecnej, jak usiłują wmówić w łatwowiernych, nie potrzebowałiby się cofać aż do Buddy. Chrześcijaństwo sformułowało daleko lepiej i przejrzystej moralność ludzi uczciwych i szlachetnych i pamięta praktyczniej o potrzebach religijnych jednostki. Ale teozofowie „poszukują także prawdy“, na co kładą nacisk. Wiadomo, że Bławacka postawiła na czele swoich teoryj zdanie: nie ma religii wyższej nad prawdę.

Tej prawdy nie daje podług teozofów Chrześcijaństwo, przeto należy szukać dróg do niej wiodących w budaizmie, raczej u późniejszych mędrców Indyj Wschodnich, którzy doprowadzili „sztuki tajemne“ do stopnia wysokiego. O te „sztuki tajemne“

¹⁾ Emile Burnouf; „Le Bouddhisme en Occident“; w „Revue des deux Mondes“; zeszyt z 15 lipca 1888 r., str. 342 i 343.

²⁾ Emile Burnouf; jak wyżej; str. 368.

o t. zw. mądrość okultystyczną, idzie głównie neobudystom, pokrewnym w tym względzie spirytystom, chociaż obydwie prądy zajmują wobec siebie stanowisko wrogie.

Tak spirytyzm, jak neobudaizm, czyli teozofizm, przekonały krocie wczorajszych niedowiarków. Liczba ich zwolenników przewyższa milion. Spirytyści wydają obecnie 37 czasopism w języku hiszpańskim, 27 w angielskim, 13 we francuskim, 5 w niemieckim, 3 w portugalskim, 2 we włoskim i posiadają mnóstwo stowarzyszeń naukowych i wzajemnej pomocy. Teozofowie ogarnęli prawie całą kulę ziemską. Ze stowarzyszenia nowojorskiego wykwitło w przeciągu lat ośmnastu (od r. 1875—1893) sto pięćdziesiąt ośm związków, rozrzuconych po Ameryce, Europie, Azji i Australii. Główne ognisko neobudaizmu znajduje się obecnie w jego ojczyźnie, w Indiach Wschodnich, w prowincyi Madras, w miejscowości Adyar, gdzie wybudowano wspańiały gmach (1866 r.), przeznaczony na bibliotekę i na zebrania członków. Teozofowie wydają dzieła i własne, specjalne czasopisma.

Mówiąc o spirytystach i neobudystach, nie wolno pominąć nowoczesnych okultystów, którzy, wydobywszy z zapomnianych zakątków bibliotek dzieła hebrajskich filozofów „ezoterycznych“ i średniowiecznych alchemików (Agrypa von Nettesheym, Paracelsus, van Helmont i in.), „poszukują prawdy“ tak samo jak i spirytyści i teozofowie. W jednym tylko punkcie różnią się kabałiści od spirytystów. Podczas bowiem, kiedy drudzy twierdzą i wierzą, że wszelkie zjawiska „nadprzyrodzone“ wywołują wezwane przez medium duchy, uczą pierwsi, iż oprócz duchów działają także inne czynniki, mianowicie t. zw. „ciało astralne“ (*le corps astral*), czyli część składowa człowieka, wydzielająca się z niego w danej chwili, i „elementale“ (*les élémentals*), czyli istoty niższe, wykonywujące rozporządzenia duchów wyższych.

Szukając źródła współczesnego spirytyzmu, teozofizmu, okultyzmu i mistycyzmu wogóle, należy nieco rozszerzyć definicyę człowieka, daną przez naukę pozytywną. Mędrcy drugiej połowy bieżącego stulecia, począwszy od Comte'a, usiłowali okuć potomka legendowych tytanów w kajdany rozumu, jednego, według nich, prawowitego władcy na ziemi. Popelniwszy ten sam błąd, jakiego się encyklopedyści dopuścili, zbierają obecnie te same owoce. Bo prawdą nie jest, aby rozum zadowalał wszystkie potrzeby człowieka. Serce, świat uczuć, — wyobra-

źnia, dekoratorka smutnej zawsze walki o byt — mają w życiu istoty myślącej nie mniejszy udział od niego. I nie jest także prawdą, aby człowiekowi wystarczała ta wiedza, którą można nabyć za pośrednictwem bezpośredniej obserwacji, co zresztą już sami twórcy pozytywizmu po złudzeniach pierwszej młodości przeczuwali.

F. Paulhan, jeden z niewielu młodszych autorów francuskich, których można czytać i rozumieć bez komentarza, mówi bardzo słusznie: „Ponieważ czujemy w sobie żądze nienasycone i siły niewyzyskane, przeto wnioskujemy chętnie, chociaż niemądrze, iż istnieje coś we szechświecie, co powinno zadowolnić te żądze, rozpętać te siły, a to coś nie jest nam znane. Czujemy się otoczonymi niezmierną falą niepoznannej (*inconnu immense*) i żądamy, aby nam do niej nie zagradzono drogi, pozytywizm zaś i ewolucjonizm zamknęli ten przystęp... Z tych powodów okazał się ewolucjonizm, aczkolwiek zostawił po sobie wielkie idee, niezdolnym do kierowania umysłami“¹⁾ — „Ewolucjonizm, materyalizm i pozytywizm naukowy wymyślili sobie świat zanadto prosty, zrozumiały, a równocześnie za mało zadowalający. Gdyby się rzeczy tak miały wistocie, jak nam ich doktryny opowiadają, byłby świat zbyt płaskim dla inteligencji, a dla uczucia zanadto oschłym (jak wyżej, str. 132).

„Zanadto oschłym“. W określeniu tem streścił Paulhan wszystkie wady wiedzy pozytywno-ewolucjonistycznej i wskazał prawdziwe źródło nowoczesnego mistycyzmu.

Zbyt oschłym był wistocie świat zbudowany przez rozum i dlatego zbuntowało się przeciw niemu uczucie pospołu z wyobraźnią. Człowiek - dusza i człowiek - serce obrzydili sobie wiarę i cel człowieka - zwierzęcia i zapragnęli znów marzyć, śnić, wzlatywać na skrzydłach fantazyi w krainy, do których rozum dostępu zabronił. „Niebieski kwiat“ romantyków, zdeптany przez pozytywistów, podnosi główkę, zwróconą w niebo. Duchów widać, szerokie, jasne myśli i wielkie uczucia...

Ale wszelkie reakcje, jakiegokolwiekby one były, materyalistyczne, czy idealistyczne, mają to do siebie, że nie umieją zna-

1) F. Paulhan: „Le nouveau mysticisme“; 1891 r. str. 119 i 120.

leżć odrazu miary właściwej. Przerzucając myśl gwałtownie z jednej sfery pojęć w drugą, wręcz przeciwną, grzeszą z początku zawsze przesadą. Spirytyzm (nie w rozumieniu dyletanckim, lecz naukowym, który jest w istocie wyrazem niezadowolenia przeciw ciasnym granicom pozytywizmu i ewolucjonizmu, zamiast zająć się psychologią człowieka, skoślawioną przez fizyologów, oczernioną przez naturalistów i dekadentów, rzuca rzeczywistość dla domysłów, prawdę dla złudzeń, życie człowieka dla tajemnic zagrobowych. Teozofizm, wykwitłszy ze wstępu do moralności „niezawisłej“, do jej skutków praktycznych, odwraca się od Chrześcijaństwa, chociaż nauka Chrystusa nie przestała być dotąd przezystą krynicą zasad etycznych.

Nie ma nic nowego pod słońcem, ale nic też nie powtarza się w tej samej formie. Prądy poprzednie zostawiają po sobie zawsze jakieś ślady.

Zdawałoby się, że spirytyści i okultyści, zerwawszy ze światopoglądem materialistycznym, wyrzekną się także jego pychy „naukowej“, że nie będą się ubiegali o tytuł uczonych. Tymczasem różnią się właśnie „czarnoksiężnicy“ chwili obecnej od dawniejszych... „naukowością“. Podczas kiedy kapłani Chaldei, Egiptu, Grecyi i alchemicy wieków średnich powoływali się na współdziałanie sił tajemnych (stąd nazwa okultyzmu), nowocześni cudotwórcy, jasnowidzący i wywoływacze duchów, głoszą i wierzą, iż przestąpią próg „niepoznawalnej“ jedynie za pomocą „ścisłych“ badań. Wielu z nich zastosowuje do zjawisk, zwanych dotąd nadprzyrodzonymi, metodę doświadczalną, chociaż oczywiście bez skutku. Ta wrzekoma naukowość okultyzmu chwili bieżącej jest spuścizną po doktrynie pozytywno ewolucjonistycznej.

Okultyści ludzą się, gdyż nie miłość faktów pozytywnych spowodowała przewrót obecny, lecz przeciwnie, jak słusznie Paulhan zauważył ¹⁾, miłość cudowności, która mści się za lekceważenie jej praw i siły. „Magia, czarnoksiężnictwo, astrologia, wróżenie, wszystkie te odwieczne zabobony, rodzą się z potrzeby łatwego oddziaływania na świat zewnętrzny i na społeczeństwo“.

¹⁾ F. Paulhan; jak wyżej; str. 104.

Być może, iż spirytyści i okultyści odkryją z czasem jakąś nową siłę, której znajomość posunie wiedzę ludzką o cały krok naprzód, dotąd jednakże nie wyszli z ciasnego koła jałowych eksperymentów, robiących wrażenie zabawki dużych dzieci. Są to dopiero mgławice bez pochwytnych form i wyraźnego rysunku, próby, nie zasługujące wcale na uwagę powszechną.

K O N I E C .

Me ty dese qone kus
 Zonacole sam

TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
I. Królestwo wiedzy	5— 17
II. Moralność niezawisła	18— 48
III. Skutki pozytywizmu w nauce	49— 63
IV. Odpowiedzialność nauki, literatury i prasy	64— 87
Moralność niezawisła	88—110
Pozytywizm warszawski	111—150
Idealy młodości Elizy Orzeszkowej	151—181
Michał Bałucki, jako powieściopisarz ur. 1837 r. um. 1901 r.	182—195
I. Adolf Dygasiński (wspomnienie pośmiertne)	196—197
II. Adolf Dygasiński (jako poeta)	198—211
III. Ostatnie dzieło Dygasińskiego	212—218
Walerya Marrené-Morzowska (ur. 1831 r. um. 1903 r.)	219—220
Marya Szeliga.—Zofia Urbanowska	231—242
Spirytyzm i teozofizm.	243—258



40394/
12.